

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Krawczuk

PERYKLES I ASPAZJA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Książka ta opowiada nie tylko
o losach sławnego polityka ateńskiego
i jego pięknej przyjaciółki.
Imiona ich w tytule należy rozumieć nieco przenieśnionie:
chodzi o wielkie wydarzenia dziejowe
i o zwykłe sprawy codziennego życia,
a więc po prostu o ludzką rzeczywistość Aten
w czasach ich świetności.
Epoka to bardzo odległa, dzieli nas od niej dwadzieścia pięć wieków.
A jednak właśnie owe Ateny są wspólną ojczyzną nas wszystkich,
kolebką naszej rodzinnej Europy!

Zaniemógł Perykles dopiero jesienią; epidemia już wygasła, lecz właśnie on stał się jedną z ostatnich jej ofiar. Choroba miała przebieg względnie łagodny, jednakże organizm starszego już człowieka – Perykles liczył wówczas lat dobrze ponad sześćdziesiąt – nie mógł jej sprostać. Aspazja szukała pomocy wszędzie, nawet w magii i w czarach (choć przed kilku laty stała przed sądem oskarżona o bezbożność). Na szyi chorego zawiesiła amulet. Kiedy do pokoju weszli przyjaciele, Perykles wskazał nań z bezradnym uśmiechem. Mówił już tylko szeptem, a i to z trudem; wkrótce zapadł, zdawało się, w omdlenie.

Było oczywiste: śmierć stoi blisko. Toteż tamci rozmawiali głosem ściszym – o nim, tylko o nim, ale tak jakby już leżał martwy. Z żałobnym współczuciem wspominali, jak wielki odchodzi człowiek. Sprawiało to, wrażenie, że sposobią się do wygłoszenia mowy pogrzebowej na państwowym cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylońską. I chyba rzeczywiście rozmyślali w cichości swych serc, komu przypadnie ten zaszczyt – niebłahy, bo oznaczający przejście politycznego spadku po zmarłym.

A przecież on, miało się okazać, był wciąż świadom tego, co się dzieje w pokoju. Był świadom tak bardzo, że słuchając rozmów zaczął się nawet niepokoić:

– Te przemówienia nie wypadną dobrze. Po cóż wyliczać wszystkie bitwy i budowle? Wygłosiłem tyle pięknych mów pogrzebowych, a ci nie nauczyli się niczego! Żeby wzruszyć słuchaczy, musi się rzec coś pozornie bardzo prostego, a jednak nieoczekiwanego. Coś, co by było zwyczajnie ludzkie, lecz zarazem poetyczne.

W mrokach dogasającej świadomości uformowało się dziwne pytanie: – A cóż takiego powiedzieć by można o tobie, Peryklesie? Jakaż to prosta, a jednak poetyczna pochwała tobie tylko przysługuje?

Nawet nie wiedząc o tym umierający zaczął czynić przegląd swego życia. Płynęła szybko wielka rzeka obrazów – wyraźnych, lecz nieco bezładnych. Bo przecież nie było to tylko jego życie, lecz dziesiątki lat dziejów całego miasta. Nie potrafił już oddzielić się od tego, co stanowiło treść i cel wszystkich jego poczynań przez prawie pot wieku. Toteż nawet tkliwe wspomnienie matki ciągnęło za sobą łańcuch spraw politycznych. Poczynał się ów łańcuch w mglistych oparach legendy, ale jego ostatnie ogniwa wiły się tuż koło ciała, połyskując jak węże.

Rozdział pierwszy

RÓD MATKI PERYKLESA: WYKLĘCI I DEMOKRACI

ZALOTY W SYKIONIE

Matka Peryklesa zwała się Agarysta. Była wnuczką tej Agarysty, której imię powtarzała niegdyś cała Hellada; wszędzie bowiem sławiono potęgę i bogactwa jej ojca, wszędzie też opowiadano z uśmiechem, jak to trzynastu zalotników przez okrągły rok ubiegało się o rękę dziewczyny i jak w ostatniej chwili odpadł ten, który już pewny był zwycięstwa.

Agarysta, matka Peryklesa, pochodziła z rodu Alkmeonidów. Kiedy była przy nadziei, śniła pewnej nocy, że urodzi lwa. Tak przynajmniej opowiadano w domu Peryklesa i tak zapisał to później jego przyjaciel, historyk Herodot. Wielu jednak w Atenach kpiło sobie z tego snu wieszczego, i to nawet wówczas, kiedy Perykles już odszedł ze świata żywych, sławny i żalowany. Ze sceny komediowej pozwalano sobie na takie żarciki:

„Jest niewiasta, co lwa porodzić ma w świętych Atenach. Lew przeciw rojom komarów za lud będzie walczył tak dzielnie, jakby szceniąt swych bronił; ochraniać ci go przykazuję mur zbudowawszy drewniany, a na nim baszty z żelaza.”¹

Ten mur, jak wyjaśnia się zaraz, to drewniane dyby okute żelazem.

A w innej komedii, podając przykłady niewieściej przewrotności, mówi się o takiej kobiecie, która sama i wprawdzie dzieci mieć nie może, ale jakoś sobie radzi:

„A znałam jeszcze taką, co dziesięć dni w bólach rodziła – póki sobie nie kupiła wreszcie dzieciaka. Mąż po mieście biegał, szukał leków, co przyspieszają poród... Przyszła baba z dzieckiem w garnku; by nie krzyczało, zatkała mu gębę kawałkiem plastra miodu. Data znak, kobieta wnet woła:

– Idź, idź, mężu! Zda mi się, że rodzę! Bo już dzieciak nóżkami uderzył w brzuch... garnka. Wybiegł uradowany. Ona dzieciakowi miód z gęby wyciągnęła, malec w krzyk. A podła baba, ta, co przyniosła rodzącą dzieciaka, pędzi w cwał, roześmiana, i do męża woła:

– Lew, lew ci się urodził! Wykapany tata! Cały jak ty, a zwłaszcza ten ogonek – całkiem jak twój: zgrabniutki, kręty, niczym szyszka młoda!”²

Zapewne, żart to niezbyt przystojny i wyszukany jak na smak naszej epoki. Ale lud ateński lubował się właśnie w takich plotkach i dowcipach – zwykle zresztą podawanych w formie

¹ Arystofanes, *Rycerze*, w. 1057—1061 (przekład S. Srebrnego: Arystofanes, *Komedie*, Warszawa 1962).

² Arystofanes, *Tesmoforie*, w. 508—522 (przekład S. Srebrnego: Arystofanes, *Wybór komedii*, Warszawa 1955).

tak dosadnej, że tłumacząc ówczesne komedie wiele wyrażen trzeba łagodzić i omawiać. Ta wyuzdana swoboda wyszydzenia wszystkiego i wszystkich była jedną z podstaw ateńskiej demokracji. Swawolny żart rozwiewał, jak mocny podmuch wiatru, nawet najłżejszy dymek kadzidlanych pochlebstw, które w innych państwach wznosiły się ku ludziom władzy gęstą chmurą, powodując nudności u samych płaszczących się, a groźne zawroty głowy u wywyższonych.

Kiedy jednak Perykles był jeszcze małym lwiatkiem, przyszłość nie tylko jego własna, lecz i całego domu zgoła nie zapowiadała się świetnie. I to właśnie ze względu na ród matki! Los nigdy nie szczędził Alkmeonidów i ludzi z nimi związanych. Chłopiec miałby prawo pytać:

– Czy to tylko przypadek powodował owe nieszczęścia, czy też naprawdę, jak głoszą wrogowie, nasza rodzina jest pod klątwą bogów?

Wciąż i bez przerwy wypominano Alkmeonidom ów śmiały uczynek (zbrodnię, jak twierdziło wielu), który pociągnął za sobą upadek całego rodu. Przyjaciele natomiast powtarzali:

– W tym mieście sława przodków twej matki żyć będzie na wieki, bo to oni wygnali tyranów!

Chłopiec więc uczył się dziejów ojczyzny słuchając, jak walczyli o władzę dziadowie i pradziadowie matki; byli to dumni arystokraci, a przecież bez wahania sprzymierzyli się z pospólstwem, byle tylko zgubić rywali – arystokratów. Nawet ucieszną historię starań o rękę Agarysty, pierwszej tego imienia, należało dobrze zapamiętać. To bowiem, co się wówczas stało, rozżarzyło do białości starą waśń dwóch wielkich rodów, waśń odżywającą później w każdym pokoleniu i wciąż jeszcze niewygasłą.

W wyścigu rydwanów zwyciężył zaprzęg Klejstenesa, czwórka wspaniałych rumaków. Jego herold zaczął natychmiast głosić po całym świętym okręgu Olimpii, gdzie tylko gromadzili się widzowie:

– Kto z was, Hellenowie, uważa, że godzien jest zostać zięciem Klejstenesa, niech za dni sześćdziesiąt przybędzie do nas, do Sykionu. Licząc od owego dnia za rok Klejstenes postanowi, komu da za żonę swoją jedyną córkę Agarystę.

Dlatego to, kiedy skończyły się igrzyska 52 Olimpiady (według obecnej rachuby lat byłby to rok 572 p.n.e.), spotkało się w Sykionie trzynastu mężczyzn z najświetniejszych rodów całej Hellady. Dwóch przyjechało aż zza morza, z bogatych miast Italii. Ojczyzną czterech były krainy północne, gdzie góry są groźne, a barbarzyńcy podchodzą blisko. Ateny miały dwóch przedstawicieli, wyspa Eubeja tylko jednego. Natomiast mieszkańców Peloponezu stawiło się czterech, ci bowiem mieli do Sykionu drogę niedaleką; leży on u północnych wybrzeży ich półwyspu.

Przybyli do miasta pięknie zbudowanego u stóp stromych gór, na szerokiej równinie przeciętej potokami. Od zatoki morskiej szedł zdrowy, chłodny powiew, a po drugiej, północnej jej stronie widniały wysokie góry Hellady Środkowej: na wschodzie Kitajron, za którym rozciągała się Attyka, ziemia Ateńczyków; na wprost Helikon, siedziba Muz, skalne przedmurze równin Beocji; ku zachodowi ogromny Parnas, którego wierzchołki przez cały prawie rok błyszczały płatami śniegu.

Bardziej jednak od wspaniałych widoków ciekawiło przyjezdnych samo miasto, rojne i bogate. Okoliczne ziemie były żyzne, jak mało które w Helladzie. Chwalono tutejsze oliwki i warzywa, a także i konie wypasane na górskich łąkach. Port leżał o godzinę drogi od samego miasta; był niewielki, bo zbudowany ręką ludzką, zawsze jednak pełen okrętów i łodzi. Rozkwitało rzemiosło; wyroby sykiońskich kowali i garncarzy nie ustępowały korynckim. Tutejsi rzeźbiarze cieszyli się szeroką sławą; ponoć właśnie w Sykionie zrodziła się umiejętność wypalania glinianych posągów w piecach. Pracowano jednak i w marmurze, ucząc się wiele od mistrzów przybyłych aż z Krety. Znać to, powiadano, że niegdyś tworzył na Krecie sam Dedal; jego posągi łańcuchami pętano, aby nie uciekły – tak wydawały się żywe!

Klejstenes był czwartym władcą Sykionu z rodu Ortagorydów. Nazywano go tyranem, Ortagorydzi bowiem osiągnęli rządy siłą. Jednakże lud raczej chwalił Klejstenesa, który sprzyjał chłopom i rzemieślnikom, gnębił natomiast arystokratów; nawet ich związkom ro-

dowym dał nowe nazwy – od świni, osła i prosięcia! Był zręcznym politykiem, śmiałym wodzem. Wzniósł wiele budowli; jedną z nich była hala kolumnowa przy rynku. A przy tym wszystkim Klejstenes nie zachowywał się wyniośle. Zdarzyło się kiedyś, że osobiście stanął do zawodów w czasie igrzysk, które ustanowił ku czci Apollona. Sędzia przyznał zwycięstwo komuś innemu. Tyran nie tylko gniewu nie okazał, lecz obdarzył sędziego wieńcem – aby prawość miała swoją nagrodę!

Było co w Sykionie oglądać, było czym się zająć. Zresztą sam Klejstenes dbał o urozmaicenie pobytu swym gościom. Podejmował ich wystawnie. Często rozmawiał z młodymi ludźmi, często też przypatrywał się, jak ćwiczą na boisku. Wkrótce stało się widoczne, że najbardziej przypadli mu do serca obaj Ateńczycy: Megakles Alkmeonida oraz Hippoklides z rodu Filajdów. Ten ostatni spokrewniony był przez matkę z tyranami Koryntu. A to miasto leżało tak blisko Sykionu! Wychodząc rankiem i maszerując całkiem niespiesznie było się w Koryncie dobrze przed zmierzchem. Lepiej więc – dumął Klejstenes – wybrać Hippoklidesa; zresztą i w zapasach wydaje się on zręczniejszy. A co do Megaklesa Alkmeonidy, to ród jego wprawdzie starożytny, możny i bogaty, napiętnowany jednak, jak mówią, zmasą zbrodni i klątwą bogów!

Wreszcie nadszedł dzień ogłoszenia wyboru. Klejstenes złożył bogom ofiarę ze stu wołów. Spalono ich części niejadalne, aby niebianie pożywili się dymem, z mięsa zaś przyrządzono ucztę dla gości i obywateli Sykionu. Była to ostatnia próba, przy winie bowiem popisywano się jeszcze śpiewem i dowcipem. Uczta przeciągała się, wszyscy byli podochoceni. Pewny już zwycięstwa Hippoklides zawołał nagle do fletnisty:

– A teraz zagraj mi coś do tańca!

I zatańczył. Tyran patrzył na te popisy bez zachwytu. Tymczasem Hippoklides, bardzo z siebie zadowolony, znowu rozkazał:

– Przynieście mi stół!

Zaraz nań wskoczył i zaczął pokazywać, jak tańczy w Lacedemonie, potem zaś, jak w jego ojczystej Attyce. W końcu stanął na głowie i wywijął nogami. Tego już Klejstenes nie ścierpiał. Powiedział głosem donośnym:

– A więc, Hippoklidesie, przetańczyłeś swoje małżeństwo!

Ten już stał na nogach. Wśród głuchoj ciszy wyczekiwania zabrzmiały spokojne słowa, wyrzeczone z niedbałym uśmiechem, godnym potomka wielkiego rodu:

– Na tym Hippoklidesowi nie zależy!

Odpowiedział mu gromki śmiech biesiadników. Klejstenes wstał i rzekł zwracając się do swoich gości:

– Mężowie, którzy staracie się o rękę mej córki! Chciałbym przede wszystkim wyrazić wam wdzięczność, czyniliście bowiem temu domowi wielki zaszczyt. Gdyby to było możliwe, nikogo z was bym nie odrzucił. Ale córkę mam tylko jedną. Dlatego postanawiam tak: dwunastu was otrzyma jako dar po minie srebra – za to, że byliście łaskawi ubiegać się o Agarystę, i za to też, że tak długo przebywacie z dala od swych domów. A córkę moją oddaję Megaklesowi, synowi Alkmeona, Ateńczykowi!

STRONNICTWA

Z tego małżeństwa przyszła na świat córka i trzech synów. Najstarszy z nich otrzymał imię dziada, Klejstenes. Tak odwdzieczył się Megakles za wybór swej osoby i za posag Agarysty. Jak ogromne skarby przywiózł do Aten wraz z żoną, łatwo odgadnąć: przecież nawet odrzuconych zalotników Klejstenes obdarzył po królewsku. Stał się więc Megakles jednym z najmajętniejszych ludzi w Helladzie, był bowiem bogaty i przed poślubieniem córki tyrana. Miał dziedziczne włości w Attyce, a także i złoto, które przed laty zyskał w Azji jego ojciec. Krą-

żyły o tym złośliwe plotki. Ponoć w czasie podróży po Azji Alkmeon odwiedził też miasto Sardes, stolicę króla Lidii. Szczodry władca tamtejszy pozwolił gościowi wziąć ze skarbcza tyle złota, ile zdoła zabrać ze sobą. Alkmeon wdział obszerną szatę z głębokimi kieszeniami, buty zaś wciągnął wysokie i luźne. Napchał sobie w komorze ziaren złota, gdzie tylko mógł, nawet do ust, nawet włosy posypał złotym pyłem. Wyszedł ledwie powłócząc nogami, jakby nabrzmiały i opuchnięty. Na widok niezwyklej postaci król nie mógł powstrzymać śmiechu. Darował Alkmeonowi i to, co wyniósł ze sobą, i jeszcze drugie tyle. Lubił bowiem Hellenów, czcicieli boga Hermesa, opiekuna poetów, kupców, złodziei.

Wydawało się Ateńczykom, że Megakles osiągnął wszystko, co bogowie mogą dać śmiertelnikowi. On jednak sądził inaczej. Uważał te dary losu i niebian tylko za środek do uzyskania władzy. Powodowała Megaklesem nie tylko ambicja, lecz i wciąż żywa pamięć klęski, która spadła na ród przed dwoma pokoleniami. Wrogowie rozprawili się wówczas z Alkmeonidami bezwzględnie. Wyrzucili z grobów nawet kości ich zmarłych.

Teraz wreszcie – dumiał Megakles – nadchodzi czas pomsty. Oto dzięki swym bogactwom będzie mógł stanąć o losach Aten! Upokorzy potomków ludzi, którzy niegdyś chcieli usunąć z Aten nawet pamięć o Alkmeonidach!

Tak więc prowadził Megakles coraz niebezpieczniejszą grę polityczną. Skupił wokół siebie całe stronnictwo. Zwało się ono Wybrzeże, bo przeważali w nim ludzie nad morzem mieszkający lub z morza żyjący: żeglarze i kupcy, rybacy i rzemieślnicy, a także chłopcy osiadli u brzegów półwyspu. Stronnictwem przeciwnym była Równina. Ta skupiała posiadaczy ziemskich z żyznej doliny rzeki Kefizos. Wśród rodów Równiny dużo znaczyli Filajdzi, a więc dom Hippoklidesa i jego krewnych. Starania o rękę Agarysty zaogniły dawną niechęć tej rodziny do Alkmeonidów.

O co wiodły spór owe dwa stronnictwa? Wybrzeże broniło ustroju, który przed trzydziestu prawie laty, w roku 594, wprowadził Solon. Zniesiono wówczas wiele przywilejów arystokracji, prawo zaś do piastowania urzędów uzależniono tylko od stopnia zamożności. To odpowiadało ludziom Wybrzeża, którzy na ogół nie szczylic się znakomitą pochodzeniem, przeważnie jednak byli majątni. Równina natomiast głosiła powrót do dawnego porządku, kiedy to władzę sprawowali „najlepsi”.

Naturalne miejsce Alkmeonidów byłoby wśród rodów Równiny, bo przecież i oni należeli do wysokiej arystokracji, czyli, jak to nazywano w Attyce, byli eupatrydami. Jednakże przed dwoma pokoleniami, w r. 630, Alkmeonidów wyrzucono z kraju. Wszystkich: żywych i zmarłych. Sędziowie z najmożniejszych rodów wydali wówczas wyrok: Alkmeonidzi winni są zbrodni wobec bogów i ludzi. Dopiero Solon zezwolił tułaczom na powrót do ojczyzny. Cóż więc dziwnego, że Megakles tak gorliwie bronił praw Solona i tak wrogi był rodowi Równiny, które niegdyś wyklęły jego przodków?

Ale Równina była potężna, zasobna, zasiedziała. Jej rody cieszyły się wśród ludu powagą, bo wywodziły swych przodków od mitycznych bohaterów i królów. Mimo więc wysiłków Megaklesa nie było widoków pełnego zwycięstwa. Nie było i dlatego, że działało w kraju trzecie stronnictwo. Nazywano je Wyżyną, bo przeważali w nim ubodzy górale z nieurodzajnych gór w północnej Attyce. Szli niemal ślepo za swym przywódcą Pizystratem, który miał zresztą dobre imię wśród mieszkańców całej Attyki, bo dzielnie stawał w wojnie z Megarą, a w czasie pokoju zawsze bronił spraw ludzi prostych.

W dziesięć lat po ślubie Megaklesa i Agarysty, a więc około r. 560 p.n.e., Pizystrat stał się panem Aten. I to bez walki, bez rozprawy z przeciwnikami! Stało się to tak.

PIZYSTRAT

Na ateński rynek wpadły oszalałe ze strachu muły. Ciągnęły wóz, na którym siedział broczący krwią mężczyzna. Był to Pizystrat. Krzyczał, że jadąc przez pola wpadł w zasadzkę i tylko cudem uszedł z życiem. Błagał o litość: wrogowie czyhają wszędzie, musi więc mieć straż dla obrony.

Wkrótce potem odbyło się zgromadzenie wszystkich obywateli zwane eklezja. Wystąpiono z wnioskiem, by przychylić się do prośby człowieka, któremu – wszyscy byli świadkami! – grozi śmierć każdej chwili. Odezwały się głosy sprzeciwu. Jedni przypominali, że prawo zabrania obywatelom utrzymywania własnych drużyn. Inni twierdzili: zasadzkę wymyślił sam Pizystrat i sam się nawet zranił, aby oczernić swych wrogów. Nikt jednak nie śmiał występować zbyt ostro, aby nie ściągnąć na siebie podejrzania o udział w zamachu. Większość zresztą obradujących była wciąż pod wrażeniem krwi i popłochu na rynku. Tak więc zezwolono Pizystratowi na utworzenie przybocznej drużyny, z tym jednak, że będzie ona uzbrojona tylko w drewniane pałki.

I to jednak wystarczyło. Podejrzliwi mieli rację. Pewnego dnia pałkarze Pizystrata obsadzili Akropol. A kto był panem tego wzgórza o kredowobiałych, urwistych ścianach, które wyrastało w środku miasta, ten władał Atenami i Attyką.

Rządy sprawował Pizystrat mądrze. Dbał o ład i bezpieczeństwo, troszczył się o los chłopów, w niczym nie naruszał Solonowych ustaw. Ustrój na pozór pozostał niezmienny. Każdy jednak urzędnik i sędzia liczył się z wolą człowieka, za którym stała siła. Terror nie był potrzebny, tchórzliwa uległość stanowiła fundament tyranii.

Wrogie dotąd stronnictwa, Równina i Wybrzeże, zbliżyły się ku sobie. Pizystrat wiedział, jakim to grozi niebezpieczeństwem. Należało uprzedzić powstanie sojuszu tamtych. O tym, by przeciągnąć na swoją stronę ambitnego Megaklesa, Pizystrat nawet nie myślał. Czy jednak nie można by osłabić rodów Równiny? Przewodził im wówczas Likurg, miał on jednak rywala. Był nim Miltiades, po Hippoklidesie głowa rodu Filajdów, człowiek sławny w całej Helladzie, jego to bowiem konie zwyciężyły ostatnio w olimpijskich wyścigach.

Powiadano, że w początkach rządów Pizystrata zdarzyła się Miltiadesowi rzecz niezwykła. Siedząc pewnego dnia w przedsionku swego domu ujrzał kilku cudzoziemców. Przybywali z daleka. Dowodził tego ich strój, a także i włócznie, które trzymali w ręku; bo w Helladzie nikt już nie zabierał ich w podróż. Miltiades zawołał:

– Podejdźcie bliżej, cudzoziemcy! W moim domu możecie zatrzymać się i rozgościć!

Tamci spojrzeli na siebie z uśmiechem i przyjęli zaproszenie. A kiedy już wypoczęli, opowiedzieli gospodarzowi, skąd przybywają i jaki jest cel ich podróży:

– Jesteśmy Trakami, pochodzimy ze szczepu Dolonków. Zamieszkujemy długi i wąski półwysep, który od północy strzeże wejść do cieśnin ku Morzu Gościnnemu; wy zwiecie ten półwysep Chersonezem. Wiodłoby się nam dobrze, bo i ziemia nie najgorsza, i morze w ryby bogate, i na żegludze można zarobić. Cóż z tego, kiedy sąsiednie plemiona gnębią nas po zbójce! Przywieźdzeni do ostateczności, znikąd nie widząc ratunku, wybraliśmy się w daleką drogę, aż do wyroczeni boga Apollona w Delfach. Tam wieszczka powiedziała nam przez usta kapłana: zaproście jako władcę do swego kraju człowieka, który pierwszy użyczy wam gościny po opuszczeniu tego przybytku! Otóż idziemy z Delf już dni kilka. Przeszliśmy ziemię Focjczyków i Beotów. Wędrujemy po waszej Attyce. Wszędzie rozglądamy się pilnie za miłym gospodarzem. Nikt jednak nie otworzył przed nami swego domu. Widać nasz cudzoziemski strój wzbudza obawy. Ty, Miltiadesie, jesteś pierwszy. Dlatego prosimy posłuszni wyroczeni: przybądź do naszego kraju, obejmij władztwo, odeprzyj wrogów! Nie odmawiaj naleganiom: to przecież wola boga.

Taką to opowieść o gościach Miltiadesa przekazywano z pokolenia w pokolenie w rodzie Filajdów. Choć brzmiała jak baśń, to przecież wiele wskazywało, że jest w niej nieco prawdy. Miltiades rzeczywiście wyjechał aż na Chersonesz, wiodąc z sobą garść osadników. Dolonkowie od razu przyjęli go przyjaźnie, obdarzyli ziemią, uczynili swym władcą. Wpływy kapłanów delfickich były ogromne i sięgały daleko. Niejedna śmiała wyprawa w odległe krainy ruszyła z ich namowy i przez nich była kierowana. Czemuż by i w tym wypadku nie miała działać z ukrycia ich ręka? Było zaś oczywiste, że pomagał Miltiadesowi w opanowaniu Chersonesu sam Pizystrat; bez zgody bowiem tyrana osadnicy nie mogliby wyjechać z Attyki.

W każdym razie Dolonkowie dokonali bardzo dobrego wyboru. Miltiades powstrzymał napór wrogów, dla poddanych zaś był panem rozumnym i dbałym; dlatego też otrzymał przydomek Założyciela. A choć Dolonkowie musieli ustąpić części swych ziem przybyszom z Attyki, nie czuli się zbyt pokrzywdzeni, mogąc za to korzystać z dobrodziejstw pokoju. Po śmierci Miltiadesa rządy nad Chersoneszem przejął jego bratanek Stesagoras.

Natomiast Pizystrat omylił się w swych rachubach. Wyjazd Miltiadesa nie osłabił rodów Równiny. Przeciwnie, powodzenie jednego rozpałało żądze innych. Megakles działał teraz w ścisłym sojuszu z Likurgiem. Tyran nie mógł sprostać połączonym siłom obu stronnictw i po kilku latach musiał opuścić Ateny.

Kiedy tylko nie stało wspólnego wroga, oba stronnictwa znowu wszczęły walkę. Tym razem Równina była wyraźnie potężniejsza. Megakles znalazł się w trudnym położeniu. Wreszcie wpadł na pomysł niezwykły, lecz – jak sądził – zbawienny. Czemu by nie pomóc Pizystratowi w odzyskaniu władzy? Pomóc, ale nie bez pewnego warunku: tyran musi pojąć za żonę jego córkę! Skoro on sam, Megakles, nie może stać się panem Aten, niech rządzi jego zięć, potem zaś ich potomstwo!

Pizystrat był już poprzednio żonaty, i to dwa razy. Z obu małżeństw miał synów. Na pomysł Megaklesa przystał jednak chętnie, bo innego sposobu powrotu do Aten wówczas nie widział.

Cała Hellada śmiała się później z naiwności ateńskiego ludu. Cóż bowiem wymyślili Megakles i Pizystrat, aby zająć Akropol bez rozlewu krwi? Oto wyszukali gdzieś dziewczynę roslą i pięknie zbudowaną. Nałożyli jej kosztowną zbroję i kazali stać na wozie w takiej postawie, w jakiej zwykle przedstawiano boginię Atenę. Jechali z nią do miasta, a wysłani przodem heroldowie wieścili głosem wielkim:

– Ludu ateński, oto pani nasza we własnej osobie zstąpiła z Olimpu! Prowadzi na Akropol Pizystrata, męża miłego wszystkim bogom!

Tłumy prostaczków wyległy na drogi i ulice, modląc się do bóstwa objawionego i radośnie witając człowieka, którego tak zaszczycają niebianie. Zapewne, nie wszyscy dawali wiarę cudownemu wydarzeniu. Ale nawet najbardziej podejrzliwi przezornie zachowywali milczenie. Chwile ogólnego entuzjazmu nie sprzyjają trzeźwej krytyce. Zresztą obawiano się gotowych na wszystko drużyn obu przywódców.

Pizystrat dotrzymał układu. Wkrótce po objęciu władzy wziął córkę Megaklesa za żonę. Mijały jednak lata, a potomstwa z tego związku nie było. Wreszcie dziewczyna wyjawiała matce tajemnice swego łoża: mąż nie żyje z nią tak, jak się godzi.

Ze swego punktu widzenia Pizystrat postępował słusznie. Miał już trzech synów, po cóż było gmatwać sprawy dziedziczenia majątku i władzy przez mnożenie spadkobierców? Kiedy zaś urażony teść zażądał wyjaśnień, tyran bronił się wywodząc otwarcie:

– Na Alkmeonidach cięży klątwa. Nic nie wymaże z ludzkiej pamięci tego, co stało się za naszych przodków. Twój dziad złamał święte prawa bogów!

Rzeczywiście, tamten uczynek trudno było usprawiedliwić. Było bowiem tak:

Ludzie Kilona oblegani na Akropolu umierali z głodu i z pragnienia. Resztkami sił dowlekli się do ołtarza Ateny. Wówczas dziad Megaklesa, wódz oblegających, pozwoił im odejść w spokoju i bez obawy. Przyrzekł uroczyście: Nie spotka was nic złego! Zaledwie jednak

blagalnicy opuścili przybytek, posypał się na nich z jego rozkazu grad kamieni. Kilku szukało jeszcze ratunku u ołtarza Eumenid. Tych, z rozkazu tegoż samego człowieka, uduszono – aby przypadkiem kropla krwi nie splamiła ziemi poświęconej boginiom i nie wzbudziła ich gniewu.

Pizystrat więc miałby prawo utrzymywać:

– Wyrok sędziów był słuszny. Zbrodnię i świętokradztwo należało ukarać przykładnie, właśnie wygnaniem. Dzięki Solonowi Alkmeonidzi powrócili do kraju. Godzę się na to, jego bowiem ustaw przestrzegam ściśle. Wy natomiast, ród wyklętych, powinniście docenić łaskę przebaczenia i postępować rozważnie! A co do twej córki, to pojąłem ją za żonę, bo tak się zobowiązałem. Nie było jednak mowy o potomstwie. I czemuż to miałbym płodzić z nią dzieci? Czy po to, aby przekleństwo bogów spadło również na następne pokolenia mojej krwi?

Megaklesowi trudno było znaleźć na to odpowiedź. Kimże bowiem był ów Kilon, którego ludzi jego dziad wymordował? Opanował on Akropol, chciał bowiem – jak teraz Pizystrat – stać się tyranem Aten. Przegrał na skutek niezłomnej postawy dziada Megaklesa. Ten więc nie zważał na nic, byle tylko ocalić wewnętrzną wolność kraju przed zakusami jednostki. Natomiast sam Megakles podstępnie sprowadził na Akropol tyrana i dał mu córkę za żonę!

Po zerwaniu z Megaklesem dni Pizystrata w Atenach były już policzone. Ale on może i chciał tego, bo ambicje teścia były nieznośne, dwuwładza zaś nie do utrzymania. Unikając zbrojnej rozprawy Pizystrat umknął z miasta chyłkiem. Przez kilka lat tułał się po różnych krainach. Zebrał duży majątek i zyskał sobie wielu sprzymierzeńców. Wreszcie znowu stanął na ojczystej ziemi. Na równinie pod Maratonem wyładował tysiąc swych najemników, a wnet dołączyli doń chłopcy z okolic.

Z Maratonu do Aten droga wiodła przez szeroką przełęcz pomiędzy górami Himettos i Pentelikon. Tam, koło świątyni Ateny Pallene, zebrali się ludzie Równiny i Wybrzeża. Byli pewni zwycięstwa, gardząc pospółstwem w obozie przeciwnika. Rankiem więc, zaraz po śniadaniu, jedni powtórnie ułożyli się do drzemki, inni zaś w cieniu zabawiali się grą w kości. Atak Pizystrata zaskoczył bezbronnych i rozproszonych. Kto nie zdołał uciec, ginął w chaotycznym boju. Megakles i jego synowie szukali schronienia aż u stóp Parnasu.

APOLLON I WYGNAŃCY

Delfy zdawały się zupełnie odcięte od świata i zagubione w głuchej ciszy skalnego kotła. Prawie prostopadłe turnie Parnasu piętrzyły się od północy i wschodu. Potężny masyw góry Kirfizos wyrastał od południa, tuż za przepaścistym wąwozem. Tylko ku zachodowi otwierał się rozległy widok na głęboką dolinę porośłą srebrnozielonym lasem oliwek i na połyskującą w dali taflę morza. A jednak właśnie do tego dzikiego ustronia wśród rumowiska głazów podążały ze wszystkich krańców świata rzesze pielgrzymów i urzędowe poselstwa, bo groźne jego piękno upodobał sobie Apollon, przenikający przyszłość bóg światłości. Co cztery lata, kiedy odbywały się tu igrzyska zwane pytyjskimi, uczestników i widzów było tyluż, co w Olimpii. Stały się Delfy duchową stolicą ludu rozbitego na setki skłóconych państweczek. Wiedziano tu o wszystkim, co dzieje się w każdym mieście helleńskim i w krajach ościennych, często też prowadzono przy udziale kapłanów tajne rokowania i podejmowano ważne decyzje polityczne. Z wolą boga i powagą wyroczni liczyli się nie tylko Hellenowie, lecz i ludy sąsiednie; objęcie przez Miltiadesa władzy nad Dolonkami było tylko jednym z tego przykładów. Megakles postąpił roztropnie, tutaj obierając swoją siedzibę; tak samo zresztą uczynił już przed dwoma pokoleniami jego dziad, kiedy musiał uchodzić z Aten po wymordowaniu ludzi Kilona. Nie ustawał też Megakles w zabiegach o uzyskanie poparcia kapłanów dla swej sprawy, bóg bowiem przemawiał właśnie przez ich usta. Wieszczenie odbywało się w taki sposób:

W głębi świątyni kapłanka zwana Pytią siedziała nad rozpadliną skalną, z której dobywały się opary. W odurzeniu wypowiadała słowa bez ładu. Kapłani tłumaczyli je i ubierali w formę wiersza; wszystko więc zależało od tego, jaki układ wyrazów i zdań zastosują w danym wypadku. Megaklesowi chodziło o to, aby wyrocznia wyraźnie i często dawała do zrozumienia zasięgającym jej rady:

Pizystrat nie jest miły bogu, trzeba więc pomóc tym, którzy pragną przywrócić Atenom wolność.

Tymczasem jednak – miły czy niemiły bogu – Pizystrat rządził dobrze, tak samo jak poprzednio. Był wyrozumiały, zasad ustroju pozornie w niczym nie naruszał, okazywał szacunek prawu. Kiedy ktoś pozwał go przed sąd, stawiał się pokornie. Do rozprawy zresztą nie doszło, sam bowiem oskarżyciel przeraził się swej śmiałości. Przeciwników w kraju Pizystrat nie miał wielu. Najzaciętsi z nich zginęli w bitwie pod Pallene lub uciekli wraz z Alkmeonidami. Dla mas ludności Attyki najważniejsza była dbałość tyrana o sprawy gospodarki. Rozwijał budownictwo i żeglugę, nade wszystko zaś opiekował się rolnictwem. Majątki swych wrogów rozparcelował pomiędzy chłopów, którzy dotychczas uprawiali je jako dzierżawcy oddający szóstą część plonów. Założył też nowe gospodarstwa na ziemiach bezpańskich lub leżących odłogiem. Aby nie odrywać chłopów od zajęć przy roli, utworzył sądy objazdowe. Dokonał się więc w Attyce prawdziwy przewrót w stosunkach własnościowych, co silnie związało chłopów z nową władzą.

Również i niektórzy arystokraci usiłowali pogodzić się z tyranem. Kimon, brat owego Miltiadesa, który władał nad Chersoneszem, po bitwie pod Pallene przebywał na wygnaniu. Miał jednak szczęście: jego czwórka koni zwyciężyła w czasie igrzysk 62 Olimpiady (532 r. p.n.e.). Ta sama czwórka, rzecz niebywała, odniosła też zwycięstwo w Olimpiadzie następnej. Wówczas to zhańbił się Kimon nędznym pochlebstwem: kazał ogłosić, że te wspaniałe rumaki należą w istocie do Pizystrata, jemu więc przypada chwała i nagroda! Tyran natychmiast odwdzieczył się za to ustępstwo, które dało jego imieniu rozgłos wśród wszystkich Hellenów: zgodził się na powrót Kimona do Aten i oddał mu majątek.

Wkrótce potem Pizystrat zmarł. Władzę objęli jego synowie Hippiasz i Hipparch, ich bowiem brat przyrodni Tessalos niewiele znaczył. W tychże latach zeszedł ze świata wróg i teść Pizystrata, Megakles. Głową rodu Alkmeonidów stał się jego najstarszy syn, Klejstenes. Tak więc waśń rodów została przekazana drugiemu już pokoleniu.

Pizystratydzi starali się iść w ślady ojca. Rozumny i przezorny był zwłaszcza Hippiasz. Jego brat natomiast oddawał się tylko urokom życia. Uganiał za miłośkami, sprowadzał do Aten poetów i artystów, bawił się i ucztował.

W igrzyskach 64 Olimpiady (524 r. p.n.e.) konie Kimona znowu pierwsze przysły do mety! Wkrótce po powrocie do Aten zwycięzca został skrytobójczo zamordowany. Powszechnie utrzymywano, że stało się to z rozkazu Hippiasza. Przeraziła go, jak sądzono, zbyt słała Kimona. Istotnie: człowiek, którego trzykrotnie uwieńczyła w Olimpii bogini Nike, uchodził za ulubieńca nieśmiertelnych, był wyższy i sławniejszy od tyranów całego świata!

W jakiś czas potem Hippiasz bardzo łaskawie wyprawił na Chersonesz syna swej rzekomej ofiary, Miltiadesa młodszego. Powiadano w Atenach:

– Właśnie to dowodzi, że Hippiasz jest zabójcą. Pozbywa się teraz z miasta mściciela, a jednocześnie chce odwrócić od siebie podejrzenia – stąd ta łaskawość.

Ani wówczas, ani potem prawdy nikt nie doszedł. Co do Miltiadesa, to wyjechał on głównie dlatego, że jego brat Stesagoras poniósł śmierć na Chersonesie. Trzeba było utrzymać w rodzinie to władztwo, które utworzył niegdyś Miltiades Założyciel dzięki pomocy Pizystrata.

Dopiero po kilkunastu latach wydało się wygnańcom w Delfach, że nadeszła chwila obalenia tyranii. Dowiedzieli się, że Hipparch, wmieszany w jakąś miłosną awanturę, został zamordowany, Hippiasz zaś, by pomścić śmierć brata, rządzi surowo. Alkmeonidzi natychmiast

wyruszyli do Attyki ze swoją drużyną. Byli przekonani, że kiedy tylko pokażą się w ojczyźnie, lud powstanie przeciw ciemności. Założyli obóz w górskiej miejscowości Lejpsydrion. Zamiast jednak tłumów dołączyły do ich szeregów tylko drobne grupy wrogów Hippiasza. Większość mieszkańców Attyki przezornie wyczekiwała, kto będzie górą. Najemnicy tyrana wkrótce otoczyli Lejpsydrion. Alkmeonidzi przedarli się przez pierścień oblegających, stracili jednak wielu ludzi.

Klejstenes wyciągnął z tej bolesnej porażki taki wniosek: o własnych siłach wygnańcy nigdy nie zdołają wyrzucić tyranów! Aby jednak uzyskać rzeczywistą pomoc, trzeba by mieć ogromne pieniądze. Tymczasem ród rozporządzał tym tylko, co zdołano wywieźć uciekając w popłochu po bitwie pod Pallene. Co prawda, w ciągu lat owe zasoby powiększono, w Delfach bowiem łatwo było dokonywać korzystnych transakcji finansowych z całym światem helleńskim. Mimo to podstawa pieniężna dla prowadzenia wielkiej działalności była zbyt skromna.

Nadarzył się jednak Alkmeonidom doskonały interes. Przed dwudziestu pięciu laty spłonęła w Delfach świątynia Apollona. Rada opiekuńcza wyroczni postanowiła ją odbudować, i to w okazalszej postaci. Obliczono, że koszt wyniesie około trzystu talentów, co było sumą ogromną. Świątynia posiadała wprawdzie bogate dary państw i osób prywatnych, te jednak jako własność boga były nienaruszalne. Przeprowadzono zbiórkę w całej Helladzie i nawet poza jej granicami: nie odmówił ofiary na zbożne dzieło również i faraon Egiptu. W ten sposób zebrano po wielu latach czwartą część koniecznej sumy. Resztę miano pokryć w trakcie budowy ze skarbca świątyni i z wpłat państw-opiekunów. Właśnie wkrótce po klęsce Alkmeonidów pod Lejpsydrion rozpoczęto pierwsze prace budowlane. Ogólne kierownictwo nad nimi powierzono Klejstenesowi. Było to nie tylko zaszczytne wyróżnienie, lecz i stanowisko nader zyskowne. Dzięki niemu Alkmeonidzi mogli posługiwać się dla swych celów znacznymi kwotami wypłacanymi im zaliczkowo w miarę postępu robót. Klejstenes zresztą, człowiek energiczny i obrotny, wywiązywał się ze swego zadania dobrze. Fronton świątyni odbudował nawet okazalej, niż tego wymagała umowa: nie z wapienia, lecz z drogiego marmuru paryjskiego. Kapłani byli zadowoleni. Co prawda, krążyły też uporczywe pogłoski: rzeczywiste koszty robót są niższe od tych, które przedstawia Klejstenes radzie opiekuńczej w swych rachunkach; różnicą dzieli się z kapłanami. Sprawdzić tego nikt nie był w stanie. Było natomiast powszechnie wiadome, że obecnie, gdy tylko przybywał do wyroczni ktoś ze Sparty, stolicy Lacedemonu, nieodmiennie odjeżdżał z taką samą odpowiedzią Pytii: jest obowiązkiem Lacedemończyków, najpotężniejszego ludu Hellady, wyzwolić Ateny spod jarzma tyranów.

Od zamordowania Hipparcha i nieudanej wyprawy pod Lejpsydrion upłynęły już cztery lata. Wątpliwe, czy nawoływania delfickiej wieszczki same przez się skłoniłyby rząd lacedemoński do jakichkolwiek działań, gdyby nie pewne fałszywe posunięcie tyrana Aten. Wiedział on dobrze o radach Pytii dla Sparty, bo głośno o tym było we wszystkich krajach Hellady. Postanowił więc Hippiasz ostrzec Lacedemończyków przed próbą wtrącania się w wewnętrzne sprawy swego państwa. W tym celu nawiązał ostentacyjnie przyjazne stosunki z sąsiadem i odwiecznym wrogiem Lacedemonu – miastem Argos.

Odpowiedź Spartan była natychmiastowa. Wiosną roku 510 ich korpus wylądował w Zatoce Falerońskiej, niedaleko Aten. Jednakże tyran zdołał w porę ściągnąć posiłki od swych sojuszników aż z Tesalii. Wszystkie drzewa na rozległej równinie nadmorskiej były już wycięte. Świetna jazda tesalska mogła tu swobodnie rozwijać swe szyki. Spartanie zostali zaatakowani, nim zdołali się umocnić. Wielu z nich legło trupem na wybrzeżu, reszta zaś czym prędzej schroniła się na okręty i odpłynęła.

Lecz jeszcze tego samego roku wkroczyła do Attyki drogą lądową silna armia lacedemońska pod wodzą króla Kleomenesa. Wraz z nią szli wygnańcy. Wkrótce przyłączyli się do Spartan i Alkmeonidów wszyscy, którzy dość już mieli tyranii, a także przezornicy, uważający, że należy w porę znaleźć się po stronie silniejszego.

Hippiasza obleżono na Akropolu. Był dobrze zaopatrzony w żywność i wodę, zanosilo się więc na to, że znowu wyjdzie obronna ręką; Spartanie bowiem ani myśleli tracić czas pod niedostępną skałą i już gotowali się do odmarszu. Przypadkowo jednak schwytano synów Hippiasza. Mając takich zakładników można było stawiać twarde warunki. Hippiasz i jego brat musieli opuścić Attykę w ciągu pięciu dni, zabierając ze sobą tylko mienie ruchome. Wyjechali do Azji Mniejszej, w okolice Troi, gdzie ojciec ich posiadał osadę Sygejon; stali się więc poddanymi króla Persów, którego władza sięgała wówczas na zachodzie po Morze Egejskie, a nawet poza Hellespont, aż ku dolnemu biegowi Dunaju.

Tak zakończyła się w roku 510 tyrania rodu Pizystrata nad Atenami. Trwała ona, choć z pewnymi przerwami, prawie pół wieku.

USTAWY KLEJSTENESA

Syn Megaklesa chodził w sławie wyzwoliciela, miał jednak w odzyskanej ojczyźnie więcej wrogów niż przyjaciół; było bowiem wielu sprzyjających w cichości serca wygnanemu tyranowi. Poniektórzy zaś, w jeszcze większej skrytości, sami pragnęliby zająć miejsce Hippiasza. A prawie wszyscy niemal jawnie zazdrościli Klejstenesowi jego triumfu. Odżyła też niechęć starych rodów Równiny do Alkmeonidów. Szeptano:

Odszedł syn Pizystrata, a oto już mamy na karku nowego pana, potomka wyklętych!

Chłopi i rzemieślnicy zachowywali się biernie lub wręcz żalowali czasów tyranii, kiedy to wiodło im się nie najgorzej: pierwsi otrzymali ziemię, drudzy zaś mieli pracę i zarobek przy budowlach oraz dzięki rozwojowi żeglugi. Czegóż więcej mieliby się spodziewać po obecnej wolności, której groziło zresztą, że rychło wyrodi się w walkę możnych o władzę?

Przywódcą wszystkich wrogów Klejstenesa stał się Izagoras. Pochodził z rodziny arystokratycznej, miał więc za sobą rody od pokoleń zwalczające Alkmeonidów. Nie krył się też z sympatią, przynajmniej w słowach, do wygnanego Hippiasza, co znowu zjednywało mu poparcie jego stronników. Jak wielkie były wpływy Izagorasa, pokazało się już w trzecim roku po oswobodzeniu: właśnie jego wybrano głównym archontem! Było to stanowisko bardzo zaszczytne, bo archont ów był przez całą swoją roczną kadencję głową państwa. Dlatego też datowano w Atenach mówiąc: stało się to, kiedy archontem był ten a ten. Ale główny archont miał też znaczną władzę, przewodniczył bowiem kolegium archontów, złożonemu z dziewięciu osób; kierowało ono ogólnie wszystkimi sprawami państwa, a częściowo sprawowało też władzę sadowniczą.

Jeśli Klejstenes chciał się utrzymać jako polityk, musiał zdobyć poparcie mas. Syn Megaklesa pojął to szybko. Wystąpił przed zgromadzeniem ludowym z projektem zasadniczych reform ustrojowych; przyjęto je entuzjastycznie. Oczywiście, naiwnością byłoby przypuszczać, że idea tych reform zrodziła się nagle i tylko w głowie Klejstenesa. Na pewno różne podobne pomysły kielkowały już wcześniej; na pewno też niektóre nowe w Atenach prawa były tylko naśladownictwem urządzeń istniejących gdzie indziej od dawna. Nie trzeba też dowodzić, że lud ateński nie był bierną masą, która tylko czekała na czyjaś zbawczą, olśniewającą myśl, lecz w jakiś sposób dawał wyraz swym dążeniom. Z drugiej jednak strony jest faktem, że nowa konstytucja (bo tak wypada nazwać owe reformy) zawdzięczała swój ostateczny kształt jednemu tylko człowiekowi, właśnie Klejstenesowi; i jest też faktem, że walki polityków o władzę bardzo przyspieszyły jej i powstanie, i przyjęcie.

Można rzec bez przesady, że demokracja, władztwo ludu, zaczyna się w Atenach właśnie od Klejstenesa. Później niewiele już zmieniano w istocie tego ustroju; przydawano mu tylko rysy bardziej radykalne. Szacunek więc dla Klejstenesowych praw był w Atenach powszech-

ny; szczególną zaś czcią otaczano je w domu, w którym wzrastał Perykles: był przecież Klejstenes stryjem jego matki. Agarysty.

Autor musi przyznać, że przystępuje z pewnym wahaniem do zobrazowania istoty tych praw. Zdaje sobie bowiem sprawę, że większość czytelników i tak pominie ten rozdział jako zbyt drobiazgowy, uczeni zaś koledzy i tak będą utyskiwać: ileż tu opuszczeń, ile uproszczeń! Jednym i drugim autor pragnie przypomnieć, że chodzi tu tylko o fakty najważniejsze, konieczne dla zrozumienia, jak funkcjonował ustrój Aten za czasów Peryklesa.

Cała Attyka, łącznie z miastem, dzieliła się od Klejstenesa na ponad sto demów, czyli gmin. Te dbały głównie o sprawy lokalne, ale ich związek z ustrojem państwa był ścisły. Każdy bowiem obywatel ateński musiał należeć do którejś z gmin: owa przynależność była dziedziczna i nie związana z rzeczywistym miejscem zamieszkania. Tak więc Alkmeonidzi wpisani byli do gminy Alopeke, ojciec zaś Peryklesa, czyli i on sam, do gminy Cholagros; obie leżały tuż obok Aten.

Wpisanie na listę członków gminy następowało po ukończeniu przez chłopca lat osiemnastu i po stwierdzeniu przez świadków: dziecko pochodzi z małżeństwa prawnie zawartego i jest wolne. Sporządzając spisy po raz pierwszy uwzględniono też te osoby, które straciły obywatelstwo za rządów tyrana, oraz wyjątkowe te, które z różnych powodów w ogóle go nie posiadały dotychczas; ci nowi obywatele stali się bezwzględnie oddani Klejstenesowi. Nie należy jednak sądzić, że obywatelstwo uzyskali wówczas wszyscy mieszkańcy Attyki. Nie dano go, to oczywiste, niewolnikom. Nie dopuszczono też do obywatelstwa osiadłych tu cudzoziemców, tak zwanych metojków.

Ważniejsze jednak od demów były inne wprowadzone przez Klejstenesa instytucje. Od pradawnych czasów istniały w Attyce tak zwane file, czyli związki rodowe. Było ich cztery: miały pewne znaczenie ustrojowe, z nich to bowiem wywodziła się rada zwana bule. Liczyła ona czterystu członków, po stu z każdej fili; nadzorowała sprawy bieżące. Otóż Klejstenes pozostawił owe file rodowe, ostoję arystokracji, tylko jako związki religijne dla dokonywania ofiar ku czci wspólnych przodków. Ustanowił natomiast dziesięć fil terytorialnych, czyli po prostu dziesięć okręgów. Nie były to jednak okręgi zwarte, lecz częściami rozrzucone po całym kraju – i to tak, by w każdej fili znalazły się okolice będące dotąd podstawą stronnictw Równiny, Wybrzeża, Wyżyny; jednostkę utworzoną z tych trzech części nazywano trytią; w każdej fili było owych trytii trzy. Dzięki takiemu porządkowi stare przeciwieństwa polityczne musiały ulec zatarciu.

Rada, bule, składała się odtąd z pięciuset członków. Wylosowywano ich corocznie po pięćdziesięciu z każdej fili. W ciągu roku każda pięćdziesiątka kolejno sprawowała przewodnictwo rady; była wówczas stale czuwającym rządem państwa. Okres ten zwano prytańią, urzędujących zaś prytańiami. Trzecia ich część przebywała bez przerwy w budynku rady przy agorze, wszyscy zaś prytańowie nawet posiłki spożywali wspólnie. Co dzień losem wybierali spośród siebie przewodniczącego, który na ten krótki okres stawał się głową państwa: otrzymywał on pieczęć oraz klucze od świątyń, gdzie znajdowały się archiwa i skarbcie.

Posiedzenia całej rady odbywały się codziennie, z wyjątkiem świąt i dni nieszczęsnych. Przedmiot obrad wyznaczali prytańowie. Oni też zwoływali zgromadzenia ludowe i ogłaszali ich porządek dzienny. Miejszem tych zgromadzeń było zwykle wzgórze Pnyks, niewielkie wzniesienie na zachód od Akropolu. Mogło się tam pomieścić na amfiteatralnie ułożonych ławach drewnianych kilkanaście tysięcy ludzi. Mówcy przemawiali z kamiennej trybuny pod ścianą, przy której zasiadał też przewodniczący i prytańowie. Uczestniczyć w zgromadzeniu mógł każdy obywatel, który nie był skazany na niesławę. Nawet w szczytowym okresie nie było w Atenach więcej nad 40 000 obywateli, a tylko ich część przybywała na zgromadzenie; chłopom bowiem i rzemieślnikom trudno było oderwać się od pracy na cały dzień.

Obowiązywała zasada, że w każdej prytańii winno się odbyć przynajmniej jedno zgromadzenie ludowe; później w tym samym okresie było ich zwykle aż cztery. Bo też eklezja była

podstawową, a zarazem i najwyższą instancją ustrojową. Każdy obywatel miał tutaj jednakowe prawo bezpośredniego głosowania i przemawiania. Uprawnienia eklezji były w zasadzie nieograniczone. Ona wybierała urzędników i ona też mogła każdej chwili zdjąć ich ze stanowiska. Tutaj decydowano o wojnie i pokoju, ale rozpatrywano też, w pewnych wypadkach, nawet drobne sprawy sądowe. W praktyce obrady zgromadzenia ograniczały się zazwyczaj do punktów zaleconych i opracowanych uprzednio przez radę. Przyjął się jednak później taki porządek, że drugie zgromadzenie w każdej prytanii było w całości przeznaczone na osobiste wnioski obywateli – w kwestiach publicznych i prywatnych. Kto pragnął wówczas zabrać głos, składał gałązkę oliwną na ołtarzu i wchodził na mównicę. Natomiast zgromadzenie pierwsze, zawsze nazywane głównym, miało program obrad z góry i zwyczajowo określony. Najpierw głosowano przez podniesienie rąk nad tym, czy urzędnicy dobrze się wywiązują ze swych obowiązków. Potem omawiano sprawy zaopatrzenia w żywność, zwłaszcza zaś chodziło o zboże; uboga bowiem i nieurodzajna Attyka była od dawna już skazana na jego sprowadzanie. W trzeciej kolejności dyskutowano nad wszystkim, co się wiązało z obronnością kraju, następnie zaś przyjmowano skargi o zdradę stanu i załatwiano wnioski dotyczące majątków prywatnych. Przemawiać miał prawo każdy obywatel z wyjątkiem tych, którzy: źle traktowali swoich rodziców, uchylali się od służby w wojsku, stchórzyli na polu bitwy, roztrwonili odziedziczony majątek. Mówca wkładał na głowę wieniec mirtowy; oznaczało to, że w danej chwili służy państwu i jest nietykalny. Taki bowiem wieniec był poza tym oznaką tylko radnych, urzędników i kapłanów w czasie pełnienia przez nich czynności oficjalnych. Głos przemawiającemu mógł odebrać tylko przewodniczący eklezji.

Prócz dziesięciu fil i nowego porządku rady wprowadził Klejstenes do ustroju państwa jeszcze jeden, nie znany dotąd element – kolegium dziesięciu strategów. Było owych strategów dziesięciu, bo wybierani byli po jednemu z każdej fili. Jak wskazywała nazwa, mieli oni dowodzić wojskiem i czuwać nad jego sprawami. Jednakże ich uprawnienia stały się rychło znacznie szersze, bo przecież obronność kraju wiązała się bardzo ściśle zarówno z polityką zagraniczną, jak i całą gospodarką. We wszystkich tych dziedzinach strategowie musieli – i chcieli – mieć coś do powiedzenia. Byli urzędnikami wielce wpływowymi również i dlatego, że godność stratega można było piastować nieograniczoną ilość razy, i to rok po roku. Archontat natomiast, formalnie nadal stanowisko najwyższe, sprawowało się tylko jeden raz w życiu! Toteż każdy, kto pragnął rzeczywistej kariery politycznej, ubiegał się właśnie o urząd stratega.

Taka więc była owa Klejstenesowa demokracja, przez wielu uważana za zbyt śmiałą, w istocie jednak jakżeż ograniczona! I to nie tylko dlatego, że nie uczestniczyli w życiu politycznym niewolnicy i metojkowie. Również i obywatele ateńscy nie byli sobie równi, nie wszyscy mogli uchodzić za pełnoprawnych. Utrzymał bowiem Klejstenes podział wprowadzony przed stu prawie laty przez Solona. Były cztery klasy majątkowe w zależności od dochodów z majątku. Klasę pierwszą stanowili ci, których dochód wynosił przynajmniej 500 miar zboża, oliwy i wina łącznie lub odpowiednią ilość pieniędzy. Klasie drugiej wystarczało przynajmniej 300 miar, trzeciej zaś tylko 200. Wszyscy, którzy nie osiągnęli tego minimum majątkowego, należeli do klasy czwartej. Byli to tak zwani teci, ludzie żyjący przeważnie tylko z pracy własnych rąk. Wprawdzie mogli oni uczestniczyć w zgromadzeniu ludowym, mogli głosować i wybierać, im samym jednak nie wolno było piastować wyższych urzędów. Wobec tego nie wchodził też do rady zwanej Areopagiem, ta bowiem składała się tylko z byłych archontów. A kompetencje Areopagu, zwłaszcza w zakresie wymiaru sprawiedliwości, były bardzo szerokie. Owszem, teci mogli zasiadać w trybunałach ludowych jako sędziowie oraz wchodzić w skład rady pięciuset. Jednakże niewielu obywateli czwartej klasy korzystało z tego przywileju, bo posiedzenia trybunałów oraz rady były częste i długotrwałe. Człowiek pracy nie mógł rezygnować z zarobku dla samej przyjemności sędziowania i rajcowania.

Przedstawiciele warstw zamożnych uważali, że ich przywileje są usprawiedliwione. W razie bowiem wojny oni stanowili trzon wojska jako hoplici, czyli ciężkozbrojni piechurzy, jako że tylko ich stać było na zakup pełnej zbroi. Ubodzy albo w ogóle nie byli pociągani do służby wojskowej, albo też walczyli tylko jako łucznicy. A więc bogaci mieli prawo twierdzić:

– My składamy państwu daninę najcięższą, bo z krwi i życia. Nie odbieramy tetom głosu, lecz nie możemy dać im pełnego udziału w rządach.

Klejstenes podzielał takie stanowisko i właśnie dlatego nie naruszył w tym punkcie zasad Solona. Mieli to uczynić dopiero jego następcy, ale i to tylko pośrednio. Formalnie bowiem klas majątkowych nigdy nie zniesiono, w praktyce jednak odebrano temu podziałowi znaczenie i otworzono nawet najuboższym prawie nieograniczony dostęp do większości wyższych urzędów. Ukończył to dzieło Perykles; jego matka była brataną Klejstenesa. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności owa demokratyzacja ustroju szła w parze z tak wielkim wpływem Peryklesa na sprawy państwa, że głośno mówiono:

– W Atenach tylko z pozoru rządzi lud, naprawdę to jedynowładztwo!

SPIŻOWY RYDWAN NA AKROPOLU

Reformy Klejstenesa dopiero zaczęły wchodzić w życie, kiedy zjawił się w Atenach spartański herold głośno obwieszczając:

– Przypominam w imieniu Lacedemonu, że są tutaj ludzie skalani zbrodnią i przekłeci przez bogów. Wzywam więc, abyście spełnili swój obowiązek i wyrzucili precz tę zakałą waszego miasta!

Herold nie ukrywał, że zdąża za nim sam król Kleomenes z zastępem zbrojnych. A więc Spartanie, którzy tak niedawno pomogli Alkmeonidom wyrzucić tyranów, obecnie występowali przeciw nim otwarcie i brutalnie! Jak mogło dojść do takiej zmiany?

Kleomenes przybywał na wezwanie Izagorasa. Ludzie złośliwi, od których zawsze roiło się w Atenach, powiadali, że obaj ci mężowie pozostają w zażyłej przyjaźni po prostu dlatego, że królowi bardzo się spodobała piękna żona Izagorasa, ten zaś, w czasie pierwszego pobytu Kleomenesa w Atenach, okazał się nader wyrozumiały. W istocie jednak były poważne względy polityczne, które skłoniły Spartan do wtrącenia się w wewnętrzne sprawy Aten. Chodziło o to, że Izagoras był zwolennikiem oligarchii, czyli ustroju, który władzę dawał ludziom najmożniejszym. A Spartę można było również zaliczyć do państw oligarchicznych – z tym że ród i majątek szły tam zawsze w parze. Prawa polityczne przysługiwały tylko kilku tysiącom Spartiatów, do których należała ziemia i przypisani do niej półniewolni chłopci, heloci; nawet mieszkańcy miasteczek, tak zwani periojkowie, nie mieli żadnego udziału w rządach. Klejstenes natomiast, zdaniem Spartan, posunął się w swych zapędach reformatorskich zbyt daleko; równał dobrze urodzonych, zamożnych i pospólstwo w obrębie gmin; w Lacedemonie coś takiego byłoby wprost nie do pomyślenia.

Nim przybył król, Klejstenes przezornie uciekł z miasta. Kleomenes zajął Ateny bez jakiegokolwiek oporu i natychmiast zaczął wprowadzać swoje porządki. Wyrzucił z kraju siedemset rodzin, które były spokrewnione lub związane z Alkmeonidami. Bez żadnych osłonek dążył Kleomenes do wprowadzenia oligarchii i do oddania rządów Izagorasowi. Trybunał złożony z trzystu sędziów – przewodził im Miron z Flius – powtórnie obłożył Alkmeonidów klątwą.

Teraz dopiero okazało się w pełni, jak doniosłe, bo miłe ludowi, były reformy Klejstenesa. Niedawno ustanowiona rada pięciuset stanowczo odrzuciła roszczenia Spartan, ludność zaś wyległa na ulice w obronie swych władz. Izagoras i Kleomenes schronili się na Akropolu. Poddali się po trzech dniach oblężenia i odeszli z życiem. Klejstenes powrócił, aby doprowadzić zmiany ustrojowe do końca.

Jednakże Lacedemończycy nie mogli się pogodzić z takim obrotem rzeczy. Obecnie chodziło o ich powagę wobec całej Hellady. Wkroczyli więc do Attyki obaj królowie spartańscy, Demarat i Kleomenes; było bowiem w tym państwie pradawnym zwyczajem, że jednocześnie panowało dwóch królów z dwóch różnych rodów. Wiedli oni wojska spartańskie i sprzymierzonych państw. Doszli aż do Eleuzis, gdzie był święty okrąg bogini Demeter. Jednocześnie wojska Beotów zajęły dwa nadgraniczne powiaty Attyki, a mieszkańcy wyspy Eubei przepłynęli cieśninę i pustoszyli wschodnie wybrzeża. Tak więc wszyscy dobrzy sąsiedzi spieszyli, aby dokonać rozbioru kraju, którego niesforna ludność nie potrafiła, ich zdaniem, rządzić się sama.

Jednakże w obozie Spartan pod Eleuzis doszło do ostrego sporu. Odeszły najpierw oddziały korynckie, rzekomo dlatego, że uważały tę wojnę za niesprawiedliwą, naprawdę zaś z tej prostej przyczyny, że nie chciały przelewać krwi dla cudzej korzyści. Za nimi poszli inni sprzymierzeńcy Spartan. Wreszcie wybuchła kłótnia pomiędzy obu królami, którzy nienawidzili się już od dawna, i Lacedemończycy wycofali się z granic Attyki. Niesławny koniec wielkiej wyprawy miał przynajmniej ten skutek, że odtąd wprowadzono w Sparcie zasadę: tylko jeden król wyrusza z wojskiem w pole.

Ateńczycy natychmiast zwrócili się przeciw pozostałym wrogom. Najpierw rozgromili Beotów, biorąc siedmiuset ich ludzi do niewoli. Potem przeprawili się na wyspę Eubeję. Jeńcy z obu tych wypraw długo jęczeli w ateńskich lochach, skuci kajdanami. Wypuszczono ich dopiero po uzyskaniu wysokiego okupu: po dwie miny srebra od osoby. Kajdany zawieszono na Akropolu, u wejścia zaś na to wzgórze ustawiono spiżową rzeźbę: rydwan zaprzężony w cztery konie. Na podstawie posągu wyryty był napis tej treści:

„Ateńscy młodzieńcy ujarzmili w boju Beotów i Eubejczyków. Ich wrażą pychę skuły żelazne kajdany. A z dziesiątej części okupu te oto konie ofiarowano bogini Pallas Atenie.”³

Historykowi, który w pół wieku później pisał o tych wydarzeniach, nasunęły się takie refleksje:

„A więc Ateny stały się potęgą. Jest to jeden z licznych przykładów dowodzących, jak wielkie znaczenie mają swobody wewnętrzne. Bo przecież Ateńczycy, póki rządili nimi tyrani, całkiem nie byli w wojnie lepsi od swych sąsiadów. A oto, kiedy tylko zrzucili jarzmo, wysunęli się daleko przed nich! Stąd wniosek: gdy żyli w ucisku, jakby umyślnie czynili wszystko źle, bo przecież plon ich wysiłków i tak zagarniał władca. Natomiast kiedy stali się wolni, każdy starał się z całą gorliwością dać z siebie wszystko – dla siebie.”⁴

³ M.N. Tod, *Greek Historical Inscriptions*, Oxford 1951, vol. I, nr 12 (dzieło to cytowane jest dalej: Tod, GHI).

⁴ Herodot, *Dzieje*, V 78.

Rozdział drugi

OJCIEC PERYKLESA: UKOCHANY POETY, WRÓG MILTIADESA, POGROMCA PERSÓW

MARATON

Ojciec Peryklesa zwał się Ksantypus. Pochodził z rodziny zamożnej, która jednak niewiele znaczyła w Atenach. Poślubiając Agarystę, bratanicę Klejstenesa, Ksantypus związał się na zawsze z Alkmeonidami; szybko zrobił świetną karierę, później jednak musiał drogo zapłacić za dni blasku. I jego bowiem wciągnęła w swój wir niebezpieczna sprawa, w którą wdał się ród żony; przewodził mu po śmierci Klejstenesa właśnie brat Agarysty, Megakles.

Ksantypus miał z Agarystą dwóch synów. Starszy otrzymał imię Aryfron. Młodszym był Perykles. Urodził się on około roku 495; był więc maleńkim chłopcem, kiedy zaczęły się rozgrywać wypadki dziejowe, od których zależał los rodziny, Aten, Hellady.

We wrześniu roku 490 prawie 15 000 Persów stanęło na wschodnim wybrzeżu Attyki, na równinie pod Maratonem. Ateńczycy nie mogli wyprowadzić przeciw nim nawet tylu ludzi, choć uzbroili także co silniejszych niewolników. Spośród wszystkich państw Hellady pomoc przysłały tylko Plateje, miasteczko u granic Attyki i Beocji; ale mogło ono wystawić zaledwie kilkuset zbrojnych. Do Sparty, natychmiast po lądowaniu najeźdźcy pod Maratonem, wysłali Ateńczycy szybkobiegacza Filippidesa. Przysięgał on potem, że zdarzyła się mu w drodze rzecz taka:

Był już na Peloponezie, w bezludnej okolicy koło góry Partenion. Niespodziewanie ujrzał kogoś skaczącego po głazach zwinnie jak kozica. I rzeczywiście: ów człowiek zamiast nóg miał kozie kopytka, na głowie zaś dwa małe różki! Nie było wątpliwości: to Pan, bożek pastarzy, dziki mieszkaniec skał i górskich lasów. Krzyknął on donośnie:

– Ateńczyku! Zapytaj swoich, czemu o mnie nie dbają! Przecież jestem wam życzliwy. Pomagałem wam nieraz i jeszcze pomogę!

Potem zniknął wśród urwisk, Filippides zaś pospieszył dalej. Przybył do Sparty na drugi dzień po wyruszeniu z Aten, a dzieliło te dwa miasta około 1200 stadiów, czyli według miar naszych ponad 200 kilometrów!

Wprowadzony przed rządzącą Lacedemonem radę starszych wysłaniec przekazał ateńskie wezwanie:

– Persowie już zdobyli na wyspie Eubei miasto Eretrię. Teraz przeprawili się przez cieśninę i wysadzili swe wojska w naszym kraju pod Maratonem. Ateńczycy proszą was o pomoc. Nie pozwólcie, aby i to miasto, najstarszy gród Hellady, stało się łupem barbarzyńców!

Otrzymał odpowiedź:

– Obchodzimy obecnie wielkie święto ku czci Apollona, w czasie którego nie wolno nam wyruszać na wojenne wyprawy. Pomocy nie odmawiamy, wyjdziemy jednak wtedy dopiero, kiedy księżyc stanie w pełni.

Filippides pobiegł z powrotem do ojczyzny. Zastał swoich już pod Maratonem, stojących obozem naprzeciw najeźdźcy. Obwieścił im, że trzeba czekać na Spartan kilka jeszcze dni lub odważyć się na bitwę od razu, z przeciwnikiem liczniejszym i lepiej uzbrojonym.

Jazda perska była świetna, łucznicy wyborowi. Ale nade wszystko groźna była sława niezwyciężoności. Przed władcą Persów, królem Dariuszem, padały na twarz ludy od dolnego Dunaju w Europie aż po Indus daleko na wschodzie; od śnieżnych szczytów Armenii i Kaukazu po katarakty Nilu. Kto ośmielił się sprzeciwić jego woli, karany był bezwzględnie. Przed czterema laty Persowie zburzyli miasto Milet na wybrzeżach Azji Mniejszej, bliskie Atenom językiem i obyczajem, możne i bogate; jego ludność przesiedlili w głąb swego niezmiernego państwa. Srożyli się tak dlatego, że właśnie Milet przewodził powstaniu małoazjatyckich Hellenów przeciw perskiemu panowaniu. Przed kilkunastu zaledwie dniami ta sama armia, która później popłynęła pod Maraton, zdobyła Eretrię; jej ludność uprowadziła na okręty, aby wywieźć ją na wschód. Powód, dla którego gniew króla spadł na to małe miasto, odległe od jego granic, wolne dotąd i swobodne, był ten tylko: Eretryjczycy poważyli się okazać przyjaźń Miletowi i Hellenom w Azji, kiedy ci walczyli z Persami. Taką samą była „zbrodnia” Ateńczyków. I oni więc, w razie klęski, musieli się liczyć z karą surową. Strach zawisł nad miastem u stóp Akropolu i nad zastępem jego żołnierzy na maratońskiej równinie. A wiadomość, którą przyniósł Filippides, odebrała nadzieję zwycięstwa nawet śmiałkom.

Wczesnym rankiem ujrano, że na skalistej górze w głębi łądu ktoś co chwilę podnosi i opuszcza tarczę. Spizowy puklerz odbijał promienie wschodzącego słońca i słał je daleko ku równinie w dole i ku okrętom u brzegu. Tysiące oczu z obu wojsk wpatrywało się w migotliwy blask świetlnego punktu; w jednych sercach budził on lęk, w innych zaś radość i nadzieję.

Persowie stali obozem tuż przy wybrzeżu, mając za sobą okręty. Niektóre z nich natychmiast podniosły kotwice i wypłynęły na morze, kierując się na południe. Wodzowie perscy uśmiechali się, błysk bowiem tarczy mówił im:

– Już pora. Wszystko gotowe. Pospieszajcie!

Ateńczycy rozłożyli się na stokach wzgórza i na samej równinie, zagradzając wrogowi drogę w głąb łądu, ku sercu swego kraju. Spoglądając ku szczytowi góry trwożyli się, bo i dla nich jasne było znaczenie świetlnego sygnału; myśleli:

– A więc tam, za naszymi plecami, są zdrajcy. Co dzieje się teraz w mieście?

Lecz wódz ateński, Miltiades, był spokojny. Może nawet odczuwał radość. Oto kres wyczekiwania i wątpliwości! Nim słońce wzniesie się wyżej, musi zapaść rozstrzygnięcie. Teraz dopiero, o pierwszym brzasku, Miltiades otrzymał z obozu Persów poufną wiadomość: cała jazda załadowała się na okręty; te oczekują tylko na sygnał tarczą; odpłyną natychmiast, aby wysadzić jazdę po drugiej stronie półwyspu, w pobliżu Aten, i zaskoczyć miasto, w którym niewielu zostało obrońców; zdrajcy poczynili tam przygotowania i bramy staną otworem.

Miltiades rozumował tak:

– Dobrze, że jazda jest na okrętach. Dobrze nawet za cenę tego, co ów sygnał oznacza. Dopiero teraz można bezpiecznie wyjść przed rów i rozwinąć szyki na równinie. Bo jazda perska, gdyby była na miejscu, zmiotłaby naszych. Gdy tylko staniemy w szeregu, uderzymy na przeciwnika biegiem, nim jego łucznicy zdołają po raz drugi i trzeci wypuścić strzały z cięciw. Rozstrzygnie walka wręcz. Nie czas teraz i nie pora zastanawiać się, z czyjego rozkazu podniesiono tarczę, kto jest zdrajcą!

Wypadki potoczyły się tak, jak wódz przewidywał. Wprawdzie, kiedy już doszło do starcia, w środku szyku najeźdźcy byli górą: już przełamywali ateńskie szeregi, już spychali je do tyłu. Jednakże na obu skrzydłach Ateńczycy parli do przodu. Zagrożony okrążeniem główny korpus perski zaczął się wycofywać, co rychło zmieniło się w bezładną ucieczkę ku okrętom.

Ale właśnie okrętów nie udało się Ateńczykom ani zdobyć, ani też podpalić rzucanymi żagwiami. Z całej wielkiej floty nieprzyjacielskiej tylko siedem okrętów dostało się w ich ręce. Reszta podniosła kotwicę i szybko popłynęła za tą eskadrą, która już wcześniej, przed rozpoczęciem bitwy, odbiła od brzegu z jazdą na pokładach. Straty jednak w ludziach ponieśli Persowie bardzo dotkliwe. Legło na polu bitwy ponad 6000 ich żołnierzy, Ateńczyków natomiast tylko stu dziewięćdziesięciu dwu. Kiedy bowiem zwyciężeni uciekali w popłochu, odrzucając precz tarcze i oręż, stawali się zupełnie bezbronną ofiarą nacierających, którzy sycili do woli swą żądzę krwi.

Natychmiast po zwycięstwie biegacz Filippides ruszył do miasta – tym razem miał do pokonania niewiele ponad 40 kilometrów – by oznajmić radosną wieść. Tuż za nim spieszyła szybkim marszem cała armia. Ludzie byli śmiertelnie zmęczeni znojem bitwy, a skwar letniego popołudnia obezwładniał. Miltiades jednak nie zważał na nic, a słuszość jego rozkazu rozumiał każdy żołnierz.

Rankiem dnia następnego w Zatoce Falerońskiej pod Atenami pokazały się perskie okręty. Nie zbliżyły się jednak do brzegu. Ich załogi spostrzegły w porę, że na lądzie stoją gotowe do walki zastępy zbrojnych – te same, z którymi raz już zmierzono się pod Maratonem. Flota zarzuciła kotwice, ale po jakimś czasie, wobec bezcelowości czekania, podniosła je i popłynęła z powrotem na wschód, ku wybrzeżom Azji.

Tak więc Ateńczycy odparli zastępy najpotężniejszego monarchy ówczesnego świata. A dokonali tego sami, bez żadnej niemal pomocy z zewnątrz. Dwa tysiące Spartan przybyło do Attyki już dobrze po bitwie. Żołnierze lacedemońscy oglądali pole zmagania pod Maratonem, pochwalili dzieło i powrócili do siebie sławiąc miasto, które ocaliło wolność swoją i całej Hellady.

Poległym swym obywatelom usypali Ateńczycy na maratońskiej równinie wspólną mogiłę, wysoki kopiec, który przetrwał do dziś. Stały na tym grobowcu marmurowe tablice z wypisanymi nazwiskami zmarłych według podziału na file. Osobno pochowano Platejczyków i niewolników, przysypano też ziemią Persów. Z białego marmuru wzniesiono na polu bitwy symboliczny i zwyczajowy pomnik zwycięstwa zwany tropaion. Przedstawiał on zawieszoną na rusztowaniu zbroję nieprzyjaciela. Utrzymywała się przez całe wieki legenda, że każdej nocy dostrzec można na maratońskim błoniu cienie walczących, usłyszeć ich krzyki i rżenie koni. Kto jednak umyślnie przybywa, aby o tym się przekonać, dozna później jakiegoś nieszczęścia. Nie spotka natomiast nic złego, jeśli się było przypadkowym świadkiem bitwy zmarłych.

Corocznie, wypełniając ślub uczyniony przed bitwą, składano bogini Artemidzie ofiarę z kóz w dniu szóstym miesiąca boedromion. Corocznie też ku czci bożka Pana urządzano bieg z pochodniami do groty w ścianie Akropolu, gdzie miał on własną świątynkę. Opowiadaniu bowiem Filippidesa uwierzono i starano się, aby boski opiekun pastuchów i jurny postrach nimf nie miał już powodów do utyskiwania. Sam Miltiades kazał sporządzić na swój koszt posąg bożka dla ozdoby skalnego przybytku. Poeta Symonides upamiętnił to w krótkim epigramie:

„Mnie, Pana o kozich nogach, Arkadyjczyka, wroga Persów, przyjaciela Aten, ustawił tu Miltiades.”⁵

⁵ Symonides, *Epigramy* (nr 121, wyd. Hiller–Crusius).

MILTIADES

Imię Miltiadesa było wówczas na wszystkich ustach. A był to tenże Miltiades, który jeszcze za tyranii Hippiasza objął rządy nad Chersoneszem po swoim bracie Stesagorasie. Utworzył to księstwo Miltiades Założyciel, ten zaś Miltiades, jego bratanek, trzeci z kolei władca, utracił je na zawsze, choć był człowiekiem wielkiej energii. Naraził się jednak Persom, których wpływy obejmowały wówczas wszystkie ziemie sąsiednie, jak nikt spośród Hellenów. Stało się to, kiedy król Dariusz poprowadził wyprawę za Dunaj. Persowie zbudowali most na tej ogromnej rzece i szli na północ, aby rozgromić stepowe plemiona Scytów na ziemiach dzisiejszej Ukrainy. Straż nad mostem powierzono Hellenom, poddanym i sojusznikom perskim. Znalazł się wśród nich i Miltiades. Wkrótce zaczęły nadchodzić wieści, że z Persami źle: Scytowie cofają się niszcząc wszystko wokół, bitwy nie przyjmują; król musi wracać, choć niczego nie dokazał. Wówczas to wystąpił Miltiades z myślą śmiałą: należy most zniszczyć i w ten sposób skazać całą armię perską na zagładę. Większość jednak Hellenów stchórzyła. Miltiades musiał uciekać; na Chersoneszcie jeszcze się utrzymał przez lat kilkanaście, Persowie bowiem byli zajęci innymi sprawami swego ogromnego państwa.

Jednakże na trzy lata przed bitwą pod Maratonem, a więc w roku 493, przyszło Miltiadesowi pożegnać się ostatecznie ze swym księstwem, dziedzictwem Filajdów od trzech prawie pokoleń. Musiał odejść, wyprawił się bowiem w te okolice wódz króla Dariusza, wiodąc znaczną flotę. Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, załadował Miltiades na pięć okrętów i wypłynął na morze kierując się ku Atenom. Ale wokół Chersoneszu już krążyły okręty Fenicjan, którzy z nienawiści do Hellenów służyli Persom z całym oddaniem. W ich to ręce wpadł jeden okręt, na którym płynął syn Miltiadesa Metiochos. Odesłano go na dwór królewski. Dariusz postąpił wspaniałomyślnie z synem swego wroga: ożenił go z piękną Persjanką i bogato obdarował.

Sam jednak Miltiades oraz jego drugi syn Kimon zdołali przedostać się do kraju. Ale w ojczyźnie nie czekało ich radosne powitanie. Wkrótce po przybyciu oskarżono Miltiadesa o sprawowanie tyrańskich rządów na ziemi należącej do Aten. Sprawa była poważna; sąd mógł skazać pozwanego nawet na karę śmierci.

Oskarżycielem Miltiadesa był Ksantypos. Działał on oczywiście nie sam, lecz w porozumieniu z rodziną swej żony. Powód, który skłonił Alkmeonidów do wysunięcia tego oskarżenia, był przejrzysty: obawiali się, że powrót Miltiadesa zmieni układ sił w państwie na ich niekorzyść; oto bowiem zjawia się człowiek bogaty, wpływowy wśród arystokracji, potomek rodu wrogiego im od pokoleń.

Jednakże sędziowie uniewinnili Miltiadesa. Bo i rzeczywiście, przynależność Chersoneszu do Aten była co najmniej wątpliwa, zarówno prawnie, jak i faktycznie. Najbardziej jednak pomogło Miltiadesowi poparcie tych wpływowych osobistości – a było ich w Atenach wiele – którym niemiłe były nadmierne ambicje Alkmeonidów.

W trzy lata później, kiedy już wiadano, że zbliża się perska nawała, Miltiades piastował urząd jednego z dziesięciu strategów. Powierzono mu tę godność, bo nienawiść byłego władcy Chersoneszu do Persów znano powszechnie. Ceniono też jego wiedzę o perskim sposobie walki. Zwycięstwo pod Maratonem dowiodło, jak słuszny był ten wybór.

SPRAWA TARCZY

Maraton dał Miltiadesowi taki mir wśród mieszkańców Attyki, że obecnie to Alkmeonidzi musieli baczyć, aby nie paść ofiarą jego zemsty. Zresztą nie tylko to czyniło położenie rodu niebezpiecznym. Zewsząd wysuwano groźne zarzuty. Nikt bowiem w mieście nie zapomniał o tej tarczy, którą dawano wrogom znaki przed bitwą. Wołano:

– Są wśród nas ludzie skrycie sprzyjający Persom! Są tacy, którzy dla ratowania swych majątków gotowi byli wpuścić ich do miasta! Są tchórze, którzy chcieli przyjąć jako władcę Hippiasza, cośmy go wygnali przed dwudziestu laty!

Były to oskarżenia uzasadnione. Dawny tyran Aten, wówczas już starzec, istotnie znajdował się wśród najeźdźców. To on ich prowadził. On doradził im rozbić obóz pod Maratonem i on przez swoich zaufanych knował ze zdrajcami w mieście. Było oczywiste, że w razie zwycięstwa Persów otrzyma z ich ramienia władzę nad Atenami.

Jeńcy opowiadali o drobnej przykrości, która dotknęła starca na maratońskim wybrzeżu, i o znamienych jego słowach. Było to tak:

W nocy, nim okręt przybił do lądu, śniło się Hippiaszowi, że śpi ze swoją matką. Wywróżył sobie z tego snu, że powróci do Aten, odzyska panowanie, spocznie w ziemi, która dała mu życie. Rankiem wyszedł na brzeg i pomagał w wytyczaniu perskiego obozu. Nagle zaczął gwałtownie kaszleć. Zęby miał już bardzo słabe; jeden z nich wyleciał i wpadł w piasek. Starzec długo przesiewał ziemię wokół, lecz zguby nie znalazł. Westchnął wreszcie i rzekł do swoich:

– Ta ziemia nigdy nie będzie moja. Ząb, który w niej spoczął, spełnił już wszystko, co sen mi przeznaczył.

Kto jednak porozumiewał się z Hippiaszem? Kto przygotował zdradę w mieście? Powszechnie podejrzewano Alkmeonidów. Znajdowali się co prawda i tacy, którzy gwałtownie temu przeczyli:

– Jakżeż to? Przecież to właśnie Alkmeonidzi najbardziej przyczynili się do wygnania Hippiasza! To oni obalili tyranie!

Jednakże ludzie patrzący głębiej odpowiadali na to:

– Istotnie, Alkmeonidzi nie byli stronnikami tyranów. Zawsze jednak uważali za sprawę tylko taktyki, z kim w danej chwili się wiązać, aby zachować bogactwa i wpływy w państwie. Wystarczy przypomnieć, że Megakles, dziad tego Megaklesa, który obecnie przewodzi rodowi, wydał swoją córkę za Pizystrata i pomógł mu w odzyskaniu władzy tyrańskiej. A wiadomo też, że sam Klejstenes – ten, który obalił tyranie i dał władzę ludowi! – gotów był pertraktować nawet z Persami. Kiedy bowiem groził spartański najazd na Attykę, prosił Klejstenes perskiego satrapę Azji o pomoc wojskową. Satrapa zgodził się, zażądał jednak na znak poddaństwa ziemi i wody dla Dariusza. Posłowie Klejstenesa przystali na to. Tymczasem jednak odparliśmy Spartan i ich sojuszników własnymi siłami. Persowie nie byli już potrzebni. Cóż wówczas czyni Klejstenes? Oto oskarża posłów o przekroczenie uprawnień! Było to rzeczywiście zręczne wyjście. Prawdy jednak nikt nie zapomniał. Inni zaś dodawali:

– A jak było ostatnio, przed trzema laty? Kiedy tylko Miltiades przybył do Aten z Chersonezu, zawistni Alkmeonidzi zaczęli natychmiast knować przeciw niemu. Wszystko więc jest jasne. Groza perskiego najazdu odebrała Alkmeonidom rozeznanie. Uznali, że wolność jest już stracona i należy zawczasu zabiegać o laski nowych panów. To oni weszli w tajne porozumienie z Hippiaszem, to z ich rozkazu ktoś dawał Persom znaki tarczą!

Alkmeonidzi znaleźli się w opałach. I nie wiadomo, jaki obrót wzięłaby ich sprawa – mówiono o zbrodni, bo zbrodnią jest przecież zdrada kraju – gdyby nie cios niespodziewany, który obalił Miltiadesa w kilka miesięcy po jego świetnym zwycięstwie.

WYSPA PAROS

Wiosną roku 489 Miltiades wystąpił ze śmiałym planem: należy ukarać wszystkie te państewka, które w ostatniej wojnie zdradziły wspólną sprawę Hellenów i stanęły po perskiej stronie. Chodziło o małe wyspy na Morzu Egejskim, które leżały na szlaku floty perskiej płynącej ku Attyce. Jak wszyscy wiedzieli, opowiedziały się one za Persami z prostej konieczności

ści, były bowiem bezbronne, nikt zaś z Hellenów nawet by nie pomyślał o przyjściu im z pomocą. Cała Hellada, jak długa i szeroka, była wówczas przekonana najgłębiej, że klęska Aten jest nieuchronna.

Obecnie jednak dla zwycięzców ważny stał się fakt, że wyspiarze w krytycznej chwili przyjęli perskie zwierzchnictwo. Lud ateński pozostałby głuchy na wszelkie tłumaczenia; tych zresztą, rzecz oczywista, nie było. Miltiades gorąco zachęcał do szybkiego działania. Nie ukrywał, że chodzi nie tylko o pomstę, lecz również o wzbogacenie skarbu państwa łupami. Wystarczy sięgnąć po majątki wyspiarzy. Nikt z nich nie ośmielił się stanąć do walki!

Wkrótce 70 ateńskich okrętów wypłynęło pod wodzą Miltiadesa na morze. Początkowo wszystko układało się pomyślnie. Ale głównym celem wyprawy była wyspa Paros, słynąca z bogactw. Tu bowiem znajdowały się złoża sławnego marmuru, tutaj też, ze względu na położenie wyspy w dogodnym punkcie, zawijały okręty z różnych stron Morza Egejskiego. Kiedy Ateńczycy przybili do wybrzeży Paros, jej mieszkańcy natychmiast zamknęli się w murach miasta. Miltiades wysłał do nich herolda:

– Ustąpię z waszej wyspy za cenę stu talentów! Paryjczycy odpowiedzieli na to zdwojeniem wysiłków przy umacnianiu murów. Miltiades przystąpił do oblężenia, wyspę zaś rozkazał pustoszyć. Wycinano drzewa, tratowano winnice, burzono zabudowania. Ale po dwudziestu sześciu dniach tego niszczycielskiego dzieła ateńskie okręty niespodziewanie podniosły kotwice i popłynęły na zachód, skąd przybyły. Paryjczycy nie wierzyli własnym oczom.

Różnie mówiono o powodach tego nagłego ustąpienia z wyspy. Sami Ateńczycy tak to przedstawiali:

– Miasto musiałyby się poddać, choćby z głodu, bo otoczyliśmy je i od morza, i od lądu. Zresztą i mury kruszyliśmy nieźle. Wówczas to właśnie raniono Miltiadesa w kolano. Wszystko jednak szło dobrze, aż któregoś dnia ujrzelśmy dym podnoszący się daleko na nieboskłonie. Wielki ogień płonął na jakiejś wyspie. Byliśmy pewni, że to nadpływa flota perska z odsieczą oblężonym i daje im znak, by walczyli wytrwale. Nie było co zwlekać. Wypłynęlimy na morze. Pokazało się potem, że był to po prostu pożar lasu. Żadnych Persów w pobliżu nie było! Ale tymczasem rana Miltiadesa zaczęła się jadzić i nie był on już w stanie dowodzić. Tak więc wróciliśmy do Aten. Zupełnie inaczej brzmiała opowieść Paryjczyków:

– Ateńczycy opanowali naszą wyspę i zagarnęli wszystkich, którzy nie zdołali uciec do miasta. Wśród jeńców była również pewna kobieta imieniem Timo, kapłanka bogini Demeter. Jej świątynia stoi na wzgórzu poza miastem. Otóż owa Timo po kilkunastu dniach poprosiła o rozmowę z Miltiadesem. Powiedziała mu:

– Zdobędziesz miasto, jeśli sam udasz się do świątyni i dokonasz tam pewnego obrzędu!

i Miltiades zgodził się, choć dobrze wiedział, że dopuści się podwójnego świętokradztwa. Raz dlatego, że świętości każdego bóstwa, a zwłaszcza bogini podziemia, są nietykalne. Po drugie zaś, do tego przybytku nie wolno wchodzić nawet naszym mężczyznom, a cóż dopiero obcym! Wstęp mają tam tylko kobiety, i to w niektóre dni. Kiedy wódz wszedł na wzgórek, zastał furtkę ogrodzenia zamkniętą. Ale nie cofnął się. Przeskoczył murek i wszedł do środka. Wracał tak samo; upadł jednak i zranił się w nogę. Odtąd czuł się coraz gorzej. Rana nie goiła się w ogóle, a mury miasta stały bez wyłomów. Wreszcie, chory i zrozpaczony, nakazał odwrót. Byliśmy przekonani, że Timo dopuściła się zdrady. Nasi posłowie zapytali wyroczni Apollona w Delfach, jak mamy ukarać kapłankę. Bóg odpowiedział: Timo uczyniła, co należało, aby ziścił się los przeznaczony Miltiadesowi.

Tak opowiadali Paryjczycy; chcieli bowiem, aby cała Hellada widziała w ich wrogu świętokradcę, któremu pisana była zguba z woli bogów.

W Atenach panowało rozgoryczenie. Wódz naraził państwo, dopiero co opromienione chwałą zwycięstwa, na niesławną porażkę w starciu z pogardzanymi wyspiarzami; ośmieszył je i zubożył, skarb bowiem musiał pokryć wszystkie koszty wyprawy.

Ale klęska Miltiadesa była zbawieniem dla Alkmeonidów. Nikt już nie mówił o tarczy i zdradzie pod Maratonem, ważna była tylko sprawa Paros. Potężny ród natychmiast wyzyskał sposobność rozprawienia się z przeciwnikiem. Znowu wystąpił oskarżyciel Miltiadesa sprzed lat czterech – Ksantypus, mąż Agarysty. Tym razem pozwał wodza o wprowadzenie w błąd ateńskiego ludu; domagał się kary śmierci. Rozprawa, ze względu na swoją wagę, odbywała się przed całym zgromadzeniem ludowym. Miltiades nie mógł przemawiać osobiście, nie mógł nawet podnieść się o własnych siłach; zanieczyszczona rana spowodowała gangrenę. Wniesiono go przed zgromadzenie na łożku. Obrony podjęli się przyjaciele. Ale właściwie były to tylko błagania o litość i przypominanie zasług oskarżonego. Pewien skutek te jęklive próby odniosły. Lud wprawdzie uznał, że zwycięzca spod Maratonu ponosi odpowiedzialność za wydarzenia na Paros, skazał go jednak tylko na zapłacenie grzywny. Ale była to grzywna ogromna – 50 talentów!

Gangrena zabiła Miltiadesa wkrótce po rozprawie. Aby zożydzić oskarżycieli, stronnicy wielkiego wodza ogłosili później, że zgnął on w więzieniu, wtrącony tam bezlitośnie z powodu niezapłacenia grzywny.

OSTRACYZM

Megakles i Ksantypus rozumowali tak: skazanie Miltiadesa to klęska Filajdów i rodów, które niegdyś tworzyły stronnictwo Równiny. Dzięki temu Alkmeonidzi znowu wysuną się na pierwsze miejsce w państwie. Któż ośmieli się teraz poruszać sprawę tarczy i wspominać o znowie z Persami?

Mylili się bardzo. Co prawda, katastrofa Miltiadesa rzeczywiście osłabiła wpływy arystokracji, ale nie Alkmeonidom przyniosło to korzyść. Wydarzenia lat następnych pokazały to dowodnie.

Wiosną roku 487 zwrócono się do zgromadzenia ludowego z zapytaniem: Czy jest w naszym państwie ktoś podejrzany o zamysły tyrańskie? A jeśli tak, to czy nie byłoby użyteczne wskazać tę osobę imiennie? Każdy obywatel poda nazwisko człowieka, który, jego zdaniem, żywi zbytne ambicje; głosujących musi być przynajmniej 6000; na kogo padnie głosów najwięcej, ten opuści granice Attyki na lat dziesięć, nie tracąc jednak praw obywatelskich i majątku.

Możliwe, że ustawę takiej treści wprowadził przed laty już Klejstenes; ale teraz dopiero zastosowano ją w praktyce. Lud bowiem przyjął propozycję. Zarządzono głosowanie. Pisano na najtańszym i najpowszechniej dostępnym materiale, jakim były gliniane skorupki z rozbitych naczyń, zwane ostraka; stąd właśnie wywodzi się określenie tego swoistego sądu – ostracyzm.

Zapewne, takie usuwanie podejrzanych było urządzeniem dość dziwnym. Przecież ci nie mogli nawet się bronić! Ofiarą ostracyzmu mogli paść ludzie najbardziej oddani państwu, a których jedyną winą była właśnie zbyt duża popularność, co natychmiast rodziło zawiść. Strach przed tyranią trwał w masach ateńskiego ludu uporczywie, politycy bowiem usilnie podsycali tę psychozę, oskarżając się wzajem o tyrańskie zakusy. Ostracyzm był najskuteczniejszą bronią rozprawienia się z przeciwnikiem i nikt nie myślał o tym, że w zmienionej konfiguracji politycznej sam może stać się ofiarą sądu skorupkowego.

Naigrawano się często z owych lęków ateńskiego ludu. W przeszło pół wieku po pierwszym ostracyzmie Arystofanes tak sobie kpił w jednej ze swych komedii:

„Mierzikleon: Wszędy jeno wam tyrania, wszędy spiski marzą się, czy tam kogo kto o grubszą, czy o małą skarży rzecz: jam imienia jej nie słytał chyba już z pięćdziesiąt lat! [Myli się Mierzikleon: przez te pół wieku oskarżenia o tyranie powtarzały się niemal corocznie.] Dzisiaj – wszędy jej dostanie, od suszonych tańsza ryb, i po rynku z końca w koniec

tacza się to imię dziś. Gdy kupuje kto węgorza, śledzi zasię nie chce brać, 'rzecze zaraz ów, co śledzie na straganie swoim ma: – Człek ten, zda się, po zakupy z myślą o tyranii szedł... Gdy kto znowu do sardelek na dokładkę chciałby wziąć trochę pora, zieleniarka jednym okiem z boku łyp – i powiada: – Pora żadasz? O tyranii myślisz, co? Sądziysz, że dostarczać przypraw winien ci ateński gród?”

Rozmówca Mierzikleona, Ksantias, zaraz poparł jego uwagi:

„A to samo ja: do dziwkim zaszedł wczora. Mówię jej:

– No, pohipkaj ze mną trochę! A ta jak nie wpadnie w złość! Cóż to – pyta – Hippiaszową nam tyranię wskrzesić chcesz?”⁶

Wynik pierwszego w dziejach Aten ostracyzmu nie zaskoczył nikogo. Najczęściej powtarzało się imię pewnego starca – Hipparch. Było wprawdzie nader wątpliwe, czy kiedykolwiek myślał on o tyranii, istotnie jednak łączyło go powinowactwo z rodziną Pizystrata. Podejrzewano też, że w czasie najazdu perskiego potajemnie znosił się z wrogami.

Już w rok później, wiosną 486, powtórnie zwrócono się do ludu z takim samym zapytaniem. I znowu odbył się sąd skorupkowy. Tym razem cios spadł na Megaklesa. A w dwa lata później, również z wyroku ostracyzmu, poszedł na wygnanie jego szwagier i najbliższy współpracownik, Ksantypos. Zachowały się skorupki z ich nazwiskami, wyrzucone gdzieś w rumowiska. Napisy, wyskrobane rękoma wyraźnie niewprawnymi, są króciutkie: „Megakles Hippokratus Alopekethen” – „Megakles, syn Hippokratesa z Alopeke”; „Ksanthippos Aripheon” – „Ksantypos, syn Aryfrona”. Tyle wystarczyło w zupełności, wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

Kiedy Ksantypos opuszczał kraj i rodzinę, młodszy jego syn, Perykles, miał lat przynajmniej dziesięć. Chłopiec w tym wieku musiał już zdawać sobie sprawę, że stało się nieszczęście: ojciec i wuj ponieśli klęskę polityczną. Czy zastanawiał się wówczas Perykles, jak dziwnie układają się losy Alkmeonidów i ludzi z nimi związanych? Przed laty prawie pięćdziesięciu wygnał ich tyran Pizystrat. Przed laty dwudziestu pięciu oni wygnali jego syna Hippiasza. Obecnie ich samych wygania lud ateński pod zarzutem dążenia do tyranii i knoń z tymże Hippiaszem!

Tak więc w ciągu kilku zaledwie lat zeszedł ze sceny nie tylko Miltiades, lecz i jego wrogonie. Nie było to dziełem przypadku, nie było też przejawem jakiejś żywiołowej niechęci mas do jednostek wybijających się ponad przeciętność (choć taką niechęć i stwarzano, i wyzyskiwano). Tą wielką kampanią polityczną kierował z ukrycia jeden tylko człowiek, działający bezwzględnie i przemyślnie. Kiedy było trzeba, sprzymierzył się z Alkmeonidami i zniszczył wodza arystokracji, zwycięzcę spod Maratonu. Potem zaatakował Hipparcha. Gdyby nawet Alkmeonidzi chcieli, Hipparcha bronić by nie mogli, w opinii bowiem ludu był on jawnym zwolennikiem dawnej tyranii. A kiedy Megakles i Ksantypos pozostali sami na widowni politycznej Aten, uderzono w nich bezpośrednio. Znowu przypomniano ową tarczę, której błysk widziało pod Maratonem tyle oczu. Jakżeż się dziwić, że tysiące głosujących wypisywało na skorupkach imię Megaklesa, potem zaś i Ksantyposa?

Szły za tym człowiekiem masy, bo potrafił zdobyć ich zaufanie. To on przecież był autorem doniosłej ustawy z roku 486, która postanawiała:

Archontów nie będzie się już wybierać jak dotychczas. Corocznie wyznaczać się będzie pięćuset kandydatów, i to nie tylko spośród najbogatszych, lecz i średnio zamożnych; los wskaże tych dziewięciu, którzy dostąpią najwyższej godności.

Jednakże godność, którą uzyskuje się właściwie z łaski przypadku, traci na znaczeniu. Dotychczas obsadzały kolegium archontów tylko możliwe rody; obecnie dopuszczono do urzę-

⁶ Arystofanes, *Osy*, w. 532—547 (przekład S. Srebrnego, jw.).

du szersze warstwy i odebrano mu sporo blasku. Znaczenia natomiast przybyło temu urzędowi, do którego nadal dochodziło się tylko drogą wyboru, a więc urzędowi strategów.

Zawistni i poszkodowani, nie śmiejąc atakować tak wpływowego polityka wprost, dawali upust swej niechęci szerząc złośliwe o nim plotki. Pomawiano go przede wszystkim o ambicję wręcz chorobliwą. Zmyślano nawet powody, dla których miała ona wybijać tak pięknie. Oto ów nowy przywódca ludu, choć po ojcu należał do starego rodu Likomidów, nie był Ateńczykiem czystej krwi; jego matka nie była ponoć nawet Hellenką; odczuł więc boleśnie, że jako dorastający chłopiec nie uczęszczał do któregoś z gimnazjonów miejskich, lecz ćwiczył właśnie w tym na Kynosarges, za murami, gdzie przyjmowano „dzieci z małżeństw mieszanych. Wówczas to właśnie, zdaniem wielu, zrodziła się w nim żądza wzbicia się ponad na j świetniejsze rody Aten. Inni zaś, jeszcze złośliwiej, dodawali, że to po prostu szpetota oblicza każe mu szukać zadośćuczynienia w urokach władzy. Wszystkie te jednak obmowy były płaskie i naiwne. Bo nawet najzaciętsi wrogowie musieli przyznać, że ów polityk to umysł świetny i mówca znakomity.

Nowy przywódca ateńskiego ludu był prawie rówieśnikiem Ksantyposa. Zwał się

TEMISTOKLES

Wygnanym Alkmeonidom nie powodziło się źle. Mieli przyjaciół w wielu miastach, dochody zaś z majątków płynęły nadal. Użalano się jednak nad ich losem i potępiano niewdzięczność Ateńczyków. Kiedy podczas igrzysk w Delfach zwyciężyły konie Megaklesa, poeta Pindar, sławny piewca sportowych sukcesów wielkich panów, ułożył odę tej treści:

„Wspaniałe Ateny – oto od czego zacząć należy, głosząc zwycięstwo rumaków możnego rodu Alkmeonidów. Jakież bowiem inny kraj i jaki dom wymienić, którego imię otoczone byłoby większym w Helladzie blaskiem? We wszystkich miastach głośno o Ateńczykach, co tak pięknie zbudowali Apollonową świątynię. Wiem też, Megaklesie, że Ty i Twój ród odnieśliście pięć zwycięstw istmijskich, jedno olimpijskie, dwa pytyjskie. Cieszy mnie wasze nowe powodzenie, boli jednak bardzo, że zawiść niszczy szlachetne dzieło. Wszelako powiadają tak: jeśli szczęście jest istotnie trwałe i kwitnące, musi podlegać pewnym odmianom”.⁷

Ostatnie słowa miały pocieszyć Alkmeonidów: dni teraz smutne, to prawda, lecz to w niczym nie naruszy najgłębszego nurtu przeznaczonego wam szczęścia, który znowu dobędzie się z mroku na światło. Na razie jednak takiego zwrotu nic nie zapowiadało. Wygnańcy pilnie nasłuchiwali, co dzieje się w Atenach, stamtąd jednak nieodmiennie nadchodziły wieści: Temistokles umacnia swe wpływy.

Ten człowiek istotnie dokazywał cudów. Potrafił nawet i to sprawić, że chciwy choćby marnego obola lud ateński wspaniałomyślnie zrezygnował z rozdzielania pewnych pieniędzy pomiędzy obywateli i przeznaczył je na cele ogólnopaństwowe. Chodziło o pieniądze wpływające do skarbu z niedawno odkrytych nowych złóż srebra w Laurion. Ponieważ były to dochody nadzwyczajne, powstał początkowo projekt, aby każdy obywatel – jako współwłaściciel kopalń – otrzymywał z nich pewną kwotę. Temistokles sprzeciwił się temu i przypomniał:

– Od lat prowadzimy wojnę z Eginą. Mała to wysepka i leży tak blisko! Widać ją świetnie z każdego niemal wzgórza Attyki. A mimo to nie potrafimy się z nią uporać. Wojna żarzy się i wlecze, przyczynia nam wiele szkód, sprawia, że stajemy się pośmiewiskiem sąsiadów. Dlaczego tak się dzieje? Nie mamy silnej floty wojennej – oto cały powód. Bo przecież pod względem liczby ludności i zasobności kraju przewyższamy małą Eginę wielokrotnie. Cóż z

⁷ Pindar, *Ody pytyjskie*, VII.

tego, kiedy na morzu jesteśmy słabsi! Wnoszę więc, aby dochody z Laurion w całości przeznaczyć na budowę okrętów wojennych.

Nienawiść do sąsiadów, rywali w handlu morskim, okazała się silniejsza niż wrodzona Ateńczykom miłość pieniądza. W stoczniach Pireusu dzień w dzień huczały siekiery i młoty, a cierpki zapach smoły, którą uszczelniano belki, ciężką ławą zalegał wybrzeże. W ciągu dwóch lat Ateny stały się największą potęgą morską w całej Helladzie. Miały przynajmniej dwieście trójrzędowców.

Sam port w Pireusie zawdzięczał swe powstanie również Temistoklesowi. Zaczęto bowiem budować go jeszcze na trzy lata przed bitwą maratońską, w roku 493, kiedy to właśnie Temistokles był archontem. Aż do tego czasu okręty korzystały tylko z przystani w Zatoce Faleronńskiej.

Od miasta dzieliło ją, według miar naszych, zaledwie pięć kilometrów. Była to jednak zatoka całkowicie otwarta, a więc narażona zarówno na wichury i fale, jak też nagle ataki wroga. Pireus graniczy z Faleronem od zachodu. Droga doń z Aten jest nieco dalsza, to prawda. Co gorsze, w owych czasach tamtejsza równina przybrzeżna była trudnym do przebycia, słonym bagniskiem. Z tych to właśnie przyczyn przez całe wieki nie użytkowano Pireusu jako przystani, choć skądinąd warunki posiadał świetne: trzy półwyspy – Munichia, Akte, Etionea – o bogatej linii brzegowej i górzyste tworzyły tam trzy głębokie, zamknięte baseny. Dopiero archont Temistokles zdołał przekonać zgromadzenie ludowe, że zagrażająca wojna wymaga utworzenia takiego portu, który by mógł służyć miastu w każdych okolicznościach. Najazd perski przerwał prace w Pireusie, obecnie jednak przystąpiono do nich z większym jeszcze rozmachem.

Temistokles stał się bożyszczem ludzi, którym dał zajęcie i poczucie własnej wartości. Rzecz oczywista, miał również wielu przeciwników. Niektórzy z nich krytykowali jego program zbrojeń na morzu, uważając, że w każdej wojnie i tak zdecydować muszą siły lądowe. Tego zdania był i Arystydes, dotychczas sprzyjający Temistoklesowi. Doczekał się usunięcia z Aten wyrokiem sądu skorupkowego w roku 482, choć oskarżanie go o zamysły tyrańskie brzmiało wręcz śmiesznie, był to bowiem człowiek nieposzlakowanie prawy i skromny.

Rozumiano w Atenach powszechnie, że to nie wojna z maleńką Eginą skłania Temistoklesa do tak gwałtownej rozbudowy floty. Było oczywiste, że właściwym powodem zbrojeń jest groźba nowego najazdu perskiego. Po Maratonie nastąpiła dłuższa przerwa dlatego, że w roku 486 zmarł król Dariusz. Jego syn i następca Kserkses musiał wpierw umocnić się na tronie. Wkrótce jednak potem zaczęły napływać do Hellady groźne wieści ze wschodu:

Kserkses ściąga ogromne wojska ze wszystkich krain swej monarchii. Gromadzą się one w Azji Mniejszej. Tak nieprzejrzanym zastępów oko ludzkie nigdy jeszcze nie oglądało. Okręty Fenicjan i tych Hellenów, którzy podlegają berłu króla królów, są już w portach małoazjatyckich. Wiadoma jest trasa marszu wielkiej armii: wytyczono ją wzdłuż północnych wybrzeży Morza Egejskiego. Ma być zbudowany most na Hellesponcie oraz przekopany kanał u nasady półwyspu Atos. Persowie wkroczą do Hellady przejściem u stóp Olimpu, siedziby bogów. Gniew króla królów grozi nade wszystko Atenom i Sparcie. Wszyscy inni natomiast, jeśli tylko w porę ukorzą się i przyjmą poddaństwo, mogą żyć w spokoju!

Strach poraził wielu ludzi i wiele krain Hellady. Niektóre państwa jawnie ofiarowały królowi Persów ziemię i wodę, inne układały się z nim skrycie. Nawet bóg Apollon zdawał się sprzyjać najeźdźcy. Odpowiedź, którą jego wieszczka w Delfach dała posłom ateńskim, zaczynała się od słów:

– Nieszczęśni, po co siedzicie tu jeszcze? Uciekajcie na krańce świata! Zostawcie domy, zostawcie wyniosłe warownie kolistego miasta!

– i kreśliła ponury obraz całkowitego zniszczenia, pożaru świątyń, trwogi bożych posągów, krwi spływającej z najwyższych stropów. Kończyła się wezwaniem:

– Wyjdźcie z tego przybytku, przygotujcie swe serca na nieszczęścia!

Jednakże posłowie nie chcieli wracać do ojczyzny z przepowiednią tak żalobną. Weszli powtórnie do świątyni, niosąc gałązki oliwne. Rzekli:

– Panie, nie odejdziemy z tego miejsca, póki nie dowiemy się czegoś pomyślniejszego o losie naszego miasta. Pozostaniemy tu jako błagalnicy – choćby do śmierci.

Bóg ustąpił. Przez usta Pytli przemówił po raz drugi. I ta przepowiednia nie była zbyt krzepiąca, ale przynajmniej można było rozmaicie tłumaczyć pewne jej słowa. Te przede wszystkim:

– Tylko drewniane mury nie zostaną zburzone, one ocalą ciebie i twe dzieci. Musisz jednak uciekać i tyły podać, nim zastępy jezdnych i pieszych nadciągną od lądu. Boska Salaminie, przyprawisz ty o zgubę potomstwo niewiast, w porze siewu lub zniw!

W Atenach długo roztrząsano tę niejasną wypowiedź. Rozumiano ją różnie. Jedni dowodzili, że wyrocznia wyraźnie wskazuje drogę ratunku: wsiadać na okręty i uciekać precz z kraju, nim wróg wejdzie w jego granice. Temistokles natomiast upierał się, że przepowiednia zwiastuje bitwę okrętów – cóż bowiem innego może oznaczać ów „mur drewniany” oraz zwycięstwo u wybrzeży Salaminie; przecież gdyby Ateńczycy mieli tam ponieść klęskę, bóg na pewno nie użyłby określenia „boska”!

Zgromadzenie ludowe podjęło uchwałę: będziemy walczyć.

W czterdzieści lat później dzieje zmagania Hellenów i Persów opisywał Herodot. Znał osobiście tysiące ludzi, którzy brali w nich udział, wiedział o niemal wszystkich szczegółach. Z drugiej jednak strony patrzył na tamte dni i wydarzenia z pewnej perspektywy. Mógł dobrze odróżnić rzeczy ważne od przypadkowych i mało znaczących. Otóż jego ocena doniosłości ateńskiej decyzji jest taka:

„W tej sprawie muszę z konieczności wyrazić swój pogląd, choć większość przyjmie go z niechęcią. Nie będę jednak przemilczał tego, co wydaje mi się prawdą. Gdyby Ateńczycy, przerażeni niebezpieczeństwem, opuścili swój kraj albo też poddali się Kserksesowi, nikt z Hellenów nawet by nie próbował walczyć z królem na morzu. A jeśli by nikt nie stawiał oporu na morzu, to bieg rzeczy na lądzie nieuchronnie byłby następujący. Lacedemończycy znaleźliby się w osamotnieniu. Nic by nie pomogło wzniesienie na Istmie nawet kilku murów obronnych, skoro sprzymierzeńcy musieliby je porzucić, kolejno atakowani przez perską flotę. Czegóż zaś dokonać mogliby – sami Lacedemończycy? Tego tylko: wspaniale walcząc zginęliby z chwałą. Taki więc byłby ich los – albo też doszliby do jakiegoś porozumienia z Kserksesem. Tak czy owak Hellada dostałaby się pod panowanie Persów. W żaden więc sposób nie mogę pojąć, jaki byłby pożytek z murów, gdyby król był panem morza. Toteż nie minie się z prawdą, kto powie, że to Ateńczycy ocalili Helladę!”⁸

Taki był sąd Herodota. Istmos Koryncki jest wąskim przesmykiem łączącym Peloponez z Helladą Środkową. Ma zaledwie sześć kilometrów szerokości. Z punktu widzenia tylko wojkowego obrona w tym właśnie miejscu miałaby swoje uzasadnienie. Byłaby jednak już z góry klęską polityczną, Persowie bowiem opanowaliby bez walki większą część Hellady. Dlatego to Herodot z takim oburzeniem piętnował ów pomysł, który zresztą powstał dopiero w toku działań wojennych. Nie było jeszcze o nim mowy, kiedy jesienią roku 481 zebrali się przedstawiciele państw helleńskich, aby utworzyć związek dla wspólnej walki z najeźdźcą. Zebrali się właśnie na Istmie, w świętym okręgu Posejdona. Bóg wodnych przestworów czuwał stąd nad dwiema Zatokami, Saronką od wschodu i Koryncką od zachodu. Obok świątyni znajdował się stadion otoczony lasem sosnowym. Co drugą wiosnę ściągają tu tłumy, aby oglądać pradawne i wielce poważane igrzyska istmijskie, ustanowione ponoć przez legendarnego króla Aten, Tezeusza; dlatego, choć ziemia ta należała do Koryntyjczyków, Ateńczycy mieli tu szczególne przywileje.

⁸ Herodot, *Dzieje*, VII 139.

Garstka wysłanników z trzydziestu państw obradowała w tym miejscu, świętym i sławnym, nad ocaleniem wspólnej wolności. Stawili się delegaci Sparty, Aten, Koryntu, Eginy, Sykionu, Megary, Chalkis, Eretrii, Platej oraz wielu innych, nawet i całkiem małych państw. Brakło jednak pełnomocników krain możnych i ludnych. Nie przybył nikt z Teb, Argos, Tesalii, Krety. Nie przysłały swoich przedstawicieli bogate miasta helleńskie Italii i Sycylii. Nie było więc zgody i jedności. Już to samo mogłoby posiać strach i zwątpienie wśród zebranych. Oni jednak działali z twardą stanowczością. Postanowili, że będą walczyć ramię przy ramieniu, na bok odkładając wszelkie między sobą waśnie i spory. Dowództwo sił na lądzie i na morzu oddali w ręce Lacedemończyków.

WYCHOWANIE ATEŃSKIE

Perykles miał wówczas lat około piętnastu. Oczywiście, chłopców w tym wieku do służby wojskowej nie pociągano. Zaczynała się ona dopiero od osiemnastego roku życia, a i to przez dwa pierwsze lata „efebowie” trzymali tylko straż wewnątrz kraju, nie biorąc udziału w żadnych wyprawach poza jego granice. Tak więc, choć w mieście mówiono tylko o wojnie, Perykles i jego rówieśnicy oddawać się musieli zwykłym zajęciom: nauce muzyki i poezji oraz ćwiczeniom sportowym, na tym bowiem polegało wychowanie chłopców z domów zamożnych. Szkoły były tylko prywatne. Wybrany przez rodziców niewolnik czuwał nad sprawowaniem się chłopca i przy nauce, i w czasie zabawy. Nosił ów niewolnik nazwę „pedagog”, uprawnienia zaś miał szerokie. Skórę mógł łoć swemu podopiecznemu według uznania. To samo zresztą czynili nauczyciele. Uważali bowiem Hellenowie, że przyszły pan musi najpierw sam nauczyć się słuchać.

Już w pół wieku później kształcenie młodzieży było nieco swobodniejsze, chłopcy zaś, jak twierdzono, stali się rozwydrzeni. Chwalcy przeszłości z tęsknotą wspominali wówczas ową „archaja pajdeja”, starożytne wychowanie, które formowało młodzież w poprzednim pokoleniu, w czasach wojen perskich, kiedy to dorastał i Perykles. Oto jak Prawy Argument, postać komedii Arystofanesa *Chmury*, słaui obyczajność i sprawowanie się dawnej młodzieży:

„Powiem, jaka za mych czasów kwitła reguła surowa, gdym moresu młodych uczył i w karności zacnej chował. Milczeć – to młodzieży udział. Więc w milczeniu przez ulice strojne chłopców szły oddziały, aby kształcić się w muzyce. Dzielnicami szli – a nago, choćby walił śnieg z obłoków. Siadywali obyczajnie, rozchylając uda w kroku. I uczyli się Palladę lub Aresa–Mężobójcę hymnem wielbić uroczystym, jak wielbili niegdyś ojca. Niechby głos z młodzieńców który modulować się ośmielił, jak to dziś, gdy weszło w modę wywodzenie dźwięcznych treli, w skórę dostałby, że święte lamie muzyki zasady. Na gimnastyce zaś, robiąc różne siady i przysiady, kucacć musiał tak, by widzom nic zdrożnego nie ukazać. Kiedy wstawał, ślad na piasku zatrzeć musiał i zamazać, by pośladeków swych odciskiem nie przywabić wielbicieli. Nikt z młodzianków się namaścić niżej pępka nie ośmielił: puch podbrzusza im obrastał, jaki bywa na brzoskwini. By lubieżny wzrok przyciągnąć, żaden słodkich min nie czynił, nie krygował się, nie mizdrzył ani wiercił też kuperkiem. Poczęstować się przy stole chrzanem, rzodkwią czy koperkiem nie śmiał żaden przed starszymi – nie jak dziś, gdy przy biesiadzie młódź łasuje i chichoce, i na nogę nogę kładzie”.

Przerwał mu Argument Nieprawy:

„Wszystko to – starzyzną trąci”.

Prawy odparował:

„Ale zbrojni w tę starzyzną byli, co pod Maratonem dali życie za ojczyznę. A wykonać tanciec z tarczą niech któremu dziś wypadnie, tarczę ledwie dźwignąć umie i zatacza się bezradnie. Otom jest Argument Prawy, który nauk ci udzieli, jak oddawać starszym miejsce, uszanować rodzicieli; jak się płonić, kiedy szydzą, gdy zawstydzą – jak się wstydzicć; po agorze się

nie włóczyć, ciepłych łaźni nienawidzić; przystojności jak przestrzegać, jak unikać czynów, które imię twe zaszargać mogą albo wplątać w awanturę (taką choćby: do burdelu nocą się dobijasz, krewki, wtem cię jabłkiem – dajmy na to – trafia celna dłoń kurewki); jak się ojcu nie przeciwic, nie przezywać starym prykiem, jak mu lat nie wypominać, lat, gdy byłeś jeszcze nikim. Nie bądź jak dzisiejsza młodzież, co handryczy się na rynku, kotki na łbie sobie ciosa, dziurę sobie wierci w brzuchu. Idź na stadion, idź do lasku, słońca zażyj tam i ruchu! Tam, we wieńcu z trzciny białej, będziesz w gronie towarzyszy biec aleją oliwkową, kiedy wszystko wiosną dyszy, powój rośnie, a z topoli ulatują małe kotki, kiedy wiązów i jesionów poszum się rozlega słodki.”⁹

Oczywiście, Prawy Argument nieco przesadził. Konflikt pokoleń powtarzał się i powtarza, jak dzieje długie, z monotonną regularnością. Leży bowiem u podstaw tego zjawiska zarówno idealizowanie dni, kiedy samemu było się pięknym i młodym, jak i naturalna niechęć odchodzących ku tym, którzy zajmą ich miejsca. Z drugiej jednak strony niekiedy dokonuje się w życiu społecznym i w systemie kształcenia zmiana tak szybka i gwałtowna, że różnica między sposobem bycia dwóch pokoleń występuje rażąco, a nie zawsze na korzyść generacji młodszej. Tak właśnie było w Atenach, kiedy po rówieśnikach Peryklesa doszła do głosu młodzież wychowana w innych, niewątpliwie lepszych warunkach, a rzeczywiście obarczona wielu jaskrawymi wadami.

Nie miał też Prawy Argument pełnej racji przedstawiając, jak to chłopcy dorastający w czasach wojen perskich błogo i zdrowo tylko uganiaли po łąkach i gajach. Już bowiem i wtedy, w poprzednim pokoleniu, trzeba było dobrze ślęczyć nad nauką nudną i trudną.

Tajniki pisania i czytania chłopiec poznawał gryzmołąc rylcem po tabliczkach powleczo-nych woskiem. Nie było. żadnych elementarzy i książek pomocniczych, za to jednak uczeń od najmłodszych lat i od samego początku zaznajamiał się z wielką poezją. Były to zarazem, dzięki objaśnieniom nauczyciela, lekcje religii i mitologii, historii i geografii, etyki i polityki. Miejsce naczelne zajmował oczywiście Homer, ale czytano też Hezjoda, Teognisa, Solona; to czytanie było właściwie śpiewnym i wielokrotnym powtarzaniem wierszy za nauczycielem, który recytował je ze swojego egzemplarza – książki bowiem były rzadkie i drogie. Hezjod pisał o początkach bóstw, a także, w innym poemacie, o pracach i niedolach ubogiego chłopca, uciskanego przez wielkich panów. Teognis z Megary uczył, jak powinien postępować arystokrata, zionął zaś nienawiścią do pospólstwa, bo ono to odebrało mu majątek i wyгнаło go z ojczyzny. Najbliższy jednak sercu młodych Ateńczyków był Solon, wielki prawodawca ich państwa. Usprawiedliwiał on i omawiał poetyckim językiem wprowadzone przez siebie prawa ustrojowe, a zarazem ostrzegał przyszłe pokolenia:

„Nasze miasto nigdy nie zginie z wyroku Zeusa lub z woli bóstw szczęśliwych, nieśmiertelnych. Strzeże go bowiem dłonią opiekuńczą wielkoduszna Pallas Atena, córka potężnego ojca. Pragnę zgubić to wspaniałe miasto sami jego obywatele, w szale swej głupoty. Jedni z nich wierzą tylko w bogactwa, drudzy zaś, przywódcy ludu, niesprawiedliwość mają w sercu. Toteż pycha i przemoc zgotują im wielkie cierpienia! Nie umieją bowiem zapanować nad niesytym pragnieniem i cieszyć się spokojem życia oraz weselem biesiad”.

Do szczęścia bowiem, pouczał Solon w innym utworze, to tylko wystarcza:

„Miłe dzieci, szybkie konie, dobre psy myśliwskie, zacny gość przy stole”.

Bo przecież, wywodził poeta gdzie indziej:

„Jednakowo bogaty jest ten, kto posiada stopy srebra i złota, pszeniczne łany, stada koni i mułów – jak i ten, kto ma tyle tylko, żeby nie cierpieć głodu i chłodu, oraz chłopca lub dziewczynę; bo i to jest przydatne. Oto jest całe ludzkie bogactwo! Co zaś ponad to – i tak nie pójdzie za nami do grobu. Nikt też nie wykupi się od śmierci, choroby, nieszczęsnej starości”.

⁹ Arystofanes, *Chmury*, w. 961—1008 (przekład A. Sandauera, Warszawa 1964).

Był więc Solon pesymistą, jak wszyscy zresztą Hellenowie. Powtarzali oni często i z przekonaniem:
– Kogo bogowie miłują, umiera młodo. Co najlepszego może spotkać człowieka? Nie urodzić się wcale; a jeśli już to się stało – odejść jak najprędzej.

Solon godził się w pełni z tą smutną oceną wartości życia, mówił bowiem wprost:

„Żaden człowiek nie jest prawdziwie szczęśliwy. Wszyscy, śmiertelni, jesteśmy godni pożałowania, ilu nas widzi słońce z wysoka.”¹⁰

Ale właśnie dlatego, że na dnię ich serc zawsze leżała gorycz, radowali się Hellenowie aż do upojenia urokami ziemskiego bytu. Nie wolno niczego odkładać, każdą rozkosz trzeba wycisnąć do ostatniej kropli. Wnet bowiem przyjdzie śmierć lub gorsza od niej starość posepna, która odbiera szczęście i wdzięk. Gorzki żal za straconą młodością ogarnia wówczas duszę i nic już nie cieszy jej naprawdę. Człowiek staje się postrachem dla dzieci, uragowiskiem dla kobiet.

Żalił się współczesny Solonowi poeta:

„I cóż to za życie, i cóż to za rozkosz bez złościstej Afrodyty? Niech śmierć mnie zabierze, kiedy utraci dla mnie swój czar miłość tajemna, i słodkie dary Cyprydy, i łożę – owe najpiękniejsze kwiaty młodości w życiu kobiet i mężczyzn.”¹¹

Solon jednak nie zgadzał się z tym poetą, który jako ostateczny kres życia wyznaczał lat 60, i radził mu raczej takie wyrazić życzenie:

„Niech wyrok śmierci dosięgnie mnie, gdy lat mieć będę osiemdziesiąt”.

Było to zrozumiałe, bo Solon miał głębsze pasje i szersze zainteresowania niż ów poeta, który służył tylko Afrodycie. Umysł zaś nie wędnie tak szybko, jak ciało. Starzec lepiej oszczędza i prowadzi sprawy polityki niż zuchwały młodzik, a właśnie one zajmowały Solona nade wszystko, im też głównie poświęcał swoje poetyckie utwory. Chłopcy ateńscy poznawali w szkole wiele utworów, w których poeta i prawodawca sprzed wieku potępiał zaślepienie stronnictw walczących o władzę i ostrzegał przed jedynowładztwem:

„Ludowi część dałem taką, jaka winna mu wystarczyć. Znaczenia ani mu nie odjąłem, ani nie przyznałem nad miarę. Ludziom zaś możliwym i bogatym przykazałem, aby strzegli się tego, co niegodne. Stanałem w pośrodku, osłaniając szeroką tarczą i jednych, i drugich. Nie dopuściłem, by któraś ze stron zwyciężyła niesprawiedliwie.

Nawałnica śniegu i gradu rodzi się z chmury, grom zaś z jasnej błyskawicy. Wielcy mężowie powodują upadek państwa, lud zaś dostaje się pod władzę jednostki przez swoją głupotę. Jeśli bowiem wyniesie się kogoś zbyt wysoko, nie tak łatwo ściągnąć go potem w dół. Zawsze więc należy myśleć o wszystkim.

Niejeden mówi tak: Solon nie patrzy głęboko, człowiek to niemądry. Bóstwo dało mu piękną sposobność, ale on z niej nie skorzystał. Zwierza osaczał z uciechą, ale sieci nie zamknął. Ach, gdyby tak zostać samemu tyranem w Atenach – choćby na jeden tylko dzień! Bogactwa zebrać by można niezmiernie. A potem niechby i skórę żywcem zdierali, niechby cały ród wyginął!

Ja zaś wcale się nie wstydzę, że oszczędziłem ojczyznę i nie ująłem w swe ręce twardej władzy tyrańskiej. Nie skalałem swej dobrej sławy i sądzę, że właśnie w tym przewyższyłem wszystkich ludzi”¹².

¹⁰ Solon, *Elegie*, frg. 3, 13, 14 (wyd. E. Diehl).

¹¹ Mimnermus, *Elegie*, frg. 1 (wyd. E. Diehl).

¹² Soton, *Elegie*, frg. 22; 5; 10; 23 (wyd. jw.).

Takie poglądy wpajano młodym Ateńczykom w szkołach. Jednakże szlachetne rady mędrca sprzed wieku niewiele widać pomagały, bo nieokiełznane ambicje polityczne bujnie strzelały ku górze w każdym kolejno pokoleniu.

Uczono jednak nie tylko dawnej, wzniosłej poezji. Co najmniej tyleż czasu co recytowanie epepei i elegii zajmowała chłopcom nauka gry na kitarze oraz śpiewu. Prawdziwie bowiem wykształcony Hellen musiał znać się na muzyce nie tylko biernie. Bez tej umiejętności uchodziliby za człowieka nie wychowanego i nie na poziomie. W czasie każdej uczty nieodmiennie padało wezwanie: A teraz śpiewamy po kolei! Kto nie umiał improwizować, musiał przynajmniej przypomnieć którąś ze znanych piosenek. Jedna z najbardziej ulubionych mówiła o tym, jakie są szczęsne rzeczy w życiu śmiertelnego człowieka. I wyliczała kolejno: najpierw zdrowie, potem uroda, dalej pieniążz ucziwie zdobyty, a wreszcie – zabawa wśród przyjaciół.

Gimnastykę uprawiano bardzo wszechstronnie. Służyły temu celowi osobne zakłady, palestry, których kierownicy zwali się pajdotribes. Natomiast dorastający młodzieńcy ćwiczyli już półwojskowo w gimnazjonach. Te duże budynki z obszernymi dziedzińcami były utrzymywane przez państwo, które opłacało też nauczycieli. Chętnie zaglądali do gimnazjonów także ludzie starsi, aby zobaczyć, jak się sprawuje młodsze pokolenie. Widzowie czasem sami próbowali swych sił na piasku boiska, ale najchętniej rozmawiali tutaj ze znajomymi o polityce i o wszelkich nowinkach. Chłopcy przysłuchiwali się. Było to dla nich pierwsze wtajemniczenie w sprawę państwa.

Gimnazjonów było w Atenach kilka. Do którego z nich uczęszczał Perykles? Zapewne do tego, które leżało na wzgórzu Likabettos, za miastem. Jego patronem był Apollon Likejos, stąd zwano je „Likejon”; później powstała tam szkoła filozoficzna Arystotelesa i ona to rozsławiła nazwę „liceum” po całej Europie.

Zaledwie jednak rozpoczął Perykles ćwiczenia w cieniu platanów Likejonu, rozpętała się zawierucha, która wyrzuciła chłopców daleko poza mury szkół.

CZTEREJ OBROŃCY HELLADY

Spośród Hellenów czterech nade wszystko zdobyło wieczną sławę w walce z najeźdźcą.

Leonidas, król Sparty, bronił w sierpniu roku 480 przejścia przez Termopile. Nie wycofał się, gdy przyszła wieść, że wróg go okrąża. Pozostał z garstką ludzi, dochowując posłuszeństwa prawom ojczyzny do końca. Osaczeni zewsząd Spartanie walczyli, kiedy nie stało mieczy i włóczni, zębami i gołymi rękoma. Zginęli wszyscy.

Po zdobyciu Termopil Persowie zalali Beocję i zbliżali się do Attyki. Choć wielu straciło nadzieję, Temistokles niezłomnie podtrzymywał wolę walki. Za jego to głównie sprawą postanowiono, że cała ludność opuści miasto i kraj. Kobiety i dzieci przewieziono na wyspy i na Peloponez, mężczyźni zaś obsadzili okręty.

Flota helleńska doznała już porażki w starciu z Persami u północnego cypla Eubei. Teraz zbierała się w cieśninie pomiędzy Attyką a wysepką Salaminą. Był już koniec września, dni słoneczne i przejrzyste. Gęsty słup dymu, który wznosił się nad Attyką, widać było z daleka: to płonęły zajęte przez Persów Ateny. Samego Akropolu broniła przez kilka dni garstka starców. Wejścia zatarasowali oni belkami, wierząc, że to jest ów mur z drzewa, o którym mówiła wyrocznia. Persowie wdarli się od strony północnej, gdzie straż była słaba, bo skała opadała tam stromo. Widząc wroga na górze wielu obrońców rzuciło się w przepaść. Inni szukali ratunku w świątyni Ateny. Ale Persowie wymordowali wszystkich i puścili cały Akropol z dymem. Zabobonny Kserkses rozkazał nazajutrz złożyć bogom ofiary. Uczynić to mieli

stronnicy dawnych tyranów, towarzyszący Persom. Gdy weszli na wzgórze, ujrzeli, że święta oliwka Ateny, spalona dnia poprzedniego, już wypuściła pęd świeży i mocny.

We flocie helleńskiej pod Salaminą widok kłębow dymu wywołał popłoch. Rada dowódców postanowiła wycofać się ku Istmowi i tam próbować oporu: wąski przesmyk zamknie się murem, flota zaś będzie bronić wybrzeży.

Na nic się zdały wywody i prośby Temistoklesa:

– Tylko tu, w cieśninie pod Salaminą, nasze okręty mają szansę sprostania dwukrotnie silniejszej flocie perskiej! Jeśli stąd odpłyniemy, Persowie zajmą Salaminę i Eginę, gdzie są nasze kobiety i dzieci!

Posunął się nawet do groźby:

– Mamy dwieście trójrzędowców. Załadujemy na nie wszystko, co nasze, i odpłyniemy daleko na zachód, pozostawiając was na łasce Persów. Cóż bowiem poczniecie, skoro wszyscy łącznie okrętów macie mniej niż my – zaledwie 180?

Spotkał się ze wzgardliwą odpowiedzią przedstawiciela Koryntu:

– Ludzie bez ojczyzny nie powinni tu w ogóle zabierać głosu!

Kłótnie i spory trwały długo. Spartanie, po wielu wahaniach przychyliłi się ostatecznie do zdania większości, że trzeba wycofać się spod Salaminy. Wówczas to właśnie Temistoklesa wywołano z zebrania. Wyszedł i zdumiał się.

Stał przed nim Arystydes! To prawda, że na wniosek samego Temistoklesa niedawno, w obliczu perskiej grozy, pozwolono wrócić do kraju wszystkim wygnańcom politycznym. Jednakże dawnych uraz z pamięci przeciwników to nie wymazało. Ale pierwszy odsunął tamte sprawy na bok sam skrzywdzony, Arystydes. Powiedział:

– Nie czas teraz na waśnie między nami. Obaj jesteśmy Ateńczykami i jeden tylko winien być przedmiot naszego sporu: jak najlepiej służyć ojczyźnie. Otóż powiadam ci: tamci mogą sobie, ile chcą, rozprawiać, że odpłyną spod Salaminy. Nie odpłyną. Mój okręt dopiero co przybył z Eginy i stwierdzam, com widział na własne oczy: jesteśmy wokół otoczeni przez Persów.

Temistokles odrzekł:

– Jestem ci wdzięczny, to dobra wiadomość. Ale ja muszę też coś ci wyjaśnić: Persowie obstawili cieśninę idąc za moją radą! Skoro bowiem Hellenowie nie chcieli tu walczyć, ja ich do tego zmusiłem. Powiadomiłem Kserksesa przez zaufanego niewolnika, że flota nasza ma stąd wypłynąć i wymknie mu się z ręki. Doradziłem mu po przyjacielsku, aby natychmiast zamknął wyjścia z cieśniny: będzie miał Hellenów jak w worku. Cieszę się, że dał się przekonać. Wejdz teraz i sam oznajmij to wodzom. Bo jeśli ja im powiem, zaczną wołać, że zmyślam, że to podstęp. Zresztą to już wszystko jedno. Tak czy tak są w pułapce.

Bitwa rozpoczęła się o brzasku dnia następnego. 380 okrętów helleńskich miało przeciw sobie prawie siedemset perskich. Przypatrywał się zmaganiom sam król Kserkses siedząc na przybrzeżnym wzgórzu Attyki. Gdy widział któregoś ze swoich sprawującego się dzielnie, zapytywał, kto on zacz, przybocznicy zaś zapisywali jego nazwisko, imię ojca i miasto rodzinne. Tak więc wielu poddanych walczyło dobrze, jedni w nadziei nagrody, inni z obawy przed gniewem władcy. Mimo to nie sprostali odwadze Hellenów. Stracili połowę okrętów – zdobytych, zdruzgotanych lub zatopionych przez przeciwnika. Reszta wycofała się. Wkrótce po bitwie wyjechał do Persji sam Kserkses. Pozostawił jednak w Helladzie ogromną armię lądową. Wojna nie była jeszcze zakończona!

Dopiero latem roku następnego, 479, pokonał tę armię w bitwie pod Platejami regent lacedemoński Pauzaniusz, wódz zjednoczonych sił helleńskich. Dlatego to on właśnie zapisał się jako trzeci wśród mężów najbardziej zasłużonych dla obrony wolności.

Czwartym był Ksantypas, ojciec Peryklesa. Powrócił on do kraju, tak samo jak Arystydes, na mocy amnestii, którą ateńskie zgromadzenie ludowe uchwaliło tuż przed perską inwazją. Walczył pod Salaminą. W rok potem wybrano go jednym ze strategów. Otrzymał dowództwo

eskadry, która wespół z okrętami innych państw miała ścigać Persów na morzu. Naczelnym dowódcą floty był wprawdzie Spartanin, w istocie jednak najbardziej liczonego się z Ksantyposem, bo przecież Ateny wystawiły najwięcej okrętów. Otóż latem roku 479, i to w tym samym dniu, w którym Pausaniasz rozgromił Persów pod Platejami, Ksantypos zniszczył trzysta perskich okrętów; stały one, wyciągnięte na ląd, na przylądku Mykale, który wybiega z wybrzeży Azji Mniejszej ku wyspie Samos. Z tą chwilą flota perska przestała być groźbą na Morzu Egejskim. Panami morza stali się Hellenowie.

Popłynęli teraz ku cieśninom wiodącym do Morza Czarnego. Mieli nadzieję, że zdążą jeszcze zawładnąć owym mostem, który Kserkses kazał rozpiąć nad Hellespontem. Ale most został już zerwany. Spartanie zawrócili wówczas do ojczyzny, Ksantypos zaś wysadził swoich ludzi na Chersonesie – na tym samym półwyspie, gdzie jeszcze przed piętnastu laty władał Miltiades. Zaczął oblegać główne miasto tamtejsze, Sestos. Schroniło się za jego murami wielu Persów. Był wśród nich także wysoki dostojnik, satrapa Artajktes. Obleżenie przedłużało się. Nastąpiła jesień i potem zima, niosąc deszcze i chłody. Ateńczycy burzyli się. Chcieli już wracać do ojczyzny. Ksantypos sprzeciwiał się twardo:

– Odejdę stąd dopiero po zdobyciu miasta albo na wyraźny rozkaz z Aten!

Tymczasem w Sestos srożył się głód. Ludzie żywili się już nawet wywarem ze skórzanych taśm od łóżek. Wreszcie którejś nocy Persowie chyłkiem spuścili się z murów i uciekli. Mieszkańcy – a byli to przeważnie Hellenowie – natychmiast otworzyli bramy oblegającym. Dopadnięto zbiegów niedaleko od miasta. Po krótkiej walce schwytano ich i zakuto w kajdany. Artajktes chciał się wykupić, dając 200 talentów za siebie i za syna, prócz tego zaś 100 talentów ofiarowywał przybytkowi, który poprzednio obrabował i zbezczeszczył.

Była bowiem na samym prawie cyplu Chersonesu miejscowość Elajus. Czczono tam grób, w którym spoczywał – ponoć – Protezylaos, bohater z czasów wojny trojańskiej. Wokół rósł święty gaj, gdzie w ciągu wieków pobożni pielgrzymi złożyli wiele drogocennych darów. Artajktes za zezwoleniem króla zajął cały ten okręg jako swoją własność prywatną. Wywiózł skarby, gaj wykarczował i zamienił w pole uprawne, w samej zaś świątyni wesoło zabawiał się z kobietami.

Ksantypos nie przystał na okup. Wydał natomiast satrapę mieszkańcom Elajus, aby ci ukarali go za bezbożne czyny. Wyprowadzono Artajktesa na wybrzeże i przybito do krzyża w pobliżu miejsca, gdzie niegdyś znajdował się przyczółek perskiego mostu. Umierający musiał patrzeć, jak syn ginie męczeńską śmiercią, kamienowany przez mściwy tłum.

Te więc były wielkie czyny Ksantyposa: uwolnił morze od Persów; zdobył Sestos i Chersones, dawne władztwo Miltiadesa, otwierając pierwszą bramę na drodze do Morza Czarnego; przywiózł do Aten wiele bogactw oraz znalezione w Sestos liny od mostu Kserksesa. Uznając te zasługi ateńskie zgromadzenie ludowe zezwoliło w wiele lat później, już po śmierci Ksantyposa, by Perykles ustawił posąg swego ojca na Akropolu, w pobliżu najczcigodniejszych świątyń i pamiątek miasta. Rzeźbił ten posąg Fidiasz, przyjaciel Peryklesa.

Ten sam twórca, także z polecenia i na koszt Peryklesa, wykonał inny posąg, który stanął tuż obok statui wielkiego wodza. Przedstawiał on poetę Anakreonta, piewcę wina i lekkich miłostek, jako starszego już człowieka, trzymającego w ręku kitarę, jakby upojonego boskim nektarem. Bo właśnie takim, starcem niemal, pamiętano go w Atenach. Przybył na dwór tyranów, Hipparcha i Hippiasza, mając już dobrze po pięćdziesiątce. Wiek mu doskwierał i dumiał czasem smętnie:

„Skróń mi siwieje, minął wdzięk młodości, zęby mam starcze. Słodkiego życia niewiele mi już zostało. Toteż płacę często, ze strachu przed światem zmarłych. Straszna jest ta przepaść Hadesu, bolesna tam droga. A kto raz zejdzie w dół, nie wydobędzie się już w górę!”¹³

¹³ Anakreont, *Pieśni*, frg. 44 (wyd. E. Diehl).

Mimo tych chwil przygnębienia żył Anakreont w Atenach dobrze i wesoło – póki nie zamordowano Hipparcha. W cztery lata później Hippiasz musiał uciekać z Aten, wygnany przez Spartan i Alkmeonidów. Wówczas i Anakreont opuścił to miasto. Przeniósł się do Tesalii, tam bowiem jeszcze byli wielcy panowie, umiejący się bawić.

Można by się dziwić, skąd posąg motyla dworskiego blasku na dostojnym Akropolu, skąd przyjaciel tyranów u boku Ksantyposa. Miało to swoje uzasadnienie, choć dość niezwykle. Oto w czasie pobytu w Atenach starzejący się Anakreont wielce sobie upodobał pewnego młodego człowieka. Musiał ów efeb niemało mieć urody i wdzięku, skoro zwrócił na siebie uwagę tak znakomitego znawcy! Wybrańcem poety był właśnie Ksantypus. Jeszcze nawet mu się nie marzył związek z Alkmeonidami. Ci siedzieli wówczas jako wygnańcy w Delfach, wciąż knując plany obalenia tyranii. A młodemu Ksantyposowi właśnie imponowało, że sam ulubieniec panów Aten, ozdoba ich dworu, sławny poeta, darzy go tak ciepłą sympatią.

Kiedy upadła tyrania, Ksantypus wnet związał się z tymi, którzy ją obalili. Poślubił Agarystę, bratanicę Klejstenesa. Nie był jednak człowiekiem niewdzięcznym. Zachował w miłej pamięci młodzieńczą przyjaźń z poetą, którego imię stało się tymczasem symbolem radości życia. Nikt już ani nie myślał o tym, że Anakreont żył niegdyś z laski tyranów. Natomiast wszyscy znali jego pieśni o miłości, śpiewie i winie. Zasłużył więc poeta, by jego posąg stanął na Akropolu, gdzie mieszkał, gdy wznosił się tam dom synów Pizystrata. A miejsce obok posągu Ksantyposa wyznaczył sam Perykles, pamiętając z opowiadań ojca, że on, pogromca Persów, był niegdyś przedmiotem westchnień poety – i wielce się tym szczycił.

Rozdział trzeci

TEMISTOKLES I KIMON

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO PERYKLESA

Protezylaos, książę tesalskiej Filaki, pojął za żonę Laodamię. Lecz tylko jeden dzień trwało ich szczęście. Jeszcze w czasie uczty weselnej przyszło naglące wezwanie od króla Agamemnona: flota już wypływa! Protezylaos musiał natychmiast stawić się ze swoją drużyną, aby wziąć udział w wyprawie na Troję. Odprawiając w pośpiechu obrządek zaślubin, przeplatany łzami i bólem pożegnań, młodzi zapomnieli o złożeniu należytnej ofiary bogini Afrodycie. A pani miłości była mściwa.

Wkrótce przyszła do Filaki wieść żałobna: kiedy okręty przybijały do wybrzeży Azji pod Troją, Protezylaos pierwszy zeskoczył na ląd i pierwszy też splamił krwią żółty piasek; dosięgła go, niosąc śmierć, włócznia Hektora.

Laodamia odmawiała wiary tym wieściom, choć wielu przysięgało, że na własne oczy widziało grób Protezylaosa w Elajus na Chersonezie. Tam bowiem, na ziemi Europy, nie w Azji, pochowali go towarzysze. Młoda kobieta żyła w oczekiwaniu na powrót męża, głucha na słowa ojca, który już zamyślał oddać ją komuś innemu. Zwyciężyła nadzieja i miłość: pewnego dnia Protezylaos stanął w drzwiach domu, żywy i cały, tak samo piękny i młodzieńczy jak wówczas, kiedy się żegnali. Wśród uścisków, łez i pocałunków, wśród radości i pytań chwile mijały szybko. Aż wreszcie padły słowa Protezylaosa:

– Teraz powiem ci prawdę. Wracam ze świata zmarłych. Bogowie podziemia ulitowali się nad naszym małżeństwem nie spełnionym, nad wierną miłością i cierpieniem. Przywrócili mi ciało, krew i ciepło życia, pozwolili przyjść tutaj, lecz tylko na czas krótki, bardzo krótki. To już ostatnie chwile naszego spotkania. Spójrz na tego młodzieńca, który tak niespokojnie kręci się przy bramie! Nie mój to sługa. To Hermes, posłaniec bogów. Przywiódł mnie tutaj, teraz zaś daje znak, że pora odejść.

Nie sam jednak wracał Protezylaos do smutnego świata cieni. Szła z nim Laodamia. Wybrała śmierć z własnej ręki, aby nigdy już nie rozstać się z mężem.

Taka była opowieść o Protezylaosie. Jego grobowiec zbezczcił Pers Artajktes nie tylko z chciwości, lecz także i po to by ukarać prochy pierwszego Hellena, który jako wróg dotknął ziemi Azjatów. Mówił to zresztą otwarcie królowi Kserksesowi:

– Panie, jest w Elajus posiadłość pewnego Hellena, który niegdyś ośmielił się wyprawić na twoje obecnie ziemie. Dosięgła go jednak sprawiedliwość i padł zabity. Proszę cię, abyś dał mi Elajus na własność. Niech będzie wiadome wszystkim, że granic twego państwa nie wolno naruszać nikomu!

Ksantypos i mieszkańcy Elajus postąpili z Artajktesem okrutnie, to prawda. Chcieli jednak nie tylko wymierzyć świętokradcy karę przykłądną, lecz także pokazać ludom całej ziemi:

przez wiele wieków zmagaly się dwa kontynenty i różne były koleje wojen, ale zwycięstwo ostateczne przypadło helleńskiej Europie.

Znalazł się jednak w Atenach człowiek, który uczcił triumf nad Azją w sposób godny i szlachetny. Dokładnie w pięć lat po zdobyciu Sestos wystawiono pod Akroplem dramat o wielkiej wojnie Hellenów i Persów. Przedstawiał on wiernie cały ogrom klęski najeźdźców, wolny był jednak od wrzaskliwej chępliwości i butnej pogardy. Jego twórca miał prawo do wielkoduszności wobec wroga, dzielnie bowiem stawał w obronie ojczyzny. Z pola bitwy pod Maratonem zniesiono go obficie broczącego krwią, jego zaś brat stracił tam rękę, gdy usiłował wdrzeć się na perski okręt. Poeta walczył później pod Salaminą i Platejami. Te właśnie zwycięstwa obrał za przedmiot dramatu, któremu dał tytuł *Persowie*, bo oni to, pokonani, byli jego bohaterami.

Twórca *Persów* zwał się Ajschylos. Wystawił swój dramat w roku 472 przy pomocy Peryklesa, liczącego wówczas lat dwadzieścia kilka. On to, syn zdobywcy Sestos, wyznaczony został wówczas choregiem Ajschylosa. Oznaczało to, że ma pokryć koszty nauki i wyposażenia chóru występującego w jego sztukach. Organizacja bowiem wystawiania dramatów była w Atenach taka:

Archonci obejmowali swoje funkcje w lipcu. To był oficjalny początek roku. Zaraz po rozpoczęciu urzędowania przez nowe kolegium zgłaszali się do głównego archonta poeci. Przedkładali do oceny swoje dramaty. Spośród wielu ubiegających się archont wybierał tylko trzech twórców. Ich to dzieła miał oglądać lud ateński w czasie uroczystych świąt boga wina i radości życia, Dionizosa; zwano je Dionizja Wielkie. Przypadały na wczesną wiosnę, na miesiąc zwany elafebolion, pod koniec naszego marca. Jednocześnie archont wyznaczał choregów. Ten zaszczytny obowiązek spadał tylko na bogatych obywateli i był rodzajem podatku na rzecz państwa. Ciężar to był znaczny, chór bowiem wymagał dużych nakładów. Składał się zwykle z piętnastu osób, śpiewających i tańczących kilkakrotnie w ciągu przedstawienia. Aktorzy natomiast otrzymywali wynagrodzenie od państwa. W owym czasie dla jednego dramatu nigdy nie trzeba ich było więcej niż dwóch, bo tylko dwóch jednocześnie występowało na scenie: każdy aktor kolejno odgrywał różne postaci dramatu, męskie i kobiece, zmieniając maski i szaty. Aktora trzeciego wprowadzono dopiero w kilkanaście lat później.

Święta Dionizosa trwały kilka dni: dramaty wystawiano od 11 do 13 elafebolion. Przedstawienia rozpoczynały się rankiem, a dopiero wieczorem pustoszała scena i widownia. Każdy bowiem poeta prezentował trzy tragedie oraz – na zakończenie swego dnia – jedną sztukę treści pogodnej, często nawet swawolnej; zwano ją dramatem satyrowym, bo chór występował przyodziany w kozie skóry, jak owi sprośni bożkowie uganiający po górskich pastwiskach i leśnych ostępach.

Kolegium sędziowskie przyznawało trzy nagrody, czyli otrzymywał którąś z nich każdy dopuszczony. Były to przecież święta radości, nikt więc nie powinien odejść z goryczą w sercu. Naprawdę jednak liczyła się tylko nagroda pierwsza. Na równi z poetą nagradzany był również choreg, jego to bowiem hojność i zapobiegliwość wielce się przyczyniały do powodzenia dramatów.

Przed występami chór ćwiczył często, próby powtarzano wielokrotnie. Poeta i jego choreg musieli się im przyglądać uważnie. Tak więc Perykles, syn człowieka, który pokonał Persów pod Mykale, zdobył Sestos i ukrzyżował Artajktesa, niejednym raz słuchał słowa Ajschylosowego dramatu o bólu i rozpaczach zwyciężonych:

Przed ogromny grobowiec z wielkich głazów królowa przyjechała na rydwanie, otoczona świetnym orszakiem. Skarżyła się czekającym tu dostojnikom:

– Odkąd mój syn wyruszył na podbój kraju Hellenów, wciąż trapią mnie złe sny i widzenia. Tej jednak nocy ujrzałam marę tak wyraźną, jak nigdy. Stały dwie kobiety, młode, podobne do siebie jak siostry, piękne i wysokie. Jedna z nich miała strój helleński, druga zaś perski. Sprzeczały się ze sobą i wadziły. Spozrzegł to mój syn, ułagodził obie i nałożył im

jarzmo swego rydwanu. Persjanka chętnie się temu poddała – lecz oto Hellenka szarpie uprząż, zrzuca ją, jarzmo pęka! Mój syn wali się z rydwanu na ziemię. Nagle staje przy nim płacząc jego ojciec, a mój mąż, Dariusz, który w tym grobie spoczywa. Syn mój rozrywa szaty na sobie, zdaje się szaleć z gniewu i rozpacz. Tak mi się śniło. Dlatego też, ledwie tylko z łoża wstałam, spieszę tu, aby złożyć bogom ofiary i odwrócić nieszczęście.

Dostojnicy pocieszali królową. Tłumaczyli jej również, gdzie leżą Ateny, przeciw którym wyprawił się Kserkses, opowiadali, jak żyją i walczą ich mieszkańcy. Ale właśnie wówczas nadbiegł posłaniec, który wyprzedził powracającego z wyprawy władcę. Zwiastował klęskę. Mówił:

– Przyczyną wszystkiego jest pewien człowiek, który nocą przybył do twego syna jako tajemny wysłannik z obozu wrogów. Przysięgał, że skoro tylko mrok okryje ziemię, Hellenowie co tchu wezmą się do wiosła i uciekną spod Salaminy na wszystkie strony. Król nasz, dając wiarę tym słowom, rozkazał: Z nastaniem nocy niech nasze okręty obstawią wyspę wkoło. Głową odpowiecie, jeśli tamci zdołają się wymknąć! Tak więc wszystkie nasze nawy rozstawiono co rychlej w wąskich cieśninach. Ale kiedy tylko wzeszło słońce, Hellenowie podnieśli potężną pieśń, która gromkim echem odbiła się od skał przybrzeżnych. Wtedy dopiero pojęliśmy zdradę wysłannika! Przecież ci, co pieśń wojenną śpiewają, nie do ucieczki się gotują, lecz do boju! Najpierw wysunęło się prawe skrzydło Hellenów, potem reszta ich szyku. Słyszeliśmy wyraźnie okrzyki: Naprzód, Hellenowie! Za naszą wolność! Za żony i dzieci! Za świątynie bogów i groby naszych ojców! Okręty z łoskotem zwarty się spiżowymi dziobami. Z początku opieraliśmy się dzielnie. Ale w ciasnocie nasze okręty wzajem łamały swe wiosła i najeżdżały na siebie. A tymczasem zwinni Hellenowie atakowali coraz zacieklej. Na morzu coraz gęściej kołysały się szczątki strzaskanych okrętów, fale wyrzucały stosy trupów na brzeg. Zewsząd słyhać było krzyki i jęki. Mało który z Persów umiał pływać, wielu więc tonęło. Powoli zaczęliśmy się cofać. Tak było do zmroku...

Królowa oddaliła się płacząc. A tymczasem starcy biadali:

– Nieszczęśliwe matki jęczą i zawodzą. Rozdzierają zasłony swych twarzy, łzy obficie skraplają ich szaty. Czas to wielkiej żałoby dla wszystkich. Zewsząd słyhać nieutulony płacz młodych małżonek. Niedawno poślubione, daremnie chciałyby biec teraz ku swym ukochanym: Puste jest miękkie łożo, opadł już kwiat ich szczęścia.

Tak właśnie opowiadano niegdyś o bólu i tęsknocie Laodamii, której mąż w dniu zaślubin wyprawił się przeciw azjatyckiemu grodowi, śmierci na spotkanie.

Trwogą i zachwytem przejmowały widzów dalsze sceny dramatu:

Oto wraca królowa, już pieszko, bez świetnego orszaku. Przyniosła ofiary dla zmarłego męża i dla bogini Ziemi. Składa je przy wtórze modlitw i zawodzeń starców. Wówczas na szczycie grobowca zjawia się spowite w białe całuny widmo króla Dariusza. I on to, przybysz ze świata cieniów, wyjawia przyczynę klęski syna: Kserkses spętał morze budując most na Hellesponcie, chciał być możniejszy od boga morza, toteż na morzu poniósł klęskę! Lecz i na lądzie Hellenowie rozgromią Persów, pod Platejami.

Odchodząc Dariusz zęgnął żywych smutnymi słowy:

– Wracam pod ziemię, gdzie czarny mrok, gdzie nigdy nie dociera złoty blask słońca. Pozostajecie tu rozpaczając, lecz ja wam radzę: nie gardźcie radością dni życia, bo zmarłym wszystko już na nic!

Zaledwie rozwiała się mara wielkiego króla, przybył sam Kserkses. W coraz szybszym rytmie, coraz bardziej przejmujące płynęły ze sceny skargi pokonanego władcy i zawodzenia chóru jego dostojników. Radował się lud ateński patrząc jak wróg, niedawno tak potężny i straszny, tarza się w pyłe ziemi. Ale i współczuł razem z poetą ofiarom wojny – wszystkim, których rozdzieliła śmierć.

Pierwszą nagrodę w czasie Dionizjów Wielkich roku 472 otrzymał poeta Ajschylos i jego choreg Perykles, syn Ksantyposa.

UPADEK TEMISTOKLESA

Posłaniec opowiadając królowej i dostojnikom o salamińskiej bitwie nawet nie wspomniał o Temistoklesie. Zapewne, można by to tak tłumaczyć: każdy Ateńczyk wie dobrze, czym pomysłem było wciągnięcie Persów w zasadzkę. A jednak dramat wystawiony przed czterema laty, w roku 476, sławił zasługi Temistoklesa wyraźnie i gorąco!

Dramat ów nosił tytuł *Fenicjanki*. Jego twórcą był poeta Frynich, choregiem zaś sam Temistokles. Kosztowało go to sporo, musiał bowiem dla tego dramatu opłacić aż dwa chóry. Jeden stanowiły fenickie kobiety, których mężowie i synowie zginęli służąc królowi na okrętach, drugi zaś perscy dostojnicy, jak później u Ajschylosa. Rzecz działa się na dworze Kserksesa. Przedmiotem skarg i płaczu była klęska pod Salaminą, tak samo jak w *Persach*; imię jednak Temistoklesa często padało ze sceny. *Fenicjanki* otrzymały wówczas pierwszą nagrodę, a dumny bohater spod Salaminy kazał wyryć napis: „Temistokles był choregiem, Frynich poetą, Adejmantos archontem”.

W roku 476 Temistokles był u szczytu chwały. Wielbił go nie tylko Frynich. W sierpniu tegoż roku, w kilka miesięcy po wystawieniu *Fenicjanek*, rozpoczęły się w Olimpii igrzyska. Przybył tam i Temistokles. Kiedy wszedł na stadion, widzowie powstali z miejsc i witali go klaszcząc. Ludzie z najodleglejszych krain świata pokazywali go sobie wzajem, mówiąc:

– Oto zwycięzca spod Salaminy!

Ateńczycy mieli jeszcze więcej powodów do wdzięczności. Temistokles dał ich miastu pełne bezpieczeństwo na przyszłość. Jego to bowiem zasługą było odbudowanie murów obronnych, i to bezpośrednio po odparciu Persów. Spartanie byli bardzo niechętni wznoszeniu owych murów. Woleliby widzieć Ateny otwarte, zdane w razie najazdu na lacedemońską pomoc. Temistokles jednak zdołał ich zwięść, prowadząc rokowania długie i kręte. Równocześnie porwał cały lud ateński, nawet kobiety i dzieci, do pracy nad obwarowaniami, które miały być pancierzem miasta. W ciągu kilkunastu miesięcy stanął główny zrąb murów wokół Aten. Długość ich wynosiła, według miar naszych, około sześciu kilometrów, grubość zaś, zależnie od miejsca, od dwóch do pięciu metrów. Fundamenty były z głazów, wyższe zaś części z cegły. W pośpiechu brano wszelki materiał, jaki był pod ręką – z domów zburzonych przez Persów, a nawet z kamiennych grobowców. W latach późniejszych wzniesiono kilkadziesiąt potężnych wież oraz dziewięć dobrze umocnionych bram; z nich aż cztery wiodły ku zachodowi, ku morzu.

Bo Temistokles czynił wszystko, aby związać Ateny właśnie z morzem. Ponoć nawet rzucił porzucić stare miasto i zbudować nowe nad samym wybrzeżem, w Pireusie. Tak się jednak nie stało, choć po perskich zniszczeniach sposobność była dobra: przecież ocalały w Atenach tylko te domy, które w czasie najazdu zajmowali dostojnicy Persów! Ludność jednak wolała odbudowywać się na popiołach i zgliszczach, w pobliżu grobów rodzinnych i prastarych świątyń bóstw. Lecz i Pireus rozrastał się z roku na rok. Aby zabezpieczyć przed atakiem jego porty i mieszkańców, Temistokles i tu przystąpił do budowy wielkich murów. Były one nawet dłuższe i potężniejsze od ateńskich. Zamykały półwyspy od strony lądu i szły wzdłuż krętych wybrzeży – łącznie na przestrzeni trzynastu kilometrów. Ich grubość wynosiła od dwu i pół do pięciu, a miejscami nawet i ośmiu metrów! Wieże wznosiły się co kilkadziesiąt kroków.

Obwarowywania Pireusu Temistokles nie dokończył. Już w roku 472, kiedy to Ajschylos i jego choreg, młody Perykles, wystawiali *Persów*, chmury zbierały się nad wielkim wodzem i politykiem. To właśnie było jednym z powodów, dla których jego imię nie zostało w ogóle wymienione w tym dramacie.

Grom spadł wiosną roku następnego, 471. Sąd skorupkowy skazał Temistoklesa na wygnanie jako podejrzanego o zamysły tyrańskie! Niedawny pan Aten wyjechał do Argos. Wkrótce jednak musiał opuścić i to miasto, ścigany jak zbrodniarz. Oskarżono go w Atenach o knowania z Persami, do pościgu zaś z całą gorliwością przyłączyli się Spartanie, którzy przed niedawnym czasem zgładzili, pod zarzutem takiej samej zdrady, Pauzanasza, zwycięzcę spod Platej.

Z Peloponezu Temistokles zdołał uciec na wyspę Korcyrę na Morzu Jońskim. Ale jej mieszkańcy, choć mieli wobec niego dług wdzięczności, obawiali się konfliktu z obu możnymi państwami. Pozbyli się uciążliwego gościa przewożąc go na kontynent, na wybrzeża Epiru. Stąd zaszedł Temistokles do kraju Molossów. Był to lud spokrewniony z Hellenami, mocno jednak wymieszany z sąsiednimi, obcymi plemionami. Król Molossów Admet z dawnych jeszcze lat był wrogo usposobiony do Temistoklesa, który, będąc u szczytu swego znaczenia w Atenach, sprzeciwił się kiedyś pewnej jego prośbie. Mimo to ścigany zaszedł teraz wprost do Admetowego domu. Króla nie było. Jego żona doradziła:

– Weź mojego synka na ręce i usiądź przy ognisku! Prastare prawo gościnności było w tym barbarzyńskim kraju święte i nienaruszalne. Admet przyjął błagalnika pod swoją opiekę i kazał przeprowadzić go przez groźne i dzikie góry Macedonii na wschód, do wybrzeży Morza Egejskiego. Tutaj udało się Temistoklesowi – który oczywiście nie wyjawiał swego prawdziwego imienia – wsiąść na zwykły okręt kupiecki płynący ku Azji Mniejszej. W połowie drogi rozpętała się groźna burza. Okręt zboczył ku wyspie Naksos, gdzie stała wówczas eskadra wojennej floty ateńskiej. Ścigany nie miał już nic do stracenia. Powiedział kapitanowi wprost:

– Musisz mnie ratować. Jeśli wpadniemy w ręce Ateńczyków, ja pierwszy zeznam, że wzięłeś mnie na pokład dobrze znając moje imię i powód ucieczki. Wiesz doskonale, jak bardzo zależy im na schwytaniu Temistoklesa. Ateńczycy ukarają cię surowo jako współwinnego. Ale możesz ocalić i siebie samego, i mnie, jeśli ściśle wykonasz, co rozkażę: nie pozwól nikomu opuścić okrętu. Kiedy tylko staniemy w Azji, wynagrodzę cię sowicie.

Całą dobę kapitan trzymał swój okręt na pełnym morzu, z dala od stanowisk ateńskich, choć silna fala groziła zatopieniem. Gdy wichura uciszyła się, popłynęli do Efezu. Stamtąd Temistokles ruszył łądem w głąb perskiego państwa. Panował wówczas król Artakserkses. Wygnaniec wystosował doń list tej treści:

„Spośród wszystkich Hellenów ja, Temistokles, najwięcej zła wyrządziłem Twemu domowi. Czyniłem to jednak wtedy, gdy ojciec Twój groził Helladzie podbojem. Natomiast w czasie jego odwrotu wyświadczyłem wam niejedną przysługę. Obecnie Hellenowie wygnali mnie, bo wiadoma im się stała moja przyjaźń dla Twojej rodziny. Sądzę, że i teraz będzie mi dane dowieść czynami swego oddania. Pozwól, bym za rok stanął przed Twoim obliczem i wyjawiał Ci cel mego przybycia”.

W ciągu tego roku Temistokles nauczył się języka perskiego. Nikt z Hellenów nie wiedział, o czym rozmawiał z królem w czasie spotkania. Faktem było jednak, że cieszył się odtąd łaskami władcy. Miał duże wpływy na dworze i otrzymał też w darze trzy miasta w zachodniej Azji Mniejszej. W jednym z nich, w Magnezji, założył swój dom – a zdołał tu ściągnąć całą rodzinę – i pilnie stąd nasłuchiwał, co dzieje się w świecie helleńskim; Magnezja bowiem leży blisko wybrzeży Morza Egejskiego. Z jakimże uczuciem on, założyciel Pireusu i twórca ateńskiej floty wojennej, przyjmował wieści, że panują obecnie na tym morzu Ateńczycy? Że dokonują już śmiałych wypraw na Cypr i nawet do Egiptu? Był przecież ściganym przez ateńskie sądy wygnańcem. Ale owe zwycięstwa były owocem z drzewa, które on sadił!

Zmarł Temistokles w sześćdziesiątym piątym roku życia. Jego grobowiec i pomnik stały w Magnezji przez długie wieki. A ktokolwiek zwiedzał miasto, dumał o dziwnych kolejach losu wielkiego Ateńczyka i zadawał sobie pytanie:

– Dlaczego został wygnany? Dlaczego oskarżono go o zdradę i ścigano tak zapamiętale, na lądzie i na morzu?

On sam w liście do króla zdawał się przyznawać słusność zarzutom wrogów. Pisał przecież, że jest przyjacielem Persów i wyświadczył im w przeszłości wiele dobrego.

Tak, ale pisał to już jako wygnaniec, gorączkowo zabiegający o ratunek. Z drugiej strony musiały istnieć jakieś fakty, na które mógłby się przed królem powołać. Na pewno nieraz prowadził Temistokles poufne rozmowy z wysłannikami Persów – w czasie najazdu i w latach późniejszych. Jako dobry polityk wypowiadał się wówczas w sposób wieloznaczny – taki, by furtka do dalszych negocjacji zawsze pozostawała otwarta, nawet gdy już lała się krew na polach bitew. Temistokles patrzył daleko w przyszłość. Wiedział, że po ustąpieniu Persów może dojść do konfliktu ze Spartą. Może więc już w czasie najazdu badał możliwości pozyskania sobie pomocy króla? Prowadził grę niebezpieczną, ale miała ona na celu tylko dobro Aten; chciał im zapewnić pierwsze miejsce w Helladzie i gotów był, by to uzyskać, związać się w pewnych okolicznościach nawet z wrogami Hellady!

Ale prawdziwą przyczyną upadku Temistoklesa było sprzymierzenie się przeciw niemu dwóch wielkich stronnictw w samych Atenach. Zgodnie ruszyli do ataku zwolennicy i Alkmeonidów, i Filajdów. Wyzyskali zawiść, jaką u wielu wzbudzała sława Temistoklesa i jego wpływy wśród ludu. Umiejętnie podsycali podejrzliwość mas, upatrujących w każdym wybitniejszym polityku kandydata na tyrana. Rozdęli pogłoski o tajnych kontaktach Temistoklesa z Persami i przedstawili je w świetle jak najgorszym. Człowiek, który oskarżył Temistoklesa, już wygnanego i przebywającego w Argos, o zdradę kraju i sprzyjanie Persom, zwał się Leobotes. Pochodził z rodu Alkmeonidów, był więc krewnym młodego Peryklesa; sprawił, że zwycięzca spod Salaminy, ścigany jako złoczyńca, musiał szukać schronienia aż u Persów, tym samym przyznając słusność najcięższemu zarzutom. Temistokles bowiem, jako już poprzednio skazany ostracyzmem, nie mógł powrócić do Aten i wystąpić z osobistą obroną. A gdyby nawet stawił się przed ateńskim sądem – dobrowolnie lub przywiedziony przez ścigających go ludzi – z całą pewnością niczego by nie dokazał. Wyrok skazujący był nie do uniknięcia. Było zaś tak dlatego, że jednocześnie oskarżali Temistoklesa o sprzyjanie Persom jego najbezwzględniejsi wrogowie – Spartanie. Oczywiście, nienawidzili oni Temistoklesa z tej głównie przyczyny, że zwiódł ich i otoczył Ateny potężnym murem. Można by więc przypuszczać, że ich oskarżenie niewiele będzie znaczyć u ateńskich sędziów. Jednakże w tym wypadku Spartanie mogli się powoływać na swoją (rzekomą) bezstronność:

– Przekonani o winie naszego wielkiego wodza Pauzanasza, zwycięzcy spod Platej, nie wahaliśmy się i wydaliśmy nań wyrok śmierci. Kiedy schronił się w świątyni bogini Ateny Chalkajos, zamurowali drzwi i zamorzyliśmy go głodem. Dochodzenia przeciw Pauzanaszowi wykazały, że także i Temistokles był w zмовie z Persami!

Jakaż obrona mogłaby się okazać skuteczna przeciw świadectwu pozornie tak oczywistemu? A skoro Spartanie byli surowi i bezwzględni wobec zdrajcy swej ojczyzny, nie bacząc na żadne jego uprzednie zasługi, czyż lud ateński mógł pozwolić sobie na pobłażliwość w podobnym wypadku?

Nie bez znaczenia było i to, że słowa Spartan miały w Atenach bardzo wpływowego poplecznika. Był to człowiek, który występował z jasnym programem: przyjaźń i współpracy z Lacedemonem, aby wszystkie siły Aten obrócić przeciw Persom. Popierał zaś owego polityka, tak przychylnego Sparcie, największy wówczas bogacz ateński, mąż jego siostry.

SKARBY KALLIASA

Miltiades zmarł w roku 489, wkrótce po wyroku skazującym go na pokrycie kosztów nieudanej wyprawy na Paros. Oskarżycielem był Ksantypus, ojciec Peryklesa.

Prawa ateńskie postanawiały, że w razie śmierci obciążonego grzywną dług wobec skarbu państwa spada na jego synów, i to pod groźbą utraty przez nich czci. Pierworodny syn Miltia-

desa dostał się w ręce Fenicjan już przed laty, w czasie ucieczki całej rodziny z Chersonezu; żył obecnie w Persji, dostatnio i spokojnie. Był jednak w Atenach syn Miltiadesa z jego małżeństwa z tracką księżniczką; zwał się Kimon. W chwili śmierci ojca nie miał nawet dwudziestu lat. Na młodego chłopca zwała się wielka odpowiedzialność: był dziedzicem ojcowej sławy, ale musiał też stawić czoło wrogości pewnych ludzi. Był spadkobiercą ogromnego majątku, ale obciążonego długiem nie do spłacenia.

Aby zebrać pieniądze, Kimon zastawił i zadłużył swoje posiadłości. Stał się człowiekiem ubogim. Mieszkał wraz ze swoją przyrodnią siostrą Elpiniką w warunkach skromnych. Ubóstwo dolegało Kimonowi dotkliwie, był bowiem wielkim panem nie tylko z urodzenia, lecz i z usposobienia. Wysoko cenił uroki wytwornego życia. Miał szeroki gest, chętnie podejmowałby co dzień dziesiątki gości. Rozkoszom miłości poświęcał sporo uwagi; w tym zresztą ubóstwo mu nie przeszkadzało, był bowiem mężczyzną bardzo przystojnym – wysokim, postawnym, o pięknych, bujnych włosach – i wzajemność znajdował łatwo. Cieszył się zresztą ogólną sympatią; ujmował naturalną bezpośredniością, choć daleki był od łatwego bratania się z każdym. Kto przestawał z Kimonem, odczuwał natychmiast, że to człowiek prostolinijny i prawy. Wychowanie otrzymał syn Miltiadesa bardzo staranne. Może właśnie dlatego nie miał głębszego zrozumienia dla piosenkowania i dla adwokackich chwytów sądowej wymowy; tym zaś, przebojami i retoryką, najbardziej pasjonowała się złota młodzież ateńska. Nie celował też Kimon błyskotliwością, ale w razie potrzeby potrafił jasno ująć każdą sprawę lub ugodzić w przeciwnika dowcipną wypowiedzią. Wysoko natomiast cenił poezję i chętnie otaczał się pisarzami.

Kimon miał zbyt mało sprytu, a zbyt wiele wewnętrznej uczciwości, aby o własnych siłach wydobyć się z ciężkiego położenia, w jakie wtrąciła go polityczna i majątkowa katastrofa ojca. Nie potrafiłby ani podjąć się śmiałych oszustw kupieckich, ani też szukać znaczenia w brudnych rozgrywkach stronnictw. Wielkość rodu Filajdów zdawała się już należeć do przeszłości. Powiadano, że uratowała ją Elpinike. Niezwykła uroda siostry Kimona zwróciła uwagę najbogatszego człowieka ówczesnych Aten, Kalliasa.

Różnie mówiono o źródłach Kalliasowego majątku. Była i taka pogłoska:

Przed bitwą pod Maratonem Kallias przywdział purpurową, powłóczytą szatę kapłańską, włosy zaś przepasał szeroką wstęgą. Pochodził bowiem z rodu Keryków, który od wieków siedział w Eleuzis i dziedzicznie piastował jedną z kapłańskich godności w świątyni Demeter. W czasie uroczystych wtajemniczeń mężczyźni z rodu Keryków nieśli płonące pochodnie; ich czerwony blask oświetlał drogę tym, którzy wkraczali w mrok podziemi, aby doznać łaski boskiego poznania i zwyciężyć lęk śmierci. Kallias wkładał swoją liturgiczną szatę głęboko wierząc, że jeśli odniesie w bitwie śmiertelną ranę, zejdzie w chwale do krainy zmarłych, gdzie ze czcią przyjmą go bóstwa podziemi.

Jednakże nie zginął. Współ z wszystkimi radował się zwycięstwem i patrzył ze strachem, jak odpływa flota perska, aby okrążyć półwysep i wysadzić wojska pod samymi Atenami. Miltiades poprowadził swoich, choć upadali ze zmęczenia, z powrotem ku miastu. Na równinie pod Maratonem pozostawił tylko garstkę ludzi dla pilnowania zdobyczy i jeńców. A było czego pilnować! Uciekający Persowie porzucili w swym obozie naczynia ze srebra i złota, drogie szaty, wspaniałą broń, piękne namioty. Ubogim Ateńczykom wydawało się, że są to skarby wprost bajeczne.

Straż powierzono Arystydesowi, powszechnie bowiem uchodził on za człowieka nieposzlakowanej prawości. Ale Arystydes nie mógł ufać nikomu, nawet własnym żołnierzom. Ogrom bogactw oszałamiał i budził niktzemne żądze. Dla pewności więc dobrał sobie Arystydes straż ze swoich krewnych; był wśród nich i Kallias. Ten wciąż jeszcze paradował w swej wspaniałej szacie. Jeńcy byli przekonani, że to naczelny wódz wszystkich Hellenów, ktoś więc z Persów wyznał mu potajemnie:

– Największe kosztowności nasi zakopali w czasie ucieczki. Pokażę ci gdzie, jeśli zwrócisz mi wolność.

Kallias zgodził się natychmiast i uroczyście zaprzysiął to na wszystkie świętości. Nocą obaj udali się po kryjomu w owo miejsce. Rzeczywiście, skarb był wielki. Ale zamiast wolności jeniec otrzymał od Kalliasa zdradzieckie pchnięcie nożem. Tak to, powiadało wielu, Kallias doszedł do swych niezmiernych bogactw: wiarołomstwem, zbrodnią, rabunkiem.

Była to jednak opowieść zmyślona przez ludzi zawistnych. Gdzież więc należało szukać prawdziwego źródła kolosalnej fortuny? Odpowiedź była dość prozaiczna:

Duży majątek, odziedziczony po przodkach, Kallias pomnożył wielokrotnie dzięki śmiałym przedsięwzięciom górniczym.

Na południowym cyplu attyckiego półwyspu znajdował się okręg kopalniany zwany Laurion. Był on bogaty w rudy ołowiu i srebra. Te skarby ziemi należały do państwa, które wypuszczało poszczególne działki w dzierżawę osobom prywatnym. Kallias mógł sobie pozwolić na dzierżawienie wielu działek; to zmniejszało ryzyko poszukiwań, pomnażało zaś zyski. Srebronośne żyły biegły w Laurion dość kapryśnie i tylko eksploatując większe obszary można było wyjść na swoje. Przy dozywaniu i wytapianiu rud pracowali niewolnicy których Kallias utrzymywał w Laurion kilkuset. Ich warunki pracy budziły litość. Korytarze dla oszczędności kopano jak najwęższe, trzeba więc było rąbać skałę w pozycji niemal leżącej, w zaduchu i w mroku; lampki oliwne, jedyne źródło światła, z braku powietrza zaledwie się tliły. Nie lepszy był los niewolników zatrudnionych przy piecach hutniczych, bo rudy ołowiu wydziełały trujące wyziewy.

Należy jednak pamiętać, że w Atenach w ogóle los niewolników nie był najgorszy. Co prawda, ich liczba, poprzednio niezbyt znaczna, w miarę rozwoju gospodarki i ogólnej zamożności wzrastała szybko. W związku z tym stopniowo zanikała dawna patriarchalność stonków, kiedy to niewolnik był niemal członkiem rodziny. Niedługo po wojnach perskich ogólna liczba niewolników w Attyce sięgała już z pewnością dziesiątków tysięcy. Tylko część z nich pracowała jako służba domowa, większość natomiast była zatrudniana na roli i w warsztatach rzemieślniczych. Oczywiście, ludzie ubożsi, zwłaszcza chłopci i drobni kupcy oraz rzemieślnicy, obywali się bez niewolników tak samo jak dawniej. Bogacze natomiast, jak właśnie Kallias, mieli ich setki. Byli również niewolnicy państwowi: kilkuset rosłych Scytów, specjalnie sprowadzanych z północnych wybrzeży Morza Czarnego, pełniło w mieście służbę policyjną, nie szczędząc batów nawet ludziom wolno urodzonym. Ale i zwykli niewolnicy zachowywali się tutaj śmiało, co było powodem licznych utyskiwań ze strony oligarchów. Jeden z nich, autor pisemka *Ustrój Aten*, biadał później:

„Jakaż to swobodą cieszą się w Atenach niewolnicy i osiadli tu cudzoziemcy, metojkowie! Nawet potracić ich nie wolno. A kiedy przechodzisz, niewolnik nie ustąpi ci z drogi. Mogę powiedzieć, skąd wzięły się w tym kraju takie obyczaje. Cóż bowiem by się działo, gdyby każdy wolno urodzony miał prawo uderzyć czy to niewolnika, czy też metojka lub wyzwolénca? Otóż na pewno często by się zdarzało, że ten lub ów zdieleliby po grzbiecie wolnego Ateńczyka, będąc przekonany, że bije niewolnika. Bo pospólstwo nie ubiera się tutaj lepiej niż niewolnicy i metojkowie i wcale też lepiej nie wygląda. Ktoś jednak może zapytać: dlaczego Ateńczycy pozwalają swym niewolnikom żyć tak wygodnie i dostatnio, a niektórym z nich po prostu nawet zbyt wygodnie? Łatwo pokazać, że postępują tak nie bez uzasadnienia. Ateńczycy są potęgą dzięki morzu. Naturalną jest więc rzeczą, że niewolnicy podejmują się tu różnych prac zarobkowych, ja zaś, ich pan, utrzymuję się z pieniędzy, które oni mi płacą, a potem ich wyzwalam. A gdzie jest zamożny niewolnik, to nie ma już sposobu, aby mój niewolnik lękał się ciebie; w Lacedemonie natomiast mój niewolnik odnosiłby się do ciebie z szacunkiem.”¹⁴ Jednakże niewolnicy w Laurion na pewno nie żyli zbyt wygodnie. Dzięki ich znoejnej pracy ciężki pieniądź brzęczącym strumieniem płynął do skrzyń Kalliasa. Posag Elpi-

¹⁴ Anonima *Ustrój Aten*, I 10—11

nie w ogóle nie był mu potrzebny. Poślubił siostrę Kimona, była bowiem piękna i pochodziła ze świetnego domu. Sam Kimon na razie znaczył niewiele, to prawda. Jednakże człowiek przewidujący, a Kallias był nim na pewno, musiał zdawać sobie sprawę, że ten młodzieniec ma przed sobą ogromne możliwości. Nosi wielkie nazwisko, jest synem zwycięzcy spod Maratonu, a tragiczny los ojca zjednywa mu dużo sympatii. Nie celuje Kimon szczególną zręcznością polityczną i pod tym względem nie mógłby mierzyć się z Temistoklesem. Jest jednak taktowny i roztropny, ma też doskonałą prezencję – rzecz wcale ważna w państwie, w którym trzeba osobiście zabiegać o głosy wyborców i wciąż być na oczach ludzi! Tak więc, dumął Kallias, syn Miltiadesa może mieć wiele do powiedzenia w Atenach; warto mu pomóc i warto związać się z nim rodzinie!

Zaradność szwagra sprawiła, że Kimon mógł wkrótce korzystać ze swego ogromnego majątku wolnego od długów. A to znowu otwierało przed nim perspektywy wielkiej kariery politycznej. Ale tymczasem był już rok 480 i Attyce zagroził najazd Kserksesa.

ARYSTYDES

Już padły Termopile, lada dzień Persowie mogli wkroczyć na półwysep. Temistokles nawoływał, by dzieci, kobiety i starcy uciekali z kraju za morze, mężczyźni zaś obsadzali okręty; ich pokłady będą ojczyzną, skoro ziemia stracona!

Nie wszyscy jednak pojmowali grozę położenia i oczywistą słuszność wezwań Temistoklesa. Wielu zapytywało:

– Jakżeż to? Mamy dobrowolnie opuścić nasz kraj i stać się ludem bezdomnym? Czyż nie potrafimy walczyć w otwartym polu, jak dziesięć lat temu pod Maratonem? Wrogów jest więcej, ale i myśmy obecnie silniejsi. Mamy sojuszników, Spartanie przysłał pomoc na pewno!

Tłumy wyległy na agorę i na wąskie, kręte uliczki śródmieścia. Ludzie krzyczeli i miotali się w podnieceniu i niepewności. Jedni chcieliby już uciekać, choćby na koniec świata. Inni sposobili się do walki. Byli gotowi zginąć na miejscu, z oburzeniem odrzucali myśl opuszczenia miasta. Wszyscy dowodzili swych racji z właściwą Hellenom wrzaskliwością. Nagle gwar i krzyki zaczęły słabnąć, tłum rozstępował się, oczy zwracano w jednym kierunku. Przez środek rynku szedł Kimon w otoczeniu przyjaciół i służby – wysoki, męski, spokojny. Zmierzał prosto ku Akropolowi. W rękę trzymał ozdobną uzdę końską. Jego ludzie wołali:

– Złożymy tę uzdę w świątyni Ateny! Nic teraz po niej! Walczyć będziemy na okrętach!

Skoro syn zwycięzcy spod Maratonu to uważa za słuszne i sam daje taki przykład, któż jeszcze upierałby się przy pozostawaniu w mieście i walce na lądzie? Widocznie Temistokles dobrze radzi: cała nadzieja tylko w okrętach! Tłumy powoli rozeszły się. Kobiety z dziećmi i tobołkami spieszyły ku Pireusowi, skąd okręty przewoziły je na wyspy i na Peloponez. Mężczyźni zabierali broń i szli także do portu, by obsadzić trójrzędowce.

Tak więc przed bitwą pod Salaminą Kimon pomógł Temistoklesowi przekonać Ateńczyków, by podjęli desperacki krok ewakuowania całej Attyki. Uczynił to, widział bowiem jasno, że nie ma innego ratunku. Ale przyjacielem Temistoklesa nie był. Trzymał się raczej Arystydesa, z którym żył blisko już jego ojciec.

Przyjaźń Arystydesa i Miltiadesa znalazła piękny wyraz przed dziesięciu laty, w dniach pierwszego najazdu perskiego. Nieprzyjaciel wylądował już pod Maratonem, a w Atenach wciąż nie było zgody co do sprawy zasadniczej: stoczyć bitwę w otwartym polu, czy też bronić się za murami miasta. Miltiades gorąco radził ruszyć natychmiast do walki. Obawiał się, że w razie zamknięcia w mieście i przedłużania się działań wojennych górę wezmą zdrajcy i zwolennicy tyrana Hippiasza. Jednakowoż Miltiades nie był jedynym dowódcą. Na czele wojska stało przecież aż dziesięciu strategów, po jednym z każdej filii. Było zwyczajem, że co

dzień komendę naczelną obejmował inny strateg. W ich liczbie znajdował się wówczas także Arystydes. Popierał on Miltiadesa ze wszystkich sił. A kiedy wreszcie postanowiono wyruszyć w pole, Arystydes pierwszy zrzekł się na rzecz Miltiadesa swej kolejki dowodzenia. Za jego przykładem poszli inni.

Obecnie Arystydes otaczał opieką Kimona. Miał nadzieję, że właśnie on stanie się przeciwwagą dla nadmiernych wpływów i zbyt śmiałych pomysłów Temistoklesa. Odpowiadał Arystydesowi sam sposób bycia Miltiadesowego syna, stateczność, prostolinijność, umiar, a także i jego poglądy w sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej. Byli całkowicie zgodni co do tego, że za wszelką cenę należy utrzymać jak najlepsze stosunki ze Spartą.

W kilkanaście miesięcy po bitwie pod Salaminą, w czerwcu roku 479, wysłano do Lacedemonczyków poselstwo; wchodził w jego skład i Ksantypas, i Kimon – ten ostatni dzięki poparciu Arystydesa. Sytuacja była bardzo groźna, od wyników poselstwa zależało wszystko. Wprawdzie już nie było perskich okrętów na helleńskich wodach, jednakże potężna armia lądowa najeźdźcy wciąż okupowała wiele krain. Z wiosną roku 479 powtórnie wtargnęła ona do Attyki. Jej mieszkańcy musieli znowu opuścić rodzinną ziemię i naprędce odbudowane domostwa. A tymczasem Spartanie wciąż zwlekali z wysłaniem swoich wojsk! Bez nich nie można było nawet myśleć o zmierzeniu się z wrogiem w polu. Zwlekali zaś Spartanie dlatego, że przez jesień i zimę wzniesli mocny mur na przesmyku Istmos. Za tą osłoną czuli się na Peloponezie najzupełniej bezpieczni. Niektóre z wpływowych w Lacedemonie osobistości wyraźnie dawały do zrozumienia, że los innych krain Hellady tu nikogo nie obchodzi. Co więcej, stąd i zowąd odzywały się w Sparcie cyniczne głosy:

– Persowie walczą za nas i dla nas. W perzynę obracają państwa, które mogłyby spierać się z nami o przewożenie Helladzie.

Oczywiście, byli też wśród Spartan ludzie, którzy patrzyli na bieg wypadków trzeźwiej i głębiej, mając na uwadze nie tylko zaściankowe interesy swego państwa. Ci rozumieli, że po opanowaniu Hellady Środkowej cała nawała perska uderzy na Peloponez. Nie powstrzyma jej żaden mur i nawet najofiarniejsza odwaga. A nie będzie już komu podziwiać przyszłych Termpil!

Kiedy ateńskie poselstwo stanęło w Lakonii, jej mieszkańcy spokojnie i nabożnie obchodzili Hiacyntia. Było to święto ku czci pięknego młodzieńca Hiacynta, w którym rozmiłował się bóg Apollon. Razem chodzili na polowania, razem zabawiali się na łąkach. Przyszła im kiedyś ochota rzucać dyskiem. Pierwszy śmignął nim Apollon. Brązowy, ciężki krąg poleciał daleko – i od razu pobiegł za nim rozradowany chłopiec, aby spróbować swoich sił. Ale dysk, raz pchnięty bożą ręką, jeszcze miał w sobie energię pędu; odbił się od ziemi i śmiertelnie ugodził schylającego się Hiacynta. Nie zdały się na nic lekarskie umiejętności boga. Wszystko, co mógł uczynić dla swej ofiary, to sprawić, by z krwi jego zrodził się purpurowy kwiat wiosenny.

Posłowie ateńscy zagrozili Spartanom:

– Król perski chce nam zwrócić nasz kraj, a także zawrzeć z nami sojusz, jak równy z równymi. Obiecuje też dać nam na własność ziemię, którą sami sobie wybierzemy. Wszystko to czyni, aby oderwać nas od wspólnej sprawy. My jednak prawdziwie lękamy się Zeusa, boga wszystkich Hellenów. Sądzymy też, że zdrada jest rzeczą haniebną. Odrzuciliśmy więc te korzystne warunki. Takie jest nasze stanowisko i postępowanie, choć wiemy doskonale, że inni Hellenowie zachowują się wobec nas w sposób krzywdzący i prowadzą politykę zdradziecką. Wy, wiedząc dobrze, że my sprawy Hellenów nie opuścimy i walczyć będziemy do ostatka, czujecie się bezpieczni i z ufnością polegacie na swoim murze. Nie przystaliście wojsk, jak było umówione, i Persowie znowu mogli bezkarnie wtargnąć do naszego kraju. Musimy więc stwierdzić otwarcie, że wszyscy Ateńczycy żywią do was urazę. Wzywamy was w ich imieniu, abyście czym prędzej ruszyli do walki!

Dziesięć dni czekali posłowie na spartańską odpowiedź. Kiedy wreszcie wezwano ich znowu, zniescierpliwieni powiedzieli wręcz:

– Zawrzemy pokój z Persami i pójdziemy z nimi, jako sojusznikami, przeciw każdemu krajowi!

Eforowie stwierdzili wówczas z całym spokojem:

– Minionej nocy pięć tysięcy ludzi ruszyło wam z pomocą. Wiedzie ich Pauzaniasz!

Poselstwo spełniło swoje zadanie. W dwa miesiące później wojska Hellenów pod wodzą Pauzanasza odniosły nad Persami świetne zwycięstwo koło miasta Plateje.

Wkrótce potem Kimona wybrano w Atenach jednym z dziesięciu strategów. Pomogła mu w uzyskaniu tej godności sława ojca i życzliwość Arystydesa, a także zasługi osobiste: skuteczne posłowanie do Sparty oraz odwaga w bitwach pod Salaminą i pod Platejami.

Wiosną roku 478 flota Hellenów popłynęła ku cieśninom wiodącym do Morza Czarnego, aby wyprzeć stamtąd załogi perskie; miała więc dalej prowadzić dzieło, które w roku poprzednim rozpoczął Ksantypus zdobywając Sestos i Chersones. Naczelne dowództwo sprawował Pauzaniasz, na czele zaś eskadry ateńskiej stało dwóch: Arystydes i Kimon. Jesienią zdobyto Bizantion. Droga do Morza Czarnego była wolna!

WYDARZENIA POD BIZANTION

Pisana była temu miastu nad Bosporem wieczna sława w dziejach Europy: prawie dokładnie po siedmiuset latach, w roku 330 n. e., z woli cesarza Konstantyna zmieniło nazwę na Konstantynopol, ale swoje dawne imię przekazało państwu, którego było stolicą przez wiele wieków – cesarstwu bizantyjskiemu. Jednakże już w owym roku 478 rozegrały się pod murami Bizantion wypadki stanowiące zwrotny punkt w dziejach Aten i całej Hellady:

Oto nadmorskie i wyspiarskie państewka Hellenów wypowiedziały posłuszeństwo Spartanom, oddając naczelne dowództwo w dalszej wojnie z Persami Ateńczykom. Tak zrodził się Związek zwany później Morskim. Jak doszło do tego?

Niewątpliwie ów przewrót był w znacznej mierze skutkiem postępowania samych Spartan, a zwłaszcza Pauzanasza. Wódz ten zraził sobie wszystkich. Sprzymierzeńców traktował jak poddanych. Zachowywał się butnie, na każdym kroku zaznaczał wyższość swoich; nawet przy źródłach ustawił ludzi z batami, aby pierwszeństwo czerpania wody zapewnić Lacedemończykom. Wprowadzał też Pauzaniasz spartańską dyscyplinę; za drobne nawet nieposłuszeństwo karał chłostą lub kazał stać całymi dniami z żelaznym łańcuchem u szyi. Po zajęciu Bizantion przywłaszczył sobie szaty perskie i stale w nich paradował. Zapytywano: czyżby tak bardzo odpowiadał mu przepych Wschodu? A może chce panować nad Hellenami z łaski króla Persów? Bo krążyły też pogłoski o tajnych jego knowaniach z wrogiem. Wskazywano, że jeńcy z Bizantion – a było wśród nich wielu dostojników i bliskich króla – dziwnym przypadkiem zdołali umknąć z niewoli! Czy nie pomógł im właśnie Pauzaniasz? Powszechne oburzenie wywołał wierszowany napis wyryty na ogromnym, spizowym kraterze (było to naczynie do mieszania wina i wody), który z rozkazu Pauzanasza ustawiono nad morzem jako pomnik zwycięstwa; głosił ów napis, że to Pauzaniasz, pan Hellady, ofiarował ten krater Posejdonowi, panu mórz. Postępowanie więc Pauzanasza zniechęcało Hellenów pod Bizantion do Spartan; natomiast Arystydes i Kimon, obaj przystępni, ludzcy i prawi, zjednywali swemu państwu wiele sympatii w tym samym obozie.

Spartanie wreszcie odwołali Pauzanasza i przystali nowego wodza. Ten jednak nie zdołał już niczego naprawić i powrócił do kraju z lacedemońską eskadrą. Tymczasem bowiem większość państw, których okręty brały udział w wyprawie na Bizantion, zwróciła się do Ateńczyków z prośbą, aby odtąd oni przewodzili działaniom wojennym. Oczywiście, powody tego

kroku były nie tylko personalne – sympatie i antypatie ku tej czy owej osobistości – lecz tkwiły znacznie głębiej. Wybrano Ateny, bo miały najsilniejszą flotę, a więc gwarantowały państewkom nadmorskim skuteczną opiekę w razie ponownej inwazji perskiej. Było też pewne, że Ateńczycy wykażą więcej zrozumienia dla spraw żeglugi i handlu niż Sparta, państwo lądowe i rolnicze. W wielu miastach znajdował też uznanie ateński ustrój: dawał on swobodę słowa oraz prawa polityczne wszystkim obywatelom, niezależnie od urodzenia i majątku. A tymczasem w Lacedemonie rzeczywistą władzę sprawowała tylko wąska warstwa najmniejszych Spartiatów; była to państwowość typowo oligarchiczna, czyli rządy nielicznej grupy uprzywilejowanych.

Pod Bizantion Ateńczycy i nadmorskie oraz wyspiarskie państewka wymienili przysięgę: będziemy mieć zawsze tych samych przyjaciół i wrogów – a przysięga ta będzie obowiązywać tak długo, póki rozżarzone sztaby żelaza, które w tej chwili rzucamy w morskie głębiny, nie wypłyną z powrotem na powierzchnię!

Przywódcą, czyli hegemonem Związku, były Ateny, bo one dowodziły wspólną flotą, one też zbierały składki pieniężne. Ich wysokość wyznaczył Arystydes (ufano mu bowiem powszechnie) w zależności od bogactwa i wielkości każdego państewka; łącznie miało wpływać co roku 460 talentów. Skarbiec znajdował się na wyspie Delos pod opieką Apollona i Artemidy; zawiadywali nim wyznaczeni przez Ateńczyków urzędnicy zwani hellenotamiai. Na Delos również zbierała się rada delegatów, zwana synodos; każde państewko miało w niej jeden głos. Ateńczycy składki nie płacili, wystawiali jednak najwięcej okrętów i żołnierzy; prócz nich duże eskadry dawały jeszcze wyspy Samos, Lesbos, Chios. Inne natomiast państwa wołały nawet płacić więcej, byle nie wysłać swoich ludzi na wojnę. Ale i tak, kiedy zachodziła gwałtowna potrzeba, musiały zdobywać się na daninę krwi.

Związek rychło stał się potęgą. Liczył około dwustu członków, a nawet, w okresie największej świetności, prawie czterystu. Obejmował wszystkie wybrzeża i wyspy Morza Egejskiego. Był największą organizacją polityczną, na jaką zdobył się świat helleński w całej swej historii. Przyszłość Związku zależała przede wszystkim od tego: czy hegemon uszanuje wewnętrzną niezależność państw, które dobrowolnie poddały się pod jego opiekę.

Od powstania Związku Kimon szedł nieprzerwanie w górę. Wkrótce stał się czołową postacią nie tylko Aten, lecz całej Hellady. Gromił Persów na lądzie i na morzu. Prawie rokrocznie wybierano go do kolegium strategów, w którym miał głos decydujący. Kiedy w r. 472 dwudziestokilkuletni Perykles odniósł swoje pierwsze zwycięstwo – teatralne, jako choreg poety Ajschylosa! – starszy odeń o jakieś piętnaście lat Kimon był najwplywowszym człowiekiem Aten. Bo i któż mógłby się z nim równać? Ksantypus, ojciec Peryklesa, zapewne już nie żył. Arystydes trzymał się na uboczu. Pozostał jeszcze, to prawda, Temistokles. Lecz jakże nikła była pamięć jego czynów przy świeżym blasku Kimonowych triumfów! Temistokles otoczył miasto murami, to jednak miało znaczenie tylko obronne. A któż by myślał o obronie, gdy ateńskie okręty pod wodzą Kimona swobodnie krążyły u wybrzeży Azji Mniejszej i Cypru!

Zresztą Kimon też dążył do zapisania się w pamięci miasta jako budowniczy. Po jednym z pierwszych swych zwycięstw nad Persami wznosił koło agory halę wspartą na kolumnach. Lud zezwolił, by stanęły w niej trzy posagi Hermesa opatrzone napisami, sławiącymi zwycięstwo. Ale nazwisko wodza nie było wymienione nigdzie. To bowiem było jedną z zasad ateńskiej demokracji: walczy lud i jemu należy się chwała. Jednostka natomiast, choćby i na stanowisku naczelnym, jest tylko sługą mas i winna pozostać bezimienna.

Zasada była znakomita, jednostki zaś wiodły zacieklej spór, która lepiej potrafi służyć masom. Kiedy Kimon sprzymierzył się z Alkmeonidami i pojął za żonę kobietę z tej rodziny, Izodykę, ofiarą sporów padł Temistokles: sprzymierzone rody przeprowadziły jego wygnanie za pomocą ostracyzmu w roku 471. Ale był to sojusz krótkotrwały: za lat dziesięć na wygnanie miał iść sługa ludu Kimon, usunięty przez gorliwszego sługę ludu – Peryklesa.

Rozdział czwarty

KIMON I PERYKLES

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO SOFOKLESA

W czasie Dionizjów Wielkich roku 468 sprawa, komu należy przyznać pierwszą nagrodę, wywołała spór ostry jak nigdy, i to zarówno wśród widzów, jak też w łonie kolegium sędziowskiego.

Utwór młodego poety był dobry, co do tego nikt nie wysuwał zastrzeżeń. Czy jednak godzi się wywyższać młodzika, który po raz pierwszy wystawia dramat, i obrażać przez to uznaną już wielkość, Ajschylosa? Bo jeśli nawet tym razem Ajschylos nie pokazał całej swej umiejętności, to przecież i tak jest ponad wszelkie porównania. Orzeł nie zawsze wzbija się wyżej chmur, lecz nawet krążąc nisko majestatycznie unosi się na swych potężnych skrzydłach od śmigłej, wdzięcznie szybującej jaskółki!

Odpowiadano na to:

– Ajschylos uzyskał pierwszą nagrodę mając lat czterdzieści. Czy wynika stąd, że każdy poeta ma czekać tak długo? Jego rywal nie ma jeszcze trzydziestki, to prawda. Jakiż to jednak świetny talent! Jego *Tryptolemos* to dramat pełen uroku i pogody, a zarazem trzymający w napięciu. Ten utwór jest hołdem dla bóstw nieśmiertelnych i pomnikiem zasług naszego kraju dla całej ludzkości.

Istotnie, taki był nastrój dramatu i takie też nasuwał on myśli ateńskim widzom. Opowiadał o podróżach i przygodach Tryptolemosa. Młodzieniec docierał do wszystkich krain świata na rydwanie ciągnionym przez smoki. Rozdawał ziarno pszenicy, uczył ludzi uprawy roli i osiadłego trybu życia. Wyprawiła go w tę podróż sama Demeter, bogini zbóż i urodzaju. Rodzice bowiem Tryptolemosa, zamieszkali w Eleuzis, dali jej dom i opiekę, kiedy w żalu i rozpacz szukała po całym kręgu ziemskim swej córki Persefony; pokazało się później, że dziewczynę porwał bóg podziemi. Nie same jednak błogosławieństwa obdarowanych czekały Tryptolemosa w jego podróży. Barbarzyńcy, podejrzliwi i okrutni jak wszyscy ludzie pierwotni, nieraz odwdzięczali mu się zdradą. Czyhali na życie dobroczyńcy, usiłowali podstępem zawładnąć jego podniebnym pojazdem. On jednak, dzięki łasce bogów oraz swej helleńskiej odwadze i przemyślności zawsze wychodził z niebezpieczeństw zwycięsko.

Ponieważ eleuzyński przybytek leżał na attyckiej ziemi, widzowie rozumieli ten dramat jako podniosły hymn pochwalny ku czci Aten. Jak niegdyś, w dawnych wiekach, stąd wyszła znajomość uprawy roli i początki cywilizacji, tak obecnie Ateny dają błogosławieństwa pokoju i dobrobytu wszystkim ludom i ziemiom, nad którymi sprawują opiekę przewodząc Związкови.

Widowiskom teatralnym przewodniczył główny archont, bo przecież miały one charakter oficjalny. Były podziękowaniem i darem obywateli ateńskich dla boga Dionizosa. O tym,

komu przypadnie nagroda, postanawiali wybrani losem sędziowie. Ponieważ w tym wypadku wszystko wskazywało, że sprawa nie potoczy się gładko, archont przemyślał, w jaki by sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za wyrok sędziowskiego kolegium, w którego skład wchodził z urzędu. Świetne rozwiązanie nasunęło mu się samo.

W teatrze znajdował się Kimon i reszta strategów. Przybyli tu, wszyscy dziesięciu, nie tylko dla samych przedstawień, lecz również i po to, aby starym zwyczajem złożyć bogu Dionizosowi ofiarę z wina. Archont, czyniąc piękny gest wobec tak wsławionego wodza, zrzekł się na jego rzecz swych uprawnień. Prosił, by on i pozostali strategowie złożyli na miejscu sędziowską przysięgę i wyrokowali.

Tak powołane kolegium przyznało zwycięstwo młodemu poecie, autorowi *Tryptolemosa*. Zdecydował głos Kimona, przed którego powagą chylili czoło wszyscy. Jemu zaś, jednemu z twórców Związku, musiał podobać się dramat, który tak pięknie nauczał, że z attyckiej ziemi biorą początek największe dobra społecznego życia.

Młody zwycięzca zwał się Sofokles. Był niemal rówieśnikiem Peryklesa – mogło być między nimi zaledwie dwa lub trzy lata różnicy. Urodził się w miejscowości Hippios Kolonos, położonej o pół godziny drogi od miasta. Przez całe życie zachował Sofokles we wdzięcznej pamięci urok tych sielskich okolic. Były tam cieniste gaje, rozbrzmiewające pieśnią słowików. W zielonych, ustronnych dolinach bujnie porastały krzewy i drzewa, oplecione bluszczem. Powiadano, że nocami płasają tam nimfy. Rankiem błękitna rosa perliła się na kwieciu szafranu i na białych płatkach narcyżu, tak drogiego Persefonie. Czysty potok Kefizos otaczał Kolonos i jego łąki krętym łozyskiem.

Pochodził Sofokles z bardzo zamożnego domu. Jego ojciec posiadał prócz ziemi również i warsztat płatnerski. Chłopiec był dorodny, świetnie grał na kitarze i śpiewał, nieraz też zwyciężał swych rówieśników w zapasach i zawodach, jakie staczali w gimnazjonie.

Kiedy miał lat piętnaście, przypadł mu w udziale zaszczyt wyjątkowy. Poprowadził tanczny korowód ateńskich młodzieńców dziękujących bogom nieśmiertelnym za zwycięstwo pod Salaminą. Chór śpiewał radosny pean, a Sofokles szedł na przodzie z kitarą w rękę i rozpoczynał nowe strofy. Obecnie, nie mając jeszcze lat trzydziestu, stał się dzięki Kimonowi jednym z najsławniejszych poetów Aten!

Tegoż roku 468, wkrótce po Dionizjach, kiedy wiosna otworzyła morze dla żeglugi, wypłynęła z Pireusu flota dwustu trójrzędowców. Dowodził Kimon. Celem wyprawy były południowe wybrzeża Azji Mniejszej, gdzie kwitło wiele miast helleńskich. Pojawienie się eskadry ateńskiej sprawiło, że prawie wszystkie te miasta przystąpiły do Związku. A jednocześnie doszła do Kimona groźna wiadomość:

Niedaleko, u ujścia rzeki Eurymedon, zbiera się flota perska. Liczy już kilkaset okrętów, a zdąża ich tam jeszcze osiemdziesiąt. Towarzyszy flocie silny korpus lądowy, stojący obozem u samych wybrzeży.

Czyżby Persowie przygotowywali nową wyprawę, aby przywrócić swoje panowanie nad Morzem Egejskim? Kiedy Kimon opuszczał Pireus nikt nie przypuszczał, że przyjdzie zmierzyć się z przeciwnikiem tak potężnym. Jego eskadra miała zadanie ściśle określone. Teraz wódz musiał decydować sam, i to natychmiast, w sprawie wielkiej wagi: wycofać się lub – uderzyć!

Niespodziewany atak Ateńczyków przyniósł im w jednym dniu podwójne zwycięstwo. Zdobyli i zniszczyli około dwustu okrętów perskich, a zaraz potem rozgromili korpus lądowy, opanowując obóz pełen skarbów. W kilka dni później znieśli do szczytu owych 80 okrętów, które, nie wiedząc o klęsce swoich, spokojnie płynęły ku wyznaczonemu miejscu.

W roku następnym Kimon mając zaledwie kilka okrętów zaskoczył i zniszczył silną flotyllę Persów, która operowała u wybrzeży Chersonezu i podburzała okoliczne plemiona tracie przeciw Atenom.

Persowie zostali wyparci z morza. Ale w roku 465 Kimon walczył nie z nimi, lecz z Hellenami! Rozkazano mu opanować wyspę Tazos, która usiłowała oderwać się od Związku. W którejś z tych wypraw musiał brać udział jako podkomendny Kimona również i Perykles, należał bowiem wówczas do tych roczników, które kolejno pociągano do służby wojskowej za granicami kraju. Szczególnych zasług jako żołnierz Perykles nie położył, w potrzebie jednak walczył dzielnie.

PERYKLES OSKARŻA KIMONA

Wiosną roku 463 Kimon stanął przed sądem, pozwany przez Peryklesa i jego przyjaciół. Oskarżenie brzmiało:

Kimon dał się przekupić królowi Macedonii Aleksandrowi. Stłumił wprawdzie powstanie na wyspie Tazos i nie dopuścił, aby oderwała się ona od Związku, zamiast jednak uderzyć potem na Macedonię i opanować jej bogate krainy przybrzeżne, spokojnie wrócił do Aten. Postąpił tak dlatego, że wziął od króla pieniądze; dla osobistej korzyści poświęcił dobro ateńskiego ludu.

Wodza złożono z urzędu stratega. Sprawa była poważna. W razie wyroku skazującego Kimon mógł stracić cały majątek – a może i życie – jako zdrajca.

Tak więc powtórzyła się historia. Syn Ksantyposa zmierzał ku zgubie syna Miltiadesa. Potomek Alkmeonidów wystąpił przeciw potomkowi Filajdów. Sojusz obu tych rodów, który przed kilku laty doprowadził do upadku Temistoklesa, okazał się krótkotrwały; wygasł, kiedy tylko zabrakło wspólnego przeciwnika.

Jednakże nie tylko stare waśnie rodowe spowodowały oskarżenie Kimona. Równie ważne były rzeczywiste przeciwieństwa polityczne. Wszyscy oskarżyciele, łącznie z Peryklosem, należeli do jednego stronnictwa: byli demokratami. Co to oznaczało w ówczesnych Atenach? Demokraci rzucali hasła bezpośredniego i pełnego udziału w rządach wszystkich obywateli, bez różnicy majątku; jednocześnie zaś oskarżali arystokratów o przygotowywanie zamachu stanu i porozumiewanie się z Lacedemonem, ostoją ustrojów oligarchicznych. Było rzeczą naturalną, że Perykles, wierny tradycji rodu zarówno matki, jak i ojca, związał się ze stronnictwem demokratycznym. Na razie zresztą nie odgrywał w nim większej roli, prawdziwym bowiem przywódcą był Efiertes, człowiek starszy już, poważny i prawy, nieubłagany ścigający wszelkie nadużycia możliwych. A było z czym się rozprawiać, bo przekupstwa, korupcja, nadużycia urzędnicze i sędziowskie przeżerały ateńską państwowość, wówczas i potem. Peryklesa darzył Efiertes przyjaźnią i zaufaniem z tej choćby przyczyny, że był on bliskim krewnym wielkiego ustawodawcy i budowniczego ateńskiej demokracji, Klejstenesa. W każdym zaś razie bez wiedzy i zgody Efiertesza Perykles nie mógłby wziąć udziału w wielkim ataku na Kimona, co dawało szansę wybiecia się nad szary tłum drugorzędnych działaczy.

A miał już lat trzydzieści kilka! Pora najwyższa, aby czymś się odznaczyć. Oskarżenie wielkiego wodza było dobrym sposobem zwrócenia na siebie uwagi, bo tylko poważna sprawa dawała rozgłos. Wartość i prawdziwość zarzutów nie miały znaczenia, była to przecież tylko gra polityczna.

Niektórzy utrzymywali, że karierę Peryklesa opóźniała pewna jego nieśmiałość. Potęgowały ją podobno dwa czynniki. Po pierwsze, młody człowiek, choć przystojny i niezłe zbudowany, głowę miał nieco wydłużoną. Złośliwcy, od których roило się w Atenach, uznali od razu, że jest to głowa po prostu cebulasta. I sypało się odtąd żarcików bez miary! Najchętniej więc pojawiał się Perykles w hełmie, który zakrywał nieforemność czaszki. Ale to tylko prowokowało kpiarzy do pytań:

– Czemuż to ów dzielny wojak nawet po mieście przechadza się w zbroi?

Po drugie, pewien wiekowy starzec rzekomo zwrócił kiedyś uwagę:

– Z postawy i z głosu Perykles bardzo przypomina mi tyrana Pizystrata!

Te słowa podobno przeraziły młodzieńca. Zamartwiał się: co będzie, jeśli lud uzna, że kandydata na nowego tyrana najlepiej zawczasu usunąć z miasta? I wyobraźnia roztaczała mu ponure wizje ostracyzmu, wygnania, przekreślenia wszelkich celów życiowych nim jeszcze wejdzie w życie. Tak mówiono. Ale w roku 463, kiedy wystąpił z oskarżeniem Kimona, mięło od śmierci Pizystrata lat 60 i rzekome z nim podobieństwo nie mogło być groźne, bo wymarli już ostatni, pamiętający czasy tyranii.

Czy sam Perykles wierzył w oskarżenie, którego był współautorem? Zauważono, że w czasie rozprawy raz tylko wstał ze swego miejsca, aby powiedzieć wyłącznie to, co było jego obowiązkiem jako oskarżyciela. Ale wypowiedź miała charakter ostrożny i możliwie łagodny. Zapewne Perykles przewidywał to, co istotnie nastąpiło: uniewinnienie Kimona.

Oczywiście bowiem Kimon był niewinny. Nie miano żadnych dowodów, że dał się przekupić, nie było nawet prawdopodobieństwa. Wygłaszając mowę obrończą przed sądem wielki wódz miał pełne prawo rzec i te słowa:

– Są w naszym mieście ludzie związani gościnnością z bogatymi miastami Azji Mniejszej i Tesalii. Bronią ich interesów i rzeczywiście otrzymują za to wspaniałe dary. Ja natomiast, jak powszechnie wiadomo, jestem przyjacielem Lacedemończyków, ludzi oszczędnych i ubogich. Te ich cnoty przedkładam nad wszystkie bogactwa. Nie mam żadnych osobistych korzyści z kontaktów ze Spartą. Cieszę się natomiast, że ogromne skarby, które zdobyłem na wrogach, wzbogaciły nasze państwo! Mógł Kimon ręką wskazać sędziom:

Oto na Akropolu stanął nowy, potężny mur z głazów kamiennych. Służy on nie tylko obronie świętego miejsca. Poprowadzony jest tak, że rozszerzył powierzchnię wzgórza. Teraz wyrównuje się tam zapadliny gruzem ze zburzonych przez Persów budowli, aby potem wznieść na płaskim terenie nowe, wspanialsze świątynie. Oto platany zasadzone na agorze, w samym sercu miasta, aby zielenią cieszyły oczy i cień dawały w skwarne dni. I oto wreszcie Akademia, święty okręg za miastem, niedaleko za Bramą Dipylonką, ozdobiony teraz parkiem i zroszony obficie wodą. A wszystko to zawdzięczają Ateńczycy zdobyczom z Kimonowych wypraw!

Właśnie ostatnia wojna z wyspą Tazos przyniosła państwu wielkie bogactwa i źródła zysków: kopalnie złota i srebra na wybrzeżu trackim oraz liczne punkty handlowe w tychże okolicach. Tazyjczycy należeli do Związku, porwali jednak za broń, kiedy zaczęli podejrzewać, że Ateńczycy dążą do zawładnięcia tymi terenami. Leżały one na lądzie stałym na wprost wyspy i były z dawien dawna własnością jej mieszkańców oraz główną podstawą ich dobrobytu. Czysty dochód z owych kopalń wynosił rocznie od dwustu do trzystu talentów. W roku 465 Ateńczycy wysłali tam kilka tysięcy swych kolonistów. Założyli oni osadę nad wielką rzeką Strymon, niedaleko jej ujścia, w miejscowości, której sama nazwa świadczyła jak ważny to węzeł komunikacyjny: Ennea Hodoj, czyli Dziewięć Dróg. Krzyżowały się tu szlaki handlowe wiodące wzdłuż wybrzeży i w głąb lądu. Koloniści zgoła nie kryli się ze swymi zamiarami: mają podporządkować sobie wszystkie okoliczne ziemie, przejąc w swe ręce zyskowny handel z plemionami Traków, potem zaś rozwinąć eksploatację kopalń.

Występując ze Związku i wszczynając przeciw Atenom wrogie kroki liczyli Tazyjczycy na pomoc zarówno zaprzyjaźnionych ludów trackich, jak i króla Macedonii Aleksandra. Jego włości podchodziły do Strymonu od zachodu, a więc usadowienie się Ateńczyków nad tą rzeką nie mogło być mu miłe. Wiosną roku 465 Kimon wyruszył przeciw Tazos na czele silnej floty. Pokonał jej okręty na otwartym morzu, zdobył trzydzieści z nich, potem zaś przystąpił do oblegania miasta.

W tymże czasie część kolonistów z Ennea Hodoj dokonała zbrojnego wypadu w głąb Tracji, zapuszczając się śmiało w dzikie, przepaściste góry. Pod miejscowością Drabeskos wpadli w zasadzkę, z której tylko niewielu uszło z życiem. Reszta osadników przerażona klęską i

grozą trackiego najazdu w popłochu opuściła niegościnną ziemię, wracając do Attyki. Nowa kolonia ateńska miała tu powstać dopiero po trzydziestu latach, i to pod inną już nazwą.

Śmierć kilkuset młodych ludzi pod Drabeskos okryła Ateny żałobą. Nie było rodziny, która by nie oplakiwała kogoś z krewnych. A tymczasem ich zwłoki gniły na obczyźnie, nawet nie przysypane ziemią! Właśnie dlatego postanowiono uczcić pamięć poległych i ukoić żal żywych w sposób godny i szczególny: wyprawiono uroczysty pogrzeb na koszt państwa. Wszystkim. Zarówno tym nielicznym, których kości udało się przywieźć do Attyki, jak i tym, których mary miały być puste. Dotychczas grzebano poległych we wspólnych mogiłach na polu bitwy; tak było i pod Maratonem. Teraz po raz pierwszy odstąpiono od tego zwyczaju – z konieczności oczywiście – i po raz pierwszy zastosowano ceremoniał, który później mieli Ateńczycy oglądać wielokrotnie.

Kości poległych – lub mary tylko z wypisanym nazwiskiem – wystawiono pod namiotami wojskowymi; rodziny i przyjaciele składali przed nimi dary. Po dwóch dniach włożono kości do wielkich trumien z drzewa cyprysowego; było tych trumien dziesięć, po jednej dla każdej filii. Osobne, puste i zasłoną okryte mary niesiono ku czci tych wszystkich, których ciała nie wróciły do ojczyzny. Wśród płaczu i zawodzeń kobiet orszak szedł z agory za Bramę Dipylońską. Tam bowiem, przy pięknej drodze, która wiodła do gaju Akademos, wyznaczono szeroki pas ziemi na cmentarz państwowy dla ludzi zasłużonych i żołnierzy poległych w wielkich bitwach. Grobowiec ludzi spod Drabeskos był tutaj pierwszym zbiorowym. Wystawiono przed nim pomnik i marmurową tablicę z nazwiskami tych, co stracili życie zdradziecko otoczeni w groźnych górach trackich.

Zwiedzający miasto w wiekach późniejszych nigdy nie pomijali cmentarza za Bramą Dipylońską. Podróżni z różnych stron świata odczytywali żałobną listę ofiar bitwy pod Drabeskos, kiedy do bezpowrotnej już przeszłości należała potęga Aten, dla której oddali swoją krew i życie owi młodzi ludzie.

Jednakże klęska Ateńczyków pod Drabeskos w niczym nie poprawiła sytuacji miasta Tazos, wciąż obleganego. Jego mieszkańcy zwrócili się o pomoc do Lacedemończyków. Ci gotowi byli jej udzielić, uważali bowiem, że jest to świetna sposobność zachwiania Związkiem, podstawą ateńskiej potęgi: jeśli inne państwa przekonają się, że można zeń wystąpić bezkarnie, pójdą za przykładem Tazos, a Związek rozpadnie się jak stos niespojonych kamieni. Przyrzekli więc Spartanie w tajemnicy, że wtargną do Attyki i zagrozą samym Atenom. Jednakże w trakcie przygotowań do wyprawy spadła na ich kraj straszliwa katastrofa – trzęsienie ziemi, które obróciło w kupę gruzów większość osiedli. W samej Sparcie ocalało tylko pięć domów! Katastrofa ośmieliła helotów. Była to półniewolna ludność chłopska, pozbawiona wszelkich praw politycznych, uciskana i wyzyskiwana przez cienką warstwę Spartiatów. Powstanie rozgorzało nie tylko w Lakonii, lecz i w sąsiedniej, również opanowanej przez Spartan Mesenii. Dziesiątki tysięcy helotów – co prawda źle uzbrojonych i nie wyćwiczonych – wystąpiło do rozpaczliwej walki przeciw kilkunastu tysiącom Spartiatów, których rzemiosłem było zabijanie. W Lacedemonie nikt nie myślał o wyprawie za granicę, kiedy zagrożony był byt państwa;

Pozostawione samo sobie Tazos stawiało dzielny opór i kapitulowało dopiero wiosną roku 463. Mieszkańcy wyspy musieli zburzyć mury obronne, wydać okręty, pokryć koszty wojny, zrezygnować z posiadłości na wybrzeżu trackim. Tak więc wojna ta opłaciła się sowicie Ateńczykom. Kusily ich jednak i przybrzeżne ziemie macedońskie, gdzie także znajdowały się kopalnie. Powiadano, że dają one królowi Aleksandrowi talent zysku dziennie! Grając na nienasyconej chciwości ateńskiego ludu wrogowie Kimona wysunęli owo absurdalne oskarżenie, że dał się przekupić i tylko dlatego nie zajął macedońskiego okręgu górniczego. A przecież samowolne wszczęcie konfliktu z możliwym królem świadczyłoby tylko o lekkomyślności wodza i na pewno pociągnęłoby za sobą – niezależnie od wyniku wojny – oskarżenie ze

strony tych samych ludzi: Kimon depcze prawa i przywileje zgromadzenia ludowego, podejmuje władcze decyzje jak tyran, naraża Ateny na wielkie niebezpieczeństwo, by tylko zadowolić swoją pychę!

Wyspa Tazos była dotychczas jednym z najbogatszych państw należących do Związku. Przed piętnastu laty przystąpiła doń dobrowolnie i chętnie przyjęła ateńskie przewodnictwo. Miał to być Związek oparty na zasadzie: równi z równymi. Demokratyczny ustrój Aten zdawał się gwarantować, że uszanowane będą wewnętrzne swobody wszystkich, członków. Rychno jednak zaczęły się mnożyć niepokojące oznaki z winy i Aten, i samych związkowców.

Od razu w momencie powstawania organizacji uchwalono, że każde z państw będzie wpłacać pewną składkę – zwano ją foros – do wspólnego skarbcza, w zależności od swych dochodów. Wysokość składek ustalił Arystydes. Później zaś dokonywano pewnych zmian – tak jednak, by łączna suma, która corocznie winna wpływać do skarbcza na wyspie Delos, była zawsze mniej więcej ta sama: około 460 talentów. Kiedy minęło bezpośrednio niebezpieczeństwo ze strony Persów, wiele miast związkowych starało się uchylić od tego obowiązku, a także od wystawiania ustalonej liczby okrętów i ludzi na wyprawy wojenne. Ateńczycy byli jednak surowi. Bezwzględnie, nawet siłą ściągali składki i zmuszali do wysyłania kontyngentów wojskowych. Aby nie podlegać obu tym obciążeniom, większość państw godziła się płacić dodatkową składkę na koszty zbrojeń ateńskich. Dzięki temu Ateny rozbudowywały swoją flotę, sprzymierzeńcy natomiast nie mając własnej musieli godzić się na wszystkie żądania przywódcy Związku, który bez obłonek dążył do przekształcenia tej – dobrowolnej w zasadzie – organizacji w podległe sobie państwo. Jeszcze przed Tazos inna wyspa, Naksos, usiłowała wystąpić ze Związku i spotkała się z surową karą.

Czy jednak owe zwycięstwa nad Naksos i Tazos nie były zarazem klęską wielkiej idei? Oto zaczął się kształtować twór polityczny, który mógłby w przyszłości stać się podstawą ogólnohelleńskiego państwa – gdyby przestrzegano zasad równości i poszanowania praw wszystkich uczestników, zarówno wielkich, jak i małych, demokratycznych, jak i oligarchicznych. Ale ta wielka idea miała swoich wrogów: egoizm, mocarstwowe ambicje i chciwość ateńskiego ludu oraz żądzę sławy i krótkowzroczność ateńskich polityków. A pod tym względem Kimon i Perykles, pozwany i oskarżyciel w roku 463, różnili się niewiele.

SIOSTRA KIMONA I NOWE PRĄDY W MALARSTWIE

Opinia ateńska natychmiast zwróciła uwagę na wstrzemięźliwe zachowanie się Peryklesa w czasie procesu. Szukano wyjaśnienia. Po mieście zaczęła krążyć plotka:

Przed samą rozprawą u drzwi Peryklesowego domu stanęła Elpinike, siostra Kimona, wówczas już rozwiedziona z Kalliasem. Perykles, jeszcze nieżonaty, cieszył się sławą znawcy niewieściej urody. Do Elpiniki jednak rzekł z uśmiechem:

– Nie w tym już jesteś wieku, by takie sprawy załatwiać...

Istotnie, Elpinike miała już lat około pięćdziesięciu. Widocznie jednak fakt, że ona, która jeszcze przed kilkunastu laty uchodziła za najpiękniejszą kobietę Aten, zechciała przyjść z prośbą do jego domu, wielce pochlebił młodemu politykowi. Bo wciąż jeszcze żywa była pamięć, jak to wielki artysta rozślawił i uwiecznił jej urodę!

Tłumy zatrzymywały się przed ogromnym obrazem. Był on malowany na drzewie i zdobił wielką halę, której otwarty front wspierały kolumny. Zwała się Stoa Poikile, czyli Malowana; zbudował ją krewny Kimona. Ponieważ hala stała przy rynku, co dzień przewijały się przez nią setki osób, latem szukając schronienia przed słońcem, zimą zaś przed chłodem i deszczem. Tutaj omawiano ze znajomymi interesy handlowe, tutaj też odbywały się niekiedy rozprawy sądowe lub uroczystości oficjalne.

Obraz był jednym z czterech zawieszonych w Stoa Poikile. Przedstawiał zburzenie Troi. Zachwycał swobodą kompozycji i nowością techniki malarskiej. Artysta umiejętnie rozrzucił barwne sceny po rozległej przestrzeni krajobrazu lekko naszkicowanego, a bardzo urozmaiconego. Toteż choć postaci było wiele, całość nie sprawiała wrażenia natłoku. Dramatyczne wydarzenia miały za tło mury i świątynie Troi oraz okoliczne góry i lasy. Postacie były ujęte w ruchu. Twarze ich, przeważnie zwrócone ku widzowi, wyrażały silne uczucia. Usta wielu osób były szeroko otwarte. Zdawało się, że słychać, jak wiedzione do niewoli kobiety oplakują swój los i jak zwycięzcy żołnierze objawiają radość wrzaskiem, surowi zaś wodzowie gromią bezbożność Ajasa. On bowiem, zaślepiony żądzą, nawet na świętości nie zważał: porwał Kasandrę, choć dziewczyna schroniła się u ołtarza Ateny i rękoma objęła posąg bogini.

Żaden dotychczas artysta nie zespolił w jednym malowidle, i to tak szczęśliwie, tylu nowych sposobów oddania ruchu i uczucia. Niezwykłość ujęcia uderzała każdego, kto tylko wszedł do Stoa Poikile. Zapewne, wielu utyskiwało nad zbytnią śmiałością twórcy, wzdychając:

– Dawniej malowano prościej i godniej. Oblicza ludzi były poważne i surowe jak maski. Młodzi nie rozumieją dostojności i piękna umiaru. Chcą za wszelką cenę być inni od swych poprzedników, chcą czymś się różnić. I dokądże to zaprowadzi nas owa pogoń za nowością w sztuce?

Na ogół jednak przyznawano:

– Polignot ma wielkie zdolności! Byli nawet tacy, którzy dowodzili z całym przekonaniem:

– Dopiero od niego rozpoczyna się prawdziwe malarstwo. On odkrył i stworzył tę sztukę, jak Dedal rzeźbę!

Jednakże znaczna, a może nawet i większa część widzów nie zastanawiała się w ogóle nad artystycznymi walorami obrazu i nie rozprawiała o istocie nowego prądu w sztuce. Tych interesował jeden tylko szczegół wielkiej kompozycji, jedna tylko postać wśród wielu. Ze znaczącym uśmieszkiem pokazywano sobie wzajem dziewczynę stojącą w pobliżu ołtarza, przy którym Kasandra szukała ratunku. Twarz owej dziewczyny była urzekająco piękna, każdy rys wyczelowany był z lubością, jakby artyście szczególnie zależało na uwydatnieniu tej właśnie postaci. Zapytywano kąśliwie:

– Czy to dlatego, że dziewczyna ma przedstawiać Laodikę, najurodziwszą ze wszystkich cór króla Troi? I od razu padała odpowiedź:

– Oczywiście, nie o to chodzi. Przecież ta Laodika na obrazie jest wiernym portretem Elpiniki! Jeśli ktoś naiwnie wypytywał dalej:

– A czemuż to ją właśnie spotkał zaszczyt tak niezwykły? Zapewne artysta pragnął złożyć hołd urodzie, która jest darem bogów?

– spotykał się ze wzgardliwym śmiechem znawców życia:

– Ona po prostu nie skąpiła Polignotowi swych wdzięków. Odtworzył ją rzeczywiście świetnie, ale chyba i poznał dobrze!

Wielu gorąco przeczyło tym plotkom:

– Nawet jeśli Elpinike nie żyła dobrze ze swym mężem, z Kalliasem, to od miłości z malarzem na pewno wstrzymałby ją wzgląd na świetność rodu. Jest przecież córką Miltiadesa!

A właśnie w Stoa Poikile znajdował się obok *Zburzenia Troi* wielki obraz pędzla uczniów Polignota. Przedstawiał bitwę pod Maratonem w trzech scenach. Było to malowidło podziwiane powszechnie, bo schlebiali ateńskiej dumie.

Scena pierwsza pokazywała, jak Ateńczycy biegiem ruszają przez równinę ku perskim szykom. Miltiades jest wśród pierwszych i ręką wskazuje wroga.

Sama bitwa wypełniała scenę drugą: nad ciżbą zbrojnych godzących w siebie mieczami i włóczniami górują postacie bóstw i bohaterów z dawnych mitów. Jest wśród nich Atena i

Herakles, jest też Tezeusz i prosty rolnik Echetlos, który gromi najeźdźców pługiem. Część Persów, zepchnięta ku nadbrzeżnym moczarom, wzajem się trątuje i topi.

I wreszcie scena trzecia: Persowie uciekają na okręty w popłochu, a najdzielniejszy z Ateńczyków usiłują wdrzeć się na nie. Kinegejros, brat poety Ajschylosa, już uczepił się burty, lecz oto Pers broniący wejścia na pokład podnosi w górę ciężki topór! Inny Ateńczyk, Kallimach, stoi wyprostowany, przesyty kilku włóczniami – już martwy, lecz włócznie nie pozwalają mu upaść.

Portrety wszystkich wybitnych osób biorących udział w bitwie były wierne. Artyści dołożyli starań, aby odtworzyć przebieg wielkich zmagania z wszystkimi szczegółami. Nie zapomnieli nawet o psie, który szedł krok w krok za swym panem i nie opuścił go w najkrwawszym zamęcie.

Dzięki sąsiedztwu obu obrazów starcy mogli biadać, wskazując to na Miltiadesa, to na Elpinikę:

– Oto bohater ojciec, a oto córka, kochanka malarza! W jakichże to wypadło żyć nam czasach! Obrońcy Elpiniki odpowiedzieli:

– Polignot to nie zwykły sobie malarzyna, który żyje z łaski zamawiających obrazy i schlebia ich zachciankom. To sławny artysta, człowiek zamożny. *Zburzenie Troi* ofiarował naszemu miastu, które ocaliło wolność Hellady. Od nas otrzymał za to ateńskie obywatelstwo; bo był tutaj obcym, pochodzi z wyspy Tazos.

Przeciwnicy natychmiast wysuwali inny zarzut:

– Ale i tak ta kobieta nie prowadziła się dobrze. Przez jakiś czas żyła nawet ze swym przyrodnym bratem, z Kimonem!

Prawo ateńskie zezwalało na zawieranie małżeństw między rodzeństwem przyrodnim. A więc istotą zarzutu było nie rzekome pożycie obojga, lecz nie zalegalizowanie związku. Źródłem zaś jadowitej potwarzy był fakt, że po śmierci Miltiadesa, kiedy jego potomstwo pozostawało w ubóstwie, brat i siostra prowadzili wspólnie skromne gospodarstwo – póki bogacz Kallias nie wziął Elpiniki za żonę.

Zapewne, piękna kobieta jest zawsze przedmiotem zawiści i obmowy. W tym jednak wypadku łatwo było przejrzeć, że plotki i wymysły wypływają z pewnych kół nie tyle towarzyskich, ile politycznych. Nieprzejednana ich zaciekłość prześladowała całą rodzinę od lat. Nie przebierano w środkach, byle tylko zniszczyć dom Miltiadesa.

KTO ZAMORDOWAŁ EFIALTESA?

Proces Kimona odbył się latem roku 463. W kilka miesięcy potem, wczesną wiosną roku 462, przybyli do Aten posłowie lacedemońscy. Jeszcze dziesiątki lat później tak o tym opowiadano z uciechą:

– Byli w swych czerwonych płaszczach, ale bladzi ze strachu jak trupy. Siedzieli na stopniach ołtarzy i błagali jęcząc: przyślijcie pomoc, bo zginiemy!

W rzeczy samej, Lacedemończycy prosili o pomoc wojskową. Powstanie helotów, które wybuchło po strasliwym trzęsieniu ziemi w roku 464, wciąż jeszcze trwało. Jego ośrodkiem była Mesenia, kraina granicząca z Lakonią od zachodu, żyzna i ludna. Spartanie podbili ją już przed kilkunastu pokoleniami, w wyniku długich i krwawych wojen. Mieszkańców Mesenii obrócili w swych poddanych, nie zdołali jednak wyrwać z ich serc pamięci dawnej świetności i swobód. Obecnie główną twierdzą powstańców był masyw górski Itome, który wznosił się, wysoki i stromy, prawie w środku Mesenii. Wdrzeć się na Itome nie było sposobu, obrońcy zaś mieli nie tylko zapasy żywności, lecz mogli też łatwo dokonywać wypadów, korzystając z kryjówek oraz przejść wśród skał i lasów. Przedłużanie się oblężenia podrywało powagę Lacedemonu w oczach całej Hellady. Każdej też chwili mogło wybuchnąć nowe powstanie he-

lotów w okolicach, gdzie już je stłumiono. Dlatego to właśnie Spartanie zdecydowali się na tak upokarzające posunięcie: oni, słynący z wojskowych umiejętności i odwagi, największą potęgą wśród państw helleńskich, zwracali się do wielu rządów z prośbą o zbrojną pomoc przy zdobywaniu Itome! Szczególnie zależało im na oddziałach ateńskich, które miały duże doświadczenie przy pracach oblężniczych.

Sprawa, czy należy udzielić pomocy, wywołała w Atenach gorące spory. Demokraci, a zwłaszcza ich przywódca Efiates, sprzeciwiali się prośbie Spartan bardzo gwałtownie. Efiates mówił otwarcie:

– Z jakiej racji mamy wspierać naszych najgroźniejszych przeciwników? Niech leżą, niech giną! Trzeba raz wreszcie zdeptać lacedemońską pychę!

Zupełnie inne było stanowisko Kimona. Wygłosił przed zgromadzeniem ludowym wielką mowę, w której wywodził obrazowo:

– Bez Sparty, bez jej wojskowej siły, Hellada jako całość zawsze będzie chromać. Państwo nasze i Lacedemończyków to jakby dwa konie zaprzęzione do tego samego rydwanu. Sami nie uciągniemy wszystkiego!

Taki bowiem był zasadniczy pogląd Kimona, któremu wciąż i wszędzie dawał wyraz z właściwą sobie otwartością: należy rozszerzać potęgę Aten i rozbudowywać Związek, aby władać na morzu; na lądzie natomiast pierwsza niech pozostanie Sparta. Aby okazać, jak bliskie jest jego sercu państwo nad rzeką Eurotas, dał swemu najstarszemu synowi imię Lacedemonios.

Ponieważ proces macedoński zakończył się niewinnieniem Kimona od wszelkich zarzutów, jego pozycja była obecnie szczególnie silna i jego zdanie przeważało w zgromadzeniu ludowym. Uchwalono przychylić się do prośby Spartan i wysłać pomoc natychmiast. Cztery tysiące ciężkozbrojnych piechurów – zwano ich hoplitami – ruszyło na Peloponez pod wodzą samego Kimona.

Okazało się, jakże rychło, że wielki wódz nie jest najlepszym politykiem. Głosując za wyprawą i jej przewodząc zgotował zgubę sam sobie.

Oto już w kilka miesięcy później, jesienią roku 462, korpus Kimona był z powrotem w Atenach, choć Itome wciąż się broniła. Odesłali go sami Spartanie. Stwierdzili po prostu, że nie potrzebują już pomocy z zewnątrz. Nie było to prawdą, inne bowiem państwa prosili o pozostawienie swych oddziałów. Powód, dla którego odprawili właśnie Ateńczyków, można było łatwo odgadnąć. Obawiali się Spartanie, że żołnierze z demokratycznego państwa wejdą w porozumienie z powstańcami i w ogóle z wszystkimi helotami. Obawiali się tego tym bardziej, że właśnie pod nieobecność Kimona demokraci w Atenach odnieśli wielkie zwycięstwo.

Już od dawna przedmiotem zaciekłych ataków Efiatesa był Areopag. Tak nazywano radę byłych archontów, bo swoje posiedzenia odbywała ona często na wzgórzu Arejos, które wznosi się tuż na zachód od Akropolu, skaliste i trudno dostępne. Członkowie Areopagu sprawowali swoją godność dożywotnio, a uprawnienia tej rady były bardzo szerokie. Stanowiła ona główną ostoję arystokracji oraz warstw zamożnych, z nich tylko bowiem wybierano archontów. Efiates usiłował podkopać znaczenie Areopagu ustawicznie wytaczając poszczególnym jego członkom procesy o nadużycia. Ale dopiero wyprawa Kimona pod Itome umożliwiła demokratom przeprowadzenie zasadniczego uderzenia. Już sama nieobecność wielkiego wodza ułatwiała jego przeciwnikom kampanię polityczną. A równie ważne było i to, że z Kimonem wyruszyło na pomoc Sparcie tysiące jego zwolenników. Kimże bowiem byli owi hoplici jego korpusu? Wszyscy pochodzili z domów przynajmniej średniozamożnych, bo przecież tylko bogatych ludzi stać było na zakup pełnej zbroi. Stało się więc tak, że latem roku 462 w zgromadzeniu ludowym przewagę mieli obywatele ubożsi, którzy zazwyczaj służyli w wojsku jako lekkozbrojni i łucznicy lub też jako wiosłarze okrętów. Ponieważ w tym

właśnie czasie, po zdobyciu Tazos, nie prowadzono żadnej wojny morskiej, prawie wszyscy oni pozostali w mieście, gdzie z natury rzeczy stanowili najgorętszych stronników demokratów.

Ustawy, które Efiates i Perykles przedłożyli zgromadzeniu, przegłosowano. Odebrano Areopagowi prawie wszystkie jego dotychczasowe uprawnienia. Pozostały tej radzie tylko pewne sprawy sądownicze: wyrokowanie w procesach o umyślne morderstwo lub uszkodzenie ciała, o trucicielstwo, o podpalenie. Prócz tego sprawował Areopag nadzór nad oliwkami, świętymi drzewami Ateny, i osądzał tych, którzy ośmielali się je ścinać. Był też współodpowiedzialny za święte okręgi bóstw w całej Attyce, Natomiast wszystkie inne, rzeczywiście ważne przywileje i kompetencje Areopagu przeszły na radę pięciuset, częściowo zaś na zgromadzenie i sądy ludowe. Odtąd przede wszystkim rada pięciuset czuwała nad praworządnością i pociągała do odpowiedzialności winnych jej łamania. Każdy obywatel miał prawo przedłożyć skargę na urzędnika. W pewnych wypadkach rada mogła karać nie tylko grzywną i więzieniem, lecz nawet śmiercią.

Próżne były usiłowania Kimona, aby cofnąć uchwalone już ustawy. Demokraci, broniąc się i atakując, nie przebiali w środkach. Znowu odżyły plotki i niewybredne dowcipy o Elpinice. Ich echo brzmi jeszcze w wierszach komedii, która powstała kilkadziesiąt lat później:

„Kimon człek był dobry, ale lubił pić i postępował lekkomyślnie. Czasem nocował w Sparcie, samiuteńką zostawiając swoją Elpinikę!”¹⁵

Co jednak naprawdę i najbardziej szkodziło Kimonowi, to niesławny powrót spod Itome. Wywody demokratów znajdowały teraz chętny posłuch nawet wśród ludzi, którzy dotychczas uznawali Kimona za dobrego przywódcę państwa:

– Lacedemończycy upokorzyli nas. Wreszcie pokazali, co o nas myślą! Jesteśmy, w ich przekonaniu, zdolni do wszelkiej zdrady i podłości. I na cóż się zdały owe wszystkie zabiegi Kimona o przyjaźń ze Spartą? Jeśli on, najwierniejszy orędownik ich sprawy, spotkał się z taką odprawą, to jak postąpiliby Lacedemończycy ze swymi przeciwnikami? Jaki sens ma cała Kimonowa polityka?

Istotnie, ta polityka leżała obecnie w gruzach. Dlatego, kiedy wiosną roku 461 demokraci zwrócili się do zgromadzenia z zapytaniem: czy należy przeprowadzić sąd skorupkowy? – odpowiedź była twierdząca. W ówczesnej sytuacji wynik był do przewidzenia z góry. Na dziesięcioletnie wygnanie poszedł Kimon.

W bardzo krótki czas potem Efiates padł ofiarą skrytobójczego zamachu. Nigdy nie wykryto sprawcy zabójstwa, nigdy bowiem nie zostało przeprowadzone pełne śledztwo. Oczywiście, ludzie stronnictwa demokratycznego głosili i wówczas, i później:

– Zabójcami są oligarchowie. To zemsta za wygnanie Kimona. Zamordowano Efiatesa, aby usunąć człowieka, który obalił wszechwładzę Areopagu i umocnił prawa ludu.

Ale odzywały się też zgola odmienne głosy o tej ponurej sprawie:

– Sprawcy mordu nie schwytano, bo nie chciano go schwytać. U władzy są obecnie demokraci, ich więc nade wszystko obciąża ta dziwna zaiste opieszałość i nieudolność. Od chwili śmierci Efiatesa demokratom przewodzi Perykles. Jeśli komuś przyniosło korzyść to zabójstwo, to właśnie i przede wszystkim jemu!

Tych nienawistnych oskarżeń nie można było traktować poważnie. Było jednak faktem, że odejście Kimona i śmierć Efiatesa wyniosły Peryklesa, dotychczas pozostającego w ich cieniu, na pierwsze miejsce w państwie. Stał na czele rządzącego stronnictwa i choć nie piastował żadnej oficjalnej godności – dopiero później zaczęto go wybierać na urząd stratega – było wiadomo, że zgromadzenie ludowe będzie w każdej sprawie głosować zgodnie z jego wolą. Toteż wszyscy obywatele ateńscy, wszyscy mieszkańcy miast Związku, wszyscy przywódcy

¹⁵ *Eupolis*, frg. 208 (*The Fragments of Attic Comedy*, wyd. J.H. Edmonds, vol. I, Leiden 1957; dzieło to cytowane jest dalej: Edmonds, FAC).

państw Hellady i krajów ościennych spoglądali z ciekawością na tego trzydziestokilkuletniego mężczyznę, który miał odtąd decydować o polityce wielkiego mocarstwa, a więc pośrednio i o losach ówczesnego świata. Zapytywano:

– Jakież to człowiek, ten syn Ksantyposa i potomek Alkmeonidów? Jakie ma poglądy, upodobania, słabostki?

Ale Perykles był zagadką dla wszystkich. Poza tym, że jest już czuły na wdzięki niewieście, prawie nic nie dało się powiedzieć o jego życiu osobistym. Zachowywał się zawsze poważnie i statecznie, nawet uśmiech prawie nigdy nie gościł na jego spokojnym obliczu. Widywano go, idącego zawsze powoli i pogrążonego w myślach, właściwie na jednej tylko ulicy: tej, która prowadziła z domu na agorę. Nigdy nie przyjmował zaproszeń na przyjęcia i uczyty. Ubierał się skromnie i schludnie, pilnie jednak zważając, aby fałdy szat układały się dobrze. Żył bardzo oszczędnie, choć majątek posiadał duży. Przemawiał dość rzadko, ale właśnie dlatego słuchano go z największą uwagą; były to mowy rzeczowe i jasne, oszczędne w słowach, wygłaszane spokojnie i bez jakiegokolwiek afektacji. Powiadano pół żartem, że wchodząc na mównicę Perykles odmawia cichą modlitwę do bogów:

– Obym nie rzekł ni słowa więcej niż potrzeba dla dobra sprawy!

Ale właśnie ta prostota wypowiedzi przekonywała bardziej niż mętne wody wielosłownych frazesów, którymi tak chętnie raczyli swych słuchaczy pomniejsi politycy. Kto słyszał Peryklesa, ten chętnie godził się na wszystkie jego wnioski i propozycje, odnosił bowiem nieodparte wrażenie:

Oto człowiek, któremu zależy tylko na dobrej sprawie. Wyłożył jasno i uczciwie wszystkie argumenty, które przemawiają za tym i za tamtym rozwiązaniem. Oczywiście, ma zupełną rację – w tym wypadku możliwe do przyjęcia jest tylko jego stanowisko, należy postąpić właśnie tak jak radzi! Sprawdzala się więc stara zasada: największą sztuką jest ukrycie samej sztuki; najlepszym mówcą jest nie wzniosły deklamator, lecz ten, kto wydaje się przemawiać najzwyczajniej.

TAJEMNICZY METEOR I MISTRZ PERYKLESA

Powaga i powściągliwość rychło zyskały Peryklesowi przydomek Olimpijczyka. Miał on oznaczać, że Perykles jest jak jeden z bogów olimpijskich, wyniesiony ponad przyziemne sprawy codzienności i szamotaninę małych ludzi w szponach nierozumnych uczuć. Powszechnie przypisywano tę „olimpijskość” wpływowi człowieka, który należał do najbliższych przyjaciół Peryklesa, choć nie był Ateńczykiem i stronił od spraw polityki.

Zwał się Anaksagoras. Pochodził z miasta Klazomenaj w Azji Mniejszej, a do Aten przybył wkrótce po roku 468 na skutek niezwykłego wydarzenia. W roku tym mieszkańcy wielu krain przez 75 dni z rzędu widzieli na niebie ogromne ciało, wyglądające jak obłok płomienisty. Pokazywało się na nieboskłonie od strony zachodniej, a poruszało się po linii krętej i łamanej. Ogniste odłamki rozpryskiwały się w różne strony, niby gwiazdy spadające. Aż wreszcie, po siedemdziesięciu pięciu dniach, ludność Chersonesu usłyszała przerażający huk, jakby waliło się niebo, a ziemia półwyspu aż się zatrzęsała w posadach. Kiedy minęły pierwsze chwile trwogi, tłumy zbiegły się ku miejscu, gdzie spadła na ziemię ognista masa. Było to w pobliżu rzeczki Ajgos Potamoj. Spieszący tam spodziewali się ujrzeć jakąś górę ogniem zięjącą – a tymczasem zobaczyli, po długich poszukiwaniach, tylko zwykły gład wielkości młyńskiego kamienia, jakby osmolony żarem, głęboko zaryty na dnie leja. Wydobyty na wierzch pozostał jako świętość całego kraju, pokazywana przez setki lat przybyszom z wielu okolic.

Od razu zaczęto się zastanawiać, jak wyjaśnić to wydarzenie. Niektórzy mówili:

– Gwałtowna wichura oderwała jakąś skałę w wysokich górach i niosła ją potem przez powietrze wirując nią niby bakiem; Aż wreszcie osłabła siła wichru, zwolniły się obroty gładu i spadł on właśnie tutaj.

Inni rozumowali trochę odmiennie:

– To właśnie owa ognista chmura na niebie spowodowała gwałtowne porywy powietrza, które uniosły z górskich szczytów ciężki gład aż na Chersonesz!

Pogląd Anaksagorasa różnił się całkowicie od tych wyjaśnień. Ognista chmura na niebie i wieść o kamieniu chersoneskim stały się dlań niby objawieniem. Doznał olśnienia. Jakby łu-ski spadły mu z oczu, jakby widok się otwarł na niezmierną przestrzeń wszechświata i cudownie prosty układ kosmosu:

Gład, który spadł na Chersonesie, jest właśnie owym płomienistym ciałem, przez tyle dni oglądanym na niebie. Wszystko bowiem, co krąży wysoko nad nami, gwiazdy, słońce, i księżyc, to ogromne głady. Błyszcą one i świecą, bo rozżarzają się pokonując opór eteru. Co utrzymuje owe ciała na niebie, by nie spadły? Siły, jak siła obrotu, które przenikają cały świat. Czasem jednak zdarzają się jakieś przeszkody, wstrząsy i zaburzenia. Wtedy ciała niebieskie zostają wytrącone z torów i spadają w dół. Rzadko się jednak zdarza, aby taki gład dotknął ziemi zamieszka-nych; zwykle tonie w oceanach, które pokrywają bezkresne przestrzenie.

To było pierwsze odkrycie Anaksagorasa. Wokół niego zaczął on budować cały system, dochodząc wreszcie do stwierdzenia:

Świat nasz stworzyli nie bogowie, lecz Rozum, który wprowadził w ruch chaotycznie prze-mieszaną masę materii; wówczas to zaczęły rozdzielać się różnorodne pierwiastki.

W roku 468 Anaksagoras miał lat około trzydziestu. Pochodził z rodziny zamożnej, ale sprawy rodzinne i majątkowe stały się dlań nie tylko obojętne, lecz i uciążliwe. Postanowił porzucić wszystko, co mogłoby odciągnąć jego myśli od celu jedynie ważnego: od badania przyczyn i ładu wszechrzeczy. Dlatego to właśnie przeniósł się z Kladzomenaj do Aten. Dziwny to był wybór, Ateny bowiem, jak dotąd, niczym się nie zapisały w dziejach helleń-skiej myśli poznawczej. Miłość mądrości zrodziła się i kwitnęła przez kilka pokoleń w mia-stach Azji Mniejszej, w Milecie i w Efezie, a nieco później bujnie rozwinęła się także na Za-chodzie, w Italii i na Sycylii. Nie było to przypadkiem. Tamtejsi Hellenowie, obrotni kupcy i śmiali żeglarze, mieli szerokie horyzonty. Stykali się w swych podróżach z ludźmi różnych krain i obyczajów. Porównywali, wyciągali wnioski, zapożyczali wszystko, co wydawało się wartościowe. Natomiast miasta Hellady właściwej początkowo nie miały tak różnorodnych i bezpośrednich kontaktów z obcymi ludami. Były ubogie i zacofane, a zżerały je właśnie we-wnętrzne i ustawiczne wojny z sąsiadami, toczone nieraz tylko o miedzę. Nie mógł więc tutaj nawet zawiązać pączków ów najsztubtelniejszy wykwit kultury: bezinteresowne oglądanie wszechświata i zastanawianie się, jak dzieje się to wszystko, w co wplątany jest los człowie-czy. Owszem, zajmowano się w Helladzie wielu umiejętnościami ducha, ale tymi tylko, które, jak sądzono, mają praktyczne znaczenie. Uprawiano poezję, aby uczcić bogów i znakomitych ludzi lub przekazać potomności zbawienne nauki postępowania. Budowano świątynie i zdo-biono je posągami, aby zyskać sobie przychylność niebian.

A jednak Anaksagoras przeniósł się do Aten, do miasta żyjącego tylko polityką i handlem! Bo i cóż pasjonowało naprawdę ludzi, wśród których zamieszkał? Spory stronnictw, pienią-dze, procesy sądowe, wyprawy wojenne. Powodowało Anaksagorasem chyba to, że do Aten, od utworzenia Związku niemal stolicy Hellady, najszybciej docierały wiadomości z całego świata; a były one dla filozofa materiałem, z którego budował gmach swego systemu. Przy-bywało też do Aten wielu interesujących ludzi ze wschodu i z zachodu, w sprawach własnych i państwowych. Można więc było zetknąć się tutaj i rozprawiać z najświetniejszymi umysłami i z najlepszymi znawcami różnych umiejętności.

Czymkolwiek zresztą kierował się Anaksagoras, jego zadomowienie się w Atenach miało skutki doniosłe. Na attyckiej dziczce zaszczerpiona została szlachetna gałąź jońskiej filozofii. I

odtąd wydawała ona wspaniałe owoce. Rozpoczął się od Anaksagorasa długi szereg ateńskich myślicieli, ludzi urodzonych w Atenach lub tutaj działających ze swobodnego wyboru. Należeli do tego łańcucha; aby wymienić tylko najbardziej znanych: Sokrates, Platon, Arystoteles, Zenon, Epikur.

Dla współczesnych jednak ważne było tylko to, że Anaksagoras jest przyjacielem i mistrzem Peryklesa. Przypisywano wpływowi filozofa olimpijską wyniosłość Peryklesa, jego rzeczowość i zamiłowanie do jasnych konstrukcji myślowych. Mówiono:

– Jak według Anaksagorasa wszystkim rządzi Rozum, który ład wprowadza w świat rzeczy, tak Perykles pragnie ustanowić sprawy państwa na wzór owego Rozumu!

Było w tym twierdzeniu oczywiście sporo złośliwości. A później wśród pobożnego ludu Aten coraz częściej odzywały się glosy, że Anaksagoras wszczepia swemu uczniowi niedowiarstwo. Przyznawano, owszem, że Perykles przestrzega zasad kultu, składa ofiary, popiera budowę świątyń. Wielu jednak utrzymywało:

– To czyni on tylko na pokaz, aby nie zrazić sobie ludu, wiernego starym bóstwom i tradycjom ojców. Na pewno natomiast nie wierzy we wróżby i przepowiednie, choć przecież bogowie dają nam śmiertelnym znaki i ostrzeżenia w różnych chwilach. On sam miał możność o tym się przekonać!

I przytaczano taką opowieść:

Kiedyś przyniesiono Peryklesowi głowę barana, który urodził się w jego posiadłości za miastem. Przyniesiono tę głowę jako dziw natury, wyrastał z niej bowiem jeden tylko róg, duży i twardy. Zdarzyło się, że w domu Peryklesa gościł wówczas i Anaksagoras, i sławny wróżbita Lampon. Z tym ostatnim Perykles przestawał chętnie, może dlatego, aby przeciwdziałać pogłoskom o swym niedowiarstwie. Otóż Lampon, gdy tylko spojrzał na ten wybryk natury, zakrzyknął:

– To znak boży! Człowiek, na którego ziemi zrodził się jednorożec, będzie jedynym panem miasta!

Anaksagoras uśmiechnął się i kazał głowę rozrąbać; zaczął wywodzić, że baran urodził się z jednym rogiem, ponieważ układ jego czaszki i mózgu nie był normalny.

Zapytywano:

– Który z tych dwóch miał rację? Może obydwaj. Ale ważniejsze było to, co powiedział Lampon. Bo stała się owa rzecz w czasie, kiedy Perykles walczył o pierwsze miejsce w państwie z Tukidydesem, synem Melezjasza, przywódcą oligarchów. A wkrótce potem Tukidydesa wygnano ostracyzmem, Perykles zaś rzeczywiście kierował sprawami państwa nie mając przez długie lata żadnych przeciwników!

To jednak miało się dopiero zdarzyć w roku 443. A już wcześniej pojawił się u boku Peryklesa tajemniczy człowiek, któremu przypisywano wpływ równy temu, jaki wywierał Anaksagoras. Ów człowiek był nauczycielem i świetnym teoretykiem muzyki; zwał się Damon. Powszechnie jednak utrzymywało, że naprawdę interesują go tylko sprawy polityki, naukę zaś gry traktuje jako zasłonę dla swej właściwej działalności. Twierdzono uporczywie, że wiele zmian w ustroju państwa, wprowadzonych przez Peryklesa, w istocie wypłynęło z Damonowych pomysłów. Może jednak słuszniej byłoby powiedzieć, że to właśnie Damon powstrzymywał Peryklesa od śmiałych posunięć reformatorskich; był bowiem ów nauczyciel muzyki z przekonania konserwatystą. Tak, jak się wydaje, rozumiał nastawienie i działalność Damona także i Platon, który w IV księdze swego *Państwa* wywodzi ustami Sokratesa:

– Strażnicy państwa powinni przede wszystkim na to zważać, by wbrew ustalonemu porządkowi nie pojawiły się jakieś nowe prądy w zakresie kultury fizycznej i muzyki. Niech dbają o to ze wszystkich sił! Należy mieć się na baczności przed wszelkimi nowościami w muzyce, bo zagrozić one mogą całości. Nigdy bowiem nie zmienia się styl muzyki bez największych wstrząsów w ustroju politycznym! Tak mówi Damon, i ja mu wierzę.

Rozdział piąty.

DOBRE BOGINIE

ORESTEJA

U stóp posągu Ateny usiadł człowiek śmiertelnie znękany. Modlił się głośno:

– Pani, okaż mi swoją łaskę! Tułałem się po tylu już j ziemiach! Ze zmaży krwi oczyścił mnie Apollon. Posłuszny jego woli przyszedłem tutaj, do twego miasta, by prosić tylko o jedno: o sprawiedliwy wyrok!

Nie skończył jeszcze modlitwy, a już nadbiegły czarne boginie. Wołały przeraźliwie:

– Tu ślad wyraźny! Tropimy go jak psy rannego jelenia! Węszymy krople krwi na ziemi, patrzymy wokoło, aby znowu nie wymknął się morderca! Oto jest, tu siedzi! Przeklęty, ręko- ma oplótł posąg! Ale nic mu już nie pomoże. On przelał krew, a my wypijemy żywą krew z otwartych jego tętnic. Zejdiesz w mroczne podziemia, zobaczysz, co czeka bezbożnych! I tych, co złamali prawa gościnności! I tych, co na rodziców rękę podnieśli! Nie ocali cię nikt, ani Apollon, ani Atena. Będziesz żerem złych duchów, zginiesz jako mara bez krwi. Sprawie- dliwe jesteście. Nikogo nie dotknie nasz gniew, kto ręce ma czyste. Lecz biada temu, kto zbrodnią się splami – jak ten oto! Nasz cios jest niemylny! Bronimy praw tych, którzy zmarli!

Czarne boginie ciasnym kręgiem otoczyły posąg i błagalnika, wyjąc i złorzecząc. Umilkły jed- nak, kiedy wśród chmur zjawiła się Atena w promienistej zbroi. Z daleka usłyszała wołania. Przy- była zdziwiona, skąd ów niepokój w jej umiłowanym grodzie. Ścigany zwrócił się do niej pokornie:

– Pochodzę z ziemi Argiwów. Znasz dobrze mego ojca: był nim Agamemnon, król Myken, ten właśnie, który popłynął pod Troję i dzięki tobie zdobył miasto Priama. Gdy jednak po wielu latach powrócił do domu, zginął śmiercią straszną. Zamordowała go jego żona, a moja matka. Spętała męża płaszczem, gdy był w łaźni, a jej kochanek dobił go toporem. Ten płaszcz, czarny od krwi, do dziś jest świadectwem zbrodni. Mnie wygnano z domu, żyłem na obczyźnie. Wróciłem, aby zabić matkę i jej kochankę. Pomściłem krew ojca. Twierdzą jed- nak, że miałem współnika tego czynu i mogę go wskazać. Był nim sam Apollon, bóg, który objawia swoją wolę w Delfach. Bo groził mi męką straszną, jeśli nie ukarzę matki. Tak by- ło, o Pani. Osądź sama, czym słusznie postąpił. Ja z góry poddaję się twemu wyrokowi.

Odrzekła na to Atena:

– Sąd to trudny. Trudniejszy, niż się wydaje wam, śmiertelnym. Oczyszczony już jesteś i mojej świątyni nie splamisz. Lecz czarne boginie nie odejdą z próżnymi rękami. Jeśli nie od- dam im ciebie, jadę swego gniewu zbryzgają ziemię moich Aten. Skoro jednak już doszło do tego, skoro tę sprawę wytoczono przede mną – niechże tak będzie. Przyprowadzę tu mę- żów czciogodnych. Każę im rozsądzać sprawy o krew. Serca ich są sprawiedliwe, nie złamią więc przysięgi, którą dziś ustanawiam na wieczne czasy.

Przybyli sędziowie, zgromadził się lud. Zjawił się też bóg Apollon, aby świadczyć, że prawdę mówi Orestes:

– Było wolą Zeusa, aby pomścił on śmierć ojca zabijając matkę! Lecz czarne boginie niezlomnie obstawały przy swoich prawach, które zrodziły się razem ze światem. Jeśli raz naruszy się odwieczny porządek, runie cały ład boskiej i ludzkiej społeczności!

Przed samym głosowaniem Atena tak przemówiła do ateńskiego ludu:

– Oto jest pierwsza sprawa o zabójstwo tu rozpatrywana. Obecnie ustanawiam – i to już na zawsze – radę sędziów w tym grodzie. Będzie ona zasiadać na tym właśnie wzgórzu, które zwie się Arejos. Trwać tu będzie wieczna cześć praw i bojaźń przed występnyim czynem. Chyba że sam lud złem zaprawi moje ustawy – jak czasem czystą wodę krynicy mąci brud błota. Ja radzę memu ludowi, aby tak samo stronił od bezrządnej swawoli, jak i od służalczego ulegania woli jednostki. Niech nie usuwa też z miasta wszystkiego, co lęk budzi. Któż bowiem dochowa sprawiedliwości, niczego się nie bojąc? Zbożny lęk to najmocniejsza twierdza, to zbawienie i nadzieja tego miasta? Tworzę ten sąd czysty, nieprzekupny, wyrozumiały, lecz i surowy, nigdy nie ustającą straż ojczystej ziemi!

Sędziowie głosowali rzucając do urny kamyki. Liczba głosów skazujących i uniewinniających była równa. Wówczas jako ostatnia rzuciła swój kamyk – biały, za błagalnikiem – sama Atena. Ona też ułagodziła rozwścieczone boginie zemsty. Ofiarowała im przybytek w swym mieście, na tym właśnie wzgórzu Arejos, gdzie sąd się odbywał. Chór bogiń błogosławił atycką ziemię. Odrzekła im Atena:

– Dziękuję wam za dobre słowa. Teraz przy blasku pochodni zaprowadzę was do jaskiń, gdzie zamieszkacie na zawsze. W swym nowym przybytku staniecie się źródłem łask i dobrodziejstw. Dlatego też wasze imię brzmieć będzie nie Erynie, lecz Eumenidy, Dobre boginie. Po wieczne czasy lud ateński czcić was będzie ofiarą krwi jagnięcia, miodem, mlekiem, wodą źródlaną, a także szatami z purpury. Zawsze zaś, na pamiątkę tej chwili, ofiary odbywać się będą nocą, przy świętym blasku pochodni.

Taka była treść ostatniej sceny trylogii *Oresteja*, którą Ajschylos pokazał Ateńczykom w czasie Dionizjów wiosną roku 458. Otrzymał pierwszą nagrodę. Stało się to w dziesięć lat po owych Dionizjach, kiedy to Kimon przyznał pierwszą nagrodę Sofoklesowi. Ajschylos, wówczas odsunięty, teraz wielkodusznie bronił sprawy Areopagu – tego Areopagu, którego upadek był jedną z przyczyn wygnania Kimona.

Orestes urodził się w Mykenach – w potężnym, ponurym zamku, którego groźne mury widziały niejedną tragedię i zbrodnię. Kiedy Ajschylos wystawiał swój dramat, Mykeny należały już do Argos. Dlatego to Orestes wzywając boginię Atenę u stóp jej posągu przyrzekał:

– Ja i moja ojczyzna, i mój lud argejski, będziemy ci wiernymi sprzymierzeńcami po wszystkie czasy!

Apollon zaś, kiedy już sąd uniewinnił błagalnika, dziękował Atenie za jej wstawiennictwo tymi słowami:

– Wywyższę miasto Ateny nad inne. Uczynię twój lud wielkim. Bo właśnie po to przysłałem tutaj Orestesa, po to kazałem mu szukać opieki w twoim przybytku, aby na zawsze stał się tobie wierny. I nie tylko on sam, lecz i wszystkie pokolenia jego następców w argejskiej ziemi. Niech jego wnuki i prawnuki zwiążą się z tobą świętym przymierzem!

Jeszcze wyraźniejsza była wypowiedź Orestesa:

– Nim stąd odejdę, pragnę złożyć uroczystą przysięgę wierności na wieczne czasy tobie, twemu miastu i ludowi. Nigdy nie wtargną w te granice zbrojne oddziały moich Argiwów. Jeśli ktoś złamie tę przysięgę, ześlę nań klęski i nieszczęścia, choć spoczywać już będę w grobie. Ześlę też zgubne znaki, sprawię, że upadnie w najeźdźcach duch i męstwo, żalować będą swego czynu. Błogosławić zaś będę i darami zza grobu obsypię tych Argiwów, którzy wytrwają w braterskim przymierzu z twoim miastem!

Widzowie ateńscy przyjmowali te słowa z gorącym uznaniem, choć było w nich więcej retoryki niż prawdziwej poezji. Jednakże owe przejryste aluzje miały wówczas, w roku 458, wymowę szczególną, bo od trzech już lat Argos i Ateny łączył sojusz, zawarty wkrótce po

upokarzającym odesłaniu ateńskiego korpusu spod Itome. Argos już od wieków wiodło wojny ze Spartą o pograniczne ziemie i z całą gotowością związało się obecnie z wrogiem swego wroga.

Spartanie poczuli się zagrożeni tym sojuszem i natychmiast weszli w układy z helotami, wciąż obleganymi na górze Itome. Pozwolili im opuścić Peloponez wraz z rodzinami, pod tym jednak warunkiem, że nigdy już tutaj nie powrócą; a kto by to uczynił, stanie się niewolnikiem. Ateńczycy osiedlili obrońców Itome w zdobytym przez siebie mieście Naupaktos; leżało ono naprzeciw wybrzeży Peloponezu, u wejścia do Zatoki Korynckiej. Wywołało to niemal popłoch w całym Koryncie. Wołano tam: Trzymając Naupaktos Ateńczycy mogą każdej chwili zamknąć zatokę, mogą przeciąć morskie szlaki wiodące ku Italii i Sycylii, życiodajne dla naszego miasta! Rywalizacja między Atenami a Koryntem była już dawna i z każdym niemal rokiem stawała się ostrzejsza. Rychło, po Naupaktos, doszedł nowy czynnik wrogości. Oto Korynt już od lat wadził się z Megarą – sąsiedował z tym miastem od północy – o pewne tereny pograniczne. Oba państwa należały do Związku Peloponeskiego, któremu przewodziła Sparta. Ta jednak przezornie nie wtrącała się w owe spory. Należałoby stanąć po stronie Megary, która była słabsza i wyraźnie krzywdzona; po cóż jednak zrażać sobie możny Korynt? Pozostawieni sami sobie, nie widząc innego wyjścia, Megaryjczycy zwrócili się o pomoc do Aten. Oddziały ateńskie natychmiast zjawiły się na megaryjskiej ziemi. Było to posunięcie ogromnej doniosłości, odcięło bowiem Spartanom i ich sprzymierzeńcom jedyne przejście lądowe do Hellady Środkowej.

Aby zabezpieczyć Megarę przed nagłym atakiem, zbudowali Ateńczycy długie mury, które połączyły to miasto, leżące nieco w głębi lądu, z jego portem Nisaja; mury obsadzili swoją załogą. Wkrótce potem przystąpili też do budowy podobnych murów u siebie; wiodły one z Aten do portu w Pireusie.

Rozgorzała wojna na lądzie i na morzu. Wystąpiła przeciw Atenom również wyspa Egina, wróg odwieczny.

Jednakże flota eginecka została rozgromiona w krótkim czasie i wojska ateńskie zamknęły oblężeniem miasto na wyspie; bronił się tam przysłany Eginetom na pomoc oddział trzystu Spartan. Tymczasem Koryntyjczycy wtargnęli na ziemie Megary, spodziewali się bowiem, że zajęci Eginą Ateńczycy nie będą w stanie skutecznie bronić tej krainy. Omylili się bardzo. Strateg Mironides wyruszył z Aten, wiodąc najmłodsze i najstarsze roczniki mężczyzn – to jest te właśnie, których zwykle nie powoływano na wyprawy wojenne poza granice kraju. Pierwsza bitwa stoczona na ziemiach Megary była nierozstrzygnięta, w drugiej jednak Ateńczycy odnieśli zwycięstwo.

Takie były najważniejsze wydarzenia w Helladzie w ciągu trzech lat, od wygnania Kimona wiosną roku 461 do wiosny roku 458, kiedy to Ajschylos wystawił trylogię dramatyczną *Orestęja*. Trudno się dziwić, że poeta uległ naciskowi współczesności i wprowadził do swego wspaniałego dzieła, które mówiło o ponadczasowych problemach winy i kary, owe tak pusto dziś brzmiące akcenty polityczne. Wielce jednak możliwe, że im to właśnie dramat zawdzięczał wówczas powodzenie i nagrodę. Nie wszyscy widzowie zdolni byli zrozumieć tragedię Orestesa – grzesznika bez winy – wszyscy jednak słuchali z radosną dumą, jak błogosławią ich ziemię Dobry Boginie, i z pełnym zrozumieniem potakiwali słowom, nawołującym Argiwów do wiernego zachowania przymierza, tak ważnego w dniach wojny.

Przez wszystkie te lata kierował ateńską polityką Perykles. Jego dziełem były owe sojusze z Argos i Megarą, które doprowadziły do bratobójczej wojny najmożniejszych państw Hellady. Postępował Perykles świadomie i z wyrachowaniem. Pragnął raz na zawsze unicestwić Kimonowy program pokoju ze Spartą i wojny tylko z Persami. Wszystkie posunięcia obecnego rządu mówiły wyraźnie: przywództwo Aten musi uznać cała Hellada!

Wydawać by się mogło, że Ateny zachowają przynajmniej chwilową bezczynność na wschodzie. Być może, że taki był początkowy zamiar Peryklesa, ale rychło od niego odstąpił, kiedy nadarzyła się sposobność zadania Persom mocnego ciosu.

WYPRAWA DO EGIPTU

Król perski Kserkses zginął z ręki dowódcy swej straży w pierwszych miesiącach roku 464. Dopiero po pewnym okresie zamieszek i walk jego syn Artakserkses mógł objąć rzeczywistą władzę. Wyruszył na wschód, ku stepom nad Jeziorem Aralskim, by stłumić powstanie tamtejszych plemion koczowniczych. Wyzyskał to libijski książe Inaros. Wtargnął do delty Nilu, a miejscowa ludność egipska, ciemiężona przez Persów, natychmiast opowiedziała się po jego stronie; obwołano go faraonem. Było jednak do przewidzenia, że Persowie, choć na razie się wycofali, wkrótce powrócą. Dlatego to Inaros uzbrajał Egipcjan, werbował najemników, gorączkowo rozglądał się za sprzymierzeńcami. Jedynym państwem, które wówczas mogło udzielić powstaniu rzeczywistej pomocy, były Ateny, bo tylko one rozporządzały dużą flotą wojenną.

Kiedy posłowie Inarosa zjawili się w Atenach, Perykles przyjął ich bardzo życzliwie. Wielu jednak w mieście występowało gwałtownie przeciw projektom wiązania się z Egipcjanami. Był to już rok 460 i spodziewano się powszechnie, że do konfliktu zbrojnego ze Spartą i Koryntem dojdzie w najbliższym czasie. Toteż polityczni wrogowie Peryklesa zapytywali nie bez słuszności:

– Jakżeż to? Mamy prowadzić wojnę jednocześnie na tyłu frontach? Zarówno przeciw najmożniejszym państwom Hellady, jak i przeciw całej potędze perskiej? Mamy wyprawiać się gdzieś na krańce świata, wysyłać naszych ludzi i okręty aż do Egiptu? Kraj to niezbyt nam znany, a na dobrą sprawę jeszcze mniej wiemy o siłach i zamiarach samego Inarosa. Założmy jednak, że zwyciężymy pod piramidami – a na pewno nie przyjdzie to szybko i łatwo, Persowie bowiem, choćby sto razy odparci, pchać tam będą wciąż nowe armie! – to skąd pewność, że Egipcjanie pozostaną wiernymi sojusznikami? Czy zwrócą się koszty wyprawy tak dalekiej, długotrwałej, ryzykownej?

Zwolennicy śmiałych przedsięwzięć wojskowych odpowiadali na to:

– Persowie opanowali Egipt przed sześćdziesięciu pięciu laty. Było to wielkim ciosem dla handlu i gospodarki wszystkich państw helleńskich, utraciliśmy bowiem kontakty z krajem niezmiernie bogatym. Stamtąd, w zamian za wyroby naszych rzemieślników, sprowadzaliśmy pszenicę oraz papirus. Obecnie za egipskie towary płacić musimy perskim i fenickim pośrednikom. Jakżeż więc zlekceważyć sposobność otwarcia sobie dostępu do źródła tak ważnych surowców? A pamiętajmy, że cały handel z Egiptem znajdzie się w razie zwycięstwa w naszych tylko rękach! Persów ranimy boleśnie, bo oderwiemy od ich państwa jedną z najbogatszych satrapii. Corocznie wpływa z Egiptu do królewskiego skarbcza siedemset talentów srebra, nie licząc tego, że na utrzymanie perskich załóg kraj ten daje 120000 korców zboża! Działając wspólnie z Egipcjanami bez trudu odeprzemy nawet wielkie armie Persów. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że będą one walczyć z dala od swych macierzystych krain, będą maszerować przez pustynie lub wśród nieprzyjaznej ludności. Własnej floty Persowie nie mają, wezmą więc okręty fenickie, któreśmy druzgotali już nieraz. A koszty wyprawy nie obciążą skarbu nadmiernie, bo utrzymywał naszych ludzi będzie Inaros.

Te argumenty przeważały. Wydano rozkaz flocie, która wówczas znajdowała się u wybrzeży Cypru: natychmiast płynąć do Egiptu! Nim jednak flota dotarła do nilowych rozlewisk, Inaros rozgromił perski korpus, idący od strony Palestyny. Mimo to część Persów zdołała przedrzeć się w głąb Egiptu; ci zamknęli się w murach miasta Memfis. Leżało ono u

wierzchołka delty Nilu, naprzeciw dzisiejszego Kairu; w pradawnych czasach, kiedy budowano piramidy, Memfis było stolicą całego kraju. Okręty perskie krążyły po Nilu i jego odnogach, dostarczając obleganym żywności. Wówczas to właśnie nadpłynęła potężna flota ateńska, licząca 200 trójrzędowców, i bez trudu zawładnęła wodami wielkiej rzeki, wypierając zewsząd okręty przeciwnika. Wkrótce potem Ateńczycy i Egipcjanie zdobyli miasto Memfis; Persowie bronili się już tylko w cytadeli.

W ostatniej części *Oresteï* demony pomsty odchodziły do swej nowej siedziby, do jaskiń wzgórza Arejos, aby stamtąd czuwać nad miastem jako Dobre Boginie. Kto oglądał tę scenę wiosną roku 458, gotów był przyznać, że Ateny istotnie znajdują się pod opieką bóstw bardzo życzliwych. Choć bowiem wszędzie jeszcze trwały walki, ich szala wyraźnie chyliła się na stronę grodu Ateny. W Megarze odparto Koryntyjczyków. Na Eginie oblegano jej główne miasto. W Egipcie zniszczono perską eskadrę, zdobyto Memfis, lada dzień paść miała cytadela. A przecież żyli jeszcze w Atenach ludzie – choćby sam twórca *Oresteï* Ajschylos! – którzy przed trzydziestu dwu laty bronili swej ojczyzny pod Maratonem, a w dziesięć lat później widzieli dymy Akropolu, podpalonego przez Persów. A oto teraz ateńskie okręty panują na morzu od cieśnin czarnomorskich po ujścia Nilu!

Zmieniło się wiele w ciągu owych lat trzydziestu, także i w samych Atenach. Syn zwycięzcy spod Maratonu, Kimon, już od trzech lat przebywał na wygnaniu. Przewodził natomiast państwu potomek Alkmeonidów – rodu, który w chwili najgroźniejszej gotów był wydać miasto Persom!

SĄDY LUDOWE

Perykles czynił wiele, aby przyćmić pamięć Kimonowych zwycięstw. Wszystko wskazywało, że uda mu się to w pełni. Jednakże usunięty z miasta wódz miał mir wśród Ateńczyków nie tylko dzięki swym wojskowym sukcesom, lecz również jako pan wielkiej szczodroliwości. Niektórzy właśnie dlatego chętnie przywołaliby go z powrotem. Minał już bowiem ów paroksyzm gniewu i oburzenia, wywołany odprawieniem przez Lacedemończyków ateńskiego korpusu spod Itome. Teraz wspomniano rzewnie:

– Iluż to ludzi korzystało z łask Kimona! Każdy człowiek z jego gminy mógł zawsze prosić go o wszystko, co do życia niezbędne. A Kimonowe posiadłości za miastem nie były nawet ogrodzone. Jesienią przechodnie zbierali tam tyle owoców, ile im się tylko podobało. Ubogim Kimon często rozdawał odzienie. A jakie uczyty przygotowywał, ilu gości zapraszał! Tak, to był naprawdę wielki pan, hojny i wspaniałomyślny.

Perykles, choć dość zamożny, nie mógłby nawet marzyć o rywalizowaniu z Kimonową szczodroliwością. Był zresztą z natury bardzo oszczędny. Znalazł jednak sposób pokonania wielkiego arystokraty i na tym polu. Oto wystąpił przed eklezją z projektem ustawy, która została przyjęta wręcz entuzjastycznie przez masy uboższych obywateli. Ustawa bowiem postanawiała: sędziowie przysięgli będą otrzymywać po dwa obole diety za każdy dzień, który spędzą w trybunale rozpatrując sprawy.

Wprowadził ludowe sądy przysięgłych jeszcze Solon przed laty stu trzydziestu. Mógł zostać sędzią każdy obywatel ateński, który ukończył trzydziesty rok życia, nie miał długów wobec państwa, nie był skazany na niesławę. Drogą losowania wybierano spośród dobrowolnie zgłaszających się kandydatów sześć tysięcy sędziów na rok urzędowy. Ci składali na wzgórzu Ardetos przysięgę tej treści:

– Będę wyrokował zgodnie z ustawami oraz uchwałami rady i eklezji. Jeśli zaś nie będzie w danym wypadku żadnych wskazań prawnych, oddam swój głos według najlepszego przekonania, nie powodując się ani przyjaźnią, ani wrogością. Będę wysłuchiwał słów powoda i

oskarżonego z jednakową bezstronnością. Będę wyrokował mając na uwadze tylko przedmiot sprawy, a nie związane z nią osoby.

Następnie, drogą bardzo skomplikowanej procedury, dzielono owych sześć tysięcy sędziów na rozmaite trybunały – zwano je dikasteria – i to w taki sposób, aby w każdym byli przedstawiciele każdej z dziesięciu fil. Trybunały zwykle liczyły po kilkuset członków, kiedy zaś rozpatrywano sprawy o szczególnym znaczeniu, zwłaszcza polityczne, łączono kilka dikasteriów razem. Pracowały one pod przewodnictwem urzędników, których kompetencji według ustaw i zwyczajów dana sprawa podlegała. Wszystko to miało zapobiec przekupstwu – kogóż bowiem stać by było na przekupienie takiej liczby sędziów! – i miało też zapewnić praworządność oraz bezpośredni, rzeczywisty udział całego ludu w wymiarze sprawiedliwości i rządach. Bo sądy rozpatrywały nie tylko sprawy cywilne i karne – z wyjątkiem tych nielicznych, które jeszcze pozostały przy Areopagu – lecz w pewnych wypadkach mogły też wyrokować, jak rada, o postępowaniu urzędników.

Dwa obole były dietą niską. Tyle płacono niekwalifikowanym najemnikom za dzień pracy. Pozwalało to jednak na skromne utrzymanie – na placki jęczmienne, suszone ryby, oliwki. A więc dzięki wprowadzeniu diet mogli sędziować nawet najubożsi obywatele: drobni rzemieślnicy, przekupnie, chłopci, których dotychczas nie stać było na oderwanie się od pracy zarobkowej nawet na jeden dzień i którzy dlatego w praktyce nigdy nie korzystali ze swych obywatelskich uprawnień.

Oczywiście, nie brakło krytyków Peryklesowej ustawy. Oligarchowie narzekali:

– Perykles jest hojny z państwowego skarbcza. Daje ludowi to, co i tak do ludu należy, a mogłoby zostać spożytkowane lepiej. Sądy upadną. Kto będzie zgłaszał się na przysięgłych? Tylko nicponie i nieroby! Teraz dopiero zakwitnie przekupstwo!

Niewątpliwie, skromne opłaty sędziowskie w sumie obciążęły skarb poważnie, zwłaszcza odkąd je podwyższono do wysokości trzech oboli. Za to jakże miłowały Peryklesa masy! Sędziowanie stało się dla wielu najmilszym zajęciem. Posłuchajmy, jak chwali sobie zasiadanie w trybunale pewien ubogi człeczyna, bohater komedii Arystofanesa:

„Gdzież bo większa szczęśliwość, świetniejszy gdzie los, gdzie pełniejsze rozkosze żywota, jakież stwór większą grozę roztacza i strach niżli sędzia, choć stary i siwy? Ledwie z łóżka wylezie, czekają nań już podle kratki ichmoście nie lada, cztery łokcie od ziemi, magnaty! I niech jeno zbliży się, już ci pokorna, unizona za rękę chwyciła go dłoń – biała rączka, co skarb okradała... I błagają, i proszą, do ziemi się gną, żalonymi zawodzą głosami:

– Ach, ulituj się, ojcze, wysłuchaj mych prośb – jeśliś sam kiedy ściągnął co siedząc na urzędzie lub gdzie na wyprawie, gdyż miał dla kamratów zakupić żywności...

Przecie taki nie wiedziałby nawet, żem żyw, gdyby raz już nie stawał przed sądem.

Wysłuchawszy tych błagań, uśmierzam swój gniew i do wnętrza wstępuję; a skorom za kratkami się znalazł – z wszystkiego, com tam przyobiecał, nie czynię nic zgoła, jeno słucham, jak piszczą i skwierczą, to tak, to znów owak, by wymknąć się karze. Bo też jakich podkadzań i pochlebstw, by miód, nie nasłuchał się sędzia na sprawie? Jeden płacze, że biedny, że nędza go zre – i dodaje też ile się zmieści; drugi bajką zabawia nas, trzeci by chciał Ezopową ucieszyć nas fraszką; inszy żartem, błażeniem rozśmieszyć by rad, bym wśród śmiechu zapomniał o gniewie. Jeśli z tego wszystkiego, nie wzrusza nas nic, na mównicę wnet taszczą dzieciśka – i dziewczęta, i chłopców; ja słucham, a te, zgięte w kabłąk, skowyczą i beczą. Wnet ojciec imieniem ich, trzęsąc się, drżąc, niczym boga gniewnego mnie błaga, abym raczył zatwierdzić rachunki i rzekł, że w nim sąd nie dopatrzył się winy:

– Jeśli, panie, baranka raduje cię głos, niechaj głosik chłopczyny cię wzruszy! Jeśli lubisz prosiątka, to niechaj ci płacz mej córeczki przemówi do serca!

A my sądym naonczas, że krzyne się da naszej złości kołeczki rozkręcić... No, i cóż? Nie królewska to władza, nie moc przepotężna, nie kpiny z bogaczy?

Ale co ze wszystkiego najmilsze – o włos byłbym o tym zapomniał – to powrót po robocie do domu. Witają mnie tam serdecznie – dla owych pieniędzy, które niosę! Nasamprzód córka: ta kurz ze mnie zmywa, namaszcza mi nogi i pochyła się czule nade mną, i zwie mnie tatusiem, i w usta całuje – a całując trójbol wyławia mi z ust, zapuściwszy jak wędkę języcek. Potem żonka – ta też przypodobać się chce – smakowity placuszek przynosi, siada przy mnie i nuż mnie namawiać, bym jadł, przypochebnie i czule!”¹⁶

Lecz nie tylko sędziowie otrzymywali pieniądze dzięki Peryklesowi. Wprowadził on również – choć nie wiadomo, w którym roku – wynagrodzenie dla członków rady. Stopniowo zaczęto również wypłacać dzienne diety urzędnikom. Były one niewysokie, przeciętnie w granicach kilku oboli, ale pobierało je kilkaset osób.

Choć w sumie były to kwoty poważne, najistotniejszy był aspekt nie finansowy, lecz polityczny. Dzięki dietom nawet ubodzy mogli brać czynny udział w życiu państwowym – jako sędziowie, rajcy, urzędnicy. Z drugiej zaś strony owa służba dla ojczyzny, która dotychczas uchodziła za zaszczyt, stała się dla wielu po prostu źródłem utrzymania. Demokracja zmierzła ku biurokracji.

DŁUGIE MURY

Po roku 460 zaczęto też budować mury, które miały połączyć miasto z portem. Mur zwany Północnym szedł prosto jak sznur ku Pireusowi. Miał długości ponad 6 kilometrów. Mur drugi, zwany Falerońskim, prowadził ku staremu portowi w Faleronie. Oba mury budowano solidnie: fundamenty były z gładów, części zaś nadziemne z cegieł. Co kilkadziesiąt kroków występowały ku przodowi wysokie wieże. Dzięki owym Długim Murom – tak zwano je powszechnie – Ateny miały połączenie z morzem w każdej sytuacji. A ponieważ na morzu królowała ateńska flota, żaden wróg nie był groźny!

Perykles sam przedstawił zgromadzeniu ludowemu projekt budowy murów. Kiedy zaś prace były w toku, czuwał nad nimi bardzo pilnie, choć sprawy wielkiej polityki i toczące się wojny wciąż odwracały uwagę i odciągały zasoby pieniężne.

Natomiast stronnicy Kimona zaciekle zwalczyli budowę Długich Murów. Czynili to z pobudek wyłącznie politycznych. Rozumowali bowiem tak:

– Miasto zwiąże się już na zawsze z morzem. Masy biedoty pracujące w porcie będą decydować o sprawach państwa, natomiast ludzie żyjący z ziemi stracą na znaczeniu.

Otwarcie jednak oligarchowie argumentowali inaczej. Wskazywali na ogromne koszty budowy i na jej rzekomą nieprzydatność wojskową. Czy wystarczy ludzi dla obsadzenia całej długości murów? A co będzie, jeśli flota nieprzyjaciela zdoła wysadzić wojska na tym odcinku wybrzeża pomiędzy Faleronem a Pireusem, gdzie nie ma umocnień?

Ten ostatni argument nie był bezzasadny. Dlatego już w kilkanaście lat później sam Perykles postawił wniosek budowy jeszcze jednego muru, który zwano Środkowym. Biegł on pomiędzy Falerońskim a Północnym, równoległe do tego ostatniego, w odległości zaledwie 160 metrów; łączył się z umocnieniami Pireusu. W tym stanie rzeczy Mur Faleroński stał się właściwie zbędny. Pozostawiono go jednak jako pierwszą linię obrony.

Wzniesienie Muru Środkowego miało jednak dopiero nastąpić. Na razie Perykles nie odstępował od swego zasadniczego planu. Przejawiał nawet pewien upór, aby tylko nie przyznać racji stronnikom Kimona. To bowiem mogłoby zostać poczytane za oznakę słabości. Jednakże sprawa Długich Murów rozogniła namiętności. Nie mogąc wprost atakować Pery-

¹⁶ Arystofanes, *Osy*, w. 592—616 i 646—655 (przekład S. Srebrnego, jw.).

klesa za wprowadzenie diet sędziowskich, które były bardzo popularne, krytykowali oligarchowie budowę wielkich umocnień. Ich zaciętrzewienie pozwoliło Peryklesowi posłużyć się pewnym podstępem.

Z dnia na dzień gruchnęła po Atenach wiadomość, że stronnicy Kimona przygotowują zamach stanu, byle tylko nie dopuścić do ukończenia budowy murów. Szukają więc pomocy u Lacedemończyków. Chcą ich potajemnie wprowadzić do miasta. Wojska nieprzyjacielskie już stoją w Beocji. Demokracja jest w niebezpieczeństwie!

Rzecz oczywista, oligarchowie nie mogliby nawet marzyć o sprowadzeniu Spartan. Równie absurdalna byłaby próba obalenia siłą ustroju, za którym stały masy. Nikt jednak w Atenach nie zastanawiał się nad prawdopodobieństwem pogłosek. Opinia publiczna uznała oligarchów za zdrajców, budowę zaś długich murów za podstawowe zadanie demokracji. Przecież trzeba, że pewien fakt przydał pogłoskom rumieńców prawdy: oto właśnie w tym czasie wojska lacedemońskie istotnie znalazły się nie tak daleko od granic Attyki.

TANAGRA

Tysiąc pięciuset Spartan i dziesięć tysięcy ich sprzymierzeńców stanęło w Helladzie Środkowej wiosną roku 457. Przybyli tam drogą morską przez Zatokę Koryncką, aby bronić Dorydy. Był to mały i ubogi kraik, zagubiony w fałdach ogromnego masywu góry Ojta. Legendy jednak głosiły, że właśnie z tej skalnej ziemi wyszli przed wiekami Dorowie i pociągnęli na południe, na podbój Peloponezu. Spartanie byli Dorami. Toteż na wieść, że sąsiedzi Dorydy, Focejczycy, zagarnęli jedno z jej miasteczek, pospieszyli z pomocą natychmiast. Wyprawa miała być zarazem demonstracją spartańskiej potęgi.

Z Focejczykami armia Lacedemonu rozprawiła się łatwo, od razu jednak stanęła przed kłopotliwym pytaniem: jak wrócić na Peloponez? W Zatoce Korynckiej już krążyły ateńskie trójrzędowce. Popłynęły tam one natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wyprawie Spartan. Droga lądowa była też zamknięta, wiodła bowiem przez ziemie Megary, gdzie przecież stały ateńskie załogi. Uznali więc Lacedemończycy, że najrozsądniej będzie pozostać przez jakiś czas w Beocji i zająć się jej sprawami. Najbardziej zależało im na Tebach. W latach wojen perskich to bogate miasto opowiedziało się po stronie najeźdźców, straciło więc potem wszelkie wpływy. Obecnie Spartanie jawnie i brutalnie dopomogli Tebom w odzyskaniu znaczenia. Znowu stanęły one na czele związku miast Beocji. Rozumowanie Spartan było bardzo proste: Beocja sąsiaduje z Attyką, a więc z natury rzeczy Teby i Ateny będą sobie wrogie. Póki Teby były słabe i nie przewodziły miastom tej krainy, Ateny mogły w ogóle nie troszczyć się o swoją zachodnią granicę. Odtąd jednak będą musiały mieć ją stale na uwadze!

W lipcu roku 457 Lacedemończycy rozbili obóz pod Tanagrą, we wschodniej Beocji. Stąd mogliby dojść pod Ateny w ciągu jednego dnia! W mieście zapanował popłoch. Odżyły pogłoski rozsiewane przez stronników Peryklesa. Rozległy się wołania:

– Nasi oligarchowie spiskują ze Spartanami! Wpuszczą ich do miasta, żeby udaremnić budowę długich murów. Nie wolno zwlekać, musimy zastąpić wrogom drogę nim wtargną do Attyki!

Jednakże zdolnych do walki mężczyzn było mało. Wiele tysięcy ateńskich żołnierzy wojowało w Egipcie. Inni oblegali Eginę, a jeszcze inni stali załogą na ziemiach Megary. Ofiary w ludziach były wszędzie znaczne. W roku 458 jedna tylko fila Erechteis straciła na wszystkich teatrach działań ponad stu siedemdziesięciu żołnierzy; ułamek tablicy z nazwiskami poległych zachował się do dziś. A fil było przecież dziesięć, wojna zaś trwała już kilka lat. Liczba zabitych, rannych i pojmanych w niewolę sięgała na pewno wielu tysięcy.

Na gorączkowe wezwania o pomoc przybyło tysiąc Argiwczyków oraz mieszkańców miasteczka Kleonaj. Pewne posiłki zdołano ściągnąć od państw Związku, choć te dały już sporo swych ludzi na wyprawę egipską. Tesalowie przysłali nieco jeźdźców. Łącznie zebrano 14000 zbrojnych. Siły obu stron były liczebnie równe, bo tymczasem Lacedemończycy otrzymali pomoc od Beotów.

Kiedy armia ateńska była już pod Tanagrą, niespodziewanie zjawił się w obozie Kimon. Błagał:

– Niech wolno mi będzie wziąć udział w tej bitwie! Chcę walczyć jako prosty żołnierz. Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, zapomnijmy o waśniach! Tak było przecież i pod Salaminą. Mam zresztą prawo stanąć w jednym szeregu z obywatelami. Sąd skorupkowy nakazał mi opuścić granice państwa, ale wojsko znajduje się obecnie również na obcej ziemi!

Możliwość walki z Lacedemończykami na oczach wszystkich była dla Kimona sprawą zasadniczej wagi. Przecież to jego właśnie przyjaciół podejrzewano o tajne knowania z wrogiem i pomawiano o zamiar wpuszczenia Spartan do miasta!

Perykles sprzeciwił się tej prośbie gwałtownie, przejrzał bowiem, ku czemu zmierza Kimon: jego osobisty udział w bitwie sprawi, że upadną wszelkie oskarżenia, zatrze się w pamięci ludu niesławny powrót spod Itome, pokaże się nicość pogłosek o zdradzieckiej zмовie z Lacedemonem. Sam jednak Perykles nie mógł i nie chciał decydować w tej trudnej sprawie. Zwołano w obozie przed samą bitwą posiedzenie rady. Ludzie Peryklesa głosili tymczasem na wszystkie strony:

– Kimon dlatego tylko przybył do obozu i rzekomo chce walczyć przeciw swym przyjaciołom, Spartanom, aby w toku samej bitwy siać zwątpienie i zamieszanie w naszych szeregach.

Toteż orzeczenie rady brzmiało: wygnaniec nie ma prawa bronić ojczyzny jako żołnierz na równi z innymi obywatelami.

Smutne to było orzeczenie. Przecież nie minęło jeszcze ćwierć wieku od chwili, kiedy to w obliczu najazdu Kserksesa odwołano z wygnania wielu wybitnych polityków, wśród nich i ojca samego Peryklesa, Ksantyposa! Obecnie miano stoczyć bratobójczą walkę z Hellenami i z równie bratobójczą zacięłością odtrącano współobywateli.

Tak więc Kimon musiał opuścić obóz pod Tanagrą. Pozostawił jednak towarzyszącej sobie broń. Za jego radą najwybitniejsi arystokraci stanęli do bitwy razem, ramię przy ramieniu, jako jeden oddział. Walczyli bohatersko. Zginęli wszyscy. Ich świetna postawa i żołnierska śmierć były najlepszą odprawą dla tych, którzy oczerniali ich jako zdrajców. Przyznawano to później powszechnie. Lecz także Perykles oraz jego najbliżsi stawali dzielnie. Mimo to bitwę Ateńczycy przegrali. O wyniku zadecydowała zdrada tesalskiej jazdy, która niespodziewanie w toku zmagania przeszła na stronę wroga. Nie poniesiono jednak pod Tanagrą klęski całkowitej. Oddziały ateńskie wycofały się w porządku – ale na placu bitwy ostali się Lacedemończycy. A więc, w myśl helleńskiego prawa zwyczajowego, oni byli zwycięzcami! Jednakże i Spartanie wykrwawili się tak mocno, że nie mogli myśleć o marszu na Attykę. Odeszli na Peloponez przez terytorium Megary, gdzie wycięli tamtejsze plantacje oliwek. Załogi ateńskie nie śmiały czynić zwycięzcom żadnych przeszkód.

Z dziesiątej części tanagryjskiego łupu wykuli Lacedemończycy ogromne, złożone zwieńczenie w kształcie tarczy. Umieścili je na szczycie świątyni Zeusa w świętym okręgu w Olimpii. Bo właśnie w tym czasie architekt Libon ukończył tę wielką budowlę, którą prowadził już od dwunastu lat. Aż do tego czasu Zeus, pan i bóg Olimpii, miał tam tylko małą kaplicę, ofiary zaś składano mu na ołtarzu pod gołym niebem. A tymczasem jego małżonka Hera już od wieków szczyła się w tejże Olimpii własnym, okazałym domem. Był on pierwotnie drewniany, stopniowo jednak wymieniano jego części na kamienne. Godziło się więc, aby również ojciec bogów i ludzi zajął tutaj przybytek odpowiadający jego wielkości. Olimpia leżała na ziemiach Elidy. Mieszkańcy tej krainy uzyskali fundusze na budowę świątyni dzięki

zwycięskiej wojnie ze swymi sąsiadami, Pizatydami, przed kilkunastu laty. Wówczas to właśnie powierzono Libonowi wielkie zadanie.

Wywiązał się z niego świetnie. Wzniósł jedną z największych i najbardziej imponujących świątyń Hellady. Miała ona, według miar naszych, ponad 64 metry długości i 27 metrów szerokości. Po bokach wspierały jej dach kolumny doryckie, o wysokości ponad 10 metrów; było ich odpowiednio po 13 i 6. Świątynia zbudowana była z wapienia, którego duże złoża znajdowały się w pobliżu Olimpii. Był on jednak starannie powleczony dobrą zaprawą, co czyniło wrażenie, że materiałem jest twardy kamień. Wejście do przybytku otwierało się od strony wschodniej. Prowadziło najpierw do przedsionka, z którego wchodziło się do głównej celi. Była ona podzielona dwoma rzędami kolumn na nawę główną i dwie wąskie, boczne. Z tyłu znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie kultowe. Główna nawa była na razie pusta, ale w przyszłości miał tam stanąć ogromny posąg Zeusa. Wokół nawy, jak również wokół przedsionka, projektowano dać rzeźbione metopy. Trójkąty szczytowe, wschodni i zachodni, także jeszcze czekały na ozdobienie ich rzeźbami.

Złote, tarczowe zwieńczenie na szczycie nad wejściem było jedną z pierwszych ozdób dopiero co ukończonej świątyni. Wryto na zwieńczeniu głowę Meduzy – dziewczyny o wężowych włosach, której spojrzenie, jak mówiły mity, zamieniało w kamień. U stóp świątyni stała marmurowa tablica z napisem w formie epigramu, który głosił: tę tarczę, co zdobi szczyt świątyni, ofiarowali Lacedemończycy oraz ich sprzymierzeńcy, gdy zwyciężyli pod Tanagrą Ateńczyków i Argiwów.

Przez całe wieki ogromna tarcza złościście błyszcząca nad wejściem do głównej świątyni Olimpii. Przez całe też wieki uczestnicy igrzysk i widzowie, przybywający tutaj ze wszystkich krain helleńskich, odczytywali chępliwymi napis o bratobójczej bitwie. Trzy jego ułamki dotrwały do naszych czasów.

Powiadano, że Spartanie mieli szczególny powód, aby właśnie w Olimpii dziękować bogom za zwycięstwo. Chodziło im ponoć nie tylko o rozślawienie swego czynu, lecz także o pewien gest wobec mieszkańców samej Elidy. Z tej to bowiem krainy pochodził człowiek, któremu Sparta zawdzięczała i to zwycięstwo, i cztery poprzednie. Nazywał się on Tejsamenos. Przed wielu laty zwrócił się do wyroczni Apollona w Delfach w sprawie swego potomstwa. Bóg odpowiedział mu tyle tylko, że on sam odniesie zwycięstwo w pięciu największych zawodach. Ufając tym słowom Tejsamenos poświęcił się ćwiczeniom atletycznym z całą gorliwością. Stanął do pięcioboju w czasie jednej z Olimpiad i zwyciężył we wszystkich konkurencjach z wyjątkiem zapasów. Czyżby Apollon wprowadził go w błąd? Ponieważ dana Tejsamenosowi wyrocznia była powszechnie znana, widzowie obserwowali pięciobój ze szczególnym zainteresowaniem i komentowali porażkę faworyta bardzo żywo. Skoro jednak wyrocznia nie sprawdziła się dosłownie, może należy szukać w niej znaczenia ukrytego? Może owe zawody to nie bezkrwawe igrzyska, lecz zmagania z wrogiem? Tak właśnie sądzili Lacedemończycy. Ich przedstawiciele powiedzieli Tejsamenosowi po prostu:

– Możesz dobrze zarobić, i to za nic: będziesz tylko udawał jednego z naszych wodzów, kiedy przyjdzie nam walczyć z nieprzyjaciółmi.

Tejsamenos zażądał prócz pieniędzy jeszcze obywatelstwa spartańskiego. Na to Lacedemończycy bardzo się oburzyli, byli bowiem zazdrośni o czystość swego pochodzenia. Wkrótce potem zagroził Helladzie najazd Kserksesa; uznano wówczas w Sparcie, że nie wolno lekceważyć żadnego sposobu zjednania sobie boskiej pomocy. Tak więc Tejsamenos stał się Spartiatą, Lacedemończycy zaś rzeczywiście zwyciężali odtąd we wszystkich bitwach, w których uczestniczył on jako jeden z niby to wodzów. Pierwszą z nich było rozgromienie Persów pod Platejami, ostatnią zaś potrzeba tanagryjska.

W Atenach również stanął pomnik tej bitwy, poważny jednak i żałobny. Na państwowym cmentarzu zasłużonych, przy drodze z Bramy Dipylońskiej do Akademii, niedaleko miejsca, gdzie znajdował się grób osadników poległych przed kilkunastu laty w Tracji, pochowano

teraz prochy żołnierzy spod Tanagry. Przed grobowcem stała płyta marmurowa. Zdobila ją płaskorzeźba: dwóch jeźdźców pędziło na koniach do boju. W tej bowiem bitwie, po zdradzieckim przejściu Tesalów na stronę wroga, właśnie nieliczni jeźdźcy ateńscy musieli stawać najmężniej i oni to najbardziej się wykrywawili. Słusznie więc im przypadł zaszczyt zdobienia nagrobnej steli. Pod płaskorzeźbą wyryty był wiersz poety Symonidesa; zachowały się jego odpisy, a nawet część samej tablicy:

„Pozdrowienie wam, dzielni, chwałą wojenną okryci, ateńscy młodzieńcy, jeźdźcy znakomici. Oddaliście waszą młodość walcząc przeciw potężnemu wojsku Hellenów w obronie ojczyzny, sławnej tanecznymi korowodami.”¹⁷

A nieco dalej, na tymże cmentarzu, wznosiły się groby sojuszników z Argos i Kleonaj.

OJNOFYTA I EGINA

Kamieniarze dopiero zaczęli wykuwać głązy na budowę grobowców, rytownicy i rzeźbiarze zaledwie się wzięli do wyliczania, ile miejsca na płytach zajmą nazwiska bohaterów, którzy stracili życie pod Tanagrą, a oto w mieście już zapanowała wielka radość! Przyszła bowiem dobra wiadomość: dokładnie w 62 dni po tanagryjskiej klęsce ateński korpus pod wodzą Mironidesa rozgromił wojska Beotów!

Bitwę stoczono pod miasteczkiem Ojnofyta, położonym zresztą bardzo blisko nieszczęsnej Tanagry. To zwycięstwo nie tylko całkowicie przesłoniło smutną pamięć niedawnej porażki, lecz w swych dalszych skutkach okazało się prawdziwie doniosłe. Cała bowiem Beocja – z wyjątkiem samych Teb – natychmiast po ojnofyckiej bitwie dostała się pod ateńskie wpływy. Wszędzie siłą wprowadzono ustrój demokratyczny, wygnano zaś oligarchów. Wszystkie też miasta beockie zostały odtąd zobowiązane do wysyłania swych wojsk na żądanie Aten. Mury obronne Tanagry zrównano z ziemią, aby ukarać miasto, które widziało śmierć tylu Ateńczyków.

Sąsiedzi Beotów od zachodu, Focejczycy, uznali ateńską hegemonię również wkrótce po tej bitwie, i to zupełnie dobrowolnie. Było to zrozumiałe, bo niedawna wyprawa Spartan w obronie Dorydy sprawiła, że Focejczycy stali się ich śmiertelnymi wrogami, a więc przyjaciółmi Aten. Inna natomiast była postawa Lokrów Ozolskich, mieszkających jeszcze dalej na zachód, nad samą Zatoką Koryncką, w miejscu, gdzie jest ona najwęższa. Ponieważ na ich to ziemi leżało miasto Naupaktos, w którym Ateńczycy osadzili niedawno powstańców z Itome, Lokrowie skłonni byliby sprzymierzyć się ze Spartą. Teraz jednak musieli się ugiąć. Dali Ateńczykom stu zakładników.

Tegoż roku poddali się opuszczeni przez wszystkich Egineci, oblegani od strony lądu i morza już przez wiele miesięcy. Ateny podyktowały twarde warunki kapitulacji. Mieszkańcy wyspy musieli zburzyć mury obronne swego miasta, wydać okręty wojenne, przystąpić do Związku Morskiego i wpłacać corocznie do jego skarbcza ogromną daninę w wysokości aż trzydziestu talentów.

Nigdy już nie odzyskała Egina znaczenia. A przecież poprzednio aż przez dwa wieki należała do najbogatszych państw Hellady, choć była wysepką małą – o obszarze zaledwie osiemdziesięciu km kw. – nieurodzajną, ubogą w wodę. Ale właśnie dlatego jej dzielni, przemyślni mieszkańcy wszystkie swoje siły poświęcili żegludze i handlowi. Dało im to więcej niż niejednemu krajowi kopalnie złota. Wyzyskali Egineci doskonałe położenie swej wyspy –

¹⁷ W. Peek, *Griechische Vers-Inschriften*, I nr 14, Berlin 1955 (dzieło to cytowane jest dalej: Peek, GVI).

w środku Zatoki Saronńskiej, gdzie przecinają się szlaki morskie z Attyki, Peloponezu, Megary. Śmiali żeglarze docierali do najdalszych krańców ówczesnego świata: do wybrzeży Morza Czarnego, do ujścia Nilu, do Hiszpanii bogatej w srebro i cynę. Byli to kupcy znakomici. Oni pierwsi w Helladzie zrozumieli, jakim ułatwieniem w handlu jest moneta. Zaczęli ją wybijać, idąc za przykładem niektórych ludów i miast Azji Mniejszej, już około roku 650. Dopiero w kilkadziesiąt lat później pojawiły się monety Aten, Koryntu, Chalkis, Sykionu. Lecz i tak srebrne, ciężkie drachmy egineckie z żółwim na wierzchniej stronie przez długi czas chętniej przyjmowano w wielu okolicach niż ateńskie „sowy” lub korynckie „pegazy”.

Kiedy okręty Aten zaczęły śmieiej i dalej żeglować po morzach, wnet zrodziła się rywalizacja handlowa między dwoma państwami. Za nią zaś poszła nieprzejednana nienawiść polityczna. Z wybrzeży Attyki dobrze widać wyrastający z morza garb górzystej wysepki. Każde więc spojrzenie ku zatoce jątrzyło gniewem i zawiścią ateńskie serca: strumień złota i srebra płynie ku tej nędznej skale, a przecież winien by wpadać do attyckich portów! Wielu ateńskich mężów stanu dążyło do zniszczenia Eginy, ale spełnił to zbożne pragnienie kilku pokoleń dopiero Perykles. Było to zresztą jedno z naczelnych haseł jego polityki zagranicznej, tak samo jak wrogość wobec Sparty. Wiedział bowiem, że spotka się ono z gorącym poklaskiem najszerzych mas ludu. Toteż powtarzał często i publicznie:

– Musimy usunąć eginecką drzazgę z oka naszego Pireusu!

Kiedy w roku 457 burzono mury kupieckiego miasta, bardzo niewielu Ateńczyków chciało pamiętać, że przed dwudziestu trzema laty właśnie Egineci najdzielniej atakowali perskie okręty pod Salaminą.

Tak więc dzięki Peryklesowi na zawsze zgasła świetność wyspiarskiego państewka. W późniejszych dziesięcioleciach i wiekach miały spadać na wyspę jeszcze sroższe ciosy, czyniąc z niej w pewnych okresach bezludne, dzikie pustkowia wśród srebrzystego morza, którego ona była niegdyś panią. A przecież poprzez wszystkie owe zawieruchy dziejowe przetrwał aż po nasze dni jakiś ślad złotego wieku Eginy. U wschodnich wybrzeży wyspy, na wzgórzu porośłym sosnami, wznoszą się białe kolumny doryckiej świątyni. Zbudowano ją w ostatnich latach wolności wyspy. Dziś jest to jedna z najlepiej zachowanych świątyń w całej Helladzie. Czczono w niej miejscową boginię płodności i urodzaju, zwaną Afają. Postaci zaś z obu szczytowych trójkątów świątyni, przedstawiające walki mitycznych bohaterów, należą do najwspanialszych zabytków starej rzeźby helleńskiej. Jeśli imię Eginy nie jest dziś puste i martwe, lecz ma swoją kartę w dziejach europejskiej kultury, to tylko dzięki owym świetnym dziełom sztuki.

Zdobycie Eginy nie było kresem ateńskich powodzeń. Wiosną roku 456 flota pod wodzą Tolmidesa popłynęła ku wybrzeżom Peloponezu. Zniszczono należącą do Lacedemonu wyspę Cyterę – świętą wyspę bogini miłości. Afrodyty – oraz stocznie okrętowe w Gitejon. Potem Tolmides skierował się na zachód, na Morze Jońskie. Ośmielone pojawieniem się jego eskadry przystąpiły do Związku dwie tamtejsze wyspy, Zakyntos i Kefalenia. Tolmides wtargnął następnie do Zatoki Korynckiej. Wylądował koło Sykionu i pokonał mieszkańców tego miasta w bitwie lądowej.

Ateny były u szczytu potęgi. Panowały nad Helladą Środkową i nad całym prawie Morzem Egejskim. Ich okręty krążyły po Nilu. Lacedemończycy nie potrafili bronić nawet Peloponezu! Siegały już Ateny ku krainom Zachodu: należały do Związku dwie wyspy Morza Jońskiego, z miastem zaś Segesta na Sycylii zawarto przymierze.

Długie mury zostały wreszcie ukończone. Któż śmiałyby teraz podnieść rękę na miasto władające morzem, niedostępne od lądu?

W tych właśnie latach, może w roku 458, zmarł na wygnaniu Temistokles. Pochowano go na rynku Magnezji we wspinałym grobowcu, który był przez wieki przedmiotem dumy miasta. Ale wnet zrodziła się uporczywa pogłoska: grobowiec jest pusty, przyjaciele bowiem wykradli kości zmarłego i w tajemnicy złożyli je w ziemi ojczystej, w Attyce. I rzeczywiście: w

Pireusie, nad samym morzem, wśród skał przylądka znajdował się dziwny grób w kształcie ołtarza, nad nim zaś popiersie o rysach Temistoklesa.

Czy prawda to, czy też tylko legenda, spierano się już w starożytności. Jedno jest pewne: lud dobrze wskazał, gdzie spocząć by powinny prochy budowniczego Pireusu.

Prastary mit głosił, że niegdyś Posejdon, pan morza, spierał się z boginią Ateną, kto ma władać Attyką. Zwyciężyła Atena, dając tej ziemi jej skarb największy, drzewko oliwne. I tak było przez wieki – Attyka żyła z ziemi. Dopiero Temistokles sprawił, że kraj ten stał się Posejdonowy. Ateny zwróciły się ku morzu i związały z nim poprzez nowy port, który dał im bogactwa, potęgę, ludowładztwo; wszyscy więc Ateńczycy byli odtąd dziećmi Pireusu.

Rozdział szósty

KŁĘSKI I POKÓJ

PROZOPITIS

Wiadomość o druzgocącej klęsce w Egipcie przyszła do Aten dopiero latem roku 454, choć już wcześniej szeptano, że sprawy stoją tam źle.

Wielka armia perska ruszyła na Egipt wiosną roku 456. Flota złożona z trzystu okrętów, przeważnie fenickich, płynęła równoległe do drogi wojsk lądowych, wzdłuż wybrzeży Syrii i Palestyny. W bitwie stoczonej koło Memfis Persowie byli górą. Ateńczycy i ludzie Inarosa wycofali się z Memfis i skupili swoje siły na obszarze środkowej delty zwanym Prozopitis. Była to właściwie wyspa, którą zewsząd otaczały odnogi Nilu i szerokie kanały. Znano ją dobrze w całym Egipcie, tu bowiem zwożono kości zdechłych krów, świętych zwierząt bogini miłości Hator. W jej przybytku na Prozopitis znajdowało się ogromne cmentarzysko owych wielce czczonych relikwii.

Ziemia to była rozległa i żyzna, żywności więc nie brakowało. A dopóki ateńskie okręty panowały na wodach Nilu, wyspa była nie do zdobycia. Przez półtora roku Persowie nie mogli zdziałać niczego. Wreszcie, w czerwcu roku 454, wpadli na doskonały pomysł: odprowadzili wody z wielkiej odnogi Nilu, na której stały wówczas ateńskie trójrzędownce. Wszystkie one osiadły na piasku; załogi opuściły je i spaliły, aby nie dostały się w ręce wroga. Persowie przeszli na Prozopitis suchą nogą. Egipski faraon i jego ateńscy sojusznicy zamknęli się w jednym z miasteczek. Ponieważ znikąd nie było nadziei na odsiecz, poddali się wkrótce pod warunkiem, że Inarosowi darowane będzie życie, Ateńczycy zaś wyjdą z Egiptu nie zaczepiani. Istotnie: pozwolono im opuścić ten kraj bez żadnych przeszkód. Wybrali drogę na zachód. Szli wzdłuż wybrzeży morskich, przez Libię do helleńskich miast Cyrenajki; Był to marsz męczeński, przez okolice bezwodne i pustynne. Dziesiątkowały Ateńczyków choroby, głód, pragnienie, ustawicznie szarpali zbójcecy koczownicy. Tak marniały resztki wspaniałej armady, która przed czterema laty z dumą wpływała na wody, aby wyzwolić spod perskiego jarzma prastary kraj faraonów. Po wielu miesiącach trudów i tułaczki powróciła do Aten garstka wycieńczonych nędzarzy. Państwowy cmentarz za Bramą Dipylońską wzbogacił się o nowy pomnik grobowy i nową tablicę z nazwiskami poległych bohaterów.

A tymczasem, nie wiedząc jeszcze o zdobyciu przez Persów Prozopitis, wysłali tam Ateńczycy 50 okrętów wojennych dla wymienienia dawno już walczących. Nie spodziewając się niczego eskadra ta płynęła spokojnie do jednej z odnóg Nilu; stała się łatwym łupem Persów.

Taki był koniec egipskiej wyprawy. Straciło w niej życie około 35000 młodych ludzi z Aten i miast należących do Związku. A Egipt znowu był perski! Tylko w niedostępnych bagnach delty utrzymywali się powstańcy; przewodził im Amyrtajos.

ZATOKA KORYNCKA

W tymże czasie, kiedy w rozlewiskach Nilu groziła zagłada flocie Ateńczyków, a więc latem roku 454, doznali też oni bolesnej porażki w samej Helladzie, na równinach Tesalii. Wyprawiono tam – jeszcze nie wiedząc o sytuacji na Prozopitis – korpus pod wodzą Mironidesa, wsławionego wielu zwycięstwami. Miał on przywrócić do władzy księcia Orestesa, wygnanego przez tesalskich arystokratów. Jednakże korpus Mironidesa niczego nie dokazał. Dotarł do miasta Farsalos, lecz zdobyć go nie mógł. Ateńscy żołnierze nie śmieli wydalać się poza obóz, wszędzie bowiem czyhały oddziały świetnej jazdy tesalskiej. Ciężkozbrojni hoplici nie umieli z nią walczyć.

Odwrót Mironidesa był dotkliwym ciosem dla ateńskiej sławy wojennej.

Gdy po tym niepowodzeniu w Tesalii dowiedziano się w Atenach o katastrofie egipskiej, w mieście zapanowało przerażenie. Obawiano się powszechnie, że perska flota wpłynie na Morze Egejskie. Przepowiadano, że teraz Persowie zerwą sojusz ze Spartą i Koryntem, aby raz na zawsze skończyć z Atenami. Czarnowidze głosili, że lada dzień rozpadnie się Związek.

Panika ogarnęła zarówno szerokie masy ludności, jak i poważnych polityków. Nikt jednak nie potrafił wskazać sposobów ratunku. Wszystko, co wymyślono, to było przeniesienie do Aten, na Akropol, skarbcza Związku; dotychczas znajdował się on na wyspie Delos pod opieką boga Apollona.

Układ sił w Helladzie był wówczas taki, że zdecydowana akcja perska mogłaby przynieść zgubę Atenom. Persowie jednakże nie przedsięwzięli niczego. Wypływało to częściowo z braku orientacji, częściowo zaś z nieruchawości właściwej wielkim państwom. Polowali na nieuchwytnego Amyrtajosa i dali Ateńczykom czas nie tylko na ochłonięcie, lecz na zorganizowanie przeciwpodusięć.

Wtedy to właśnie udowodnił Perykles, że jest rzeczywiście dobrym politykiem. Poprzednio naraził państwo na niebezpieczeństwo i niepowetowane straty, zbyt napinając jego siły i rozpraszając je na różnych frontach. Obecnie jednak postąpił rozumnie: pokazał Helladzie, że potęga Aten mimo egipskiej klęski jest nienaruszona i zdolna nawet do działań zaczepnych.

Tysiąc hoplitów pod osobistym dowództwem Peryklesa wyruszyło do Pegaj, portu Megary nad Zatoką Koryncką. Od czasu zawarcia z Megarą sojuszu stała tam eskadra ateńskiej floty. Na pokładach jej okrętów Perykles i hoplici popłynęli ku Sykionowi. Mieszkańcy miasta, ufni w swoją przewagę liczebną, wystąpili do bitwy; pokonani schronili się za murami. Mając nadzbyt szczupłe siły Perykles nie mógł myśleć o oblężeniu. Liczył się zresztą z rychłym przybyciem pomocy dla Sykionu z Koryntu i Sparty. Dlatego zadowolili się tylko częściowym sukcesem i popłynął dalej. Miasta Achai, krainy u północnych wybrzeży Peloponezu były Ateńczykom przyjazne. Perykles otrzymał tu posiłki i skierował się jeszcze dalej na zachód, poza właściwą Zatokę Koryncką. Wysadził swoich ludzi u wybrzeży Akarnanii i obległ miasto Ojniadaj. Leżało ono na skalistym wzgórzu wyrastającym z bagnistej równiny. Pozostawało w bliskich stosunkach, handlowych i politycznych, z Koryntem; właśnie dlatego Perykles pragnął je zdobyć. Jednakże obronne położenie miasta udaremniło ten zamiar. Po pewnym czasie Ateńczycy zwinęli obóz i odpłynęli do Pegaj, stamtąd zaś pomaszzerowali lądem ku swej ojczyźnie. Zasadniczy cel wyprawy osiągnięto: państwa Peloponezu przekonali się naocznie, że mimo pewnych niepowodzeń Ateny nie rezygnują ze swych mocarstwowych ambicji.

Również i dla Peryklesa osobiście blask wodzowskiej chwały był przydatny. Dotychczas zajmował się głównie sprawami politycznymi, dowództwo zaś w polu najchętniej powierzał zdolnym i wypróbowanym żołnierzom, jakimi byli Mironides i Tolmides. Sam, jeśli nawet

brał udział w którejś kampanii, to tylko jako jeden z członków kolegium dziesięciu strategów; urząd ten piastował już kilkakrotnie, idąc za przykładem Kimona. Wyprawa do Zatoki Korynckiej była pierwszą, za którą tylko on ponosił pełną odpowiedzialność. A fakt, że poprowadził operacje w bardzo krytycznym momencie, i to rozporządzając niewielkimi siłami, dobrze świadczył o strategicznych umiejętnościach Peryklesa.

SPRAWY DEMOKRACJI

Odtąd przez kilka lat panował w Helladzie pokój. Choć formalnie żadnego układu nie zawarto, wszystkie państwa uważały za najkorzystniejsze nie wszczynać działań wojennych. Te lata pokoju Perykles wyzyskał dla umocnienia w Atenach demokracji, z którą nierozłącznie związana była i jego osobista pozycja. Zbliżała się szybko chwila powrotu Kimona z wygnania, to zaś mogło oznaczać całkowity przewrót w dotychczasowym układzie sił politycznych. Nie można było z góry wykluczyć i tego, że na jakiś czas oligarchowie odzyskają wpływy, przywódcy zaś demokratów pójdą na wygnanie. Doświadczenie bowiem uczyło, że w państwach, gdzie istnieją dwa silne stronnictwa, a masy ludowe mogą się wypowiedzieć za którymś z nich, dokonuje się co pewien czas zmiana nastrojów wśród znacznej części głosujących. Mechanizm tych przesunień politycznych był bardzo prosty: winą za wszelkie niepowodzenia, wewnętrzne i zewnętrzne, obarczano zawsze stronnictwo będące u władzy. Spodziewano się, że przeciwne dokaże cudów. Oczywiście, nadzieje — z reguły zbyt wygórowane — nie były spełniane. Znowu więc oczy wyborców zwracały się ku przeciwnikom aktualnie rządzącej grupy.

Zdając sobie sprawę, że zbyt już długo kieruje państwem, zastępy więc wrogów i krytyków są liczne, Perykles widział ratunek w tym tylko, by rzeczywiście i żywotnie związać ze swoją polityką masy ateńskiego ludu.

Właśnie wówczas utworzono sądy gminne. Rozpatrywały one, na miejscu i szybko, wszystkie majątkowe i karne sprawy o mniejszym znaczeniu. Były niezmiernie dogodne dla ludności wiejskiej, bo nie musiała ona odrywać się od swych gospodarskich zajęć i marnotrawić czas na drogę i pobyt w mieście. Choć bowiem Attyka nie jest krajem wielkim i nawet z najdalszych jej zakątków można pieszo dojść do Aten w ciągu kilkunastu godzin, to przecież podróż tam i z powrotem oraz wyczekiwanie swej kolejki przed sądem przysięgłych zajmowały nieraz i kilka dni. A chłopci attyccy, jak zresztą wszyscy Ateńczycy, procesowali się z lubością. I to nie tylko powodowani chciwością, choć żądza ziemi i grosza niewątpliwie podżęgała ich najsilniej. Ważną przyczyną niekończących się procesów były właśnie rodowe, owe wendety, przekazywane z pokolenia w pokolenie.

Wprowadzenie sądów gminnych było korzystne jeszcze z jednego względu: ogromnie odciążyły one skomplikowaną machinę trybunałów ludowych. Te mogły odtąd skupić całą uwagę na rozpatrywaniu spraw poważniejszych, których było wiele. Od pewnego bowiem czasu żądano od obywateli państw Związku, aby przedkładali swoje sprawy sądom ateńskim. I to nawet sprawy ściśle prywatne! Było to niesłychanym pogwałceniem praw i swobód sprzymierzeńców, toteż wywoływało wśród nich głębokie rozgoryczenie. Skarżyli się otwarcie:

– Musimy nawet dla błahostki przyjeżdżać do Aten z odległych stron. To kosztuje dużo — i pieniędzy, i czasu. Równie kosztowne jest wyczekiwanie na termin rozprawy. Oczywiście, gospodarze domów zajezdnych i kupcy świetnie zarabiają na naszych tu pobytach. Dobrze też stoją wszelkiego rodzaju pośrednicy, mówcy sądowi, znawcy ateńskiego prawa, a nawet woźni i posługacze sądowi, bo płacimy im za każdą poradę i drobnostkę. Każdy z nas z osobna musi pochlebiać ateńskiemu pospólstwu, bo ono jest tutaj żyjącym prawem. Każdemu z sędziów trybunału musimy uniżenie podawać rękę, choć wielu z nas to ludzie bogaci i dostoj-

ni. Gdybyż to jeszcze wyroki były sprawiedliwe! A tymczasem trybunały z reguły uwalniają od wszelkiej winy tych, którzy należą do stronnictwa ludowego, i przeciwnie – skazują obywateli podejrzanych o sympatie dla oligarchów. Tak więc staliśmy się po prostu niewolnikami Ateńczyków!

W Atenach dobrze zdawano sobie sprawę ze wzburzenia wśród sprzymierzeńców. Nieustannie zresztą przypominali o tym ateńscy oligarchowie, którzy uważali cały ten proceder za niebezpieczne nadużywanie władzy. Jednakowoż stronnictwo Peryklesa było zdecydowane przekształcić Związek w podległe Atenom państwo. Poddanie jego mieszkańców tutejszemu sądownictwu było ważnym krokiem w tym kierunku. Odtąd można było wtrącać się w sprawy wewnętrzne państw związkowych oraz karać lub nagradzać ich obywateli w zależności od nastawienia do ateńskiej władzy. Lud Pireusu i Aten ciągnął rzeczywiście duże zyski z pobytu przybyszów, sędziowie zaś przez cały rok otrzymywali dodatkową zapłatę z sum złożonych przez strony przy procesach prywatnych.

W tymże czasie przeprowadził Perykles reorganizację floty oraz lądowych sił zbrojnych. I to miało znaczenie polityczne. Utworzono eskadrę ćwiczebną z sześćdziesięciu okrętów; pozostawały one na morzu przez całych 6 miesięcy. Zwiększyło to żeglarskie i wojskowe umiejętności załóg, ale obciążyło skarb państwa. Poprzednio wypłacano wioślarzom i żołnierzom floty żołd tylko w okresie kampanii. Obecnie każdy z ludzi eskadry ćwiczebnej brał przez wiele miesięcy po 3 obole dziennie. Załoga trójrzędowca liczyła przeciętnie 200 osób, łącznie więc i przez tak długi okres czyniło to sumy poważne. Służyli jednak we flocie ludzie najubożsi, ci zaś radośnie przyjęli możliwość dłuższego zarobkowania. Z tychże warstw rekrutowały się oddziały łuczników. Dotychczas było łuczników tylko siedmiuset; obecnie podniesiono ich liczbę, żołd zaś zrównano z żołdem hoplitów. Łucznikom konnym wyznaczono żołd podwójny. Zmieniło to charakter ateńskiej armii; stała się ona ludowa.

Aby zadowolić dumę i poczucie wyłączności tego ludu, przeprowadził Perykles w roku 451 ustawę, która określała, kto jest ateńskim obywatelem: ten tylko, kto urodził się z obojga rodziców Ateńczyków. Dotychczas zdarzało się często, że matka pochodziła z innego państwa, a nawet w ogóle nie była Hellenką. Nie uważano tego za ujmę. Kimon miał matkę z rodziny trackiej, a przecież doszedł do najwyższych godności.

Oczywiście, ustawa nie mogła działać wstecz, nie była więc wymierzona w Kimona. Wynikała ona z ówczesnej sytuacji ludnościowej w Atenach. Do stolicy Związku masowo napływali obywatele miast podległych, a również i kupcy z rozmaitych krajów. Wielu osiedlało się w Attyce na stałe, tu bowiem najłatwiej było dojść do majątku. Tych właśnie stale mieszkających cudzoziemców – niektórzy z nich siedzieli tu już od pokoleń – nazywano w Atenach metojkami. Mieli oni wszystkie obowiązki, żadnych zaś politycznych praw obywateli. Napływ ludności obcej, a także kontakty z mieszkańcami odległych krain w czasie wypraw wojennych i podróży kupieckich powodowały, że małżeństwa mieszane były w Atenach coraz liczniejsze. Demokracja jednak, czym więcej dawała rzeczywistych zysków i przywilejów, tym stawała się o nie zawistniejsza. Lud traktował swoje państwo jak przedsiębiorstwo, którego dochody jemu tylko mają służyć.

Wnosząc ustawę Perykles był już żonaty, oczywiście z Atenką. Nie znamy nawet imienia tej kobiety. Wiadomo tylko, że była jego daleką krewną. Dała Peryklesowi dwóch synów. Pierworodny otrzymał imię dziadka – Ksantypus, młodszy zaś zwał się Paralos, niewątpliwie na pamiątkę owego stronnictwa, które przez długi czas stanowiło o potędze Alkmeonidów; w ten sposób Perykles zaznaczył, że czuje się spadkobiercą rodu swej matki i z krwi, i z tradycji politycznych.

POŚMIERTNE ZWYCIĘSTWO KIMONA

Wiosną roku 451 upłynął termin dziesięcioletniego wygnania Kimona. Przewrotny polityk, jakim był Perykles, wolał uniknąć walki, bo jej wyniku nie był pewny. Powszechnie twierdzono, że pomiędzy obu mężami stanu doszło do tajnego porozumienia, i to nim jeszcze Kimon stanął na ateńskiej agorze. Pośredniczyć w rozmowach miała Elpinike. Treść układu stała się jasna, kiedy wnet po powrocie Kimona dokonano istotnych zmian w polityce. Zawarto pokój z Lacedemonem na lat pięć, wiosną zaś roku 450 Kimon wyruszył na czele dwustu okrętów przeciw perskim wasalom na Cyprze. Perykles natomiast pozostał w Atenach i miał zajmować się sprawami wewnętrznymi. Mówiono więc:

– Ci dwaj podzielili się władzą. Kimon będzie przewodził wojsku, Perykles zaś ludowi. To najlepiej pokazuje, jak słaby jest Perykles. A przecież cudów dokazywał, byle tylko mieć masę za sobą! Prawdziwą i trwałą sławę dają jedynie zwycięstwa orężne. Otóż odtąd będą one udziałem Kimona. Dalej: Perykles przez wiele lat uporczywie dążył do zniszczenia Lacedemonu i Koryntu. Zaryzykował nawet wojnę na dwa fronty: z tymi państwami i z Persją. Obecnie jednak musiał zaniechać planu poddania Atenom Hellady. Jej państwa będą miały dość czasu, by skrzepić swoje siły, gdy my wykrwawimy się w nowych zmaganiach z Persją.

Kiedy flota Kimona znalazła się u wybrzeży Cypru, wódz wysłał 60 okrętów do Egiptu, aby pomóc Amyrtajosowi. Bo ten wciąż jeszcze stawiał Persom dzielny opór w rozlewiskach delty! Z resztą swej floty Kimon przystąpił do oblężenia miasta Kition. Leżało ono na południowych wybrzeżach Cypru, a panował nad nim książę Balmelek, wierny sprzymierzeniec Persów. Zdobycie Kitionu, jednego z ważniejszych miast wyspy, dałoby Ateńczykom ważny punkt strategiczny, skąd mogliby dokonywać podboju reszty Cypru oraz kontrolować szlaki wiodące ku Syrii i Fenicji.

Opowiadano w Atenach, że w nocy poprzedzającej wypłynięcie floty z Pireusu trapiła Kimona męcząca zmora. Wydawało mu się, że wściekle ujada nań pies, którego szczekanie mówiło zarazem ludzkim głosem:

– Idź, idź, będziesz przyjacielem moim i moich szczeniąt!

Kimon opowiedział to jednemu ze swych domowników, który służył jako znakomity tłumacz snów. Ten tak wyłożył ukryty sens zjawy:

– To zapowiedź twego rychłego zgonu. Bo jeśli pies szczeka na kogoś, to oczywiście jest mu wrogiem. Ale jednocześnie ten pies mówił, że będzie twoim przyjacielem. A kiedy można stać się przyjacielem wroga? To jasne: dopiero po jego śmierci.

W czasie oblężenia cypryjskiego miasta Kimon ciężko zaniemógł. Liczył się z najgorszym i na naradzie dowódców oświadczył wprost:

– Jeśli umrę, zachowajcie to w całkowitej tajemnicy. Oblężenie zaś tak czy owak trzeba będzie przerwać, bo z żywnością krucho.

Wkrótce potem wielki wódz zmarł. Ateńczycy odплыnęli spod Kitionu, ale wszyscy byli przekonani, że Kimon, choć jest chory i nie opuszcza okrętu, nadal dowodzi. Wydawało się, że wielka wyprawa nie przyniosła żadnych owoców. Ale koło cypryjskiego miasteczka Salamina – zwało się ono tak samo jak i sławna wyspa u wybrzeży Attyki – natknęto się na perską flotyllę, rozbito ją na morzu, rozgromiono też tych jej żołnierzy, którzy szukali ocalenia na lądzie.

Teraz, właśnie teraz można było opanować całą wyspę. Zabrakło jednak w tym momencie wodza, który potrafiłby zdobyć się na śmiałą decyzję. Miałaby ona ogromne znaczenie dla przyszłości Cypru, gdzie ludność była mieszana. Książęta fenicy sprawowali tu rządy w imieniu perskiego króla i bezwzględnie prześladowali wszelkie przejawy odrębności cypryjskich Hellenów; ci zaś, pozbawieni pomocy z macierzy, jakżeż mieli się opierać falom ustawicznie bijącym w nich od wschodu?

W 30 dni od wyruszenia spod Kitionu Ateńczycy byli już w porcie Pireusu. Wieźli zwłoki swego wodza i dobrą nowinę o podwójnym zwycięstwie pod Salaminą.

Była to ostatnia wyprawa Ateńczyków i ich sprzymierzeńców przeciw Persom.

POKÓJ KALLIASA

Po śmierci Kimona przywódcą oligarchów został Tukidydes, syn Melezjasza, człowiek poważny i szanowany, nie mający jednak ani sławy, ani też majątku Kimona. Nie mógł więc Tukidydes sprostać wpływowi Peryklesa, który stał się niemal władcą ateńskiego państwa, lud bowiem zawsze głosował zgodnie z jego zaleceniami.

Pogląd Peryklesa na ówczesną sytuację był taki:

Wojny z Persją nie można dalej prowadzić, bo to byłoby na rękę wrogom Aten w samej Helladzie, Sparcie i Koryntowi. Oni to są obecnie najgroźniejsi. Należy więc zrezygnować z planów wydarcia Persom Cypru i Egiptu. Wprost przeciwnie, właśnie teraz, po salamińskim zwycięstwie, nadarza się okazja nawiązania pokojowych rokowań z Persją. Król królów na pewno dość już ma tej wojny, która wlecze się przez dziesiątki lat. Ma jej dość i dlatego, że w jego państwie wciąż wybuchają to bunty satrapów, to powstania ciemnej ludności.

Istotnie, tak było. Wnet po powrocie floty z Cypru przybyli do Aten wysłannicy dwóch satrapów perskich; działali oni za cichym pozwoleniem samego króla. Zadanie wysłanników było bardzo dyskretne: mieli wybadać w sposób zupełnie nieoficjalny, czy Ateńczycy skłonni byłiby przystąpić do rozmów. Rzecz prosta, król nigdy nie poniżyłby się do występowania wprost – i to jako pierwszy! – z pokojową propozycją. Ale od wysłanników swoich satrapów mógł odciąć się w każdej chwili; mógł udać, że wszystko stało się bez jego wiedzy i zgody.

Strona ateńska od razu podchwyciła tę inicjatywę. Wysłano oficjalne poselstwo na dwór królewski do dalekiej Suzy; dalekiej, bo leżącej jeszcze na wschód od Babilonii. Przewodził poselstwu Kallias. Nie był to wybór przypadkowy. Kallias był przecież swego czasu mężem Elpiniki, siostry Kimona. Chciano więc pokazać, że zawarcie pokoju jest wolą nie tylko Peryklesa i jego stronnictwa, lecz także ludzi bliskich zmarłemu wodzowi.

Wiosną roku 449 rokowania doprowadziły do przyjęcia traktatu, który głosił:

Okrety króla Persów nie będą wpływać na Morze Egejskie. Wyznacza się w tym celu punkty graniczne u południowych i północnych wybrzeży Azji Mniejszej. Wojska lądowe króla nie zbliżą się do brzegów Morza Egejskiego na odległość mniejszą od tej, którą zdoła przebiec koń w ciągu jednego dnia. Ateńczycy natomiast nie będą wysyłać swych wojsk na ziemię Persów i nie pomogą nikomu, kto ośmieli się powstać przeciw królowi.

W istocie rzeczy traktat oznaczał, że Persowie zrzekają się panowania nad zachodnimi krańcami Azji Mniejszej. Sformułowanie jednak było takie, aby nie urazić dumy i autorytetu króla. Bo przecież nie rezygnował on ze swych praw do owych ziem. Układ więc nie przynosił Ateńczykom pełnej chwały. Oddawali też Persom Cypr – wyspę, na której żyło wielu Hellenów i o którą przelano tyle krwi! Wrogi Peryklesowi stronnictwo oligarchów mogło więc wołać:

– Sprzedano Persom naszych cypryjskich braci, cóż w zamian otrzymując? Okrety perskie i tak już nie ośmielają się wpływać na Morze Egejskie. Wybrzeża zaś Azji są również nasze, bo przecież wszystkie tamtejsze miasta należą do Związku. Układ więc jest haniebny i niekorzystny. Jeśli Kallias miał czelność go zawrzeć, to chyba tylko dlatego, że od króla Persów wziął pieniądze, które tak kocha. Spodziewa się poseł, że tutaj ochronią go przed odpowiedzialnością wpływy Peryklesa. Wie bowiem, jak bardzo nienawidzi on Sparty: gotów byłby wszystko oddać Persom, byle tylko mieć wolną rękę w Helladzie. Tę zdradę Kalliasa trzeba ukarać! Trzeba pokazać Peryklesowi, że nie jest wszechwładnym panem Aten!

Układ musiał być potwierdzony przez lud, inaczej nie byłby ważny. Tymczasem oskarżony o przekupstwo Kallias został pozwany przed sąd. Groziła mu kara śmierci. Chodziło jednak nie tylko o życie owego człowieka. Wyrok skazujący równałby się przecież odrzuceniu układu z Persami i byłby całkowitą klęską polityczną Peryklesa. Jednakże oligarchowie byli zbyt słabi, aby wymóc w sądzie przysięgłych – który składał się w ogromnej większości z przedstawicieli ludu – skazanie Kalliasa. Od zarzutu przekupstwa, a więc w tym wypadku i zdrady, uwolniono go w zupełności. Dopatrzone się natomiast nieścisłości w rachunkach z kosztów poselstwa i skazano Kalliasa na zapłacenie grzywny w wysokości pięćdziesięciu talentów. To jednak nie miało już znaczenia politycznego, bo w niczym nie naruszało prawomocności układu. Zresztą i ten wyrok został wkrótce jakoś uchylony dzięki staraniom Peryklesa, kiedy minęło pierwsze wzburzenie wywołane sprawą. Przeprowadził on nawet uchwałę zgromadzenia ludowego, która w pięknych słowach słała zasługi Kalliasa. Na pamiątkę zaś zawarcia układu wybudowano w Atenach ołtarz bogini pokoju – Ejrene.

Pozostała jednak w mieście inna jeszcze pamiątka po Kalliasowym posłowaniu do Persji. Był tam w jego otoczeniu również pewien młodzieńca, a bardzo przystojny Ateńczyk imieniem Pyrilampes. Zaszczyc udziału w poselstwie zawdzięczał on osobistej przyjaźni z Peryklosem. Otóż ów młody człowiek przywiózł sobie z podróży na wschód stadko ptaków, których w Europie nikt dotąd nie widział. Toteż stały się one przedmiotem powszechnego podziwu i pożądania. Zachwycono się ich przepysznyimi, barwnymi ogonami. A ich przeraźliwie donośne głosy słycać było niemal z jednego końca miasta na drugi. Wiele tych wspaniałych ptaków znalazło się później w co znakomitszych domach ateńskich. Wrogowie Peryklesa zwrócili jednak uwagę na pewną prawidłowość: pawie trafiały właśnie i tylko do tych domów, które i tak zdobiły już piękne panie. Od razu poszła plotka: Pyrilampes posyła swoje ptaki w podarunku niewiastom, o których względy zabiega jego dostojny przyjaciel!

SPRAWY MAŁŻEŃSKIE

To prawda, że ateńskie małżonki były bardzo skrupowane w swych poczynaniach. Stale przebywały w oddzielnej części domu, na miasto zaś wychodziły tylko w towarzystwie. Ale niewieścia przebiegłość znajdowała wiele sposobów, żeby zwieść choćby i najczujniejszych mężów. Ci natomiast mieli za sobą stare, surowe prawo: mogli karać nawet śmiercią kochanka żony, przyłapanego na gorącym uczynku. Oto jak broni się pewien Ateńczyk oskarżony o zabójstwo:

„Kiedy się ożeniłem, z początku postępowałem tak, żeby ani kobiecie nie dokuczać, ani też nie pozwalać jej na wszystko. Pilnowałem jej dobrze i dawałem baczenie, jak należało. Ale kiedy urodziło się dziecko, zaufałem żonie zupełnie. Powierzyłem jej wszystkie swoje sprawy, uważałem bowiem, że nie może być lepszej rękojmi wierności. I początkowo była rzeczywiście najlepszą z niewiast: świetna gospodyni, niezmiernie oszczędna, wszystkim zarządzała znakomicie. Dopiero śmierć mojej matki stała się początkiem wszelkich nieszczęść. Żona wzięła udział w pogrzebie. Wtedy to ujrzał ją ów człowiek i z czasem zdołał omotać. Wyśledził służącą, która chodziła po zakupy na agorę, wszedł z nią w znowę, a potem dobrał się do samej pani. Musicie zaś wiedzieć, że domek mam piętrowy, podzielony na część dla mężczyzn i dla kobiet. Otóż żona karmiła dziecko sama. Żeby zaś nie musiała schodzić do kąpieli po schodach, ja zamieszkałem na piętrze, a kobiety zajęły dół. Tak to już weszło w zwyczaj, że żona często szła spać na dół do dziecka, bo dawała mu w nocy piersi, żeby nie płakało. Trwało to czas długi, a ja nie tylko niczego się nie domyślałem, ale jeszcze byłem taki naiwny, że powiadałem sobie: moja żona to najskromniejsza niewiasta ze wszystkich w tym mieście!

Pewnego razu wróciłem do domu ze wsi niespodziewanie. Po wieczerzy dziecko krzyczało i było bardzo niespokojne. To dziewczyna umyślnie tak je drażniła, bo w mieszkaniu był obcy mężczyzna. Wszystko to wykryło się potem. Ale wtedy, niczego się nie domyślając, kazałem żonie zejść i dać dziecku piersi, żeby wreszcie się uspokoiło. Ona najpierw nie chciała, niby to bardzo się ciesząc z mojego powrotu, a gdy w końcu się rozgniewałem i kazałem jej odejść, zaczęła mi robić scenę:

– Tak, ja mam sobie iść, żebyś ty mógł zabrać się tutaj do dziewczyny! Już raz po pijanemu rzucałeś się na nią!

Ja się roześmiałem, ona zaś wstała i wyszła. Drzwi zamknęła, niby to w żartach, a klucz zabrała ze sobą. Nie przejąłem się tym w ogóle i zasnąłem spokojnie, jako że byłem po pracy w polu. Kiedy już dniało, wróciła z dołu i drzwi otworzyła. Zapytałem ją, czemu to brama skrzypiała w nocy. Ona na to:

– Zgasła mi świeca, ta przy dziecku. Musiałam brać ogień od sąsiadów.

Nic na to nie powiedziałem, przekonany, że istotnie tak było. Ale wydawało mi się, że twarz ma umalowaną, choć jej brat zmarł zaledwie przed trzydziestu dniami. I o tym jednak nie wspomniałem ni słowem.

Minęło nieco czasu i nie zaprzątałem już sobie głowy tą sprawą. Któregoś jednak dnia podeszła do mnie pewna staruszka. Przysłała ją kobieta, z którą, jak się okazało, kochanek mojej żony żył poprzednio. Kiedy przestał ją odwiedzać, ta kobieta, rozgniewana i pokrzywdzona, zaczęła śledzić, gdzie bywa on teraz. Otóż staruszka podeszła do mnie niedaleko domu i mówi:

– Nie chcę wścibiać nosa w cudze sprawy, ale wiedz: ten człowiek, który znieważa ciebie i twoją żonę, jest także naszym wrogiem. Wybadaj dziewczynę, która chodzi na zakupy. Od niej dowiesz się wszystkiego. On nazywa się Eratostenes, jest z gminy Oaj. Uwiódł nie tylko twoją żonę, ale też wiele innych. Taki to obrał sobie zawód.

To powiedziała i zaraz się oddaliła, ja zaś stanąłem jak wryty. I od razu wszystko mi się przypomniało: zamknęła mnie wtedy w pokoju, skrzypiały drzwi, była umalowana.

Skoro tylko wróciłem do domu, kazałem dziewczynie, żeby wyszła ze mną na miasto. Zaprowadziłem ją do jednego z moich krewnych i tam dopiero powiedziałem:

– Wiem wszystko, co się dzieje w domu. Wybieraj: albo każę cię wysiec batami i poślę do roboty do młyna, i to na zawsze, albo powiesz całą prawdę, a ja daruję ci wszystko! Tylko nie kłam, mów jak było!

Dziewczyna najpierw wszystkiemu przeczyła i wołała, że mogę robić co chcę, ona nie wie o niczym i nic nie powie. Ale kiedy tylko wspomniałem imię Eratostenesa, przestraszyła się, że ja istotnie wszystko już wykryłem. Przypadła mi do nóg, a ja jej zaręczyłem, że naprawdę nie spotka ją nic złego. Wtedy dopiero opowiedziała całą historię: i jak tamten zbliżył się do mojej żony po pogrzebie, i jakich sposobów używał, i jak w czasie święta Tesmoforiów, kiedy ja byłem na wsi, moja żona poszła do świątyni z jego matką. A kiedy już skończyła zagroziłem jej:

– Żeby tylko nikt się nie dowiedział o tym! Bo inaczej nie będzie ważna nasza umowa. I chcę, żebyś mi to pokazała. Słowa mi na nic, muszę mieć dowód naoczny!

W jakieś cztery lub pięć dni potem spotkałem, już po zachodzie słońca, mego przyjaciela i krewnego, Sostratosę; wracał z pola. Wiedziałem dobrze, że o tak późnej porze nie znajdzie on w swoim domu niczego do jedzenia; dlatego zaprosiłem go na wieczerzę do siebie. Spożyliśmy ją na piętrze. Sostratos podjadł sobie nieźle i wyszedł, a ja położyłem się spać. Zbudziła mnie dziewczyna:

– Eratostenes jest u pani!

Kazałem jej pilnować bramy i zaraz cicho wymknąłem się na ulicę. Zacząłem obchodzić różnych znajomych. Jednych zastałem, innych nie. W każdym razie zebrałem, ilu tylko się dało. Z najbliższego sklepu wzięliśmy pochodnie i weszliśmy do domu. Bramę otworzyła

nam dziewczyna. Otóż ci z nas, którzy weszli pierwsi, dostrzegli go jeszcze leżącego przy kobiecie, ci jednak, co byli z tyłu, zobaczyli, że już stoi na łóżku; był całkiem nagi. Uderzyłem go tak, że upadł na ziemię. Ręce ściągnąłem mu do tyłu i związałem. Krzyknąłem:

– Cóż to, zachciewa ci się mój dom plugawić? A on zaczął mnie błagać:

– Źle, źle zrobiłem, przyznaję, żałuję, nie zabijaj mnie, weź pieniądze, dam ile chcesz!

I tak skamlał. Ale ja tyle tylko powiedziałem:

– To nie ja cię zabiję, lecz prawo naszego miasta. Ty je złamałeś, i to tylko dla rozpusty. Hańbiłeś mnie, moją żonę i dzieci!

W taki to sposób spotkał go los, który prawa nasze zgotowały ludziom dopuszczającym się tej zbrodni. Nie został bowiem Eratostenes porwany z drogi, jak to utrzymują moi oskarżyciele, i nie szukał też ocalenia przy domowym ognisku; jak by to zresztą było możliwe, skoro ręce miał skrepowane, a ja trzymałem go mocno?¹⁸

Sprawa o zabójstwo Eratostenesa toczyła się w jakieś trzydzieści lat po śmierci Peryklesa, podobne jednak wypadki zdarzały się za jego życia i wcześniej. Zawsze bowiem obowiązywało w Atenach to samo prawo, dające skrzywdzonemu mężowi moc wymierzania sprawiedliwości na miejscu, bez sądu, byle przy świadkach. Jeśli więc Perykles istotnie uwodził mężatki (jak uporczywie i powszechnie twierdzono w Atenach), to zachowywać musiał najdalej idącą ostrożność – i to nie tylko ze względu na dobre imię!

KONGRES HELLEŃSKI

Wieść o zawarciu układu z Persami powitali Hellenowie z najwyższą radością. Tylko w Sparcie i w Koryncie mogła ona wzbudzić lęk, że przyjdzie teraz zmierzyć się z całą potęgą Aten. Ale i tam musiano zdawać sobie sprawę, że jest to wielka chwila w dziejach Hellady. Przecież krwawe zmagania z Persją toczyły się już od pół wieku, od wybuchu powstania w Milecie. Wypełniły one życie dwóch pokoleń, a zakończyły się – cokolwiek by mówili wrogowie Peryklesa! – w sposób przechodzący najśmielsze marzenia bojowników spod Maratonu i Termopil. Wówczas bowiem, kiedy nieprzejrzane zastępy Kserksesa załazy Beocję i Attykę, a żołnierze na okrętach pod Salaminą widzieli dym płonących Aten, któż ośmieliłby się przypuszczać, że za lat 30 król królów zgodzi się ustąpić z części swych ziem i przyjmie upokarzający warunek nienaruszania wód Morza Egejskiego!

Najbardziej jednak radowały się z pokoju miasta należące do Związku. Celem jego istnienia była walka z Persją. Dlatego to tworząc Związek zobowiązały się miasta wpłacać do wspólnego skarbcza składki na pokrycie kosztów wojennych. Z biegiem lat, kiedy Ateny mocną ręką ujęły zwierzchność, składki stały się po prostu daniną, i to twardo ściąganą. Dopóki trwała wojna, cierpiano ten stan rzeczy jako zrozumiałą konieczność. Próby wystąpienia ze Związku nie były zbyt liczne. Obecnie jednak, po zawarciu układu, konieczność wpłacania foros znikła całkowicie. Wszędzie rozumowano tak:

Owszem, Związek nasz został ustanowiony, jak głosi akt założycielski, „na wieczne czasy” – i może istnieć dalej. Jest w Helladzie wiele takich związków państwowych, które powstały w zamierzchłej przeszłości i trwają właściwie po to tylko, aby wspólnie oddawać cześć bóstwom i utrzymywać ich świątynie. Nie ma jednak żadnej potrzeby wpłacenia składek, i to tak wysokich! Zresztą skarbiec nasz posiada ogromną rezerwę pięciu tysięcy talentów. Mimo kosztów wojny tyle zebrało się pieniędzy w ciągu lat trzydziestu. Skoro odpadają wydatki na zbrojenia, suma ta wystarczy na wieki. Cóż bowiem będziemy z nich opłacać? Chyba tylko ofiary dla bogów nieśmiertelnych, składane za wspólną pomyślność!

¹⁸ Lizjasz, *Mowy*, I 5—27.

Ateńczykom trudno było odpowiadać, argumenty były poważne. Zanosilo się więc na to, że układ z Persami stanie się zarazem grobem Związku, który przecież był fundamentem potęgi Aten.

Perykles dobrze zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Wiedział o nastrojach panujących w miastach sprzymierzonych. Wszyscy oczekiwali teraz, kiedy wreszcie zaświtał pokój, jakiejś zasadniczej zmiany na lepsze. Pragnęli nagrody za długie lata wyrzeczeń. Nie można było lekceważyć tych nastrojów, należało jakoś je uwzględnić, pamiętając jednocześnie, że władzy nad Związkiem Ateny zrzec się nie mogą, bo to byłoby klęską polityczną i gospodarczą.

Wiosną roku 449, prawie bezpośrednio po zatwierdzeniu układu z perskim królem, ateńskie zgromadzenie ludowe powzięło na wniosek Peryklesa uchwałę: w następnym roku urzędowym (to jest 449/8), nie będzie się ściagać składek do skarbcza Związku.

W tymże czasie Perykles przeprowadził uchwałę, która wywołała ogromne poruszenie w całej Helladzie. Mówiła bowiem:

Nasi posłowie udadzą się do wszystkich państw helleńskich w Europie i w Azji. Posłów będzie łącznie dwudziestu, a wybierze się ich spośród mężów najpoważniejszych, którzy już przekroczyli pięćdziesiąty rok życia. Pięciu z nich obejdzie miasta Azji oraz wyspy od Lesbos po Rodos, pięciu zaś innych miasta na wybrzeżu trackim i nad cieśninami do Morza Czarnego aż po Bizantion. Trzecia piątka zawiezie posłanie do miast Beocji, Focydy, Peloponezu, a także i do tych, które leżą nad Morzem Jońskim. Czwarta wreszcie piątka odwiedzi miasta Eubei i Tesalii oraz krainy okoliczne. Posłowie ci prosić będą wszystkie państwa, wielkie i małe, aby w ustalonym czasie przysłały swych przedstawicieli do Aten. Lud bowiem ateński i rada pięciuset zwołują ogólnohelleński kongres pokojowy. Będzie on obradował nad trzema sprawami, które jednakowo i żywotnie obchodzą wszystkich Hellenów:

Po pierwsze, nad odbudową świątyń zniszczonych przez Persów; Po drugie, nad wypełnieniem ślubów złożonych bogom nieśmiertelnym, kiedy Hellenowie bronili się przed najazdem; Po trzecie, nad bezpieczeństwem morza, aby wszyscy mogli żeglować bez lęku. Posłowie złożą też uroczyste oświadczenie, że Ateńczycy przeznaczają 5000 talentów ze skarbcza Związku na wprowadzenie w życie tych trzech zadań.

Zwołanie kongresu było znakomitym posunięciem politycznym. Sam bowiem fakt, że to właśnie Ateny zwracają się do helleńskiego świata, był manifestacją ich znaczenia. One zwyciężyły Persów, one więc mają prawo przewodzić innym i podejmować wielkie inicjatywy!

Ogromny pieniądź, już leżący w skarbcu, czynił program obrad całkowicie realnym. Co prawda, łatwo było obliczyć, że nawet 5000 talentów nie starczy dla wykonania wszystkich zamierzeń. W szczególności stałe patrolowanie morza wymagałoby nieustannych dopłat. Państwa uczestniczące w kongresie musiałyby więc ustanowić na przyszłość jakieś sposoby finansowania wspólnych przedsięwzięć. Gdyby zaś zdecydowały się wpłacać składki – które zresztą w takim wypadku, wobec dużej liczby uczestników, nie byłyby wielkie – uznałyby pośrednio ateńską hegemonię nad całą Helladą!

Było jednak pewne, że wiele państw w ogóle nie przyjmie zaproszenia. Zwłaszcza stanowisko Sparty i Koryntu z góry nie nasuwało żadnych wątpliwości. Przed Atenami nie ugną się one nigdy i w żaden sposób nie przyznają im pierwszeństwa! Perykles przewidywał taki obrót sprawy – i był on zupełnie po jego myśli. Będzie można głosić:

Zawistna Sparta udaremniła rzecz piękną i dobrą dla wszystkich. Powodowana tylko wrogością do Aten nie pozwoliła, by Hellenowie wywiązali się ze swych ślubów. Przeszkodziła odbudowie świątyń. Na Spartę więc, na butnych i samolubnych Lacedemończyków, spadnie odpowiedzialność za gniew bogów, który na pewno dotknie Helladę, oraz za brak bezpieczeństwa na morzu!

Istotnie. Sparta i Korynt oraz zależne od nich państwa Peloponezu kategorycznie odmówiły udziału w kongresie. Perykles natychmiast przystąpił do realizacji drugiej części swego planu. W Atenach jego stronnicy wywodzili:

– Skoro odrzucono, głupio i małostkowo, naszą wyciągniętą rękę, musimy radzić sobie inaczej. Program kongresu wykonamy nie oglądając się na niczyją pomoc – bo jest on miły bogom i korzystny dla Hellenów!

Latem roku 449, a więc zaledwie w kilkanaście dni po nadejściu odmownej odpowiedzi ze Sparty, Perykles osobiście przedstawił zgromadzeniu ludowemu projekt nowej uchwały:

5000 talentów złożonych w skarbcu Związku należy przeznaczyć na odbudowę naszych, ateńskich świątyń, które zniszczyli Persowie.

Tukidydes wystąpił z gwałtownym atakiem przeciw temu projektowi:

– Sprzymierzeńcy złorzeczą nam, i słusznie. Użyliśmy wybiegu, aby usprawiedliwić przeniesienie skarbcza z Delos do naszego miasta przed pięciu laty. Mówiliśmy wtedy: perskie okręty lada dzień zjawią się na morzu koło Delos, pieniądze będą bezpieczne tylko za murami Aten. Po klęsce egipskiej miało to nawet pozory prawdopodobieństwa. A oto teraz Perykles okazuje całej Helladzie kłamliwość tego wybiegu. Przecież pokój został zawarty, nie ma mowy o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Sprawiedliwość nakazywałaby więc przenieść skarbiec z powrotem na Delos. Zamiast tak postąpić, Perykles po prostu grabi pieniądze Związku na cele wyłącznie ateńskie. Krzywdzi i znieważa sprzymierzeńców. Pokazuje bez obłonek, że nasze rządy nad Związkiem to po prostu tyrania. Pieniądz, który sprzymierzeńcy złożyli kosztem wielu wyrzeczeń dla wspólnej obrony przed najeźdźcą, obracamy teraz na strojenie miasta. Postępujemy jak próżna kobieta, co się obwiesza złotem i klejnotami!

Perykles odpowiadał:

– Nie jesteśmy obowiązani do zdawania rachunków z tych pieniędzy. Należą one do nas, uczciwie i sprawiedliwie. Ciężar wojny nas przede wszystkim obarczał. MY dawaliśmy krew, oni pieniądze. Teraz, kiedy miasto jest już obwarowane, godzi się obrócić pieniądze na cel zbożny, który zapewni nam sławę i zysk zarazem. Wielkie budowle sprawiają, że rozkwitną u nas wszelkie umiejętności. Setki i tysiące ludzi znajdują pracę. Rozwiną się rzemiosła. Świątynie będą nie tylko zdobić, lecz i żywić nasze miasto.

Takie słowa trafiały ludowi bardziej do przekonania niż mdłe wywody oligarchów o sprawiedliwości. Przedstawiony przez Peryklesa projekt zgromadzenie ludowe przyjęło. A wkrótce potem zapadła uchwała, że poczynając od następnego roku urzędowego, to jest 448/7, sprzymierzeńcy będą musieli znowu wpłacać foros, i to w tej samej wysokości co poprzednio. Uzasadniano to posunięcie tym, że kongres nie doszedł do skutku. Argumentacja była prosta:

– Skoro ogół państw Hellady nie chciał zająć się bezpieczeństwem na morzu, obowiązek ten spada na Ateny oraz ich Związek. To prawda, że obecnie nie grozi najazd perski. Każdej jednak chwili mogą pojawić się okręty piratów. Może też spodobać się któremuś z państw postronnych łupić nasze statki kupieckie. Należy więc utrzymywać w stałym pogotowiu flotę wojenną i eskadry patrolujące. To zaś wymaga znacznych zasobów pieniężnych.

Perykles zdawał sobie sprawę, jakie wzburzenie wśród sprzymierzeńców wywołała ta wiadomość. Należało się obawiać, że niektóre państwa zechcą wystąpić ze Związku. Zdarzało się to przecież i poprzednio, gdy jeszcze trwała wojna, a więc istnienie Związku było konieczne. Obecnie zaś wychodziło na to, że ów ciężko wywalczony pokój przyniósł zysk zgoła mizerny: rok przerwy w płaceniu daniny!

Jednakże cel był jasno wytknięty: pełne panowanie nad Związkiem. Dlatego to wprowadzano coraz to nowe zarządzenia, które we wszystkich sprawach uzależniały sprzymierzeńców od Aten. Najlepiej świadczyła o tym uchwała z tegoż lub następnego roku, rozesłana do wszystkich miast Związku: zakazywała ona, pod surową karą, wybijania srebrnej monety i w ogóle posługiwania się jakąkolwiek monetą poza ateńską. Wszędzie miały też obowiązywać tylko ateńskie miary i wagi.

Prawo do własnej monety było symbolem i dowodem niezależności państwowej. Odbierając to prawo sprzymierzeńcom Ateny okazywały, że uważają ich tylko za poddanych.

ATENA LEMNIA

W 447 roku Perykles wyjechał na Chersonesz. Wiódł ze sobą około tysiąca Ateńczyków, którzy pozostali tam jako osadnicy. Otrzymali na Chersoneszie działki ziemi, czyli kleroj; stąd poszła ich nazwa – kleruchowie. Żyli na obczyźnie, zatrzymali jednak obywatelstwo ateńskie. Byli jakby garnizonem ateńskim, który czuwał nad morskimi drogami ku Morzu Czarnemu.

Założenie kleruchii na Chersoneszie miało też inny cel. Hellenowie siedzieli tu od stu lat, od czasów starego Miltiadesa, jednakże wciąż atakowali ich sąsiedzi, Trakowie z kontynentu. Obecnie więc nowi osadnicy umocnili tu żywioł helleński. Dla wszelkiej pewności Perykles, idąc za wzorem Miltiadesa, zbudował mur w poprzek półwyspu, aby utrudnić Trakom najazdy. Ponieważ nowi osadnicy zajęli część ziemi uprawnej, Chersonesjczykom obniżono składkę do skarbcza Związku; tę zasadę obniżania foros państwowym, na których ziemiach powstawały ateńskie kleruchie, stosowano odtąd stale.

Tak więc na Chersoneszie Perykles Alkmeonida umocnił spadek, który pozostawił Atenom ród Filajdów, Miltiades i jego następcy.

W tymże czasie założono kleruchie na wyspach Imbros i Lemnos. Wódz Tolmides osadził 1000 kleruchów na Eubei, 500 zaś na wyspie Naksos. Na Andros wyjechało ich ponad dwustu. Nieco później do miejscowości Brea na wybrzeżu trackim wysłano 1000 ludzi; ci jednak utworzyli tam nie kleruchię, lecz formalnie odrębne państewko, zależne jednak całkowicie od Aten. Zachowała się wyryta na marmurowej tablicy uchwała ateńskiego zgromadzenia ludowego o założeniu kolonii Brea. Oto jej główne postanowienia:

Dla rozdziału ziemi wybierze się dziesięciu ludzi, po jednym z każdej fili. Demoklides, który zaproponował utworzenie kolonii, otrzymuje szerokie pełnomocnictwa dla realizacji tego zadania. Święte okręgi, które już od dawna znajdują się na terenie przyszłej kolonii, mają być utrzymane, nie należy jednak zakładać nowych. W czasie Wielkich Panatেনajów, a więc w lecie każdego roku, koloniści z Brei przysyłać będą jako ofiarę dla bogini Ateny jednego byka i jedną pełną zbroję. Inną ofiarę złożą w czasie Dionizjów. Gdyby kolonię zaatakowali nieprzyjaciele, pomocy udzielą jej najbliższe miasta należące do Związku. Żołnierze, którzy obecnie znajdują się poza granicami kraju, będą mogli zgłosić się na wyjazd do Brei, muszą jednak udać się tam najdalej do trzydziestu dni od chwili zwolnienia ze służby. Osadnicy wyjadą do Brei w ciągu trzydziestu dni od daty tej uchwały. Koszty podróży zwróci im na miejscu urzędnik, który będzie towarzyszył wyprawie.

Do zasadniczego tekstu uchwały dodano jeszcze jedno ważne postanowienie: koloniści mogą się rekrutować tylko z dwóch najuboższych warstw obywateli.¹⁹

Postanowienie to wskazało w sposób jasny i oczywisty dla wszystkich jedną z najistotniejszych przyczyn wielkiej akcji osadniczej. Attyka była przeludniona. Danie ziemi i pracy jej mieszkańcom stało się ekonomiczną koniecznością, a zarazem zwiększało popularność Peryklesa jako prawdziwego przyjaciela ludu, dbałego przede wszystkim o los najmniej posiadających.

Ateńscy osadnicy nie wszędzie utrzymali się długo. A nawet ci kleruchowie i koloniści, których nie wyгнаły wojny i przewroty następnych dziesięcioleci, roztopili się później w masach ludności miejscowej. Pamięć o nich trwa do dziś chyba tylko dzięki wielkiemu dziełu sztuki, Oto wyjeżdżający na Lemnos kleruchowie pragnęli zapewnić sobie pomoc i błogosławieństwo bogini swego miasta również i w nowej ojczyźnie. Złożyli się między sobą i zamówili u mistrza Fidiasza posąg Ateny z brązu; ustawiono go na Akropolu, zaraz po lewej stro-

¹⁹ Tod. GHI, nr 44.

nie przy wejściu. Zachowały się jego kopie. Bogini przedstawiona jest jako młoda dziewczyna w fałdzistym peplos. Włosy przepasane są szeroką wstęgą. Hełm zdjęła i trzyma go w prawej ręce, lewą zaś wspiera się o włócznię. Twarz jest dziewczęco piękna, łagodna i życzliwa. Tak chcieli widzieć panią Akropolu opuszczającą jej ziemię Ateńczycy: jako dobrą boginię i łaskawą opiekunkę, do której można się zwrócić w każdej chwili i potrzebie życia z pokorną, pełną zaufania prośbą. I choć od wieków już wymarli wyznawcy jej boskości, nigdy nie zabraknie wielbicieli piękna Ateny z przydomkiem Lemnia.

KORONEJA

Ateny mogły śmiało ujarzmić sprzymierzeńców, obowiązywał bowiem pięcioletni pokój ze Spartą. Co prawda, oba państwa nadal nie ukrywały wzajemnej wrogości. Lacedemończycy okazywali wyraźnie, że z wpływu na sprawy Hellady nie zrezygnują. Zdarzyło się właśnie w tych latach, że świątynię w Delfach opanowali Focejczycy. Ten zbójcecki ludek był po góralsku chciwy bogactw zgromadzonych w przybytku Apollona. Rządząca Delfami oligarchia kapłańska wezwała na pomoc Spartan. Ci wyparli Focejczyków i spokojnie powrócili na Peloponez. Wówczas Focejczycy zwrócili się do Aten, z którymi byli przecież związani sojuszem. Na czele ateńskich oddziałów wkroczył do Delf sam Perykles i znowu oddał władztwo nad świątynią Focejczykom. Choć nie doszło wówczas do bezpośredniego starcia obu potęg, Aten i Lacedemonu, był to jednak groźny pomruk burzy, której wybuch po wygaśnięciu pokoju uchodził za pewny.

Tymczasem stanął przed Ateńczykami inny nieprzyjaciel. Od czasu bitwy pod Ojnofyta, a więc od lat dziesięciu, sprawowali oni rządy nad Beocją. Dzięki ateńskiemu poparciu we wszystkich tamtejszych miastach u władzy byli demokraci, natomiast beoccy możnowładcy stracili wpływy lub nawet poszli na wygnanie. Ateńczycy ufali, że taki system zapewni im przychylną uboższej ludności tej krainy. Łudzili się bardzo. W całej Beocji odczuwano demokrację jako ustrój narzucony z zewnątrz, jako upokarzający dowód zależności od obcej potęgi. Wrodzy byli Ateńczykom nie tylko tamtejsi oligarchowie, lecz i warstwy średnio-zamożne. Powstał szeroko rozgałęziony spisek polityczny. Obejmował on wiele państw Hellady, a wszystkie jego nici zapewne zbiegały się w Sparcie. Jak świetnie był zorganizowany, pokazało się latem roku 447. Wówczas to jednocześnie w kilku miastach Beocji doszło do przewrotu. Przy poparciu całej ludności obalono tam demokrację i przywrócono dawny, rodzimy ustrój.

Perykles od razu zrozumiał, że przewrotu dokonały nie jednostki, lecz masy. Dlatego też nie był zwolennikiem natychmiastowej interwencji na rzecz obalonego porządku. W czasie debat na posiedzeniach rady i zgromadzeniach mógł tak argumentować:

Ateny nie były i nie są potęgą lądową. A tymczasem Beocja to kraina ludna i zasobna. Jej miasta mogą wystawić bez trudu wiele tysięcy żołnierzy. Wyprawę więc należy dobrze przygotować i poprowadzić dopiero wtedy, kiedy wyjaśni się to, co obecnie najbardziej niepokoi: skąd nagły wybuch ruchów antyateńskich w tylu jednocześnie miastach?

Jednakże Tolmides, wódz wsławiony tylu zwycięstwami, był odmiennego zdania. I jego argumenty godne były uwagi: działać należy szybko, nim okrzepnie nowa władza w Beocji, nim tamtejsze miasta otrzymają jakąś pomoc z zewnątrz!

Nie czekając na ściągnięcie większych sił, Tolmides ogłosił ochotniczy zaciąg na wyprawę do Beocji. Wkrótce zebrał oddział tysiąca hoplitów. Byli wśród nich przedstawiciele najznakomitszych rodów ateńskich. Dołączono też żołnierzy, którzy przybyli z niektórych miast Związku. Perykles sprzeciwiał się i ostrzegał do ostatniej chwili, wciąż nawołując:

– Wolno wam lekceważyć moje zdanie. Na pewno jednak nie stracie, jeśli nieco odłożycie wyprawę, bo czas jest najlepszym doradcą.

Nie przekonał ludu ateńskiego, pewnego swej potęgi. Tolmides pomaszerował do Beocji. Wydawało się początkowo, że śmiałe przedsięwzięcie uwieńczy pełny sukces, zdobyto bowiem jeden z głównych ośrodków powstania, Cheroneję, i osadzono tam ateński garnizon. Można było sądzić, że uśmierzy to buntownicze zapędy innych miast. Ponieważ była już jesień, zła pora do prowadzenia działań, Tolmides ruszył z powrotem do Atyki.

Groza tajemniczości otaczała później wszystko, co się zdarzyło w czasie owego marszu przez beockie równiny. Opowiadano o jakichś złych wróżbach; jedni twierdzili, że wódz nimi wzgardził, inni zaś, że zrozumiał je opacznie. Doszukiwano się też wrogości bóstw Beocji. Sprzyjało fantastycznym opowieściom to przede wszystkim, że świadków tragedii dotarło do Aten niewiele, ci zaś byli skłonni ubarwiać swoje przeżycia, aby usprawiedliwić klęskę.

W istocie rzeczy powody nieszczęścia były łatwe do przejrzenia. Nieprzyjaciel uderzył na ateńską kolumnę rozciągniętą w marszu, uderzył niespodziewanie i w przeważającej liczbie. Stało się to pod Koroneją. Zebrali się tam nie tylko Beoci, lecz również wielu ludzi z pobliskiej wyspy Eubei. I tam bowiem Ateńczycy sprawowali twarde rządy, popierając demokratów, wyganając oligarchów. Przed kilku zaledwie miesiącami właśnie Tolmides osadził na Eubei kilkuset kleruchów. Wywołało to na wyspie ogromne wzburzenie. Przybyli też pod Koroneję Focejczycy z zachodu, dotychczas sojusznicy Aten. Był to chyba najjaskrawszy dowód powszechnej nienawiści do ateńskiej władzy w całej Helladzie Środkowej. Fakt zaś, że pod Koroneją mogły się zebrać w zupełnej tajemnicy przed Ateńczykami tysiące ludzi z różnych krain, wskazywał, jak doskonale było współdziałanie wielkiego spisku.

Z zastępu tysiąca ateńskich hoplitów nikt się nie uratował. Wielu zginęło, inni poszli do niewoli. Na polu bitwy legł sam Tolmides. Wśród zabitych był też Klejnias, krewny Peryklesa; osierocił dwóch kilkuletnich chłopców, których Perykles wziął do swego domu; starszy z nich zwał się Alkibiades.

Na ateńskim cmentarzu państwowym za Bramą Dipylońską stanął nowy grobowiec zbiorowy. Napis wyryty na płycie głosił w pierwszych słowach:

„Nieszczęśni! Tocząc straszliwe zmagania w bitwie beznadziejnej oddaliście z bogów zrządzenia swe życie. Nie zgubiła was bowiem wraza przemoc, lecz któryś z herosów zadał ten cios umyślnie.”²⁰

Tolmidesowi i jego wieszczkowi wzniesiono później w Atenach posągi. W ten sposób państwo stwierdzało: nie oni odpowiadają za klęskę; chcieli jej bogowie. Takie tłumaczenie ratowało godność Ateńczyków w oczach ich samych, nie miało jednak wpływu na wypadki polityczne. Koroneja spowodowała załamanie się ateńskiego panowania nad Beocją, a to znowu pociągnęło za sobą utratę Focydy oraz kraju Lokrów. Wobec tak potężnej fali wrogości w Helladzie Środkowej Perykles nawet nie myślał o uciekaniu się do siły. Zrozumiał, że Ateny są zbyt słabe, by władać i na lądzie, i na morzu. To drugie uznał za ważniejsze. Tutaj trzeba skupić wszystkie siły, aby państwa Związku nie próbowały, wyzyskując sposobność, oderwać się od Aten. Jak jednak załatwić sprawę Beocji? Przecież miasta tej krainy mogą wejść w sojusz ze Spartą; a układ pokojowy z tym państwem kończy się za kilka miesięcy!

W tej sytuacji Perykles zdecydował się zawrzeć z Beotami układ, który przyznawał im pełną niezależność; w zamian uzyskał tyle tylko, że powrócili do ojczyzny Ateńczycy pojmani pod Koroneją.

²⁰ Peek. GVI, nr 17.

EUBEJA

Perykles słusznie przewidywał, że wydarzenia w Beocji wpłyną na postawę państw Związku. Wybuchło powstanie na Eubei, wyspie bogatej, oddzielonej od Attyki i Beocji tylko wąskim przesmykiem. Perykles wyprawił się tam latem roku 446. Zaledwie stanął na wyspie, przyszła katastrofalna wiadomość:

Oderwała się Megara! Współdziała z Koryntem i Sykionem. Wymordowano ateńskie załogi. Uratowali się ci tylko, którzy uciekli do portu Nisaja. Są podejrzenia, że Spartanie przygotowują najazd na Attykę.

Trzeba było natychmiast powrócić z wojskiem do Aten, pozostawiając na razie Eubeję w spokoju. Natychmiast wysłano do Megary trzy ateńskie oddziały z trzech fil. Dowodził Andokides. Kiedy korpus ten dotarł do Pegaj, przyszła wiadomość, że Spartanie są już w Attyce. Andokides więc i jego ludzie znaleźli się w pułapce, odcięci od ojczyzny. Na szczęście pewien Megaryjczyk poprowadził Ateńczyków okólną drogą przez Beocję. Megaryjczyk ten, imieniem Pytion, żył odtąd w Atenach. Kiedy zmarł, uratowani przezeń żołnierze trzech fil wystawili mu tablicę grobową, do dziś zachowaną, z napisem tej treści:

„Grobowiec ten kryje ciało męża bardzo dzielnego. Pytion z Megary siedmiu ludzi przeszył włócznią, siedem włóczni złamał w ich ciałach. Sam się zasłużył i swego ojca wsławił. Ten to jest mąż, który ocalił trzy ateńskie file, prowadząc je z Pegaj przez Beocję do Aten. Dzięki niemu Andokides zdobył dwa tysiące jeńców. Nikogo nie skrzywdził z ludzi na ziemi. Zstąpił do krainy cieniów, przez wszystkich uznany za bardzo szczęśliwego. File są te: Pandionis, Kekropis, Antiochis.”²¹

Armią spartańską, która wtargnęła do Attyki w roku 446, dowodził młody król Plejstonaks oraz jego doradca Kleandridas. Lacedemończycy posunęli się do Eleuzis, niektóre tereny spustoszyli i zaraz się wycofali. Wzbudziło to w Sparcie podejrzenia, że Ateńczycy przekupili króla. Tak samo zresztą myślano i w Atenach. Kiedy Perykles zdawał zgromadzeniu ludowemu sprawozdanie finansowe za rok urzędowy i kolejno uzasadniał celowość wydatkowania różnych sum, kwotę dziesięciu talentów w wykazie zbył krótkim oświadczeniem:

– Te pieniądze obróciłem na cele konieczne.

Uznano to stwierdzenie za wystarczające i nikt nie żądał dodatkowych wyjaśnień. Być może ta właśnie wypowiedź Peryklesa wydała się Spartanom dowodem winy obu dowódców wyprawy. Młodego króla ukarano wysoką grzywną pieniężną. Ponieważ nie mógł jej uiścić, poszedł na wygnanie. Kleandridas przezornie uciekł do Italii jeszcze przed rozprawą; skazano go na karę śmierci. Ale oskarżenie o zdradę było tylko potwarzą lub nieporozumieniem. Powód wycofania się z Attyki był prosty: armia spartańska niczego nie mogła tam zdziałać, bo Ateńczycy zamknęli się za swymi murami, które przy ówczesnych środkach oblężniczych były nie do zdobycia.

Choć groził powtórny najazd lacedemoński, Perykles nie mógł pozostać w Attyce. Musiał stłumić powstanie na Eubei, gdzie wrodzy Ateńczykom oligarchowie umacniali swoją władzę we wszystkich miastach. Mógł to być przykład zaraźliwy. Toteż Perykles wyprawił się na wyspę mimo ryzyka spartańskiej napaści. Wiódł 50 okrętów i 5000 hoplitów. Teraz dopiero okazało się, jak słuszne i dalekowszrocze było zawarcie układu z Beotami, choć na pewno wielu krytykowało poprzednio zbytnią ustępliwość Peryklesa. Miasta beockie zachowały obecnie przykładną neutralność. Już przepuszczenie korpusu Andokidesa, kiedy ten wycofywał się z Megary, było znamienne. Obecnie zaś Beoci nie udzielili pomocy mieszkańcom Eubei, choć przecież ci przybyli rok temu pod Koroneję! Patrzono z Beocji obojętnie, jak po

²¹ Tod, GHI, nr 41.

przeciwnej stronie wąskiej cieśniny ateńskie wojska zdobywają kolejno eubejskie miasta. Co prawda jedno tylko miasto Eubei – Hestiaja – zostało całkowicie wysiedlone i oddane ateńskim kolonistom; była to kara za wymordowanie przez Hestajczyków załogi okrętu, który przypadkowo dostał się w ich ręce. Inne natomiast miasta, zwłaszcza Chalkis, straciły tylko część ziemi; musiały też pozostać w Związku, dostosować swój ustrój do ateńskich wymagań, zawrzeć układ regulujący stosunki ze zwierzchnikiem. Wryty na marmurowych tablicach tekst układu z Chalkis zachował się do dziś. Wszyscy mieszkańcy tego państewka mieli złożyć przysięgę:

„Nie odstąpię od ludu ateńskiego żadnym sposobem ani podstępem, słowem ani czynem, i nie pójdę za odstępującym. Gdyby ktoś chciał odstąpić, doniosę o tym Ateńczykom. Będę płacił uzgodnioną daninę. Będę sprzymierzeńcem według moich sił najlepszym i najsprawiedliwszym. Będę pomagał ludowi ateńskiemu i będę walczył, gdyby ktoś krzywdził lud ateński. Będę posłuszny ludowi ateńskiemu”.

Każdemu mężczyźnie w Chalkis, który by nie złożył przysięgi, groziła utrata praw obywatelskich i konfiskata majątku. Jedno z dodatkowych postanowień nakazywało wysłać do Aten zakładników, inne zaś mówiło:

„Sądy nad swymi obywatelami mogą Chalkidyjczycy sprawować tak samo jak Ateńczycy nad swoimi, z wyjątkiem tych spraw, w których grozi kara wygnania, śmierci, utraty praw obywatelskich. W tych wypadkach przysługuje odwołanie się do sądu przysięgłych w Atenach”.

Nie można było jaśniej stwierdzić, że Chalkidyjczycy są tylko poddanymi! Ze swej strony ateńska rada i sędziowie mieli złożyć przysięgę w imieniu całego ludu:

„Nie wypędzę mieszkańców Chalkis i nie zburzę ich miasta. Nie skrzywdzę nikogo z tamtejszych ludzi, nie skażę na wygnanie ani też na więzienie, nie zabiję. Bez zgody ateńskiego ludu nie zabiorę majątku żadnej osoby nie sądzonej. Nie wydám wyroku ani na ogół, ani na jednostkę bez pozwania przed sąd. Kiedy przybędzie poselstwo z Chalkis stawię je przed radą i ludem w ciągu dni dziesięciu.”²²

Podobnie brzmiał układ z Eretrią. Tak więc panowanie nad Eubeją przywrócono w pełni. Miało to dla Aten ogromne znaczenie. Ta duża wyspa, żyzna i gęsto zaludniona, była spichlerzem Attyki; a w razie odpadnięcia Eubei groziłoby stamtąd stałe niebezpieczeństwo wschodnim wybrzeżom.

Dlaczego jednak Spartanie nie przyszli Eubei z pomocą? Dlaczego nie usiłowali odciągnąć ateńskich wojsk najeżdżając na Attykę? Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim Lacedemończycy słusznie przewidywali, że niczego nie zdołają, bo Ateńczycy bitwy po prostu nie przyjmą i zamkną się w mieście. Po drugie, sprawa rzekomego przekupienia Plejstonaksa wywołała w Sparcie kryzys rządowy. Wśród wpływowych osobistości nie brakowało zwolenników wygnanego króla. Nikt też nie kwapił się do objęcia dowództwa nowej wyprawy, by w razie niepowodzenia nie ściągnąć na siebie tych samych zarzutów, które zgubiły Plejstonaksa. Wreszcie (i to chyba było najważniejsze) dojrzała już w Sparcie myśl, że najrozsądniej byłoby zawrzeć z Atenami pokój na zasadzie podziału stref wpływu. Wycofanie się Ateńczyków z Beocji stanowiło oczywisty dowód, że nie pragną oni stać się potęgą lądową, czego obawiano się najbardziej. Pozostawiając z kolei Eubeję jej losowi, Lacedemon dawał do zrozumienia, że nie chce się wtrącać do spraw Związku Ateńskiego, ustępując mu panowania na morzu.

Tajne rozmowy między obu państwami musiano prowadzić może nawet już w czasie wyprawy Peryklesa na wyspę. Pod koniec zaś roku 446 udało się do Sparty oficjalne poselstwo

²² Tamże, nr 42.

złożone z dziesięciu osób. Był wśród nich i Andokides, i Kallias. Rokowania doprowadziły do zawarcia pokoju na lat 30, czyli na okres rozkwitu całego pokolenia. Traktat postanawiał:

Ateńczycy rezygnują ze wszystkich ziem i miast, które zdobyli lub poddali sobie na Peloponezie. Obie strony nie będą przyjmować do swego związku państw, które wystąpią ze związku przeciwnego. Te natomiast państwa, które dotychczas nie należą do żadnego związku, mogą przyłączyć się do jednego z nich według swego wyboru. Wyspie Eginie zapewni się określona autonomia. Argos nie bierze udziału w tym pokoju, może jednak zawrzeć odrębne porozumienie z Atenami. W czasie trwania pokoju wszelkie zatargi rozstrzygać się będzie drogą rokowań lub wyrokiem sądu rozjemczego.

PARTENON

Wielkie prace budowlane rozpoczęto w Atenach jeszcze przed zawarciem pokoju; po roku 446 nabrały one ogromnego rozmachu. Realizowano w ten sposób jeden z celów, dla których Perykles zamierzał przed kilku laty zwołać kongres helleński – odbudowę świątyń zniszczonych przez Persów. Co prawda, przez pewien czas zastanawiano się w Atenach, czy nie pozostawić Akropolu w tej postaci, w jakiej ujrano go po odejściu Persów – w zgliszczach i w ruinie; niech by i przyszłe pokolenia oglądały barbarzyństwo najeźdźców! Później jednak przeważało zdanie, że należy odbudować bogom ich domy, i to okazalsze niż były. Dzieła, które wówczas powstały, znane są całemu światu.

Jeszcze nim przystąpiono do prac na Akropolu, wzniesiono w samym mieście, obok agory, świątynię Hefajstosa, opiekuna kowali i rzemieślników. Stoi ona do dziś, jako najlepiej zachowana świątynia starożytna w całej Helladzie. Ten sam architekt, nieznany nam z imienia, zbudował też wkrótce potem trzy inne świątynie: Aresa, boga wojny, w Atenach; Posejdon, boga morza, na przylądku Sunion; bogini Nemezis w Ramnus, w głębi Attyki. Wiemy natomiast, że architekci, którzy rozbudowywali przybytek bogini Demeter w Eleuzis, miejsce wtajemniczeń, zwali się Korobjos i Lizaniasz.

Głównym placem budowy przez wiele lat był sam Akropol. Najpierw zaczęto tu wznosić przybytek Ateny Dziewicy, opiekunki miasta, czyli Partenon. Architektami byli Iktinos oraz Kallikrates; współpracował z nimi rzeźbiarz Fidiasz. To on wykonał dla świątyni posąg bogini ze złota i kości słoniowej, wielkości kilkakrotnie przewyższającej wzrost człowieka. Drugi posąg, jeszcze większy, bo sięgający szesnastu metrów, odlany z brązu, stanął przed świątynią; i on był dziełem Fidiasza. Zwano tę boginię Atena Promachos, czyli Obronicielka. Witła wchodzących na wzgórze, a ostrze jej włóczni widne było z daleka, nawet z okrętów zbliżających się do portu. Fidiasz i jego uczniowie wykonali też fryz biegnący wokół zewnętrznych ścian świątyni. Jego płaskorzeźby przedstawiały procesję, która w czasie dorocznego święta Panatenajów wstępowała z miasta na Akropol, by złożyć bogini drogocenne dary.

Partenon ukończono w roku 438 – choć drobne prace trwały dłużej – i zaraz przystąpiono do wznoszenia okazałego wejścia na Akropol. Był to zespół budynków i bram, zwany Propyleje. Architekt zwał się Mnezykles. Budowę przerwano w roku 432 i nigdy nie osiągnęła ona swego ostatecznego kształtu.

U południowych stoków Akropolu powstał z inicjatywy samego Peryklesa – który był przecież uczniem Damona, mistrza i teoretyka muzyki! – budynek przeznaczony wyłącznie do występów muzycznych, instrumentalnych i śpiewaczych; zwał się Odejon. Była to czworoboczna hala, której dach przypominał kształtem perski namiot. W tychże zapewne latach zaczęto budować koło Odejonu kamienny teatr w miejsce dotychczasowego, drewnianego.

Jak słusznie przewidywał Perykles, wszystkie te budowle dały zatrudnienie tysiącom ludzi, wolnych i niewolnych, co przyczyniło się do ożywienia gospodarki i rozwoju rzemiosł w ca-

łej Attyce. Koszty prac nie stanowiły nadmiernego ciężaru dla państwa, czerpano bowiem obficie ze skarbcza Związku.

Zachowały się częściowo rachunki budowy Partenonu, Propylei, a także i posągu Ateny w samej świątyni; wyryto je bowiem na marmurowych tablicach i wystawiono na widok publiczny na Akropolu, aby każdy obywatel mógł sprawdzić i przeliczyć, kiedy, ile i na co wydatkowano, a także, kto za te sumy ponosi odpowiedzialność. Owa jawność państwowych rachunków miała przeciwdziałać nadużyciom.

Niestety, do naszych czasów dotrwały z tych tablic tylko niektóre, i to bardzo uszkodzone, trudno więc na tak nikłej podstawie odtwarzać kosztorysy i wyciągać szersze wnioski. Bardzo natomiast pouczające są rachunki budowy świątyni Erechtejon, również na Akropolu, z lat 409 i 408. Wynika z nich, że spośród 71 przedsiębiorców i robotników bezpośrednio zatrudnionych na placu budowy było dwudziestu ateńskich obywateli, trzydziestu pięciu metojków, szesnastu niewolników; wszyscy otrzymywali takie same płace za prace tego samego rodzaju. Na pewno nie inaczej było przy budowie świątyń w czasach Peryklesa.

Rozdział siódmy

MĘDRCY WOKÓŁ ASPAZJI

FILOZOF KSZTAŁCI HETERĘ

Olimpijczyk miał lat około pięćdziesięciu. Władał Atenami, wpływał na losy Hellady, nie było jednak ładu w jego własnym domu. Żona dała mu dwóch synów, ale nie należała do kobiet o łatwym usposobieniu. A może wina była po stronie Peryklesa! Może to jego powolność niewieścim urokom spowodowała rozkład pożycia? Zeus, władca Olimpu, wiele cierpiał od swej zazdrosnej żony Hery, a pozbyć się jej nie mógł. Natomiast Olimpijczyk miał łatwy sposób uśmierzenia domowych niesnasek, w Atenach bowiem rozwód był sprawą prostą – zwłaszcza jeśli obie strony wyrażały nań zgodę. Ona wkrótce poślubiła Hipponika, syna bogacza Kalliasa; z tego małżeństwa przyszedł na świat chłopiec, który otrzymał imię dziadka, Kallias, był zaś przyrodnim bratem synów Peryklesa. Ten natomiast wprowadził do swego domu dziewczynę, którą kochał gorąco, lecz z którą ożenić się nie mógł.

Nazywała się Aspazja. Pochodziła z Miletu. Już to samo uniemożliwiało zawarcie ważnego małżeństwa, to jest takiego, które dawałoby potomstwu ateńskie obywatelstwo. Przecież to właśnie Perykles przeprowadził w roku 451 ustawę: Ateńczykami są tylko ci, których oboje rodzice byli Ateńczykami! Tak więc z prawnego punktu widzenia pożycie Peryklesa i Aspazji, choćby nawet uświęciły je wszelkie zwyczajowe ceremonie, pozostałoby tylko konkubinatem. Ale gdyby nawet ślub był możliwy, Perykles zapewne nie byłby doń skory, a to ze względu na pochodzenie Aspazji. Ojciec jej, Aksjochos, był kupcem, któremu niezbyt się wiodło w podupadłym Milecie. Dlatego próbował szczęścia, jak tylu innych, w bogatej stolicy Związku. Tutaj zaś, jak to zazwyczaj w demokracjach, wielce ceniono arystokratyczność rodu. Lud nigdy by nie darował swemu przywódcy poślubienia kobiety „nisko urodzonej”. Mógł z nią Perykles mieszkać, to rzecz zupełnie inna, zjednywająca nawet pewną sympatię. Ale po cóż od razu się żenić? Ateńscy straganiarze, chłopię, rzemieślnicy naprawdę szanowali tylko tych współobywateli, którzy imponowali im świetnością rodu, tego bowiem nie można było nabyć ani za pieniądze, ani krzykactwem na agorze. Właśnie dlatego ateńscy oligarchowie, choć tak nieliczni i wciąż atakowani, byli jednak rzeczywistą siłą polityczną.

Opinia ateńska, wówczas i potem, zgodnie utrzymywała, że Aspazja była przez jakiś czas heterą, czyli dziewczyną mającą otwarte serce dla zasobnych przyjaciół i opiekunów. Można by przypuszczać, że jest to plotka zmyślona przez wrogów Peryklesa. Nie należy jednak przykładać do tamtej epoki naszych ocen i miar moralnych. Pożycie z heterą nikomu wówczas ujmę nie przynosiło. Pod tym względem Ateńczycy, jak i wszystkie ludy całej starożytności, byli niezmiernie wyrozumiali. Potępiano jedynie uwodzenie mężatek. Natomiast instytucję heter uważano za normalną i niezbędną w każdym społeczeństwie. Toteż w Atenach,

mieście wielkim i rojnym, heter było bez liku, i to różnych kategorii. Niektóre z nich uchodziły za panie prawdziwie wytworne, wykształcone, godne podziwu. Ponieważ w zwykłym domu ateńskim kobiety żyły prawie w zamknięciu, zajmując się tylko gospodarstwem i dziećmi, jedynie hetery cieszyły się pełną swobodą i mogły przyciągać ku sobie ludzi interesujących. Jeśli Aspazja przed związaniem się z Peryklosem była istotnie heterą żyła na pewno jak owa Teodota, z którą mile i dowcipnie rozmawiał Sokrates, zawsze wierny swemu powołaniu: szukać tego co piękne i dobre. Było to tak:

Ktoś wspomniał raz o Teodocie w obecności Sokratesa:

– Jej uroda jest nad wszelki wyraz. Malarze ją portretują, a ona ukazuje im swych wdzięków ile przystoi.

– Trzeba więc tam pójść – zdecydował Sokrates – i zobaczyć na własne oczy. Bo trudno ze słyszenia tylko wyrokować o tym, co jest piękniejsze nad wszelki wyraz.

Zastali Teodotę pozującą jakimś malarzowi. Kiedy ten skończył, Sokrates zwrócił się do swoich przyjaciół:

– Panowie, kto komu winien jest większą wdzięczność? Czy my Teodocie, bo pozwoliła nam oglądać swoją piękność, czy też ona nam – właśnie dlatego, że ją widzieliśmy? Jeśli bowiem Teodota więcej zyska z pokazania się, to oczywiście ona powinna być nam wdzięczna. Jeśli zaś nasz zysk większy z oglądania, to my będziemy wdzięczni!

I dalej tak rozwijał ten filozoficzny problem:

– Teodota już teraz zarobiła – naszą pochwałą. A ile zyska, kiedy szerzej rozgłosimy jej piękność! My zaś już chcielibyśmy dotknąć tego, cośmy widzieli. Odejdziemy podnieceni, a potem będziemy tęsknić. Stąd wniosek: my jej służymy, a ona jest naszą panią!

A na to Teodota:

– Na Zeusa, jeśli jest rzeczywiście tak, jak mówisz, to chyba ja powinnam być wam wdzięczna!

Tymczasem Sokrates już zauważył, że strój Teodoty jest bardzo kosztowny. Dostrzegł też jej matkę, przyodzianą nie w byle jaką suknię. Nie ukryły się przed jego bystrym okiem liczne służące, ładne i zadbane, a również i to, że cały dom jest bogato wyposażony. I zapytał zaraz:

– Powiedz mi, Teodoto, masz jakiś mająteczek ziemski?

– Nie mam żadnego.

– To chyba dom czynszowy?

– Domu też nie mam.

– A może robią dla ciebie jakieś wyrobnice?

– Skądże!

– W takim razie z czego żyjesz?

– Po prostu: gdy ktoś przyjaźnie do mnie ustosunkowany zechce okazać mi pomoc – to jest moje utrzymanie.

—Na Herę, Teodoto, piękny to majątek! Stadko przyjaciół to coś znacznie lepszego od krów, kóz lub owiec. Ale czy ty tylko na szczęściu polegasz, żeby ci wpadł jakiś przyjaciel niby mucha, czy też sama robisz jakieś starania w tym kierunku?

– A jakież mogłabym robić starania?

– Na Zeusa, mogłabyś! I to sensowniej od pajaków. Bo wiesz, jak one zdobywają środki do życia: przędą cieniutką sieć i tym się karmią, co się w nią zaplącze.

– To znaczy, że i mnie radzisz prażyć sieci?

– Ależ Teodoto, nie wolno sobie wyobrażać, że tak bezcenną zdobycz, jaką są przyjaciele, złowi się bez żadnej sztuki! Popatrz: ileż to sposobów wymyślają ludzie polując na coś tak mało wartościowego jak zające! Zające, jak wiesz, wychodzą na żer nocą. Dlatego to myśliwi hodują psy przyuczone łowić w ciemności. A ponieważ za dnia zające śpią, mają znów inne psy, które tropią zające kryjówki. Wreszcie trzymają inne jeszcze psy, o dobrych nogach, bo zające świetnie biegają. Mało tego wszystkiego: na zajęczych ścieżkach zakładają sidła!

- Którym to z tych sposobów radzisz mi łowić przyjaciół?
- Zamiast psa musisz mieć pomocnika. Będzie on dla ciebie tropił ludzi bogatych i kochających piękno. A potem tak ich poprowadzi, żeby wpadli w twoje sieci.
- Cóż to za sieci moje, Sokratesie?
- Jedną sieć masz na pewno, i to utkaną świetnie: swoje ciało. A w tym ciele masz duszę, dzięki której wiesz od razu, jakim spojrzeniem oczarować i jakim słowem zachwycić. A także i to, że człowieka oddanego należy mile przyjąć, złośliwemu zaś zamknąć drzwi przed nosem. Kiedy przyjaciel choruje, trzeba dbać o niego troskliwie, a kiedy mu się coś powiedzie, cieszyć się jego radością. W ogóle – temu, kto ci jest bardzo życzliwy, wypada odwzajemniać się całą duszą. A całować potrafisz nie tylko rozkosznie, lecz i serdecznie, o tym wiem dobrze. Pokazujesz też nie tylko słowem, lecz i czynem, jak mili są ci twoi przyjaciele.
- Na Zeusa, nie stosuję żadnego z tych sposobów!
- A przecież, Teodoto, ważna to rzecz umieć podejść do każdego człowieka należycie i zgodnie z jego charakterem. Bo siłą ani nie złowisz przyjaciela, ani nie utrzymasz go przy sobie. To zwierzę można schwytać i oswoić tylko okazując mu życzliwość i dając rozkosz!
- To zupełna prawda.
- A więc: twoim wielbicielom musisz najpierw stawiać takie żądania, które będą dla nich najmniej kłopotliwe. Wtedy bowiem oni będą ci najwierniejsi, kochać cię będą najdłużej i najwięcej wyświadczą ci przysług. Ty zaś będziesz najmilsza, jeśli obdarzysz ich swymi względami dopiero wtedy, gdy zaczną tęsknić za nimi. Bo przecież nawet najsmaczniejsze potrawy mogą wydać się niemiłe, jeśli ktoś otrzyma je wprawdzie, ale nie zapragnie. Co więcej, jeśli ktoś jest już nasycony, mogą wstręt obudzić! Natomiast zgłodniałemu smakuje jadalno nawet gorsze.
- Ale jakżeż ja mogłabym wzbudzać głód w moim przyjacielu?
- Nasyconym, na Zeusa, ani nie okazuj, ani nawet nie przypominaj twych uroków. Dopiero kiedy przejdzie im przesyt i sami znowu poproszą, nasuwaj im wspomnienia przyjemną rozmową oraz takim zachowaniem się, że niby to chciałybyś, ale wciąż się wymigując, póki pragnienie nie dojdzie w przyjacielu do szczytu. Bo wielka to różnica, czy te same dary zostaną ci ofiarowane w takim momencie, czy też nim jeszcze wzbudzi się pożądanie.
- A więc możebyś został, Sokratesie, moim pomocnikiem w łowach na przyjaciół?
- Bardzo chętnie, jeśli tylko zdołasz mnie namówić!
- Jak mogłabym cię namówić?
- Sama dojdiesz do tego, jeśli tylko potrzebujesz mnie naprawdę!
- Zaglądam więc do mnie często!
- Niestety, Teodoto, nie tak łatwo znaleźć mi czas wolny. Mam na głowie dużo spraw prywatnych i państwowych. A mam także swoje przyjaciółki, które nie pozwalają mi odejść od siebie ani we dnie, ani w nocy, bo uczą się ode mnie sposobów przyrządzania lubczyku i zaklęć miłosnych.
- To znasz się, Sokratesie, i na tym?
- Ci oto przyjaciele, z którymi tu przyszedłem, nie opuszczają mnie ani na chwilę. Myślisz, że tak by było, gdybym nie używał lubczyków i krążków miłosnych?
- Pożycz mi takiego krążka! Wypróbuję go najpierw na tobie!
- Ale ja całkiem nie chcę, żebyś mnie przyciągała! Wolę sam przyciągać, to ty przyjdź do mnie!
- Zgoda. Żebyś tylko mnie przyjął!
- Na pewno. Chyba że akurat będę miał w domu jakąś inną, miłszą od ciebie.²³

²³ Ksenofont, *Wspomnienia o Sokratesie*, III 11.

ASPAZJA NOWA OMFALE

Z Teodotą rozmawiał Sokrates już jako człowiek starszy. Wówczas kiedy Perykles brał Aspazję do swego domu, to jest około r. 445, Sokrates liczył lat niewiele ponad dwadzieścia i zajmował się głównie tym rzemiosłem, którego nauczył go ojciec – kamieniarstwem. Później rozmawiał z Aspazją często i chętnie. Jeszcze po wielu latach wspominał z uznaniem pewne jej wypowiedzi, jak tę na przykład:

– Można kojarzyć małżeństwa przy pomocy swatki, ale pod warunkiem, że powie ona każdej ze stron tylko prawdę o drugiej, a wystrzegać się będzie pochwał kłamliwych.

Zresztą całe miasto przyznawało, że Aspazja to mądra kobieta. Właśnie dlatego zrodziły się obawy, że usidli Peryklesa zupełnie. Opowiadano ze zgorszeniem:

– Całuje ją w biały dzień, kiedy wychodzi z domu i kiedy wraca!

Zgorszenie było zrozumiałe, bo ateńscy mężowie nigdy nie pozwalali sobie na tego rodzaju czułości. Niedługo po przejściu do Peryklesowego domu Aspazja urodziła syna. Choć prawnie był on dzieckiem nieślubnym, otrzymał, rzecz znamienita, imię ojca – Perykles. To utwierdziło opinię, że Aspazja może czynić co chce z przywódcą ateńskiego ludu. Aby ośmieszyć Peryklesa i jego politykę rozpowiadano nawet, że to ona pisze mu mowy i udziela rad we wszystkich sprawach państwowych.

Najbardziej jednak, to zrozumiałe, używali sobie na Peryklesowym romansie komediopisarze. W tym czasie dawano w Atenach komedie już w dwóch porach roku: wczesną wiosną, w dniach Dionizjów Wielkich, oraz w środku zimy, kiedy obchodzono Dionizja Wiejskie – Lenaja. Nagrody przyznawano w obu tych terminach, przewodniczył zaś widowisku jeden z archontów. Chór był opłacany przez któregoś z bogatszych obywateli. Mimo owej pomocy i nadzoru ze strony państwa komedie zazwyczaj atakowały, i to napastliwie, wszystkich wybitniejszych polityków. Nie szczędziły też ich spraw domowych. Dowcipy bywały wręcz bezczelne, słowniki zaś barwne. Zresztą nie tylko poszczególne osoby padały ofiarą szyderstw. Komediopisarze drwili nawet z samego ludu, choć w zasadzie było to zakazane.

Jeden z ówczesnych oligarchów tak się użalał: „Do wykpiwania w komedii osób prywatnych Ateńczycy sami zachęcają, jeśli tylko ktoś ma ochotę drwić sobie z kogoś. Wiedzą bowiem dobrze, że ośmieszani w ten sposób najczęściej nie należą do ludu i pospólstwa. Zazwyczaj są to osoby znamienite i poważane. Trafia się wprawdzie czasem, że wezmą w komedii na języki kogoś z biedniejszych obywateli, czy też w ogóle z gawiedzi. Takich jednak ludzi wyśmiewają tylko wtedy, jeśli są oni zbyt chętni nowinkom lub zbyt zabiegają o znaczenie.”²⁴

Umiłowanym przedmiotem ataków ze strony komediopisarzy byli przywódcy ludu, i to wszyscy po kolei. Tak więc lud śmiał się wesoło, wielce zadowolony, że tak celnie kpi się w komedii z jego ulubieńców i z wszystkich znakomitości. Potem zaś, na zgromadzeniach, na posiedzeniach rady i w sądach, ten sam lud popierał te właśnie osoby, które dopiero co przedstawiono mu w teatrze jako głupców, oszustów, złodziei, kobieciarzy! Cudzoziemców zdumiewały te obyczaje ateńskie. Zapytywali:

– Jak może egzystować państwo, w którym nie ma szacunku dla władzy? Jak można dopuszczać do tak wyuzdanej wolności słowa? I cóż to za dziecienny brak stałości – dziś obryzgiwać błotem, a nazajutrz przyznawać sponiewieranemu najwyższe godności i bardzo odpowiedzialne funkcje?

²⁴ Anonima Ustrój Aten, II 18.

Ateńczycy jednak nie zwracali uwagi na te zjadliwo–zawistne ubolewania obcych. Od pokoleń wychowywani byli w przekonaniu, że isegoria, wolność słowa, to fundament demokracji. A na zarzuty mogliby odpowiedzieć:

– Zapewne jest nieco przesady w tym, czego dopuszczają się autorowie komedii. Jakąż jednak ustanowić granicę swobodzie wypowiedzi? Jeśli raz uzna się coś – jakąś rzecz lub osobę – za nietykalne, to wnet pójdą za tym dalsze zakazy i ograniczenia wolności, aż całkiem zaknebluje się usta. Nie ma zaś nic gorszego i niebezpieczniejszego dla ustroju od niewolnictwa myśli u obywateli. Jeśli zaś przypadkiem jakaś bardzo ważna osobistość poczuje się urażona z powodu wyśmiania jej w komedii, powinna w ogóle odejść z życia publicznego. Cóż to bowiem za nieszczęście dla kraju, gdy dorwie się władzy ponury fanatyk czystości obyczajów! Jesteśmy przekorni i drwimy ze wszystkiego, to prawda, ale naszemu państwu jakoś to nie szkodzi: kipi radością życia i jest na pewno bogatsze od Sparty, gdzie obywatelowi nie wolno krytykować nawet projektu ustaw!

W myśl tych zdrowych zasad ateńskiej demokracji nie obrażał się i Perykles, kiedy komedio pisarze zaczęli poświęcać jemu i Aspazji coraz więcej życzliwej uwagi. Szczególnie upodobał sobie miłość obojga sławny wówczas Kratynos. W jednej z jego sztuk padały ze sceny i takie słowa:

„Wstrętne pożądliwość zrodziła mu tę jego Herę – Aspazję, nałożnicę o psich oczach!”²⁵

Bogini Hera miała przydomek „Wolooka”, a krowie oczy są piękne i pełne zadumy. Natomiast „psie oczy” Aspazji obrazowały jej rzekomą bezczelność.

Nazywał też Kratynos Aspazję „nową królową Omfale”. Było to bardzo złośliwe. Każdy bowiem z widzów pamiętał, że u Omfali służył przez cały rok sam Herakles. Bohater zdjął swoją lwią skórę i odłożył maczugę, aby przez wszystkie dni i noce tego roku spełniać zachcianki nienasyconej pani. Odpoczywał zaś przyodziany w szatę niewieścia, przędąc u stóp królowej. Taki jest właśnie los Peryklesa – pouczał Kratynos.

ARCHITEKT PROJEKTUJE USTRÓJ DOSKONAŁY

Jaki był rzeczywisty wpływ Aspazji na poczynania Peryklesa, nie wiedział chyba nikt w ówczesnych Atenach. Byłoby więc śmieszne zastanawiać się nad tym po dwudziestu pięciu wiekach. Jedno natomiast wydaje się pewne:

W domu Peryklesa i Aspazji gromadziło się sporo ludzi interesujących i uzdolnionych. A byli to przeważnie nie Ateńczycy, lecz przybysze z miast Azji Mniejszej. To zrozumiałe, że za pośrednictwem Aspazji, stamtąd pochodzącej, łatwiej im było trafić do Olimpijczyka. Jedną z czołowych postaci tego grona był oczywiście Anaksagoras. Poznał go Perykles już dawniej, obecnie jednak więzy między nimi stały się chyba jeszcze mocniejsze. Kiedy później chciano dotknąć Peryklesa najboleśniej, uderzono właśnie w Anaksagorasa i w Aspazję, jako najbliższe mu osoby.

Anaksagoras przybył z miasta Kladzomenaj. Natomiast z samego Miletu, ojczystego miasta Aspazji, pochodził Hippodamos – architekt i reformator w jednej osobie.

Prawie w sto lat później, ale na podstawie bezpośredniej i żywej tradycji, wielki filozof Arystoteles tak pisał o postaci i poglądach tego ciekawego człowieka:

„Hippodamos, syn Euryfonta z Miletu, wynalazł sztukę planowania miast i Pireus równymi ulicami poprzecinał. Był to człowiek, który w całym swoim sposobie życia powodował się próżnością aż do przesady. I to tak dalece, że powszechnie robił wrażenie nadmiernie dbałego

²⁵ Edmonds, FAC, I, *Kratinos*, frg. 241.

o swoją powierzchowność – zarówno ze względu na swoje bujne, zbyt kownie trefione włosy, jak i przez to, że nie tylko w zimie, ale i letnią porą nosił prostą wprawdzie, lecz ciepłą szatę. Otóż człowiek ten, który chciał ponadto uchodzić za znawcę wszelkich tajemnic natury, był też pierwszym, który nie będąc czynnym mężem stanu pokusił się o to, by coś powiedzieć o najlepszym ustroju.

Przyjmował on dla swego państwa liczbę 10000 obywateli, podzielonych na trzy grupy. Jedną z nich mieli stanowić według niego rzemieślnicy, drugą rolnicy, trzecią uzbrojeni wojownicy. Na trzy części również podzielił ziemię, tak że część jedna przeznaczona została na cele kultu, druga na cele państwowe, trzecia zaś na własność prywatną. Z dochodów części pierwszej, zwanej świętą, pokrywać należałoby wydatki związane z kultem bogów, z drugiej – wspólną stanowiącej własność – utrzymywanie wojowników, trzecia zaś, na własność prywatną przeznaczona, przypadłaby rolnikom. Przyjmował także trzy tylko rodzaje praw twierdząc, że są trzy kategorie spraw, o które toczą się procesy: obraza czci, poszkodowanie i zabójstwo.

Ustanawiał dalej jedyny sąd najwyższy, do którego powinno się kierować wszelkie sprawy uchodzące za niedobrze rozstrzygnięte; wchodzić miała do niego pewna liczba wybranych starców. Wyroki w sądach nie powinny zdaniem jego zapadać przez zwykłe oddanie głosów, lecz każdy z sędziów winien mieć tabliczkę, na której wypisywałby swe orzeczenie, jeśli by się opowiadał bezwzględnie za skazaniem, a którą zostawiałby pustą, jeśli by się stanowczo oświadczał za uwolnieniem; jeśli by zaś miał jakieś zastrzeżenie co do jednego lub drugiego, musiałby to dokładnie podać.

Stosowane bowiem obecnie postępowanie uważał za niedobre, ponieważ zmusza ono sędziów do działania wbrew przysiędze, skoro mają wyrokować tylko tak lub nie.

Proponował dalej prawo, aby ci, którzy wynaleźli coś pożytecznego dla państwa, otrzymali odznaczenie, a dzieci tych, którzy zginęli na wojnie, wychowywane były na koszt państwa. Jak gdyby prawa takiego jeszcze nigdzie nie było! A przecież istnieje ono obecnie i w Atenach, i w innych państwach.

Urzednicy mieliby być wybierani wszyscy przez lud; przez lud zaś rozumiał owe trzy grupy obywateli. Wybrani mieliby powierzoną troskę o wszelkie sprawy publiczne jako też opiekę nad cudzoziemcami i sierotami.”²⁶

Ten projekt najlepszego ustroju, zresztą nie jedyny wówczas i nie całkiem oryginalny, wzbudził zainteresowanie zarówno współczesnych Hippodamosa, jak i potomnych. Budowanie bowiem czystych i przejrzystych konstrukcji myślowych było ulubioną zabawą Hellenów. Tak właśnie stworzyli podstawy matematyki. Z równie beztroską śmiałością traktowali sprawy państwa i społeczeństwa. Wnikliwie rozmyślając można wykryć i określić różne właściwości figur geometrycznych oraz wszystkie stosunki, jakie muszą między nimi zachodzić. Dlaczegoż więc nie można by w ten sam sposób wyznaczyć, jaki musi być idealny kształt ustroju i jak muszą się mieć ku sobie składowe części społecznego organizmu? W kilkadziesiąt lat później pomysł Hippodamosa twórczo rozwinął Platon. Nakreślił 20 schemat idealnego państwa, w którym przewidziane były wszelkie szczegóły, ale myśl zasadnicza – podział na kasty – została zachowana. Odtąd zabawa w budowanie idealnego ustroju trwa przez wszystkie wieki, pociągając za sobą skutki coraz to tragiczniejsze. Owszem, odzywają się od czasu do czasu głosy ostrzeżenia. Już uczeń Platona, Arystoteles, krytykował jego idealne konstrukcje ustrojowe. Bez ogródek wykazywał ich wewnętrzne sprzeczności oraz rozmijanie się z potrzebami i właściwościami życia społecznego.

²⁶ Arystoteles, *Polityka*, II 5 (przekład L. Piotrowicza, Warszawa 1964 – z drobnymi zmianami).

Byłoby wielce pouczające wiedzieć, jak odnosił się do zalecanego przez Hippodamosa ustroju Perykles. Jako architektka cenił on Hippodamosa wysoko, inaczej bowiem, nie powierzyłby mu budowy Pireusu. Dał mu przy tym całkowicie wolną rękę, choć urbanistyczny plan Hippodamosa był na ówczesne stosunki wręcz rewolucyjny. Żadne dotąd miasto w Helladzie właściwej nie posiadało regularnej sieci ulic przecinających się pod kątem prostym. To imponowało, a zarazem ułatwiało zabudowę i komunikację. Co prawda, niektórzy i tak narzekali:

– W starych miastach każdy budował jak chciał i gdzie chciał, byle miał skrawek ziemi. Dlatego ulice są wąskie i kręte, co krok to ślepy zaułek. Ale ma to swoje dobre strony. Na przykład w czasie wojny. Zdarza się, że nieprzyjaciel wtargnie do miasta. Otóż w gęszczu domów i ciasnych przejść niełatwo się wyzna i zaledwie będzie się mógł poruszać, bo mieszkańcy zewsząd go otoczą!

Po zakończeniu głównych prac w Pireusie Perykles wyzyskał talent Hippodamosa przy zakładaniu innego miasta. Z czego nie wynika, by miał się zachwycać jego fantazjami ustrojowymi. Perykles był przecież doświadczonym politykiem i wiedział doskonale, że po prostu nie sposób wydumać takiego porządku w państwie, aby wszystko było proste i jasne, jak sieć ulic na planie miasta. Co więcej, właśnie takie wytyczanie z góry kształtu społeczności ludzkiej mogłoby okazać się wielce niebezpieczne, życie bowiem jest kapryśne i pełne niespodzianek. Układ sił zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz państwa wciąż ulega zmianom. Owszem, dobry polityk musi wyznaczyć sobie jakieś cele zasadnicze, do których dąży uparcie, ale nieraz bardzo okólną drogą.

Dlatego to Perykles, choć wpływy miał ogromne i mógłby rzeczywiście myśleć o wprowadzeniu radykalnych zmian ustrojowych, nigdy nie twierdził, że to on dopiero, pierwszy i jedyny w dziejach swego ludu, wszystko naprawi, ureguluje, przewidzi. Rozumiał, że w ten sposób naraziłby się tylko na śmieszność. Toteż nawet ustaw poczętych z jego inicjatywy było stosunkowo niewiele. Widocznie Perykles był zdania, że każda ustawa wywołuje różne efekty uboczne, których nawet najbystrzejszy umysł nie jest w stanie przewidzieć. Lepiej więc w działalności prawodawczej ograniczać się tylko do tego, co jest niezbędne. Życie społeczne jest jak bystry, silny potok, który sam sobie toruje drogę, posłuszny prawom przyrody. Rzeczą polityka jest regulować i oczyszczać jego łóżysko, a nie zasypywać je kamieniami lub przegradzać tamą. Wówczas bowiem potok zmienić się może w groźny, pustoszący żywioł albo w błotniste bagno zastoju.

Perykles jednak, jak wszyscy Hellenowie, lubował się w rozpatrywaniu zawiłych problemów teoretycznych. Jego starszy syn wyśmiewał się z ojcowskiego zamięłowania do dialektyki i dysput. Rozповідаł po całym mieście:

– Potrafi cały dzień rozstrząsać z filozofami jakieś głupkowate kwestie. Zdarzyło się na przykład, że w czasie ćwiczeń młodzieży w gimnazjonie ktoś tam zabił niechcący swego przyjaciela włócznią. Otóż mój ojciec zastanawiał się ze swymi mędrkami bez końca, kto jest właściwym sprawcą nieszczęścia i kogo należałoby ukarać: rzucającego włócznią, nauczycieli, czy też – samą włócznię!

Projekt Hippodamosa był niezmiernie nęcący jako temat do dyskusji. Perykles musiał ostro krytykować ustrojowe pomysły architekta, bo owo idealne państwo i społeczeństwo aż nazbyt przypominało kraj, z którym przez tyle lat wiódł uporczywą walkę – Lacedemon. I tam bowiem były trzy kategorie mieszkańców: wojownicy, rzemieślnicy, rolnicy – czyli Spartiaci, periojkowie, heloci. A skutek był taki, że rządili tylko wojownicy, ciemniąc pozostałe dwie warstwy na wszelkie sposoby. Ale nawet odsuwając na bok owo podobieństwo, projekt Hippodamosa miał wiele słabych punktów. Wychwycił je później Arystoteles, ale na pewno widział już Perykles:

I rzemieślnicy, i rolnicy, i wojownicy mają mieć na równi wszystkie prawa obywatelskie. Jeśli jednak rolnicy nie będą posiadać broni, rzemieślnicy zaś ani ziemi, ani broni, to zejdu do roli niewolników tych, co są uzbrojeni. Jest też rzeczą oczywistą, że wszystkie najważniejsze

urzędy i godności przypadną wojownikom. A skoro pozostałe warstwy nie będą miały równego udziału w rządach, to jakżeż przypuszczać, że będą przywiązane do ustroju swego państwa?

Dalej. Warstwa wojowników powinna być nie tylko dobrze uzbrojona, lecz i liczna – przynajmniej tak samo, jak obie pozostałe razem wzięte. A jeśli tak będzie, to przecież nie ma żadnej potrzeby, by tamte uczestniczyły we władzy. Hippodamos chce, aby wojownicy użytkowali ziemię państwową. Powstaje pytanie: kto ją będzie uprawiał? Jeśli wojownicy, to czym właściwie będą się różnić od rolników? Chyba tym tylko, że ci ostatni mają mieć ziemię na własność – byliby więc w lepszym położeniu. A jeśli każe się rolnikom uprawiać i własną ziemię, i państwową dla wojowników, to po pierwsze nie wiadomo, czy podołają pracy i czy wystarczy plonów dla dwu domostw, po drugie zaś od razu nasuwa się prosta myśl: po co to rozróżnienie ziemi prywatnej i państwowej? Czy nie lepiej przydzielić rolnikom całą ziemię, by i sami z niej się utrzymywali, i odstępowali część przychodu wojownikom? Można by wprawdzie przyjąć, że ziemię państwową będą uprawiać jacyś inni ludzie, nie wojownicy i nie rolnicy siedzący na swoim, ale w takim razie byłaby to jakaś czwarta warstwa w tym państwie Hippodamosa, nie posiadająca żadnych praw i w ogóle jakby pozostająca poza społecznością obywateli.

Tak samo surowo osądził Arystoteles Hippodamosowy system prawodawstwa i sądów, kończąc cały ten rozdział rozważaniami, czy w ogóle należy zmieniać prawa i ustroje:

„Mogłoby się zdawać, że lepiej jest, jeśli się zmienia prawa. W innych dziedzinach przynajmniej zmiany dały korzystny wynik. Tak np. w sztuce lekarskiej, gdy wprowadzono nowości do tradycyjnych praktyk, i w gimnastyce, i we wszystkich w ogóle sztukach i umiejętnościach; że zaś za jedną z nich należy uznać politykę, więc oczywistą jest rzeczą, że i z nią musi być podobnie. Dowodem tego – mógłby ktoś powiedzieć – są same fakty: stare bowiem prawa są zbyt prymitywne i barbarzyńskie, a nawet Hellenowie stale niegdyś chodzili uzbrojeni i kupowali żony jedni od drugich. Co się jeszcze gdzieś ze starych praw utrzymało, jest całkiem niedorzeczne. Tak np. w Kyme istnieje prawo o zabójstwie, które powiada: jeśli skarżący o zabójstwo przedstawi pewną ilość świadków spośród swoich krewnych, to oskarżony ma uchodzić za winnego mordu! W ogóle zresztą wszyscy ludzie oglądają się nie za tym, co tradycją uświęcone, ale co dobre. A pierwsi ludzie, czy to z ziemi powstali, czy też ocaleli z jakiegoś straszliwego kataklizmu, byli na pewno tacy sami jak dzisiejsi, zwyczajni i niezbyt rozumni. Byłoby więc rzeczą niewłaściwą trwać przy ich poglądach. Ale nawet i praw pisanych nie należy zostawiać bez zmiany. Bo jak w innych sztukach, tak i w ustroju państwowym niemożliwą jest rzeczą ściśle wyrazić wszystko w piśmie. Spisywane zasady muszą być bowiem ujmowane ogólnie, natomiast praktyka życiowa wyraża się w zjawiskach jednostkowych. Okazuje się więc z tego, że pewne prawa w pewnych wypadkach winny ulegać zmianom.

Gdy jednak spojrzeć na rzecz z innej strony, to będzie tu —jak się zdaje — wskazana wielka ostrożność. Jeśli bowiem osiągnięta przez zmianę poprawa miałyby być nieznaczna, to wobec szkody, jaką grozi przyzwyczajenie obywateli do lekkomyślnego usuwania praw, powinno by się oczywiście pozostawić bez zmiany pewne uchybienia zarówno prawodawców, jak i rządzących. Bo ten, co zmianę przeprowadzi, nie przyniesie tyle korzyści, ile spowoduje szkody przez przyzwyczajenie obywateli do nieposłuszeństwa wobec władz.

Błędne jest tu porównanie ze sztukami, bo zmiana w sztuce, a zmiana w prawie to wcale nie to samo. Prawo bowiem zdobywa siłę, która stanowi o posłuchu dla niego, jedynie przez przyzwyczajenie, do tego zaś nie dochodzi się inaczej, jak w dłuższym okresie czasu. Toteż jeśli istniejące prawa zbyt łatwo wymienia się na inne, nowe, to tylko osłabia się moc prawa.²⁷

²⁷ Tamże.

Pod tymi poglądami wielki przywódca ateńskiej demokracji podpisałby się na pewno. Jeśli nawet nigdy nie formułował ich tak wyraźnie, to w każdym razie – a przecież to jest jedynie ważne – w swej praktyce politycznej postępował zgodnie z ich duchem.

PRAWA MIASTA TURIOJ

Jak mało sobie ceni ustrojowe pomysły Hippodamosa, pokazał Perykles, kiedy nadarzyła się świetna sposobność wcielenia ich w życie. Oto zakładano w odległej krainie nowe miasto, które zarazem miało być odrębnym, niezależnym państwem. Hippodamos uczestniczył w tym dziele, jednakże nie jako prawodawca, do czego najbardziej chyba tęsknił. Jego zadanie było skromniejsze: wytyczyć, tak samo jak w Pireusie, regularną sieć prostych ulic.

Turioj – tak zwało się owo drugie miasto zbudowane według planów Hippodamosa. Powstało w południowej Italii, na żyznej równinie, gdzie niegdyś kwitnęło Sybaris.

Bogactwo i luksus życiowy mieszkańców Sybaris były niegdyś przysłowiowe w Helladzie. Ale potem przyszły nieszczęsne wojny z sąsiadami, niosąc zniszczenie i wyludnienie kraju. Prosilili więc Sybaryci sami, aby przysłać im z Hellady nowych osadników: jest dobra ziemia, a nie ma na niej kto pracować! Pierwsi Ateńczycy przybyli tam już w roku 445. W krótkim czasie wypędzili w ogóle dawnych panów tych okolic. W roku 443 napłynęły nowe, i to znacznie liczniejsze zastępy osadników ze starego kraju. Najwięcej było wśród nich i tym razem Ateńczyków, ale nie brakło też sporej grupy ludzi z Peloponezu i z Hellady Środkowej. Perykles bowiem polecił głosić wszędzie, że powstanie w Turioj kolonia ogólnohelleńska. Czynił to, aby nieco osłabić podejrzenia i niepokój ze strony innych państw. Bo przecież cel założenia Turioj był zupełnie oczywisty: miał to być załączek ateńskiego władztwa nad bogatym Zachodem, nad Italią i Sycylią. Toteż nowe miasto, choć pozornie niezależne i suwerenne, było jednak wyraźnie poddane ateńskiemu wpływowi. I to nie tylko dlatego, że większość kolonistów stanowili ludzie rodem z Attyki i miast Związku. Równie ważny był sam urząd państwowy w Turioj, wzorowany na ateńskim; nawet fil było dziesięć, choć o innych nazwach.

Natomiast prawa sądowe posiadało Turioj odmienne od ateńskich. I w tym jednak wypadku nikt nie prosił o radę znakomitego architekta i reformatora społecznego w jednej osobie. Za podstawę wzięto stare prawa innego helleńskiego miasta w Italii, Lokroj, które ułożyć miał przed wielu pokoleniami Zaleukos. Postąpili jednak Turyjczycy dokładnie tak, jak zalecał to później Arystoteles: poddali owe dawne przepisy rewizji, przystosowując je do zmienionych potrzeb bardziej cywilizowanego życia. Tym sposobem mogli się chlubić, że mają prawa i wiekiem szacowne, i odpowiadające współczesności.

Zresztą i w najstarszych prawach lokryjskich było wiele postanowień, które cieszyły się w Helladzie dobrą sławą. Jak te na przykład:

Kto żeni się powtórnie, dając dzieciom swoim macochę, nie może uczestniczyć w żadnych naradach nad sprawami publicznymi; kto bowiem nie potrafi zadbać o los własnych dzieci, nie będzie też dbał o dobro wspólne. W ogóle zaś, komu się powiodło w pierwszym małżeństwie, winien poprzestać na tym szczęściu i nie żenić się powtórnie, by losu nie wyzywać; kto zaś źle trafił za pierwszym razem i gotów błąd powtórzyć, ten jest z całą oczywistością człowiekiem bez rozumu.

Wszyscy synowie obywateli muszą umieć czytać i pisać. Koszty nauki pokryje państwo, aby również i ubodzy mieli dostęp do najszlachetniejszych umiejętności.

Ludzie, którzy świadomie wnieśli fałszywe oskarżenie przeciw współobywatelowi, co zostało wykazane w trakcie przewodu sądowego, mają przez określony czas pojawiać się na mieście tylko w wieńcu tamaryszkowym na głowie, aby każdy wiedział: oto kłamca i oszczerca!

Kto opuści szeregi w bitwie lub w ogóle nie stawi się na wezwanie do wojska, będzie siedzieć przez trzy dni z rzędu w szacie niewieściej na głównym placu miasta.

Kto pragnie zmienić któreś z obowiązujących praw, ma założyć sobie stryczek na szyję i tak chodzić po mieście, póki lud i władze nie rozstrzygną, czy projekt godny jest przyjęcia. W razie zgody projektodawca odejdzie wolny. Jeśli natomiast uchwali się odrzucenie poprawki, zwolennik ulepszania praw zostanie z miejsca powieszony na tym właśnie stryczku, który nosi na szyi.

Twierdzono później, że w ciągu całej historii miasta Lokroj – czy też Turioj – były tylko trzy wypadki uwolnienia osób wnoszących o zmianę pewnych przepisów.

Zdarzyło się raz, że wybito oko człowiekowi jednookiemu. Stare prawo postanawiało, że kto wybije komuś oko, straci własne. Ale przecież jednooki stał się ślepcem! Uważał więc, że kara będzie zbyt łagodna, jeśli sprawcy jego nieszczęścia wylupie się tylko jedno oko. Żądał, by odplata była pełna – wzrok za wzrok! Lud uznał słuszność tego argumentu i winowajcę oślepieno.

W drugim wypadku wnosił o zmianę prawa pewien starzec, z którym rozwiodła się żona znacznie młodsza; wyszła ona powtórnie za męża, ale za kogoś bliższego sobie wiekiem. Otóż ów starzec zgłosił taką poprawkę: kobieta rozwiedziona może powtórnie poślubić kogo chce, byle tylko był on starszy od jej poprzedniego męża.

W trzecim wreszcie wypadku chodziło o dziewczynę. Stare prawo, mające zresztą swój wierny odpowiednik i w ustawodawstwie ateńskim, postanawiało: dziewczynę, która była jedyną spadkobierczynią winien, poślubić jej najbliższy krewny. Chodziło o to, by majątek pozostał w rodzie. Zdarzało się jednak, że spadkobierczyni w istocie nie miała żadnego spadku. Wówczas najbliższy krewny, jeśli nie chciał wziąć jej za żonę, był zobowiązany ofiarować dziewczynie 500 drachm na posag. Otóż w Turioj pewna bardzo uboga jedynaczka zdobyła płaczem i narzekaniem przekonać zgromadzenie ludowe, by to ostatnie prawo uchylono. Odtąd najbliższy krewny musiał żenić się ze spadkobierczynią bez względu na majątek, jaki wniesie ona w posagu; nie wolno było wykupywać się od tego obowiązku jałmużną pięciuset drachm. W ten sposób owa przezorna dziewczyna zdobyła i męża, i wielką fortunę. Tak się bowiem składało, że jej najbliższy krewny należał do ludzi bardzo bogatych. Potomnym zaś pozostało podziwiać wielkoduszność zgromadzenia ludowego, które przecież było wyłącznie męskie. Wielu z głoszących za wnioskiem ubogiej dziewczyny kręciło bicz przeciw sobie. Każdemu bowiem mogła się przytrafić taka uboga krewna. Widocznie jednak ta, która stała z powrozem u szyi, była bardzo piękna. I niejeden zapewne wzdychał:

– Oby i mnie trafiła się dziewczyna, z którą musiałbym się ożenić – choćby uboga, lecz właśnie tak urocza! Zapomniał, że bywają też spadkobierczynie i ubogie, i brzydkie.

ROZMOWA Z PROTAGORASEM

Wiele starych ustaw lokryjskich uległo w Turioj, jak się rzekło, rewizji. Przeprowadził ją człowiek uchodzący wówczas za jeden z najbystrzejszych umysłów Hellady – Protagoras. Powierzono mu to zaszczytne zadanie dzięki Peryklesowi, należał bowiem do kręgu jego bliższych znajomych. To właśnie z Protagorasem toczył Perykles ową subtelną dysputę, kto winien jest przypadkowej śmierci w gimnazjonie: rzucający włócznią, nadzorcy ćwiczeń, czy też sama włócznia.

Protagoras nie był Ateńczykiem. Pochodził z miasta Abdera na wybrzeżu trackim. W Atenach jednak przebywał często, a odwiedzał też wiele innych miast Hellady. Był bowiem wędrownym nauczycielem mądrości, czyli – jak wówczas mówiono i jak on sam się nazywał – sofistą. Owa mądrość polegała na umiejętności ładnego i zręcznego wysławiania się, aby móc zawsze obronić swoje stanowisko – zarówno w sądach, jak i w polityce. Głosił więc Protagoras, że dzięki jego naukom młodzi ludzie nabywają dzielności obywatelskiej. Poradzi sobie jego wychowanek w każdej sytuacji, wie bowiem, jak za pomocą odpowiednich wywodów nawet pozornie straconą sprawę tak przedstawić, aby wydawała się mocna. Wszystko bowiem jest względne, wszystko można pokazać w takim lub innym świetle, zależnie od doraźnej potrzeby. Oczywiście, chodzi o stosunki międzyludzkie, o sprawy społeczeństwa i państwa. Bo tylko to jest naprawdę ważne dla człowieka i tej tylko trzeba uczyć się sztuki: jak żyć wśród współobywateli, jak ich przekonywać i prowadzić. To natomiast co się dzieje na niebie, jak i to, z czego świat jest zbudowany, jakie siły go stworzyły i utrzymują, nie powinno zbyt nas interesować. Tak samo i odwieczne pytanie: czy – i jacy – są bogowie. Protagoras mówił wprost:

– Co się tyczy bogów, nie mogę być pewien, że oni istnieją, ani też, że nie istnieją, a tak samo, jak wyglądają. Wiele bowiem czynników przeszkadza temu poznaniu, a przede wszystkim niejasność samego przedmiotu i krótkość naszego życia. I stwierdzał:

– To człowiek jest miarą wszystkiego: rzeczy istniejących, że istnieją, i rzeczy nieistniejących, że nie istnieją.

Jako nauczyciel młodych ludzi z dobrych domów miał Protagoras powodzenie ogromne, choć kazał sobie dobrze płacić. W jakiejś dziesięć lub nawet nieco więcej lat po założeniu Turioj sławny sofista po dłuższej nieobecności znowu zawitał do Aten. Wśród młodzieży miasta zapanowało podniecenie.

O pierwszym brzasku pewien człowiek dobijał się laską z całych sił do bramy domu Sokratesa. Kiedy mu wreszcie otworzono, wpadł do środka wołając wielkim głosem:

– Hej, Sokratesie, zbudziłeś się, czy śpisz jeszcze? Ten od razu poznał gościa po głosie:

– A, to Hippokrates! Cóż za nowiny przynosisz?

– Same dobre!

– Toś dobrze powiedział. Ale czemuż to o tej porze?

– Protagoras przyjechał!

– I to już przedwczoraj. A ty teraz dopiero się dowiedziałeś?

– Na bogów, wczoraj wieczór ..

Mówiąc te słowa namacał Hippokrates jakiś stołek i usiadł koło nóg leżącego jeszcze Sokratesa. Ciągnął dalej:

– Więc właśnie wczoraj wieczór. I to kiedy bardzo późno wróciłem z Ojnoe. Bo uciekł mi chłopak ze służby, Satyros. Miałem ci nawet powiedzieć, że będę go szukał, ale przez coś tam zapomniałem. Wróciłem więc, zjadłem wieczerzę i już mieliśmy się położyć, kiedy brat mi mówi: przyjechał Protagoras! Zerwałem się i chciałem od razu biec do ciebie. Ale potem pomyślałem, że już za późno. Za to jak tylko się zbudziłem po tym zmęczeniu, z miejsca wstałem i tak tu do ciebie przyszedłem.

Choć łatwo było zmiarkować, że Hippokrates jest bardzo i zdecydowany, i podniecony, Sokrates zaczął jakby nigdy nic:

– A cóż to cię tak obchodzi? Zrobił ci coś złego ten Protagoras?

Hippokrates roześmiał się:

– Na bogów, nic zupełnie. Chyba to tylko, że sam jest mądry, a mnie takim nie robi!

– Na Zeusa, jak tylko dasz mu pieniądze i poprosisz, zrobi cię mądrym na pewno!

– Zeusie i bogowie, gdybyż to naprawdę rzecz w tym tylko była! Na pewno nie pożałuję majątku ani swojego, ani przyjaciół! Właśnie dlatego przychodzę teraz do ciebie, żebyś w mojej sprawie z nim porozmawiał. Ja sam jestem za młody. Zresztą nigdy dotąd ani nie wi-

działem, ani nie słyszałem Protagorasa. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy. A tymczasem, Sokratesie, wszyscy tego człowieka wychwalają i powiadają, że mówi najmądrzej. Chodźmy więc, aby go zastać jeszcze w domu. Mieszka, jak słyszałem, u Kalliasa, syna Hipponikosa. Idziemy!

– Mój drogi, tam iść jeszcze za wcześnie. Wstaniemy teraz i przejdziemy na podwórze. Pospacerujemy sobie i tak jakoś nam zejdzie, póki się nie rozwidni całkiem. Wtedy dopiero pójdziemy.

Tak też zrobili. Kiedy wreszcie weszli do domu Kalliasa, zastali na otoczonym kolumnami dziedzińcu sporo już ludzi. Protagoras przechadzał się w licznym gronie. Był z nim Kallias oraz jego bracia przyrodni po matce, synowie Peryklesa, Paralos i Ksantypos, a także kilku innych młodzieńców. Ci wszyscy szli w jednym szeregu po obu stronach mistrza. Natomiast z tyłu postępowała cała grupa ludzi, w większości obcych, których Protagoras ściągnął z różnych miast Hellady czarem swego głosu – jak Orfeusz. Ci pilnie baczyli, żeby przypadkiem nie stanąć Protagorasowi przed nosem. Dlatego, kiedy tylko pierwszy szereg zawracał, ci z tyłu rozstępowali się bardzo składowo na dwie strony i znowu ustawiali się za plecami tamtych.

W podcieniu siedział na jakimś krześle inny stawny sofista, Hippiasz z Elidy. Wokół niego też skupiło się sporo słuchaczy, zadając pytania i słuchając odpowiedzi, których on kolejno udzielał. Mowa była o sprawach przyrody, o zjawiskach na niebie. Był w domu Kalliasa trzeci jeszcze sofista, Prodikos z Kos. Ten, jak widać było z dziedzińca, leżał w pokoju, który przedtem służył za skarbczyk. Owinięty był w owcze skóry i kołdry, i też nie był sam. Rozprawiał o czymś, ale że głos miał bardzo niski, nie sposób było pochwycić treści, bo echo rozchodziło się po całym domu i zacierało wyrazistość słów.

Po chwili, kiedy się już dobrze rozglądnęli, Sokrates zdołał przedstawić swego młodego towarzysza Protagorasowi:

– Oto Hippokrates, tu urodzony, syn Apollodora, z domu wielkiego i bogatego. Co do wrodzonych zdolności nie ustępuje, jak się zdaje, swoim rówieśnikom. Sądzę, że chciałby stać się kimś w naszym państwie. Jest zaś zdania, że dojdzie do tego najłatwiej, jeśli dane mu będzie przebywać w twoim towarzystwie.

Potem potoczyła się rozmowa na temat, czego to właściwie naucza Protagoras. Wszyscy usiedli koło Hippiasza, gdzie już przedtem stały ławki. Kallias i Alkibiades, krewny i wychowanek Peryklesa, przyprowadzili nawet Prodikosa z jego łoża. Zapowiadała się bowiem dyskusja bardzo ciekawa, ze względu i na rozmówców, i na przedmiot. Sokrates prosił o wypowiedź jasną i jednoznaczną. Na to Protagoras:

– Ty dobrze pytasz, Sokratesie, a ja bardzo lubię odpowiadać tym, co dobrze pytają. Hippokrates, jeśli do mnie przyjdzie, nie będzie cierpiał nic z tego, co cierpieć by musiał u innego mędrca. Tamci bowiem dręczą młodych ludzi: zaledwie wyzwolonych od szkoły znowu, i to gwałtem, zaganiają do szkoły. Uczą ich rachunków, astronomii, geometrii (tu spojrzął z ukosa na Hippiasza). U mnie zaś tylko to będzie poznawał, o co mu właśnie chodzi: dobre rozumienie gospodarki, aby jego dom stał jak najlepiej, i dobre rozumienie spraw państwa, aby słowem i czynem był w nich najsprawniejszy.

– Jeśli dobrze nadażam za twoją myślą, wydajesz mi się mówić o sztuce politycznej i obiecywać, że czynisz ludzi dobrymi obywatelami?

– Właśnie to, Sokratesie, właśnie to głoszę!

– Piękną więc sztukę posiadłeś – jeśli rzeczywiście posiadłeś. Bo będę mówił tylko to, co rzeczywiście myślę. Ja, Protagorasie, nie sądziłem dotąd, że tego można nauczyć. Ale z drugiej strony, skoro ty mówisz, że można, nie mogę ci nie wierzyć. Wypada mi wyjaśnić, dlaczego nie uważam, by tego można uczyć i by człowiek mógł to przekazać człowiekowi. Otóż ja, jak zresztą inni też Hellenowie, twierdzę, że Ateńczycy to mądrzy ludzie. Ale cóż widzę? Zbieramy się na zgromadzeniach ludowych. Zdarza się, że trzeba rozważyć jakieś państwowe

sprawy budowlane. Powołujemy wówczas architektów, żeby doradzali nam w sprawach budownictwa. Tak samo, kiedy chodzi o budowę okrętów: wzywamy wówczas cieśli okrętowych. I tak się dzieje ze wszystkim co, jak sądzą Ateńczycy, może być przedmiotem nauczania. A co nie wyrabiają, kiedy próbuje radzić im ktoś, kogo nie uważają za fachowca! Choćby nawet był to człowiek bardzo miły, bogaty i dobrze urodzony, nie przyjmą od niego żadnego pouczenia. Wyśmiewają go i hałasują, póki albo on sam, zagłuszony, nie przestanie mówić, albo nie ściągnie go z mównicy i nie wyrzuci na rozkaz prytańców służba porządkowa. Tak więc postępują Ateńczycy w tych sprawach, które uważają za umiejętności fachowe. Ale kiedy trzeba radzić o czymś z zakresu ekonomii politycznej, to wtedy wstają i rad udzielają na równi murarz, kowal, szewc, kupiec, dowódca okrętu, człek bogaty i biedny, arystokrata i ktoś z pospólstwa. I nikt im nie ma za złe, jak tym poprzednio, że dają rady! A przecież nigdzie się tego fachu nie uczyli i nie mieli żadnego nauczyciela! Oczywiście stąd wniosek, że zdaniem Ateńczyków tego w ogóle nie można się nauczyć.

Zresztą tak się ma rzecz nie tylko jeśli chodzi o ogół. Bo również i prywatnie najmędrsi i najlepsi z naszych obywateli nie sądzą, aby mogli przekazać innym te zalety, które sami posiadają. Oto Perykles, ojciec tych tutaj młodzieniaszków, wychował ich pięknie i dobrze we wszystkich umiejętnościach, które mają swoich nauczycieli. Ale w tym, w czym właśnie on jest mądry, zgoła ich nie wychowuje – i nie szuka też dla nich nauczyciela. Chodzą więc sobie, jak chcą i pasą się swobodnie niby owe zwierzęta bogom poświęcone. Może gdzieś przypadkiem sami przez się trafią na tę obywatelską dzielność? A jeśli chcesz, to jeszcze i to: Klejnias to młodszy brat tego tu Alkibiadesa. Wychowywał go także Perykles, ale obawiał się, że Alkibiades będzie miał zły wpływ na niego. Zabrał więc Klejniasa i dał na wychowanie Aryfronowi, swemu bratu. Nie minęło sześć miesięcy, a oto Aryfron oddaje go, bo rady sobie dać nie mógł z chłopakiem! I mógłbym wskazać wielu innych, którzy, choć sami zacni, nigdy nie potrafili uczynić lepszym nikogo, ani z członków swojej rodziny, ani też spośród ludzi obcych. Patrząc więc na to, Protagorasie, nieskłonnny byłbym sądzić, że dzielność obywatelska to coś, co można innym przekazać. Ale znowu kiedy słyszę, że ty nauczasz tej dzielności, zaczynam się wahać. I myślę, że chyba masz swoje racje. Uważam bowiem, żeś człowiek doświadczony i wielkiej wiedzy, a także bardzo odkrywczy. Jeśli więc potrafisz udowodnić przekonująco, że dzielność obywatelska może być przedmiotem nauczania, to nie ukrywaj tego, lecz przedstaw nam wszystko!

I tak rozpoczęła się długa dysputa. Jej bystry prąd i kapryśny tok porwały, rzecz by można, obu rozprawiających i wyrzuciły ich na brzeg całkiem ogłupiałych. Dał temu wyraz sam Sokrates w tych słowach:

– Mam wrażenie, że ten ostatek naszej rozmowy wyrzuty nam czyni i wyśmiewa się z nas całkiem jak człowiek! A jeszcze, gdyby miał głos ludzki, to by powiedział:

Cóż z was za dziwacy, Sokratesie i Protagorasie! Ty, Sokratesie, twierdziłeś na początku, że dzielności obywatelskiej nauczyć się nie można. A oto teraz z całą gorliwością sprzeciwiasz się sam sobie. Dowodzisz usilnie, że wszystko jest wiedzą: sprawiedliwość, rozsądek, odwaga. A wobec tego dzielność obywatelska byłaby ze wszech miar czymś do nauczania, bo z tych przedmiotów się składa .. Natomiast Protagoras wyszedł z założenia, że dzielności obywatelskiej można nauczać. Teraz jednak zdaje się przychylić do zdania przeciwnego. Uważa bowiem, że dzielność ta jest raczej wszystkim innym niż wiedzą. A jeśli tak, to oczywiście uczyć jej nie można nikogo!

Ja więc patrzę na to i widzę, że argumenty wciąż nam się wywracają do góry nogami. To też wielce bym pragnął, żeby to wszystko jakoś się wyjaśniło. I chciałbym także, żebyśmy rozpatrzyli całą rzecz i doszli wreszcie, czym jest owa dzielność. A potem dopiero moglibyśmy wrócić do rozważań, czy można jej uczyć, czy też nie!²⁸

²⁸ Platon, *Protagoras*, parafraza wyboru fragmentów.

CZY USTRÓJ WYCHOWUJE?

O arete, obywatelskiej dzielności, rozprawiali nie tylko Sokrates i Protagoras. Dyskutowano ówczas na ten temat gorąco, wręcz z pasją, w wielu domach i na wielu spotkaniach. Sprawa bowiem właściwego wychowania młodzieży zaczęła poważnie niepokoić wszystkich myślących ludzi. Oto, jak zwykle bywa w okresach wielkich przemian politycznych, stare ideały i zasady kształcenia nagle okazały się zupełnie nieprzydatne! Jeszcze przed trzydziestu, czterdziestu laty, kiedy obecni rodzice byli dziećmi lub zaledwie dorastali, cała Hellada była znacznie uboższa, a musiała przy tym toczyć śmiertelne zmagania z potężnym wrogiem. Wychowywało młodzież samo twarde życie. Kiedy płonął Akropol, każdy wiedział, czym jest arete i jak postępować, by ją zdobyć. Teraz, zwłaszcza w Atenach, warunki materialne poprawiły się ogromnie. Panowała pełna swoboda, wojny zaś toczyły się gdzieś daleko. Nawet w uboższych domach młodym ludziom nie brakowało właściwie niczego. Oświata upowszechniła się szeroko, życie kulturalne kwitnęło bujnie jak nigdy, podróże i kontakty z obcym światem stały się łatwe. A jednak, ku zdumieniu starszych, młodzież nie wydawała się doceniać swego losu, dobrobytu, uroków szczęśliwej epoki! Była cyniczna, pewna siebie, nastawiona tylko na pasożytnicze korzystanie z tego, co niesie lśniąca pokusami życie wielkiego miasta. Sokrates nie przypadkowo wspominał o Alkibiadesie i jego bracie, obu zepsutych i nieznośnych. Przeważnie tacy sami byli ich rówieśnicy. Iluż to rodziców chciałoby zapytać:

– Dlaczego młodzi są gorsi, skoro jest im lepiej?

Wielu było zdania, że wina jest po stronie nie młodzieży, lecz ustroju. Ci wywodzili, że dobry porządek państwowy i społeczny wystarczyłby sam przez się, aby mieszkańcy danego kraju stali się sprawiedliwi, rozumni, odważni, oddani dobru ogółu. Jak więc zreformować ustrój? Jedną z prób odpowiedzi był ów projekt idealnego państwa, wymyślony przez architekta Hipodamosa. Ale możliwa też była inna odpowiedź, i to bardziej konkretna. Ateńscy oligarchowie wskazywali po prostu na Lacedemon, gdzie wychowywano młodzież twardo, trzymając ją w korbach z okrucieństwem niemal sadystycznym.

Inni, jak właśnie Sokrates, mieli zupełnie odmienny pogląd na sprawę. Twierdzili, że człowiek winien zdobyć arete własną pracą i osobistym wysiłkiem. Każdy staje w swym życiu przed tym samym trudnym zadaniem i sam musi mu sprostać. Mistrz może tylko udzielić zachęty i wskazać drogę. A więc wyznawcy tego poglądu chętnie zgodziliby się z tezą: to dobrzy obywatele tworzą dobry ustrój, a nie na odwrót!

Spór toczył się przez wieki – bez rezultatu.

Wzmianki o arete nie mogło też, rzecz prosta, zabraknąć w wielkim dziele historycznym, które wówczas powstawało. Jego autor zwał się Herodot. Nie był on Ateńczykiem. Pochodził z miasta Halikarnas w Azji Mniejszej, ale tylko niewielką część życia spędził w swej ojczyźnie. Wygnany stamtąd na skutek przewrotu politycznego jeszcze kiedy był bardzo młodym człowiekiem, przebywał czas jakiś na wyspie Samos. Potem, po nowym przewrocie w Halikarnasie, powrócił do rodzinnego miasta, nie na długo jednak. Jak się zdaje, nie odzyskał majątku uprzednio skonfiskowanego, porzucił więc niewdzięczną ojczyznę i z konieczności zajął się kupiectwem, podróżując po szerokim świecie. Zwiedził Egipt, Fenicję, Babilonię, wybrzeża Morza Czarnego i – oczywiście – krainy Azji Mniejszej oraz Hellady. Najchętniej jednak przebywał w Atenach. Stał się gorącym wielbicielem ich zasług i wielkości, sławił też, choć tylko pośrednio, politykę Peryklesa. Czynił to w dziele, do którego zbierał materiały od lat, właśnie w trakcie swych dalekich podróży. Opowiadało owo dzieło o zmaganiach Helle-

nów i Azjatów, poczynając od czasów mitycznych, a kończąc na zdobyciu Sestos przez Ksantyposa, ojca Peryklesa. Już w roku 445 Herodot odczytał w Atenach pewne fragmenty swej historycznej opowieści. Przyjęto je z entuzjazmem tak wielkim, że jeden z obywateli, Anytos, postawił na zgromadzeniu ludowym wniosek, by przyznać dziejopisowi znaczną nagrodę pieniężną. Wkrótce potem Herodot wyjechał do Turioj. Żył tam jeszcze lat kilkanaście, wciąż pracując nad swym opisem wielkich wojen.

Była w tym dziele i taka scena:

W roku 480, już w czasie marszu na Helladę, dokonał król Kserkses przeglądu swej ogromnej armii. Znajdował się wówczas u jego boku król spartański Demarat. Był to ten sam Demarat, który przed przeszło ćwierć wiekiem w czasie najazdu na Attykę popadł w zatarg z królem Kleomenesem, wrogiem Klejstenesa. Otóż Kserkses, wielce zadowolony z potęgi i postawy swych wojsk, rzekł do Demarata:

– Powiedz mi teraz: ośmiela się Hellenowie podnieść na mnie rękę? Bo jak mnie się wydaje, to nawet gdyby się zebrali wszyscy razem, i w ogóle wszyscy ludzie mieszkający na Zachodzie, nie oparliby się temu najazdowi. Ale chciałbym wiedzieć, co ty o tym myślisz. Na to Demarat:

– Mam mówić szczerą prawdę, czy też to, co będzie ci przyjemne słyszeć?

– Tylko prawdę! Będiesz mi tak samo miły jak i przedtem.

– Królu, skoro rozkazujesz mi mówić otwarcie, żeby później nie wyszło na jaw jakieś kłamstwo, to rzecz ma się tak: zawsze współmieszka z Hellenami ubóstwo, dzielność zaś osiągają dzięki mądrości i surowym prawom. Właśnie ta dzielność broni ich i przed ubóstwem, i przed tyranią.

I jako Lacedemończyk zaczął Demarat wychwalać przede wszystkim swój naród:

– Po pierwsze, nigdy nie przyjmą twoich rozkazów, bo one przynoszą Helladzie niewolę. A potem staną do walki, choćby nawet wszyscy inni Hellenowie przeszli na twoją stronę. Nie pytaj o ich liczbę. Będą z tobą walczyć – wszystko jedno, ilu ich wyruszy w pole! Może tyśiąć, może trochę więcej lub mniej nawet!

Kserkses przyjął te słowa ze śmiechem:

– Jakżeż to? Tysiąc ludzi walczyć będzie przeciw tak ogromnym zastępom moich wojsk? A ty sam – staniesz przeciw dziesięciu moim? A właściwie to przeciw dwudziestu, bo przecież jesteś królem, powinieneś więc walczyć z dwukrotnie silniejszym przeciwnikiem! Uwierzyłbym może twoim słowom, gdyby oni, jak to jest u nas, podlegali władzy jednego pana. Pod batem bowiem poszliby i przeciw silniejszemu od siebie!

Ale Demarat mówił coraz śmieiej:

– Lacedemończycy są wolni, lecz nie całkowicie wolni. Mają pana nad sobą. Jest nim prawo. Lękają się go jeszcze bardziej niż twoi poddani ciebie. Czynią zawsze to, co im prawo każe, a więc: z pola bitwy nie wolno uciekać, choćby przeciwnik miał wielokrotną przewagę. Lacedemończyk musi pozostać w szyku – i zwyciężyć lub zginąć.²⁹Taka to, według Herodota, była rozmowa o arete Hellenów pomiędzy królem Persów i jego gościem, wygnańcem ze Sparty. Historyk pisał te słowa mieszkając już w Turioj, kiedy pokój panował między Atenami a Lacedemonem.

²⁹ Według Herodota, *Dzieje*, VII 101—104.

Rozdział ósmy

WYPRAWA NA SAMOS

WOJNA I POECI

„Poetę Sofoklesa spotkałem na wyspie Chios. Płynął na Lesbos jako dowódca kilkunastu okrętów. Przy winie lubił on zabawę i dobry żart. Wydał dlań przyjęcie Hermesylaos, jego osobisty przyjaciel, a zarazem opiekun spraw ateńskich na tej wyspie.

Tuż przy ogniu stał chłopiec podający wino. Buzię miał ładnie zaróżowioną. Sofokles zapytał go:

– Chcesz, żeby mi się piło przyjemnie?

– Oczywiście – rzekł chłopiec.

– A więc podawaj mi puchar bardzo powoli, i bardzo też powoli zabieraj!

Twarz dziecka oblał piękny rumieniec. Sofokles zwrócił się do swego sąsiada przy stole:

– Jakżeż trafnie określił to poeta Frynich: «Na purpurowych licach płonie blask miłości!»

Posłyszał to nauczyciel Erytrajos i zaraz się wtrącił:

– Na poezji, Sofoklesie, znasz się świetnie. Jednakże niedobrze to powiedział Frynich, że lica piękności są purpurowe. No bo gdyby tak jakiś malarz pomalował na czerwono twarz tego oto chłopca, to już nie wydawałby się on ładny. A więc nie należy porównywać piękna z tym, co w istocie nie przedstawiałoby się pięknie!

Sofokles roześmiał się:

– To znaczy, przyjacielu, że nie podoba ci się również ten wiersz Symonidesa, który Helenowie bardzo chwala:

«Uleciały słowa z purpurowych ust dziewczyny?» Zapewne ganisz też tego poetę, który nazywa Apollona złotowłosym? Bo gdyby malarz dał temu bogu włosy rzeczywiście złote, a nie czarne, jak to jest przyjęte, obraz na pewno nie wypadłby dobrze. A ktoś inny mówi: »Jutrzienka różanopalca«. Gdyby jednak posmarować palce kobiety różowym kolorem, to byłyby to palce farbiarki, a nie pięknej dziewczyny!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Erytrajos zaś, tak skarcony, zamilkł. Sofokles znowu zwrócił się do chłopca. Zobaczył, że wyjmuje on małym palcem jakiś okruszek. Zapytał:

– Widzisz tę kruszynę dobrze?

– Widzę.

– Więc zdmuchnij ją, nie mocz palca!

Chłopiec pochylił się nad kielichem, który Sofokles właśnie podnosił ku ustom. Tak więc obie głowy zbliżyły się ku sobie. A kiedy już prawie się stykały, poeta niespodziewanie objął chłopca ręką, przyciągnął do siebie i ucałował. Patrzący na to aż zaklaskali z uciechy. Wołali śmiejąc się:

– Ależ go zwiodłeś! A na to Sofokles:

– Cóż, moi drodzy, ćwiczę się w sztuce strategii. Bo Perykles twierdzi, że poeta ze mnie dobry, ale dowódca żaden. A może nie powiódł mi się ten podstęp wojenny?”³⁰

Tak zapisał tę scenę w swych wspomnieniach jeden z jej świadków, poeta Ion z Chios. Był on prawie rówieśnikiem Sofoklesa; ten liczył sobie wówczas 56 lat, Ion miał ich zaledwie kilka mniej. I podobnie jak Sofokles był Ion dramaturgiem. Uznania tragediom poety z Chios nie brakło. Podziwiano gładkość i płynność ich języka, choć – zdaniem wielu – z urokiem i głębią dzieł Sofoklesa mierzyć się one nie mogły. Zresztą Ion próbował powodzenia i w innych dziedzinach twórczości. Był autorem dytyrambów oraz wdzięcznych elegii miłosnych, a nawet porwał się na przedstawienie dziejów ojczystej wyspy w formie epepei. A swoich współczesnych portretował pisząc pamiętniki.

Peryklesa na tej uczcie nie było. Stał wówczas z eskadrą floty wojennej daleko od Chios, u południowych wybrzeży Samos. Zamierzał zagrozić tam drogę samijskim okrętom, które powracały z wyprawy na Milet. Sofokles miał tymczasem ściągnąć jak najszybciej posiłki z Chios i Lesbos, przewaga bowiem była zdecydowanie po stronie Samijczyków: mieli 70 okrętów, Perykles zaś niewiele ponad 40! Toteż wódz niepokoił się: czy Sofokles zdoła wystąpić z należyłą stanowczością wobec obu państw, które ostatnio jakby się chwiały w wierności dla Związku i Aten?

Strategicznym talentom poety Perykles istotnie nie ufał. Przecież było oczywiste, że wybór do kolegium dziesięciu strategów na rok urzędowy 441/40 Sofokles zawdzięczał nie sławie wodzowskiej, lecz powodzeniu tragedii, którą wystawił w r. 442. *Antyгона* zdobyła wówczas pierwszą nagrodę. A kiedy w kilka miesięcy później wybierano strategów, wielu obywateli głosowało właśnie na Sofoklesa chyba w tym przekonaniu: kto tak wymownie broni ustami Antygony przyrodzonych praw ludzkich przeciw tyranii państwa, ten jako członek rządu z pewnością będzie baczył, aby dobra ogółu nie budowano kosztem szczęścia i swobód osobistych. Strategowie mieli przecież decydujący wpływ na całą politykę państwa, nie tylko na sprawy wojskowe! Dlatego to Perykles, już i poprzednio strateg wielokrotny, od roku 443 wchodził do tego kolegium stale, i to jako wybierany głosami wszystkich dziesięciu fil; dawało mu to przewagę autorytetu nad pozostałymi kolegami, którzy reprezentowali tylko poszczególne file. I tak zresztą Perykles baczył pilnie, aby wszyscy strategowie byli ludźmi sprzyjającymi jego polityce. Tajne rozgrywki w sprawie składu kolegium były na pewno jednym z najistotniejszych czynników w wewnętrznym życiu Aten; dla nas, niestety, są one całkowicie nieuchwytnie. Obywatele powierzający Sofoklesowi tak ważny urząd popełniali pewien błąd, bardzo zresztą częsty. Lotna wyobraźnia i subtelna intuicja, tak pożądane u poety, politykowi raczej przeszkadzają; zwycięża on, jeśli jest bezwzględny i szybko podejmuje decyzje. A już z pewnością musi tak postępować każdy dowódca. Tymczasem człowiek inteligentny i obdarzony twórczą wyobraźnią widzi, gdy stanie przed trudnością, zbyt wiele możliwości jej rozwiązania, a także nieskończone łańcuchy wszelkich konsekwencji każdego kroku. Waha się więc i zastanawia, życie zaś żąda działania.

A jednak Perykles nie sprzeciwił się kandydaturze Sofoklesa! Było to tym znamiennejsze, że Sofokles nie uchodził za zwolennika jego polityki. Niektórzy utrzymywali nawet, że właśnie w *Antygonie* poeta krytykował, pośrednio wprawdzie, lecz bardzo ostro, przywódcę ateńskiego państwa. Ci twierdzili:

– Kreon, zimny i bezduszny przedstawiciel interesów państwa, to właśnie Perykles. I właśnie dlatego od razu w pierwszych wierszach tragedii nazwany jest Kreon strategiem, choć naprawdę był królem!

Godząc się mimo wszystko na wybór Sofoklesa Perykles zapewne rozumował tak: W roku poprzednim poeta wchodził w skład kolegium hellenotamajów, to jest dziesięciu nadzorców

³⁰ Ion z Chios, *Fragmenta Historicorum Graecorum*, II 46, frg. 1.

skarbcza związkowego. Sofokles zachowywał się wówczas bardzo lojalnie w stosunku do rządzącego stronnictwa. Nie ma więc powodu przypuszczać, że inaczej postępował będzie jako strateg. Rok urzędowania upłynie szybko i w pełnym pokoju. Nie będzie ani potrzeby, ani nawet sposobności wypróbowania Sofoklesowych zdolności rozkazywania. Zresztą we wszystkich istotnych sprawach miarodajne będzie i tak zdanie większości, która jest wierna swemu przywódcy.

Któż mógł przewidzieć wówczas, w czasie wyborów roku 442, że tak szybko wybuchnie groźna wojna i poecie przypadnie w udziale ważna misja wojskowa?

Tak więc Perykles oczekiwał w napięciu, kto zjawi się szybciej: okręty sojuszników prowadzone przez Sofoklesa, czy też wroga flota samijska. A właśnie w tym samym czasie poeta stosował swoje strategiczne podstępny u gościnnego stołu na Chios. Ion patrzył na tę bez troską zabawę z przyjaznym pobłażaniem i zawsze odtąd powtarzał:

– Jako towarzysz biesiady Sofokles jest niezrównany – sympatyczny, wesoły, dowcipny! Przyznawał jednak:

– Perykles ma rację. W życiu politycznym Sofokles istotnie nie odznacza się ani bystrością, ani energią. Postępuje po prostu jak każdy przeciętny, uczciwy Ateńczyk.

W ustach Iona powtórzenie Peryklesowej oceny brzmiało uderzająco, bo poeta z Chios nie znosił wodza ateńskich demokratów i mówił o tym otwarcie. Był zdania, że to zarozumialec i pyszałek, pełen pogardy dla wszystkich. Ale zrażało Iona nie tylko samo zachowanie się Peryklesa, które przecież można było odczuwać i oceniać rozmaicie. Były też inne, głębsze powody niechęci.

Przede wszystkim: Ion nie darzył sympatią ateńskiej demokracji i demokratów w ogóle. I to nie tylko dlatego, że on sam pochodził z rodziny arystokratycznej. Chios, jego rodzinna wyspa, należała do Związku, miała jednak, jako kraina można i bogata, szczególne ambicje rządzenia się własnymi prawami. A tymczasem w Atenach właśnie demokraci dążyli do całkowitego podporządkowania państw Związku, natomiast oligarchowie wydawali się opowiadać się za łagodniejszą formą władzy nad sojusznikami. Taka przynajmniej była powszechna opinia, gorliwie podtrzymywana przez samych oligarchów, którzy pragnęli w ten sposób pozyskać sobie wpływy w sprzymierzonych miastach. Jednakże owe nadzieje związane z oligarchami były całkowicie złudne. Zapominano, że to właśnie ich wielki przywódca, Kimon, bardzo bezwzględnie tłumił wszelkie próby wystąpienia ze Związku – jak powstanie na wyspie Tazos. Gdyby oligarchowie znowu objęli rządy w miejsce demokratów, stosowaliby z całą pewnością twardą linię wobec państw podległych.

Rzecz inna, że Kimon, człowiek otwarty i przystępny, zjednywał sobie przyjaciół wszędzie i miał ich wśród sojuszników bardzo wielu. Również Ion zachował w żywej, wdzięcznej pamięci piękną postać syna Miltiadesa. Sławił go przy każdej sposobności. Ów strategiczny podstęp Sofoklesa przy stole Hermezylaosa przywiódł Ionowi na myśl inną ucztę, sprzed trzydziestu mniej więcej lat, i opowiadanie o innym podstepie wojennym. I tę więc scenę umieścił w swych wspomnieniach:

„Kiedy przyjechałem do Aten z Chios jako jeszcze całkiem młody człowiek, zaprosił mnie do swego domu Laomedont. Przyszedł na to przyjęcie również i Kimon. Najpierw złożono ofiary bogom. Zaraz potem ktoś poprosił Kimona, aby zaśpiewał. Zgodził się i śpiewał całkiem przyjemnie. Zaczęto go wychwalać:

– O ileż przewyższasz Temistoklesa! Bo ten mówi otwarcie, że nie uczył się ani grać, ani śpiewać, i jedno tylko umie: czynić nasze państwo wielkim i bogatym. Ty natomiast potrafisz i jedno, i drugie: bawić się i zwyciężać!

Stąd wywiązała się rozmowa o czynach Kimona. W pewnym momencie zabrał głos on sam:

– Chcecie może wiedzieć, co ja osobiście uważam za swój najlepszy podstęp wojenny? Otóż nie tak dawno zdobyliśmy przy pomocy naszych sprzymierzeńców dwa miasta nad cie-

śninami do Morza Czarnego. Były tam duże załogi perskie, które dostały się do naszej niewoli. Sprzymierzeńcy zwrócili się do mnie z prośbą, abym dokonał podziału łupu. Rozkazałem osobno złożyć stroje i broń jeńców, osobno zaś ustawić ich samych. Zaczęły się skargi, że taki podział będzie nierówny. Powiedziałem więc sprzymierzeńcom:

– Wybierajcie sami, którą część wolicie. My, Ateńczycy, zadowolimy się tym, co zostanie. A na to oni:

– Rzecz jasna, bierzemy strój i broń Persów!

I jeszcze się śmiali, że dobry ze mnie rozdzielca. Bo oni wzięli złote naramienniki, łańcuchy, broń, purpurowe szaty, nam zaś Ateńczykom, dostali się nadzy prawie jeńcy, i to nie nadający się do żadnej roboty, jako że wychowani w dobrobycie. Cóż się jednak stało? Maluczko, i oto zaczęli przyjeżdżać z różnych krain Azji przyjaciele i domownicy jeńców. Wypupywali ich, płacąc za każdego wielki pieniądz. Zarobiliśmy tyle, że starczyło na utrzymanie floty przez cztery miesiące, i jeszcze wniosłem do skarbu państwa sporą sumę”.³¹

WOJNA I ASPAZJA

Obok niechęci do demokratów i uwielbienia dla Kimona jeden jeszcze powód sprawiał, że Ion nie mógł przyjaźnie myśleć o Peryklesie. Oto przed kilkunastu laty obu im podobała się ta sama dziewczyna – Chryzylla z Koryntu. Obaj nie taili swych sercowych zapalów, Ion napisał na cześć pięknej córki Koryntu elegię miłosną, która zdobyła sobie duży rozgłos. A słabość Peryklesa do Chryzylli była tak znana, że stała się nawet przedmiotem kpin komediopisarzy. Patrząc wstecz na tę sprawę Ion mógł się tylko uśmiechać. Któż jeszcze pamięta piękną Chryzyllę? Obecnie mówi się jedynie o Aspazji. A wojna samijska nadała jej romansowi z Olimpijczykiem nowego, wręcz politycznego, znaczenia. W Atenach bowiem przeciwnicy demokratów utrzymywali tak:

Perykles wdał się w to wszystko tylko dlatego, aby przypodobać się Aspazji. I właśnie to jest oburzające. Wiadomo co prawda, że z powodu kobiet nieraz już przelewano krew. Iluż to dzielnych wojowników zginęło pod Troją, aby pomścić porwanie Heleny! Spór o kobiety, jak mówi Herodot, był może pierwszą przyczyną waśni Hellenów i Azjatów. Niegdyś bowiem Fenicjanie porwali dziewczynę Io z Argos. Potem Hellenowie uprowadzili księżniczkę Europę z Fenicji oraz Medeę z dalekiej Kolchidy nad Morzem Czarnym. Mądre jest jednak stare przystowienie perskie: tylko źli ludzie porywają kobiety, ale tylko głupcy szukają pomsty z tego powodu. Rozumni po prostu o to nie dbają. Bo i prawda: porywa się tylko te niewiasty, które chcą być porwane. Cóż więc rzecz o człowieku, który wznieca wojnę nawet nie o kobietę, lecz dla kobiety, powolny jej prośbom? Wiadomo przecież, że Aspazja pochodzi z Miletu. Doszło do zatargu między tym miastem a wyspą Samos. Milet został pokonany, znalazł jednak sposób ratunku: zwrócił się do swej pięknej córki, która rządzi Peryklosem, przez niego zaś Ateńczykami i całym Związkiem!

Ataki, zwłaszcza komediopisarzy, stały się tak ostre, że doszło wreszcie do niesłychanego w Atenach wydarzenia. Władze zakazały wyszydzania na scenie osób żyjących. Ustawę zresztą wkrótce cofnięto; pozostał jedynie zakaz wyśmiewania urzędującego archonta oraz samego ludu, i tak często obchodzony.

W złośliwych wywodach wrogów Peryklesa było pozornie sporo prawdy. Miletowi okazywał on istotnie jawną przychylność. Jednakże jej rzeczywistym powodem była nie tyle Aspazja, co poważne względy polityczne.

³¹ Tenże, frg. 2.

Milet, tak samo zresztą jak Samos, należał do Związku. Przez pewien czas, przy cichej zgodzie Aten, rządy w tym mieście sprawowali oligarchowie. Okazali się jednak niełojalni, wewnątrz zaś kraju dopuścili się krwawej masakry swych przeciwników. Dlatego to już w roku 450 doszło w Milecie przy ateńskiej pomocy do przewrotu ustrojowego. Władzę objęli demokraci. Dwa najmożliwsze rody oligarchiczne zostały skazane i wygnane na zawsze. Dekret w tej sprawie postanawiał, że kto zabije kogokolwiek z ich przedstawicieli, otrzyma od władz sto staterów nagrody. Z nowym rządem Miletu Ateny zawarły układ oraz odebrały od wszystkich mieszkańców przysięgę wierności.

Tylko jeden dzień płynęło się z Miletu, leżącego u wybrzeży Azji nad ujściem rzeki Meander, na wyspę Samos.

Droga morska wiodła wzdłuż długiego i górzystego przylądka Mykale – tego samego, gdzie niegdyś Ksantypus, ojciec Peryklesa, zniszczył flotę perską. Samos stanowiła jakby przedłużenie tego przylądka. Ziemię wyspy nie były urodzajne, jej więc mieszkańcy od dawna już zasiedlali niedalekie wybrzeża lądu stałego, zwłaszcza zaś okolice miasta Priene. Leżało ono wprost za garbem półwyspu Mykale, nad dolnym biegiem rzeki Meander. Było więc bliskim sąsiadem Miletu, który, rzecz prosta, również rościł sobie prawa do tych urodzajnych terenów. Tak zrodziły się spory i walki pomiędzy Miletą a Samos, toczące się przez całe pokolenia. Ucihały tylko na krótko.

Na wieść, że między obu państwami znowu doszło do starć zbrojnych, Ateny jako hegemon Związku zażądały natychmiastowego przerwania walk. Zarazem jednak zgłosiły gotowość pośredniczenia. Samijczycy odmówili podporządkowania się tym zaleceniom. Podejrzewali, i nie bez racji, że ateński wyrok rozjemczy wypadnie stronniczo. Jeśli we wszystkich państwach wchodzących w skład Związku Ateńczycy popierali tylko demokratów, to czemuż w tym właśnie wypadku mieliby opowiedzieć się za Samos, krajem oligarchicznym?

Rokowania trwały długo. W Atenach wciąż się wahano, jakie zająć stanowisko wobec opornych mieszkańców wyspy. A tymczasem przybyli tu potajemnie przedstawiciele demokratów samijskich. Wyrzekali na swój rząd i na stosunki w ojczyźnie. Dawali do zrozumienia, że masy ludności z radością powitałyby zmianę ustroju. To przeważało szalę wątpliwości. Perykles powziął śmiałą decyzję.

Wczesną wiosną roku 440 wyruszył na Samos wiodąc kilkadziesiąt okrętów wojennych. Wyspę opanował bez walki. Usunął i wygnał oligarchów, ustanowił rządy demokratyczne. Dla wszelkiej jednak pewności pozostawił ateńskich urzędników i załogi wojskowe, a spośród najprzedniejszych rodzin samijskich zabrał jako zakładników pięćdziesięciu mężczyzn i tyluż chłopców. Rozkazał ich trzymać pod nadzorem na wyspie Lemnos, gdzie od kilku już lat siedzieli ateńscy kleruchowie.

Cała wyprawa trwała zaledwie kilkanaście dni. Perykles powrócił do Aten wielce zadowolony, bo nowy porządek na Samos zdawał się ugruntowany mocno. Ale właśnie ta łatwość, z jaką wszystko się dokonało, winna była trwożyć wodza ateńskiego ludu. Nigdy dotąd nie wtrącał się tak otwarcie i brutalnie w wewnętrzne sprawy żadnego z państw związkowych. Zazwyczaj wystarczał lekki nacisk lub wysłanie małych oddziałów wojskowych. A przecież Samos nie była jakimś drugorzędnym państwem, bez tradycji i bez znaczenia. Przeciwnie, szczyła się świetną przeszłością. Zaledwie przed wiekiem była największą potęgą na Morzu Egejskim. Jej mieszkańcy mogli śmiało mówić o sobie:

– Jesteśmy pełnoprawnymi członkami Związku i jego współtwórcami. Niech Perykles wprowadza, jakie chce porządki w małych miścinach. Im wszystko jedno. Nic nie znaczą, nie mają ani własnych wojsk, ani nawet wspomnień dawnej chwały. My potrafimy rządzić się sami!

Upokorzenie, jakiego doznano od Ateńczyków, sprawiło, że sympatie ludności znalazły się po stronie obalonego ustroju. Nie minęły nawet dwa miesiące od Peryklesowej wyprawy i wyspa znowu była w ręku oligarchów! Wystarczyło, że mała ich garstka wylądowała pewnej

nocy na wybrzeżu. Natychmiast wybuchło ogólne powstanie. Demokratów przepędzono, ateńską załogę i urzędników pojmano, potem zaś wydano ich Persom. W czasie bowiem swego wygnania oligarchowie weszli w kontakt z perskim satrapą rezydującym w Sardes. Przy jego też pomocy uwolniono zakładników więzionych na Lemnos.

Złe wieści nadchodziły odtąd do Aten bez przerwy:

Nowy rząd na Samnos zgłosił wystąpienie ze Związku. Za jego przykładem ośmieliło się pójść Bizantion u wejść do Morza Czarnego. Tak samo podejrzane były miasta Karii u wybrzeży Azji oraz kilka miast w Tracji. Groziło, że w ciągu kilku miesięcy, a może nawet i dni, rozpadnie się w gruzy największe dzieło Aten, wspaniały gmach, pracowicie budowany przez czterdzieści lat układami, przemocą, zdradą. Związek dawał państewkom wchodzącym w jego skład pewne oczywiste korzyści: pokój i bezpieczeństwo żeglugi oraz zyski z rozwoju handlu. Rzecz to jednak zdumiewająca, jak mało wazą względy gospodarcze, kiedy w grę wchodzi urażona ambicja jakiegoś ludu czy kraju, jego pragnienie pełnej niezależności! W państewkach Związku przeważała, jak się zdaje, taka opinia:

– Ateńczycy traktują nas jak poddanych. Każą płacić daniny, narzucają ustrój, pociągają przed swoje sądy, zakazują wybijania własnej monety. Cóż gorszego mogłoby nas spotkać od Persów? I kto jest groźniejszym tyranem: perski król, czy też ateński lud? A najlepszymi panami byłiby chyba Lacedemończycy. Ci wprowadzie obstają za oligarchami, ale od państw swego Związku żadnych pieniędzy nie ściągają.

Bardzo groźna wiadomość przyszła z Peloponezu. Zebrała się rada tamtejszego Związku. Rozważano pod przewodnictwem Sparty, czy nie wyzyskać obecnej sytuacji i nie uderzyć na Attykę. Było wiele głosów za wojną. Jednakże sprzeciwili się jakiegokolwiek akcji zbrojnej bardzo wpływowi przedstawiciele Koryntu. Twierdzili, że każdy ma prawo swobodnie postępować z członkami swego związku. To stanowisko Korynty jeżyków było pozornie zadziwiające, bo nikt przecież tak nie pragnął upadku ateńskiej hegemonii jak właśnie oni. Ale pomiędzy Samos a Koryntem istniała nienawiść jeszcze z dawnych czasów.

PIERŚCIEN POLIKRATESA

Było to przed laty mniej więcej stu pięćdziesięciu. Do portu Samos zawinęły korynckie okręty w drodze do Azji Mniejszej. Nie wiozły jednak żadnych towarów, i to bardzo zdziwiło Samijczyków. Na pokładach znajdowało się natomiast wielu młodych, dorodnych chłopców, trzymany pod czujną strażą. Mimo to udało się potajemnie porozumieć z nimi. Chłopcy mówili:

– Pochodzimy z wyspy Korkyry, położonej daleko stąd, na zachodzie, na Morzu Jońskim. Nasza ojczyzna jest wprawdzie kolonią Koryntu, zawsze jednak żyła ze swoją macierzą w niezgodzie. Ostatnio ściągnęła na siebie nienawiść tyrana Koryntu Periandra, bo właśnie na naszej wyspie zamordowano jego syna. Dla pomsty Periander zabrał siłą nas, synów najprzedniejszych rodzin. Wiozą nas teraz na królewski dwór w Sardes, gdzie służyć będziemy jako niewolnicy.

Litość ogarnęła Samijczyków. Poradzili nieszczęsnym:

– Nie możemy wyzwolić was po prostu siłą, bo to oznaczałoby wojnę z Koryntem. Lecz skoro tylko się ściemni, wymknijcie się chyłkiem z okrętów i pędźcie do świątyni bogini Artemidy. Według praw naszych nikogo, kto tam się znajdzie, nie wolno zabrać przemocą. Taka jest bowiem wola bogini. A my ze swej strony uczynimy wszystko, aby wasi strażnicy uszanowali zwyczaj i świętość miejsca!

Tak też się stało. Gdy tylko chłopcy znaleźli się w obrębie przybytku, byli całkowicie bezpieczni. Choć rozjuszeni Koryntyjczycy usiłowali ich stamtąd wyciągnąć, Samijczycy murem stanęli w obronie azyłu. Wołali:

– Nie możemy wam na to pozwolić, bo gniew bogini spadnie na ziemię naszą!

Wobec tego Koryntyjczycy usiłowali głodem zmusić chłopców do opuszczenia świątyni. Lecz i to się nie powiodło. Do przybytku zaczęły przybywać nocami taneczne korowody samijskich chłopców i dziewcząt, aby oddać cześć bogini i złożyć na jej ołtarzu w ofierze placki z sezamu i miodu. I temu Koryntyjczycy przeszkodzić nie śmieli. Wreszcie, zniecierpliwieni i znużeni bezskutecznym wyczekiwaniem, odpłynęli z wyspy. Cudem uratowanych chłopców Samijczycy na swój koszt odwieźli do ojczyzny.

Odtąd, jak powiadano, nienawiść między Koryntem i Samos nigdy już nie wygasła. Najbardziej podsycalo ją to, że oba państwa rywalizowały ze sobą w żegludze i w handlu. W pół wieku po sprawie chłopców z Kororky Koryntyjczycy wspólnie ze Spartanami najechali Samos. Wyspą tą władał wówczas tyran Polikrates. Najeźdźcy więc głosili, że pragną tylko uwolnić wyspę od despotycznych rządów oraz wprowadzić z powrotem tych obywateli, których wygnał Polikrates. Przybyli na wielu okrętach, oblegali miasto przez dni 40, niczego jednak nie dokazali. Musieli odstąpić.

Był to więc nowy triumf Polikratesa, któremu już od wielu lat wiodło się wszystko. Odkąd stał się panem Samos, nie doznał ani jednej porażki. Miał 150 okrętów wojennych i 1000 łuczników w stałym pogotowiu. Podbił wiele sąsiednich wysp oraz kilka miast na azjatyckim wybrzeżu. Bogactwa miał nieprzebrane, łupił bowiem jak pirat wrogów i przyjaciół. Nikt wówczas w całym świecie helleńskim nie mógł mu sprostać na morzu. Na wschodzie pojawiła się wprawdzie wielka groźba: młoda i prężna monarchia perska. Ale król królów rezydował daleko, z jego zaś satrapami w Azji Mniejszej Polikrates utrzymywał dobre stosunki. Serdeczne więzy łączyły go nawet z ówczesnym faraonem Egiptu, Amazysem.

Od niego to właśnie otrzymał Polikrates list tej treści:

„Miło mi słyszeć, że dobrze się wiedzie drogiemu przyjacielowi. Jednakże nieprzerwany łańcuch twych powodzeń rodzi we mnie obawę. Wiem bowiem, że bogowie są zawistni. Dlatego to wolę, jeśli i mnie samemu, i moim przyjaciołom, raz się szczęści, innym zaś razem nie w pełni darzy. Lepsza jest w życiu umiarkowana zmienność losu niż pasmo samych błogosławieństw. Kto bowiem we wszystkim ma powodzenie, ten musi zejść ze świata nędznie. Posłuchaj więc mojej dobrej rady! Zastanów się dobrze, co z twych rzeczy jest ci najdroższe, czego strata dotknęłaby cię najboleśniej. Ten właśnie przedmiot odrzuć od siebie precz – i to tak, aby nikt z ludzi już go nie posiadał. A jeśli potem wciąż by ci się wiodło, stosuj i w przyszłości ten sam sposób odwracania zawiści bogów!”

Polikrates po przeczytaniu listu uznał, że spośród wszystkich drogocennych przedmiotów i klejnotów jeden jest tylko, którego strata zasmuci go naprawdę: piękny sygnet ze szmaragdem. Wypłynął na pokładzie swego największego okrętu daleko na pełne morze. Tam zdjął pierścień z palca i rzucił w zieloną głębię.

W kilka dni później jakiś rybak schwytał rybę tak wielką, że postanowił złożyć ją w darze panu wyspy. Kucharz rozkroił ją i zaraz pobiegł z radością do Polikratesa. Trzymał w ręku ulubiony sygnet tyra.

Kiedy Amazyse, faraon Egiptu, dowiedział się z listu Polikratesa o tym wydarzeniu, natychmiast wysłał na Samos swego herolda. Ten stanął przed tyranem i rzekł:

– Pan mój zrozumiał teraz, że nie w ludzkiej jest mocy uchronić się przed wyrokiem losu. Jeśli bóstwo oddaje ci to nawet, co sam chciałeś odrzucić, to znaczy, że gotuje ci kres straszny. Dlatego też mój pan wypowiada ci przyjaźń. Nie chce bowiem zginąć wraz z tobą ani też boleć, kiedy spadnie na ciebie nieszczęście!

W kilka lat później perski satrapa zdradą pojmał Polikratesa. Po straszliwych torturach kazał przybić go do krzyża.

Na Samos jednak pamięć o świetności Polikratesa trwała niezmiennie. Pokolenie za pokoleniem podziwiała cuda techniki i wspaniałe budowle, dzieła tyra. Tunel długości ponad ośmiu stadiów, czyli przeszło kilometrowy, przebity przez górę, prowadził zdrową, źródlaną wodę do miasta. Prace nad tym tunelem trwać musiały, według obecnych obliczeń, lat przynajmniej piętnaście. Równie imponujące było kamienne molo, które broniło wejścia do portu i wybiegało w morze na kilkaset metrów. Za miastem zaś wznosiły się kolumny ogromnej świątyni, która przez długi czas uchodziła za największą w całej Helladzie. Panią tego sławnego przybytku była bogini Hera, bo właśnie Samos, jak mówiły mity, była jej rodzinną wyspą.

Samijczycy z wielką dumą pokazywali obcym owe budowle. Co prawda, niektórym ze zwiedzających mogły się nasunąć, wówczas i potem, ogólniejsze refleksje:

– Że też wszyscy tyrani muszą się wysilać na dzieła monumentalne! Chcą imponować i olśniewać. Pragną, aby współcześni padali przed nimi na kolana, porażeni ogromem potęgi, potomni zaś sławili minioną wielkość mówiąc: Jakżeż wspaniałe były czasy i rządy, które wydały takie cuda! Prawdy jednak nie przydusi żaden gmach niebotyczny. My wiemy, że te głazy nosili ludzie sterroryzowani, a ów tunel ryli upodleni półniewolnicy. Szczęśliwy to kraj, którego mieszkańcy nie mogą pokazać cudzoziemcom żadnych niezwykłości architektury! Żyją sobie spokojnie w skromnych domkach wśród pól i ogrodów, czerpiąc wodę choćby z odległego źródła. Nikomu się nie kłaniają i nad nikim nie panują. O wspólnych sprawach gwarzą swobodnie wieczorem przy winie. Ale tyran nigdy nie zrozumie ich gospodarskiej krzątania przy sprawach drobnych, a przecież najważniejszych, bo stanowiących o uroku życia. Jego przekonywa tylko to, co wielkie, przygniatające? I będzie groził despota: Ja ich nauczę pracować!

WOJNA I FILOZOFOWIE

Owego lata roku 440 wieści z Samos trzymały Ateny w ciągłym napięciu. Najpierw mówiono:

– Perykles czatuje ze swoją eskadrą i na pewno zaskoczy Samijczyków powracających spod Miletu. Bo i skądże mogą się oni spodziewać, że już rozpoczęliśmy wojnę? Oby tylko Sofokles szybko ściągnął posiłki z Chios i Lesbos!

I rzeczywiście. Po kilkunastu dniach nadszedł oficjalny meldunek Peryklesa o zwycięstwie:

– Choć liczebnie słabsi, rozpedziliśmy 70 okrętów samijskich. Płyniemy teraz wprost ku głównemu miastu Samos.

Rychło jednak okazało się, że triumf to przedwczesny, zwycięstwo – jeśli w ogóle można było o nim mówić – mocno przesadzone. Dowiedziano się bowiem:

– To prawda, że Samijczycy mieli 70 okrętów, ale z nich tylko 20 było wojennych, reszta zaś to zwykle statki handlowe. Dowodził tą flotą Melissos. I to jak dowodził! Choć Perykles okrętów wojennych miał więcej, zdołał przedrzeć się przez nasze linie i powrócić do swego miasta. Perykles nie osiągnął tego, co chciał: nie odciął Melissosa od jego bazy, nie rozstrzygnął wojny jedną bitwą. Nic więc dziwnego, że jest wściekły. Teraz mści się na bezbronnych. Ponoć każe wypalać jeńcom samijskim znamiona na czołach.

Później jednak nastroje w Atenach znowu uległy pewnej poprawie. Pocieszano się bowiem:

– Perykles zamknął miasto Samos od strony morza. Wreszcie przybył Sofokles! Przypro-wadził trochę okrętów. Mogłoby być ich więcej, ale nasi sprzymierzeńcy wołają, jak się wyda-

je, spokojnie odczekać, która strona okaże się w tej wojnie silniejsza. Prędzej czy później miasto będzie musiało się poddać – choćby z głodu.

Nagle gruchnęła pogłoska:

– Od południa płynie ku Samos wielka flota fenicka pod perskim dowództwem! Pięć okrętów samijskich przerwało naszą blokadę. Te na pewno połączą się z Fenicjanami i poprowadzą ich na odsiecz swemu miastu. Perykles będzie musiał się wycofać, aby nie zmiażdżyły go owe tarany.

Przed prawie dziesięciu laty Ateny zawarły z Persami pokój. Gwarantował on, że flota perska nie wpłynie na Morze Egejskie. Czyżby król królów zrywał ów traktat? W danej sytuacji równać by się to mogło katastrofie. Przecież Persowie mogliby nie tylko udzielić pomocy Samos, ale jeszcze porozumieć się ze Spartą!

A tymczasem z frontu na Samos przyszła wiadomość wręcz druzgocąca:

– Melissos rozgromił naszą eskadrę blokującą wejście do portu. Samijczycy są znowu panami morza. Sprowadzają do miasta, co tylko im się podoba. Teraz oni biorą pomstę za Peryklesowe okrucieństwo. Wypalają pojmanym Ateńczykom sowy na czołach!

Zapytywano ze zdumieniem, jak mogło dojść do tego wszystkiego. Wyjaśnienie przyszło wkrótce, ale nie przyniosło chwały wodzowskiemu imieniu Peryklesa:

– Postąpił lekkomyślnie. Wziął spod Samos aż 60 okrętów i popłynął na południe, aby rozprawić się z Fenicjanami możliwie daleko od wyspy. Jak można było tak osłabiać siły strzegące portu! Przecież zostało tam zaledwie kilkanaście okrętów! Melissos nie ślepy. Spostrzegł to od razu. Rzucił się na naszych jak sęp. Zniszczył lub przegnał nasze trójrzędowce, wziął do niewoli setki ludzi. Trzeba przyznać – wódz to świetny! Zdumiewające: jest filozofem, a jednocześnie wykazuje tyle energii i umiejętności strategicznych!

Wielu, z samej ciekawości, co też za poglądy filozoficzne żywi dowódca tak znakomity, dowiadywało się teraz o jego książkę. Nosiła ona tytuł *O istocie rzeczy*. Traktowała o Bycie. Początek jej głosił:

„Co istnieje, istniało zawsze i zawsze istnieć będzie. Gdyby bowiem było kiedyś zrodzone, to oczywiście przed tym jego zrodzeniem się nic by nie istniało. A jeśli by nic nie istniało, to przecież w żaden sposób coś nie mogłoby powstać z niczego.

Ponieważ więc nie zrodziło się, istnieje, zawsze istniało, i zawsze istnieć będzie. I nie ma ani początku, ani kresu, lecz jest nieskończone. I tak samo jak istnieje na zawsze, tak również i co do wielkości musi zawsze być nieskończone. Nic bowiem, co ma początek i koniec, nie może być wieczne i nieograniczone. Jeśli zaś jest nieograniczone, musi być jednością. Gdyby bowiem dwa były Byty, nie mogłyby być nieograniczone, lecz wzajem kres by sobie kładły.”³²

Ale chyba tylko niewielu wykazywało tak duże zainteresowanie dla poglądów Mellissosa jak dwóch żołnierzy na pokładzie jednego z ateńskich okrętów wojennych u wybrzeży Samos. Nie będzie może zbyt śmiałością, jeśli założymy, że jeden z tych żołnierzy sam przedstawia powody owego zainteresowania:

W rzeczy samej Melissos zwalcza i twoje, Archelaosie, poglądy, choć z nazwiska nikogo nie wymienia. Wypadło więc trochę śmiesznie. Bo tu, w naszej flocie, na pewno niejeden tak sobie podrwiwa:

– Oho, Archelaos właśnie po to tu przyjechał na Samos, żeby rozprawić się z filozofem, który inaczej myśli o istocie rzeczy. On sam wierzy w wielość, tamten zaś w jedność Bytu. Zabrakło im argumentów słownych, więc za miecze się wzięli. Otóż i mamy wojnę myślicieli!

³² H. Diels, *Die Fragmente der Vorsokratiker*, Berlin 1922: *Melis-sos*, frag. I i 2.

I jak tu odpowiadać na takie żarciki? Bo przecież, by rzec prawdę, nie musiałeś brać udziału w tej wyprawie. Po pierwsze, nie jesteś obywatelem ateńskim, choć tyle już lat mieszkasz w naszym mieście. Po drugie, twój wiek i tak zwolniłby cię od obowiązku służby wojskowej za granicami kraju. Ja co innego: mam dokładnie lat 30, należę do tych roczników, które zawsze wysyła się na wojaczkę.

Oczywiście, nie musisz mnie przekonywać, ja wiem doskonale! Przyjechałeś tu tylko dla mnie. Jesteś moim mistrzem i przyjacielem, nie chciałeś się ze mną rozstawać w niebezpiecznym czasie. Powiedz jednak szczerze: czy ktoś uwierzy, że jesteś właśnie do mnie aż tak przywiązany? Żeby nie skłamać, ja sam się temu dziwię. Bo i cóż we mnie godnego uwagi? Urodziwy nie jestem. Zwłaszcza ten mój nos, gruby i wklęsły! A może cenisz mnie ze względu na ród wysoki? Temu prędzej bym dał wiary, bo istotnie pochodzę z domu znakomitego. Ojciec był kamieniarzem, matka zaś położną. Ale na pewno nie o to ci chodzi, lecz o mój majątek ogromny i wielką sławę. No cóż, usiłuję wykonywać zawód, do którego przyuczył mnie ojciec. Muszę jednak przyznać otwarcie, że wielkich osiągnięć nie mam. Na skromne moje potrzeby zarabiam głównie dzięki łaskawości przyjaciół. Tych mi rzeczywiście nie brak, bo cały dzień obracam się wśród ludzi. Rankiem zabawiam się w gimnazjonach, patrząc z lubością na harce i ćwiczenia młodzieży. W południe spotkasz mnie na agorze, bo wtedy tam najtłumniej. A resztę dnia spędzam zawsze tam, gdzie można porozmawiać z kimś interesującym.

Kogóż więc przekonasz, że cenisz mnie dla jakichś ukrytych zalet mego umysłu i charakteru? Ja sam wielce wątpię, bym czymkolwiek wybijał się ponad mizerną przeciętność. Chyba tym tylko, że rozmawiać umiem jak mało kto!

Nie ma więc rady: nikt nie uwierzy, żeś przyjechał tu dla mnie, skromnego wojaka Sokratesa. I wciąż będą śmiechy, w obozie i we flocie, że to wojna filozofów, że siłą chcesz nawracać Melissosa, bo słowami nie potrafisz.

Wróćmy więc do Melissosa.

Jego myśli nie są dla mnie czymś nowym. Znam już takie poglądy i taki sposób dowodzenia. Przecież prawie to samo, piękniej jednak i podniosłej, mówi w swoim poemacie Parmenides. Na przykład przypominam sobie te słowa:

„Ponieważ Byt nie został zrodzony, więc jest i niezniszczalny. Jest całkowity, jednorodny, nienaruszalny i bezkresny. Jakiegoż to początku będziesz dlań szukał? I skądże to, jakim sposobem, miałyby dziać się jego wzrastanie? Nie mógł przecież Byt zrodzić się z Bytu, bo w takim razie byłby Byt inny prócz niego. Nie możesz też twierdzić, że Byt powstał z Niebytu!”³³

Parmenidesa zresztą poznałem przed kilku laty osobiście. Jak pamiętasz, przyjechał on do naszego miasta na obchód święta Panatenajów. Przyjechał z daleka, wprost ze swojej ojczyzny, z miasta Elea w południowej Italii. Był to już wówczas człowiek dobrze starszy. Lat liczył chyba 65, może i więcej. Włos miał siwy, postać piękną i ujmującą. Wydawał mi się jakby jednym z bohaterów Homera – godnym czci, lecz i trwogę wzbudzającym. Razem z nim przyjechał też jego uczeń Zenon. Ten był mężczyzną wówczas czterdziestoletnim, wzrostu wysokiego, bardzo przystojnym. Obaj, choć żyli w stronach tak odległych, byli nam dobrze znani ze słyszenia. Zamieszkali u swego przyjaciela Pytodora, za murami miasta, na przedmieściu Keramejkos. Od razu rozeszła się pogłoska, że Zenon przywiózł swój traktat, niezmiernie ciekawy. Toteż wybraliśmy się do domu Pytodora w licznym gronie, aby prosić Zenona o odczytanie tego pisma. Przystał na to chętnie. Parmenidesa, pamiętam dobrze, nie było wtedy w domu. Wyszedł, żeby załatwić coś na mieście. Zenon właśnie kończył czytanie, kiedy Parmenides wrócił, wiodąc dwóch jeszcze przyjaciół. Zależało mi bardzo na rozmowie

³³ Tamże, *Parmenides*, frg. 8.

z tym wspaniałym człowiekiem. Dlatego poprosiłem Zenona, aby ponownie odczytał założenie swego pierwszego wywodu. Rozmawialiśmy o nim przez chwilę. Zenon przyznał z całą szczerością:

– Celem mojej książki jest obrona poglądów Parmenidesa przeciw ich wyśmiewcom. Przeciw tym, którzy mówią: założenie, że Byt jest jeden, prowadzi do wniosków wręcz śmiesznych i sprzecznych właśnie z poglądami Parmenidesa. Otóż mój traktat gromi wyznawców wielości Bytów. Oddaje im cios za cios, i jeszcze z nawiązką! Dowodzę, że przyjęcie wielości Bytów prowadzi do wniosków jeszcze absurdalniejszych niż te, które wynikają z naszego stanowiska. Właśnie z zamiłowania do walki ośmieliłem się tę rzecz napisać – ja, człowiek tak młody!

Dzięki tym słowom Zenona mogłem wdać się w rozmowę z Parmenidesem. Otóż wydaje mi się, że ten Melissos postępuje właśnie tak jak Zenon, choć się do tego nie przyznaje: nowymi argumentami broni tezy Parmenidesa. Może zresztą są pewne różnice, ale nie tak istotne. Natomiast jest całkowicie oczywiste, że przeciwnikiem Parmenidesa jesteś właśnie ty, przede wszystkim zaś twój nauczyciel Anaksagoras. Odczytywałeś mi kiedyś jego książkę. Początek jest wspaniały, nie zapomnę tych słów nigdy:

„Wszystkie rzeczy były razem, a liczba ich i małość nie miały granic. Bo nie ma czegoś najmniejszego, zawsze istnieje coś jeszcze mniejsze. Lecz jest też zawsze coś jeszcze większego. Każda rzecz rozpatrywana sama w sobie jest zarówno wielka, jak i mała.”³⁴

Mnie jednak najbardziej zachwyciło zrazu, że Anaksagoras nad ową nieograniczoną ilością i wielością Bytów–rzeczy stawia Rozum. Jest on jedyny, nieskończony, samowładny, istnieje dla siebie, z niczym się nie łączy i nie miesza. Pomyślałem sobie:

– Właśnie założenie, że Rozum włada wszystkim, wyjaśni mi ostatecznie, dlaczego świat jest taki, jaki jest! Bo jeśli Rozum to ustanowił, to wszystko urządzone jest rozumnie i musi być dostępne rozumnemu poznaniu.

Tak więc chłonałem tę książkę, głęboko przekonany, że odpowie mi ona na wszystkie pytania – poczynając od tego, czy ziemia jest płaska, czy też kulista. A takie oraz tym podobne zagadnienia i wątpliwości trapiły mnie wówczas bardzo.

Zawiodłem się, wiesz o tym najlepiej. Okazało się bowiem, że ten Rozum według Anaksagorasa tylko istnieje, naprawdę jednak nie jest potrzebny do niczego. Wszystko bowiem wyjaśnia ów filozof działaniem różnych czynników. Nie otrzymałem więc żadnej odpowiedzi, i to zniechęciło mnie zupełnie. Mam już dość tego ciągłego patrzenia w Byt – czy też Byty, tego zastanawiania się, z jakich to przyczyn rzeczy powstają i giną. To zupełnie tak jak by wpatrywać się w słońce – można stracić wzrok, czyli, w tym wypadku, zgłupieć do reszty. Ja już wolę zwykłe słowa i te moje codzienne rozmowy ze zwykłymi ludźmi. Zaczynamy o czymś rozprawiać i wzajem się poprawiając, krok za krokiem, od spraw i wyrazów prostych, najzwyklejszych, wnosimy się coraz wyżej. Baczmy więc pilnie, co właściwie znaczą słowa, których używamy. Nie, nie mogę powiedzieć, bym doszedł tą drogą do czegoś nadzwyczajnego. Ale wydaje mi się ona jasna i pewna, w sam raz dostępna mojemu umysłowi.

Wam więc zostawiam wielki spór o istotę Bytu – tobie i Melissosowi. Spór, mówię, bo przecież tak naprawdę, jak by tego chcieli nasi dzielni wojacy, bić się nie będziecie. A jeśli rzeczywiście doszłoby między wami do walki, to z całkiem innego powodu. Oto ty pochodzisz z Miletu, z tego miasta, które wciąż się wadzi z Samos. Popatrz, jakie to zabawne: Peiryklesowa Aspazja też jest z Miletu! Czyli, z której byś strony nie wziął, od filozofów czy też pięknych kobiet, zawsze wyjdzie na jedno: goście z Miletu pchają nas, pokój miłujących Ateńczyków, do wojny z pokój miłującymi mieszkańcami Samos!

³⁴ Tamże, *Anaksagoras*, frg. 1.

WOJNA I FINANSE

Na każdym okręcie znajduje się załoga złożona z żołnierzy i wioślarzy, łącznie około dwustu ludzi. Każdy z nich otrzymuje przeciętnie drachmę dziennie jako żołąd i strawne. A więc dzienny koszt utrzymania załogi trójrzędowca wynosi 200 drachm, czyli dwie miny srebra! W ciągu miesiąca czyni to min 60 – równo jeden talent.

Flota pod Samos liczy obecnie, po kilkakrotnym wzmocnieniu jej różnymi eskadrami, prawie 200 okrętów. Z nich 55 to triery z Lesbos i Chios, opłacane przez tamte państwa; ale odliczą sobie one te wydatki od sumy rocznej daniny. Natomiast prawie 150 okrętów obciąża tylko i wyłącznie skarb samych Aten. Oznacza to, że miesiąc w miesiąc trzeba łożyć na same tylko załogi niemal 150 talentów! A gdzie inne wydatki? Koszty wojny są ogromne. Nie ma mowy, aby udało się pokryć je ze zwykłych dochodów – z ceł, z dzierżaw kopalni, z opłat sądowych, z podatków od metojskich i heter. Wszystko bowiem, co te źródła dają, idzie w całości na bieżące wydatki administracji, na utrzymanie budynków, murów, wodociągów. Wojna się przedłuża, końca jej nie widać, skąd brać pieniądze?

Takie były troski ateńskiej rady i urzędników późnym latem roku 440. Rosły owe finansowe kłopoty z każdym dniem, bo początkowo sprawy kosztów wojny nie brano prawie w ogóle pod uwagę. Sądono zrazu, że wszystko pójdzie tak samo łatwo jak poprzednio. Perykles zajął wtedy wyspę w ciągu kilku dni; obecnie zgromadzono pod Samos prawie wszystkie okręty wojenne, ale zwycięstwo było dalekie.

Tylko z jednego można było się cieszyć: nie groziło żadne niebezpieczeństwo ze strony owej floty, która rzekomo płynęła ku Samos z odsieczą. Persowie nie zerwali układu i nie pozęglowali na Morze Egejskie. Owszem, kilka miast Karii korzystając ze sposobności wystąpiło ze Związku, ale tę stratę można było przeboleć. Perykles, skoro tylko zmiarkował, że strona perska nie ośmieli się działać zaczepnie, natychmiast zawrócił pod Samos i znowu zablokował port miasta. Zbudował też umocnienia od strony lądu. Unikał jednak starć i bitew; chciał głodem zmusić Samijczyków do poddania się. Właśnie dlatego ateńscy skarbnicy biadali:

– Jakież koszt takiej strategii! Trzeba będzie trzymać pod Samos owych dwieście okrętów przez kilka, a może kilkanaście miesięcy. Skąd wziąć na to pieniądze?

Znaleziono jeden tylko sposób: zaciągnięto pożyczkę w skarbcu Związku, który złożony był na Akropolu pod opieką bogini Ateny. Pożyczka okazała się konieczna, bo oblężenie trwało aż 9 miesięcy. Poszła ona głównie na żołąd dla żołnierzy i wioślarzy; ci z kolei większą część owych pieniędzy przekazali ateńskim dziewczętom lekkich obyczajów, które wiernie umilały im trudy kampanii; one znowu, wdzięczne za tak piękny zarobek, ufundowały swej opiekunce, bogini Afrodycie, świątynię na Samos; tak przynajmniej utrzymywała miejscowa tradycja.

Nie zdała się na nic odwaga obrońców i energia ich wodza Melissosa. Widział on jasno, że miasto pozbawione dostaw żywności musi upaść i że tylko bitwa mogłaby przynieść ocalenie. Dlatego to podjął straceńczą próbę wyrwania się z portu – daremnie. Wkrótce potem, wiosną r. 439, wyczerpane miasto kapitulowało. Warunki pokoju były surowe. Nakazano Samijczykom:

Zburzyć mury obronne; wydać zakładników i wszystkie okręty wojenne; zapłacić w ratach koszty wojny (prawie półtora tysiąca talentów!); odstąpić bóstwom ateńskim pewne posiadłości na wyspie. Fragmenty traktatu pokojowego, wyryte na marmurowej tablicy wystawionej na Akropolu, przetrwały do naszych czasów. Samos, oczywiście, znowu otrzymało ustrój demokratyczny.

Opowiadano później, że Perykles postąpił bardzo okrutnie z pojmanymi żołnierzami samijskiej floty. Wszystkich ich przewieziono do Miletu i wprowadzono na tamtejszą agorę. Przywiązani do słupów stali nieszczęśni przez 10 dni i nocy, potem zaś dobito konających drągami. Zwłok nie pogrzebano, lecz rzucono je psom i ptakom na pastwę.

Być może, że to wrogowie Ateńczyków i Peryklesa ubarwili opis egzekucji. Pewne natomiast było, że Perykles chętnie się publicznie:

– Król Agamemnon potrzebował dziesięciu lat, aby zdobyć Troję. A ja zagarnąłem najbogatsze miasto Jonii w ciągu dziewięciu miesięcy!

Pogrzeb Ateńczyków poległych w tej wojnie odbył się na koszt państwa. Na cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylonką przemawiał sam Perykles. Zapamiętano i przekazano potomności kilka pięknych frazesów z tej mowy:

– Odejdźcie tych młodych ludzi równa się stracie, jaką byłoby odjęcie wiosny porom roku. Ci jednak, co padli w boju, stali się nieśmiertelni i bogom podobni. My bowiem, ludzie, bogów nie widzimy. Wnioskujemy jednak, że istnieją, patrząc i na cześć, jaką się im okazuje, i na łaski, które nam dają. A to właśnie – cześć dla siebie i łaski dla nas – znamionuje tych, którzy swoje życie ofiarowali ojczyźnie.

Gdy Perykles schodził z mównicy, otoczyły go kobiety, obdarowując kwieciami i wstęgami jak olimpijskiego zwycięzcę. Przez tłum niewiast z trudem przecisnęła się staruszka Elpinike. Pamiętnikarze zapewniali, że powiedziała wtedy:

– Wspaniałe, godne podziwu twoje czyny! Wyprawiłeś na śmierć tylu dzielnych ludzi! I po co? Żeby ujarzmić bratnie, sprzymierzone z nami miasto. Mój brat także walczył i tak samo wiódł żołnierzy na śmierć. Ale on zwyciężał wrogów Hellady: Persów i Fenicjan!

SAMOTNIA EURYPIDESA

Grota, której chłodnym cieniem Eurypides często się rozkoszował, patrzyła wprost ku srebrystemu morzu. Był tu wielki spokój. Tylko fale miarowo były o przybrzeżne głązy i ptaki gniezdzące się wśród skał kwiliły przenikliwie. Poeta przynosił ze sobą zwoje papirusów. Książki bowiem miłował bardzo i choć niezbyt bogaty, skupował je, gdzie tylko mógł. W grocie czytał i tworzył. Szukając właściwego słowa i rytmu długo wpatrywał się w blask przestworu lub odprowadzał wzrokiem łodzie i okręty cicho sunące po migotliwej tafli ku Pireusowi.

Eurypides patrzył na morze ze wzgórz Salaminy. Tutaj się urodził, tutaj też gospodarował na ziemi odziedziczonej po ojcu. Majątek nie był wielki i szydzono później, że matka poety sama sprzedawała warzywa na targu.

Rozpadlina wśród skał wabiła Eurypidesa nie tylko wspaniałością widoku, lecz i wielką ciszą samotni wyniesionej ponad hałaśliwą krzątanicę tłumy. To umiłowanie spokoju sprawiło, że pomawiano Eurypidesa o niechęć do ludzi w ogóle. Niestusznie. Nie ludźmi gardził poeta, lecz pospółstwem. Mierziła go krzykliwość, płaskie upodobania, naiwny spryt i śmieszna pewność siebie. Podzielał w pełni poglądy Heraklita, filozofa sprzed wieku. Ponoć nawet umyślnie wyprawił się do jego ojczyzny, do Efezu, w Azji Mniejszej, aby wyuczyć się na pamięć tekstu Heraklitowego dzieła, które złożone było w skarbcu tamtejszej świątyni Artemidy. Gdziekolwiek zresztą Eurypides czytał te księgi, znalazł w nich myśli, które całym sercem uznawał za swoje:

„Zwykli ludzie tak samo nie wiedzą, co czynią na jawie, jak zapominają o tym, co śnili.

Nie potrafią ani słuchać, ani mówić. Gdzież u nich rozum, gdzie rozsądek? Wierzą ulicznym piosenkarzom, uczą się u hołoty. Niezdolni są pojąć, że głupców jest mnóstwo, mądrych bardzo niewiele!”³⁵

Natomiast wobec ludzi cichych i zadumanych nad tajemnicą świata Eurypides otwierał serce radośnie. Rozmowy w gronie wybranych upajały poezją i pokorną mądrością. Toteż twórca mówił:

– Szczęśliwy, kto zgłębia tajniki poznania! Nie znęca go sprawy polityki, zgubne dla wszystkich, nie skrzywdzi nikogo. Wpatrzony w wiecznie młody ład nieśmiertelnej natury, badał będzie jego drogi i cele.

Nawet przy winie nie umiał Eurypides śmiać się beztrosko. Jakżeż różnił się tym od Sofoklesa, który, choć starszy o lat 15, był ośrodkiem każdego przyjęcia, weselił się, błyszczał, olśniewał wszystkich. W tej dziedzinie Eurypides chętnie ustępował miejsca ulubieńcowi bogów i ludzi. Bolał natomiast, że w opinii publiczności nie dorównuje mu jako poeta. Sofokles uzyskał pierwszą nagrodę mając lat zaledwie 28, on zaś dopiero po czterdziestce! Nie ustawał jednak w pracy. Właśnie kiedy Sofokles dowodził jako jeden ze strategów na Samos, Eurypides tworzył w swej skalnej samotni nowe dramaty. Chciał je przedstawić w czasie Dionizjów roku 438, musiał więc dać do oceny archontowi, który obejmował urząd w lipcu roku 439. Tym razem poeta postanowił wprowadzić pewną odmianę do zwykłego układu sztuk. Po trylogii tragedii dał w miejsce dramatu satyrowego sceniczną opowieść, której zakończenie było wprawdzie pomyslane, treść jednak poważna i dotykająca spraw wielkich. Wybrał mit o Aikestis. Jej mąż, Admet, miał umrzeć. Bogowie jednak zgodzili się darować mu życie, jeśli ktoś w zamian ofiaruje swoje. Ale nawet rodzicom Admeta, stojącym już nad grobem, nie spieszo było do śmierci; drżeli o każdy dzień swej starczej wegetacji. Jedną tylko osobą zgodziła się odejść ze świata dobrowolnie: była nią młoda żona Admeta, Aikestis. W ostatniej chwili wydarł ją ze szponów Tanatosa, boga śmierci, Herakles, który przybył do domu Admeta w gościnę.

Taki to dramat, o miłości ofiarnej i silniejszej od śmierci, opracowywał Eurypides w dniach krwawej wojny samijskiej.

³⁵ Tamże, *Herakleitos*, frg. I i nast.

Rozdział dziewiąty

WSZYSCY BRONIĄ POKOJU

DWA POSELSTWA

Posłowie Koryntu i Korkyry przybyli do Aten jednocześnie w lipcu roku 433. Wprowadzono ich przed radę, a potem przed zgromadzenie ludowe. Pierwsi przedstawili swoją sprawę Korkyrejczycy:

– Jak dotąd nigdy nie wiązaliśmy się przymierzem z nikim. Dlatego też prowadząc obecnie wojnę z Koryntem zdani jesteśmy tylko na własne siły. Zapyta ktoś: czemu nie chcieliście mieć sojuszników? Otóż obawialiśmy się, że przymierza mogą nas wciągnąć w wir spraw dalekich i zmusić do walki z ludźmi, którzy skądinąd winni by być naszymi przyjaciółmi. Sądziliśmy, że ta przezorność będzie zbawienna. Okazało się jednak, że postępowaliśmy krótkowzrocznie. Prawda, zdołaliśmy odeprzeć flotę koryncką. Wiemy jednak, że przygotowuje się nowa przeciw nam wyprawa: Korynt zabiega o pomoc różnych państw Hellady. Takiej potędze sami nie sprostamy. Dlatego to zwracamy się do was z prośbą o zawarcie przymierza. Mamy nadzieję, że przyjęcie tej prośby będzie dla was korzystne, a już na pewno nie stanie się powodem jakiejś szkody. Po pierwsze: udzielicie pomocy nie stronie krzywdzącej, lecz ofierze agresji. Po drugie: zaskarbicie sobie naszą wdzięczność na wieki. Po trzecie wreszcie: wasza flota zajmuje pierwsze miejsce wśród Hellenów, ale po niej właśnie nasza jest najsilniejsza. Mamy 120 wojennych okrętów! Tak więc, w razie zawarcia układu, nie tylko my będziemy stroną otrzymującą. I wy bowiem zyskacie – sławę obrońców sprawiedliwości oraz wzmoczenie swej potęgi morskiej.

Być może jednak niektórzy z was sądzą, że nigdy nie będzie takiej wojny, w której moglibyśmy przydać się naprawdę. Mylny to pogląd! Lacedemończycy żyją w ciągłym lęku przed wami i na pewno dążą do wywołania zawieruchy. A ze wszystkich sił prą do tego Koryntyjczycy, wasi najzaciętsi wrogowie. Ich zamiary nie tak trudno odgadnąć: chcą najpierw nas pokonać, potem zaś uderzyć na wasze państwo i Związek. Z obawy, że moglibyśmy połączyć nasze siły, pragną albo podporządkować sobie naszą wyspę, albo też zniszczyć ją całkowicie.

Koryntyjczycy mogliby jednak twierdzić, że nie macie prawa przyjmować nas do waszego Związku, jesteśmy bowiem ich, Koryntu, kolonią. Otóż należy przypomnieć, że tylko dobrze traktowana kolonia szanuje swoją metropolię. Koloniści to nie poddani! Kiedy zaognił się spór pomiędzy nami a Koryntem o Epidamnos, chcieliśmy załatwić rzecz polubownie – oni jednak woleli wojnę.

Wasz traktat z Lacedemonem mówi wyraźnie: te państwa, które nie należą do żadnego ze Związków, mogą przyłączyć się do jednego z nich. Otóż właśnie my nie należymy do żadnego! Nic więc nie stoi na przeszkodzie przyjęciu nas w poczet członków Związku Morskiego. A weźcie i to pod uwagę: nasza wyspa leży na Morzu Jońskim, może więc służyć waszej flo-

cie, gdyby płynęła ona na Zachód, ale może też stać się bazą dla okrętów z Zachodu, gdyby tamte państwa chciały udzielić pomocy Sparcie i Koryntowi. Co wolicie?

Przypominamy raz jeszcze: w całej Helladzie są tylko trzy potęgi morskie – Ateny, Korynt, Korkyra. Jeśli Korynt wchłonie nasze zasoby i siły, będziecie musieli stawić czoło wielkiej przewadze nieprzyjaciół na morzu!

Posłowie Koryntu odpowiedzieli mową tej treści:

– Mieszkańcy Korkyry głoszą, że doznają krzywd od nas, ich metropolii. My zaś stwierdzamy: założyliśmy kolonię Korkyrę nie po to, aby doznawać zniewag od jej mieszkańców! Wiadomo, że inne kolonie odnoszą się do nas z szacunkiem. Jesteśmy w ogóle chyba najbardziej poważaną metropolią!

Korkyrejczycy są bogaci. To właśnie sprawia, że zachowują się tak butnie i niesprawiedliwie. Wspomnieli o sprawie Epidamnos. I to miasto myśmy założyli, u wejścia do Morza Adriatyckiego. Otóż sąsiednie ludy barbarzyńskie zaczęły mocno napierać na Epidamnos. Korkyrejczycy nie przyszli mu z pomocą, choć przecież powinni to byli uczynić, i to z wielu względów. Gdy jednak my udzieliliśmy pomocy temu miastu, oni wnet zdobyli je siłą! Utrzymują obecnie, że chcieli załatwić spór z nami o Epidamnos polubownie. Kiedyż to jednak wystąpili z tą piękną propozycją? Nie wtedy, gdy uderzyli na Epidamnos, lecz kiedy zmiarkowali, że my nie pozostaniemy obojętni wobec napaści na miasto, które znajduje się pod naszą opieką.

Przychodzą obecnie do was Korkyrejczycy i proszą o zawarcie z nimi przymierza. Pragną więc, abyście w naszym rozumieniu i odczuciu stali się tak samo winni, jak oni, choć przecież nie mieliście dotąd żadnego udziału w ich niesprawiedliwych poczynaniach.

Twierdzimy też, że przyjmując ich do swego Związku postąpilibyście wbrew duchowi układu pokojowego ze Spartą. Wprawdzie bowiem zezwala on tym, którzy nie należą do żadnego związku, wybierać swobodnie, ale przecież nie może tu chodzić o takie państwa, których przyjęcie od razu pociąga za sobą konieczność prowadzenia wojny ze związkiem przeciwnym. Obecnie, zgodnie z układem pokojowym, jesteście poniekąd naszymi sprzymierzeńcami. Jeśli jednak przyjmiecie Korkyrę, staniecie się natychmiast wrogami. Walcząc bowiem z tą wyspą będziemy musieli walczyć i z wami! W istocie zaś rzeczy byłoby waszą powinnością wspólnie z nami wystąpić przeciw Korkyrze. Straszą was Korkyrejczycy widmem przyszłej wojny. Bardzo to niepewne, czy do niej dojdzie w ogóle. Jakież to więc sens, z obawy przed niepewną wojną czynić sobie pewnych wrogów z Koryntyjczyków?

Kiedy przed ośmiu laty Samijczycy odłączyli się od waszego Związku, powstał w naszym Związku Peloponeskim spór, czy należy przyjść im z pomocą. Zdania, jak wiecie, byty bardzo podzielone. My jednak otwarcie głosiliśmy, że nie wolno popierać Samos, macie bowiem prawo karania swych sprzymierzeńców. Nasz pogląd wówczas zwyciężył i właśnie dzięki temu mogliście uporać się z krnąbrną wyspą. Owszem, mogłaby istnieć między nami pewna nieufność z powodu Megary, której przed piętnastu laty rzeczywiście udzieliliśmy pomocy. Sprawa to jednak już odleglejsza. Świeższa przysługa powinna zatrzeć pamięć dawnych nieporozumień.

Powtarzamy: w sprawie Samos zachowaliśmy się wobec was nie tylko poprawnie, lecz nawet przyjaźnie. Mamy więc prawo spodziewać się, że obecnie postąpicie podobnie i uznacie nasze prawo do własnej kolonii!

Przez całe dwa dni radziło zgromadzenie ludowe nad sprawą Korkyry. W pierwszym dniu przeważał pogląd, że racja jest po stronie Koryntyjczyków, choć samo przypomnienie biegu wydarzeń wskazywało, jak trudno znaleźć, kto ponosi winę.

Miasto Epidamnos (dzisiejsze Durres w Albanii) założyli Korkyrejczycy przy współudziale Koryntu. Wokół mieszkali barbarzyńscy Ilirowie, wrodzy osadnikom. Mimo to Epidamnos szybko bogacił się i wzrastał. Uporałby się na pewno z półdzikimi sąsiadami, gdyby w mieście nie doszło do walk wewnętrznych pomiędzy oligarchami a ludem o udział we wła-

dzy. Oligarchów wypędzono. Ale nie poszli oni daleko. Przyłączyli się do okolicznych Ilirów i wspólnie z nimi szarpali ludność miast zbójceckimi napadami. Zrozpaczeni mieszkańcy zwrócili się o pomoc do Korcyry. Na próżno. Rządzili bowiem na tej wyspie oligarchowie, z natury rzeczy sprzyjający oligarchom wypędzonym z Epidamnos. Dlatego to posłowie, choć błagali o litość w głównej świątyni Korcyry, u ołtarza bogini Hery, odjechali z niczym.

Wówczas to dopiero, za radą ponoć wyroczni Apollona w Delfach, Epidamnos oddał się pod opiekę Koryntu. Ten od razu pochwycił sposobność umocnienia swych wpływów nad Zatoką Jońską. Można i bogata Korcyra stanowiła poważną przeszkodę dla korynckiego handlu z Zachodem, toteż wrogość między obu państwami, mimo ich związków historycznych, narastała od pokoleń. Jakżeż więc – mówiono w Koryncie – nie wyzyskać okazji usadowienia się pod bokiem zuchwałych Korcyrejczyków? Wkrótce też przybyli do Epidamnos nowi osadnicy z Koryntu i innych miast zaprzyjaźnionych oraz załoga wojskowa. Ale prawie równocześnie zjawily się pod miastem okręty Korcyry; wzywano z nich do odprawienia przybyszów i do przyjęcia wygnanych oligarchów. Kiedy to nie poskutkowało, przysłano z Korcyry drugą eskadrę; na pokładzie jej okrętów znajdowali się też wygnańcy z Epidamnos. Flota przystąpiła do oblegania miasta, co właśnie od strony morza łatwo było prowadzić, Epidamnos bowiem leżał na przesmyku.

Na wieść o tych wydarzeniach Koryntyjczycy przystąpili do organizowania odsieczy. Sami dali 30 okrętów, 3000 hoplitów, wielu nowych osadników, sporo zaś państw postronnych również udzieliło wyprawie pomocy w okrętach i w pieniądzu. Te przygotowania przeraziły Korcyrejczyków. Górę wzięli zwolennicy pokojowego załatwienia sporu. Wysłano do Koryntu posłów, którzy zjawili się tam wspólnie z delegatami Sykionu i Sparty. Ci ostatni usiłowali pośredniczyć. Nie chcieli bowiem, aby Korynt, podpora Związku Peloponeskiego, wplątał się w jakąś niepotrzebną wojnę. Korcyrejczycy zgłosili gotowość oddania sprawy sądowi polubownemu. Korynt zażądał wówczas natychmiastowego przerwania oblężenia, na co Korcyrejczycy zgadzali się, pod warunkiem jednak wycofania z Epidamnos korynckiej załogi i osadników. Proponowali również zawarcie rozejmu przy zachowaniu dotychczasowego stanu posiadania. Jednakże Korynt, pewny obecnie swej przewagi, odrzucił wszystkie te żądania. Na wyspę Korcyrę wysłano herolda, który wypowiedział wojnę z zachowaniem całego zwyczajowego ceremoniału.

Latem roku 435 wyruszyło z Koryntu 75 okrętów wioząc silny korpus hoplitów. Trójrzędowce skierowały się na zachód. Kiedy wypłynęły z Zatoki Korynckiej, zawróciły na północ. Posuwały się teraz wzdłuż wybrzeży Zatoki Jońskiej. W połowie drogi do Korcyry, koło przylądka Aktion, uwieńczonego świątynią Apollona, potężna flota napotkała małą, kruchą łódeczkę. Stał w niej herold korcyrejski, który podniósł do góry swoją laskę, oznakę godności i wołał donośnym głosem:

– Wzywam was w imieniu Korcyrejczyków, abyście dalej nie płynęli!

Jako odpowiedź zabrał z powrotem tylko drwiny. Korynckie okręty parły naprzód. Już zbliżały się do cieśniny między lądem stałym a Korcyrą. Zastały jednak wejście do niej zamknięte: u południowego cypla wyspy, zwanego Leukimme, stało 80 korcyrejskich okrętów.

Bitwa pod Leukimme zakończyła się zwycięstwem obrońców. Zdobyli oni 15 okrętów korynckich. Reszta wielkiej floty zawróciła tam, skąd przybyła. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym dniu poddało się oblegającej eskadrze korcyrejskiej miasto Epidamnos. W warunkach kapitulacji zastrzeżono, że przebywający w mieście Koryntyjczycy zostaną zatrzymani, natomiast obywatele państw postronnych będą sprzedani w niewolę. Sroższy los spotkał jeńców pojmanych pod Leukimme; Koryntyjczyków wprawdzie tylko uwięziono, natomiast wszystkich innych zabito.

Korcyrejczycy stali się panami zachodnich wybrzeży Hellady, od Peloponezu po Adriatyk. Bezkarne napadali i niszczyli miasta sprzyjające Koryntowi. Dopiero latem roku następnego, 434, wysłał Korynt eskadry swej floty i oddziały wojsk lądowych do dwóch punktów na wy-

brzeżu. Korkyrejczycy stanęli naprzeciw nich w pełnej gotowości, do bitwy jednak nigdzie nie doszło. Nastąpiła jesień i obie strony wycofały się z morza.

Nie oznaczało to jednak, że Koryntyjczycy zaniechali śmielszych planów na przyszłość. Przeciwnie. Zbroili się, i to nakładem wielkich środków. Ogrom tych przygotowań objawił się Korkyrejczykom w pełni wówczas dopiero, kiedy było już za późno. Oto dowiedzieli się, że Koryntyjczycy werbują wioślarzy po całej Helladzie, nawet w miastach należących do ateńskiego Związku! Zbudowali bowiem tak wiele nowych okrętów wojennych, że nie starczyło im własnych ludzi do ich obsadzenia. A tymczasem Korkyra, dumna ze swych zwycięstw, zaniedbała zupełnie sprawę zbrojeń.

Właśnie obawa przed potęgą Koryntu skłoniła Korkyrę do szukania przymierza z Atenami i do wysłania tam posłów latem roku 433.

Tak – po wysłuchaniu obu poselstw oraz głosów w dyskusji – przedstawiała się obywatelom ateńskim historia zatargu Koryntu i Korkyry. W pierwszym dniu narad nastroje zgromadzenia były przychylniejsze Koryntowi. Postępowanie Korkyrejczyków wydawało się butne i zaczepne, ich zaś stosunek do Koryntu istotnie daleko odbiegał od tego, co w świecie helleńskim metropolia zwykła oczekiwać od swej kolonii. Natomiast stanowisko Koryntu w czasie wojny samijskiej wszyscy Ateńczycy zachowali we wdzięcznej pamięci. Najważniejszy jednak powód, który kazał wielu mówcom w pierwszym dniu obrad opowiedzieć się za Koryntem i nawoływać do odrzucenia prośby Korkyry, to był po prostu lęk, że udzielenie wyspie pomocy wciągnie Ateny w nową, groźną wojnę z całym Związkiem Peloponeskim. Obawiała się takiej wojny duża część społeczeństwa, choć nie brakło też ludzi, którzy radzi by jej byli w cichości serca. Kupcom i przedsiębiorcom mogła ona przynieść wielkie zyski, młodzież zaś, wojownicza i żądna przygód, pragnęła budować potęgę Aten za wszelką cenę.

Jakie zaś było stanowisko Peryklesa? Już sam fakt, że nie przeprowadzono głosowania w pierwszym dniu obrad, kiedy to górą byli zwolennicy nieinterwencji, musiał się wydać wielce znamienity. W dniu zaś drugim wystąpił na mównicy sam Perykles. Można odtworzyć raczej, na które się powoływał:

– Co będzie, jeśli Korynt istotnie pokona Korkyrę? Stanie się on wówczas bezspornym panem całego Zachodu. W jego władaniu znajdą się szlaki morskie ku Italii i Sycylii. A przecież i my mamy tam swoje żywotne interesy. Przed dziesięciu laty wysłaliśmy kolonię do Turioj. A jeszcze wcześniej, bo przed laty piętnastu, zawarliśmy przymierze z miastem Region w Italii i z Leontinoj na Sycylii. Wiadomo nam, że miasta te chciałyby przymierza obecnie odnowić. Cóż jednak będą warte owe traktaty, jeśli nie będziemy w stanie nieść naszym sojusznikom żadnej pomocy – bo droga na Zachód zostanie przed nami zamknięta i to na zawsze?

Prawda, Korynt twierdzi, że nie jest naszym wrogiem i pragnie dochować układu pokojowego. Tak jest obecnie. Czy jednak nie ulegnie to zmianie, kiedy opanuje Korkyrę i stanie się wielką potęgą morską? Trzeba też mieć na uwadze stosunek do nas państw Peloponezu w ogóle. Nie jest on dobry. Widzę burzę wojenną z tamtej strony! Czy jest w takiej sytuacji właściwe pozwolić na wzmocnienie się tego państwa Peloponezu, które i tak już rozporządza znaczną flotą i może z nami rywalizować!

Jednakowoż należy postępować ostrożnie i roztropnie. W naszym interesie leży nie wojna z Koryntem, lecz utrzymanie obecnego układu sił na Zachodzie – to znaczy wiązanie Koryntu przez sam fakt istnienia potężnej floty korkyrejskiej. Zawarcie przymierza z Korkyrą mogłoby istotnie wplątać nas w wojnę z Koryntem, a więc, siłą rzeczy, doprowadzić do zerwania układu pokojowego ze Spartą. Tego nie chcemy. Musimy jednak odstraszyć Korynt od ataku na Korkyrę. Jedyne wyjście to zawarcie z tą wyspą przymierza odpornego, które by wyraźnie postanawiało: jeśli ktoś uderzy na Ateny lub Korkyrę, druga strona przyjdzie natychmiast ze zbrojną pomocą. Możemy nawet wysłać na Morze Jońskie nieco naszych okrętów, aby pokazać, że zobowiązanie to traktujemy poważnie. Wolno żywić nadzieję, że Koryntyjczycy nie ośmielą się zaczepić wyspiarzy, widząc, że od razu pociągnie to walkę z naszą eskadrą. Jeśli

jednak uderzą, to oni będą stroną wszczynającą działania. Na nich więc spadnie cała odpowiedzialność za zerwanie układu pokojowego i rozpętanie wojny!

Nie wszystkie jednak powody, które skłaniały do interwencji na Zachodzie, mógł Perykles otwarcie przedstawić zgromadzeniu ludowemu. Ale dla bystrych obserwatorów politycznych były one równie jasne, jak i te, o których mówiło się wprost.

Przed kilku laty, już po ujarzmieniu Samos, Perykles osobiście poprowadził wielką i świetnie wyposażoną eskadrę ateńskiej floty na wschód, na wody Morza Czarnego. W zasadzie była to wyprawa pokojowa. Miała okazać tamtejszym miastom helleńskim i okolicznym ludom barbarzyńskim potęgę Aten oraz skłonić je do nawiązania bliższych stosunków politycznych i handlowych. Sukces wyprawy był całkowity. Opłynęła ona Morze Czarne dokoła. U południowych wybrzeży w dwóch miastach, w Synope i w Amizos, pozostawiono ateńskich kolonistów. Na północy natomiast zawarto traktat pokojowy z królem półwyspu, który wówczas zwał się Chersoneszem Taurydzkim; jest to dzisiejszy Krym. W okolicach Kerczu otrzymali Ateńczycy port Nimfajon jako swoją bazę handlową. Wiele z miast nadmorskich wstąpiło wówczas do Związku.

W ten sposób pod bezpośrednie wpływy Aten dostały się miasta i krainy będące dla Hellenów prawdziwym spichlerzem od wielu już pokoleń. Stąd sprowadzano pszenicę, skóry, ryby suszone.

W tym samym mniej więcej czasie powstała ateńska kolonia na wybrzeżu trackim, u ujścia rzeki Strymon. Stała się ona spadkobierczynią owej nieszczęsnej pierwszej osady w tych okolicach, pamiętnej klęską pod Drabeskos przed trzydziestu prawie laty. Obecnie koloniści pod wodzą Hagnona zbudowali duże miasto na miejscu dawnego Ennea Hodoj. Ponieważ z dwóch stron oblewał je Strymon, dali swemu miastu nazwę Amfipolis. Oba ramiona rzeki połączone zostały długimi murami, co uczyniło gród prawie nie do zdobycia. Wkrótce stało się Amfipolis ośrodkiem ateńskiego panowania nad północnymi wybrzeżami Morza Egejskiego.

Tak więc władztwo Ateńczyków na wschodzie było ugruntowane i rozległe jak nigdy dotąd. Ale, naturalną kolejną rzeczą, wzrosły też ich ambicje i wzmożły się zaborcze tendencje. Przedmiotem pożądliwości stały się teraz wyspy i lądy leżące na zachodzie, za Morzem Jońskim. Bogactwa tamtejszych miast, spowite mgłą odległości i legend, wydawały się godne wszelkiego wysiłku i każdej ofiary. Założenie Turioj było pierwszym krokiem na drodze ku tym baśniowym krainom, krokiem jednak nieśmiałym, bo przecież była to kolonia ogólnohelleńska, a nie tylko ateńska. Lecz nawet i ta próba straciłaby wszelkie znaczenie, gdyby nie udało się zapewnić swobody żeglugi na Morzu Jońskim. A to znowu było możliwe tylko wtedy, jeśli się miało w Korkyrejczykach przyjaciół!

Już wówczas byli w Atenach ludzie, którym marzył się podbój Sycylii i Italii, później zaś przejście do Afryki – tam można by zdławić Kartaginę, kolonię znieawidzonych Fenicjan! – a także i do Hiszpanii, słynnej ze złóż kruszcowych. Perykles, choć do takich fantastów nie należał, na pewno patrzył ku krainom zachodu bardzo czujnie. Łatwość, z jaką poddał ateńskim wpływom Morze Czarne, dodawała odwagi.

Była jeszcze jedna okoliczność, o której przywódca państwa i ludu ani nie mówił, ani też chyba nie myślał świadomie, a która musiała w jakiś sposób wpływać na podejmowanie przezeń kroków stanowczych. Oto liczył on już lat ponad sześćdziesiąt. Nieuchronnie zbliżał się kres aktywnego życia politycznego, a może i życia w ogóle. Zapewne, Perykles mógł z dumą spojrzeć na to, czego dokonał w ciągu prawie trzydziestu lat swych rządów. A jednak rzecz najważniejsza nie została jeszcze osiągnięta! Celem wszystkich poczynań Peryklesa było zapewnienie Atenom pełnej hegemonii nad całym światem helleńskim. A tymczasem potęga Sparty i jej Związku pozostała właściwie niezachwiana! Jakżeż więc przekazywać młodszym ster okrętu, skoro wciąż jeszcze grozi mu peloponeska skała? Teraz jednak, właśnie teraz nadarzyła się sposobność niezwykła. Przy pomocy Korkyry będzie można szeroko otworzyć

drogę na zachód. Już to samo zada potężny cios Lacedemonowi i jego sprzymierzeńcom. To prawda, że takie posunięcie grozi rozpętaniem wojny. Ale czas już dojrzał. Panowanie nad Helladą warte jest ryzyka wojny!

CO TO JEST PRAWO?

Jako chłopiec uczył się Perykles pewnego wiersza, w którym Solon dzielił życie ludzkie na takie okresy:

„Chłopak nieletni i głupi poczyna pierwszy raz tracić zęby dziecięce, gdy ma siedem za sobą już lat. Gdy zaś następnych siedem dopełnić mu bóstwo pozwoli, daje dowody, że dlań dzień dojrzałości już błysł. W trzeciej siódemce znów lat rozrastają się członki wspaniale, brodę okrywa mu puch, barwa odmienia się lic. W czwartej siódemce młodzieniec najlepszy krzepkością jest ciała, tę zaś mężowie za znak cnoty bojowej uznają. W piątej —powinien dojrzały już człek o małżeństwie pomyśleć i o potomstwie, co ród w dalszy podtrzymać ma wiek. W szóstej – pod względy wszystkimi ustala się umysł człowieka i na szalony już czyn łatwo nie waży się on. W siódmej i ósmej – najtęższa jest myśl i wymowa człowieka, w obu siódemkach zaś tych całych czternaście jest lat. Jeszcze w dziewiątej jest krzepki, lecz słabnąć zaczyna już jego mądrość i język, nie może błyszczeć tężyzną jak wpierw. Wreszcie w dziesiątej, gdy tej mu łaskawie dokonać da bóstwo, nie jest niewczesną już dlań raz przeznaczona mu śmierć.”³⁶

Jak dotąd, życie Peryklesa układało się dość wiernie podług tego siódemkowego podziału. Małżeństwo zawarł w siódemce piątej, mając lat ponad trzydzieści. W tymże czasie zaczął brać coraz aktywniejszy udział w sprawach publicznych, a od śmierci Kimona przewodził państwu przez całe dwie, najlepsze siódemki swych lat – siódmą i ósmą. Teraz wkraczał w dziewiątą, kiedy „słabnąć zaczyna już mądrość i język”. W pewnej rozmowie niespełna dwudziestoletni Alkibiades, bliski krewny i niesforny wychowanek, powiedział to Peryklesowi wprost i z całą bezczelnością.

Młodzieniaszek zagadnął wielkiego męża stanu:

- Powiedz mi Peryklesie: mógłbyś mnie objaśnić, co to właściwie jest prawo?
- Rzecz prosta, że mogę – odrzekł zapytany, nazbyt, jak się miało okazać, pewny siebie.
- A więc, błagam cię na bogów, wyjaśnij mi to! Bo ja, kiedy słyszę, że chwali się jakichś ludzi jako prawych, tak sobie myślę: kto nie wie, co to jest prawo, takiej pochwały nigdy nie dostąpi!
- Nie o trudną rzecz pytasz, chcąc wiedzieć, co to prawo. Jest bowiem prawem to wszystko, co postanowił i spisać kazał lud zgromadzony, wskazując, co czynić należy, czego zaś unikać.
- A lud co uważa? Należy czynić dobrze, czy też źle?
- Ależ, moje dziecko, oczywiście że dobrze! Nie wolno czynić źle!
- A jeśli to nie będzie lud, lecz – jak to się dzieje tam, gdzie ustrój jest oligarchiczny – tylko pewna grupa osób? Powiedzmy, że ta grupa się zgromadzi i postanowi: czynić należy to a to. Czym właściwie będzie taka ustawa?
- Co tylko rząd państwa po naradzie postanawia i ogłasza, jest prawem.
- Nawet jeśli tyran władający jakimś państwem nakaze obywatelom? To też jest prawem?
- Tak, wszystko, co nakaze tyran sprawujący rządy, jest prawem.

³⁶ Solon, *Elegie*, 16 (przekład W. Klingera: *Antologia liryki greckiej*, opracował W. Steffen, Wrocław 1955).

– Powiedz mi w takim razie, Peryklesie, co to jest gwałt i bezprawie? Chyba to, jak mi się wydaje, że ktoś silniejszy zmusza słabszego do posłuszeństwa nie drogą przekonywania, lecz po prostu przemocą?

– Ja też tak sądzę.

– A więc to chyba jest bezprawie, Peryklesie, kiedy tyran ogłasza jakieś prawo i zmusza obywateli do jego przestrzegania, choć przedtem nawet nie próbował ich przekonać, że jest ono słuszne?

– Owszem, zgadzam się. Cofam bowiem, co powiedziałem przed chwilą, że prawem jest, co postanowi tyran, nawet wbrew woli obywateli.

– A czy nazwiemy gwałtem to, co postanawia mniejszość wbrew przekonaniom większości?

– Wydaje mi się, że w ogóle jest gwałtem, a nie prawem, jeśli się zmusza kogoś do postępowania wbrew jego przekonaniom. I nie ma znaczenia, czy ten gwałt jest ujęty w formę ustawy, czy też nie.

– Czyli i to, co postanowi lud w stosunku do ludzi majątnych, jest raczej gwałtem niż prawem, jeśli uprzednio nie przekonano ich o słuszności tych czy innych posunięć?

– Tak, Alkibiadesie, masz rację! I dodał Perykles nieco wyniośle:

– Kiedy byłem w twoim wieku, bawiły mnie takie rozmowy. Celowałem w nich, dużo bowiem ćwiczyłem i rozmyślałem, zupełnie jak ty teraz.

Alkibiades nie pozostał dłużny:

– Czemuż to nie znałem cię wówczas, gdy mistrzem byłeś w dysputach!³⁷

Co równało się powiedzeniu: „słabnąć zaczyna już twoja mądrość i język”.

BITWA WYPRZEDZA WOJNĘ

Zgromadzenie ludowe uchwaliło zawarcie z Korkyrą przymierza odpornego, czyli, jak to nazywano w Helladzie, epimachii. Wkrótce potem, w pierwszych dniach sierpnia roku 433, wyprowadzono na Morze Jońskie eskadrę dziesięciu okrętów wojennych. Okrętów było niewiele, strategów natomiast aż trzech; jednym z nich był Lacedemonios, syn wielkiego Kimona. Wodzowie otrzymali ściśle instrukcje: nie wolno pod żadnym warunkiem rozpocząć walki z Koryntyjczykami – chyba że to oni pierwsi zaatakują Korkyrejczyków lub też wysadzą swoje wojska na ich ziemi. Właśnie dlatego postawiono nad eskadrą aż trzech wodzów, aby wzajem się pilnowali i nie dopuścili do jakiegokolwiek nierozważnego posunięcia. Dano im, dla wypłacania żołdu wioślarzom i żołnierzom, 26 talentów ze skarbcza bogini Ateny. Ponieważ była to suma dość znaczna, skarbnicy polecieli wyryć na marmurowej tablicy cały tekst tej pozycji rachunkowej: kiedy, w jakim celu i komu dano owe 26 talentów. Tablica, wystawiona na Akropolu wśród innych tej treści, zachowała się do dni naszych.

Zaledwie eskadra wypłynęła z Pireusu, opozycja przypuściła zaciekły szturm na Peryklesa i jego decyzję w sprawie Korkyry. Jak to bywa w wewnętrznych rozgrywkach, wyzyskano pewne sprawy personalne dla rozprawienia się z polityką przeciwnika w ogóle. Wołano:

– Perykles chce ośmieszyć, a może i zgubić Lacedemoniosa! Nienawidzi go, bo sam nigdy nie mógł dorównać jego ojcu, Kimonowi. Tamten dowodził całą naszą flotą i gromił Persów po wszystkich morzach. Lacedemonios dostał z łaski Peryklesa tylko 10 okrętów. Dlaczego nie trzy, nie dwa? Co ma począć z tą swoją wspaniałą flotą? To oczywiste: będzie albo skazany na bezczynność albo też, jeśli wda się w walkę z przeciwnikiem, przegra. Ale właśnie o to

³⁷ Ksenofont, *Wspomnienia o Sokratesie*, I 2, 40 i nast.

chodzi Peryklesowi! Jeśli bowiem Lacedemonios uchyli się od starcia, Perykles zacznie głośnić: to tchórz, to zdrajca, sprzyja Sparcie tak samo, jak i jego ojciec. Jeśli zaś ulegnie w walce, zarzuci mu Perykles nieudolność i złe dowodzenie. I do tego wszystkiego jeszcze mu skrepiwał ręce dwójką tamtych strategów!

Te głosy krytyki były tak silne i liczne, zyskiwały tyle posłuchu wśród ludu, że Perykles musiał je uwzględnić. Już po kilkunastu dniach wysłano na Korkyrę drugą flotyllę, tym razem większą, bo złożoną aż z dwudziestu okrętów. I tą dowodziło trzech strategów. Skarbnicy bogini Ateny znowu wypłacili im odpowiednią sumę i znowu upamiętnili ten wydatek na marmurowej tablicy, zachowanej wraz z poprzednią.

U schyłku jednego z pierwszych dni września eskadra ta podpływała ku przylądkowi Leukimie u wyspy Korkyry. Z daleka już dostrzegli Ateńczycy dziesiątki okrętów stłoczone w cieśninie. Kiedy i z nich ujrano zbliżającą się eskadrę, wszczęło się jakieś zamieszanie, po czym cała owa flota odpłynęła ku lądowi stałemu. Były to więc z pewnością okręty korynckie. Stojące naprzeciw nich, w głębi cieśniny, okręty korkyrejskie również wycofały się, ale ku wyspie; zapewne nie widziały w ogóle eskadry ateńskiej. Tak więc – można by sądzić – niespodziewane pojawienie się nowej flotylli przerwało przygotowania do bitwy. Któż jednak rozpoczyna bitwę o zmierzchu? – zdumiewano się na ateńskich okrętach. Czym bliższe były wybrzeża Korkyry, tym częściej napotymano wraki rozbitych okrętów i trupy unoszone przez fale. A kiedy przybijano do przystani, nie obyło się bez zamieszania. Była już ciemna noc i Korkyrejczycy obawiali się, że to wrogie okręty. Minęło sporo czasu nim ateńska eskadra mogła zarzucić kotwice wśród swoich. Teraz dopiero przybysze dowiedzieli się wszystkiego o dramatycznych wydarzeniach dnia ubiegłego. Ich towarzysze z pierwszej eskadry opowiadali:

– Bitwa już została stoczona, stąd owe wraki i trupy. Bitwa krwawa i zaciekła, największa ze wszystkich, jakie dotąd Hellenowie wiedli przeciw Hellenom na morzu.

Brało w niej udział 150 okrętów po stronie korynckiej, po korkyrejskiej zaś 120. Jednakże jak nieudolnie walczone! Nikt nie znał nowej taktyki bitew morskich. Obie strony po prostu wsadziły na pokłady swych okrętów, ile tylko mogły zbrojnych – hoplitów, łuczników, oszczepników. Trójrzędowce wbijały się w siebie i żołnierze walczyli stojąc na pokładach, jakby to była bitwa lądowa. Nie było żadnej próby manewrowania okrętami, przebiecia się w jednym miejscu, okrążenia przeciwnika – do czego bitwa morska daje tyle sposobności, a co my, dzięki ciągłym wojnom i ćwiczeniom, opanowaliśmy znakomicie. Tutaj było tylko kotłowanie w miejscu i przepychanie się na siłę. Wreszcie doszło do czegoś na lewym skrzydle, gdzie Korkyrejczycy mieli jako przeciwników sprzymierzeńców Koryntu. Ci zaczęli się cofać i wnet poszli w rozsypkę. 20 korkyrejskich okrętów rzuciło się w pościg. Dotarły nawet do lądu stałego, gdzie złupiły i spaliły obóz wroga. Lecz właśnie to częściowe zwycięstwo stało się przyczyną klęski. Po prostu zabrakło owych dwudziestu okrętów, kiedy skrzydło prawe znalazło się w opałach. To było do przewidzenia. Okręty korkyrejskie są, jak widzicie, słabsze i starsze od korynckich. Co również ważne, Korkyrejczycy dali na swoje okręty jako wiosłarzy przeważnie niewolników, natomiast Koryntyjczycy mieli załogi z wolnych ludzi, doświadczonych i znających swoją pracę. Nasze okręty nie brały udziału w bitwie. Staliśmy nieco z tyłu i tylko w razie potrzeby podpływaliśmy tam, gdzie przeciwnik zdawał się być górą. To zawsze czyniło wrażenie. Przestrzegaliśmy więc jak najściślej udzielonych nam instrukcji, choć w tej sytuacji nie wydawały się one rozsądne. Bo i jakże? Nie włączając się do bitwy ułatwialiśmy zwycięstwo Koryntyjczykom. Gdyby jednak usiłowali oni lądować na Korkyrze, wolno byłoby nam walczyć – kiedy i tak byłoby za późno! Tymczasem Koryntyjczycy zaczęli przeć naprzód. Nie zważając już na nic stanęliśmy do walki. Starliśmy się z ich okrętami kilkakrotnie. Wobec jednak przewagi nieprzyjaciół niewiele to pomogło. Całe lewe skrzydło wycofywało się ku Korkyrze. Koryntyjczycy wybijali korkyrejskie załogi na uszkodzonych okrętach, potem zaś spokojnie zbierali swoich poległych i ściągali wraki ku wybrze-

zu, które zwie się Syboty. Już po południu powtórnie wypłynęli na morze. Wypłynęli i Korcyrejczycy wraz z naszą eskadrą, aby nie dopuścić do lądowania Koryntyjczyków na wyspie. Wtedy to właśnie, tuż przed rozpoczęciem powtórnej bitwy, okręty przeciwnika nagle zaczęły się cofać i zawracać ku lądowi. Początkowo nikt po naszej stronie nie wiedział, co się dzieje. Dopiero później zaczęto krzyczeć, że to płyną nowe okręty ateńskie – ale nikt nie był tego pewien!

Na nocnej naradzie dowódców korcyrejskich i ateńskich strategów zapadła decyzja:

– Nie ma się co ludzić, wczoraj ponieśliśmy klęskę. Straty własne wynoszą 70 okrętów i około tysiąca ludzi załogi; z tego, co prawda, tylko dwustu pięćdziesięciu obywateli, reszta to niewolnicy. Korynckich okrętów zniszczono tylko 30. Choć straty są tak ciężkie, nie wolno się przyznawać do porażki. Trzeba działać, trzeba pokazać przeciwnikowi, że jesteśmy w stanie nawet atakować!

Dlatego to rankiem wszystkie okręty korcyrejskie i ateńskie podpłynęły ku przystani w Sybotach. Korynckie okręty natychmiast podniosły kotwice i stanęły w szyku bitewnym na morzu. Obie strony czekały. Po pewnym czasie od linii korynckich oderwała się mała łódka i szybko podpłynęła ku ateńskiej floty. Było w łódce kilku ludzi, ale żaden z nich nie miał laski herolda. To było znamienne. Wskazywało, że Koryntyjczycy nie uważają, aby znajdowali się w stanie wojny z Ateńczykami!

Wysłańcy wołali donośnie:

– Postępujecie niesprawiedliwie, Ateńczycy! Rozpoczęliście działania wojenne. Zerwaliście układ pokojowy, bo nie pozwalacie nam rozprawić się z wrogiem. Jeśli istotnie zamierzacie przeszkodzić wyprawie na Korcyrę lub w ogóle zamknąć nas w przystani, to macie teraz dobrą sposobność: tu, na miejscu, możecie nas pojmać i ukarać, jak karze się nieprzyjaciół!

Korcyrejczycy natychmiast podchwycili te słowa. Krzyczeli:

– Dać im to, czego chcą sami! W kajdany ich i pod topór!

Jednakże ateńscy strategowie byli przezorni. Rozumieli doskonale, że to korynckie wyzwanie jest prowokacją. Jeśli pojmagają tych wysłanników, to okażą jasno, że Ateny chcą wojny! Dlatego też odpowiedzieli:

– Nie prowadzimy z wami wojny i nie zrywamy układu pokojowego. Przyszliśmy po prostu z pomocą naszym sprzymierzeńcom Korcyrejczykom, kiedy groził im najazd – to wszystko. Możecie wypłynąć stąd spokojnie i pożeglować, gdzie tylko wam się podoba. Wiedźcie jednak: jeśli zwrócicie się przeciw Korcyrze lub jej posiadłościom, nie pozostaniemy bezczynni!

W istocie rzeczy obie strony znajdowały się w sytuacji nie najlepszej. Ateńsko–korcyrejska flota jako słabsza nie mogła atakować; Ateńczycy zresztą całkiem by tego nie chcieli ze względów politycznych. Ale Koryntyjczycy mieli też wiele okrętów uszkodzonych. Bez warsztatów, na otwartym wybrzeżu, nie mogli przystąpić do ich naprawy. A w razie dłuższego blokowania przystani mogły powstać trudności z aprowizacją. Dlatego po otrzymaniu ateńskiej odpowiedzi zaczęli natychmiast czynić przygotowania do odwrotu. Odpłynęli nie zaczepiani przez nikogo. Pozostawili jednak dowód i znak swej bytności. Oto, aby upamiętnić zwycięstwo, wystawili na sybockim wybrzeżu tropajon ze zdobytego ořeza nieprzyjaciół i ze szczątków ich okrętów. Ale takż sam pomnik stanął na małych wysepkach naprzeciw tego wybrzeża, zwanych również Syboty. Wystawili go – Korcyrejczycy, aby wsławić swoje zwycięstwo! Obie bowiem strony głosiły, że w tym starciu były górą. Koryntyjczycy twierdzili:

– Zdobyliśmy wiele okrętów i zmusiliśmy wroga do wycofania się na wyspę!

Korcyrejczycy natomiast utrzymywali:

– Zdobyliśmy obóz nieprzyjacielski, potem zaś zmusiliśmy całą flotę do opuszczenia naszego morza!

W rzeczywistości zaś obaj przeciwnicy wyszli z bitwy z bolesnymi ranami, starcie zaś pozostało nierozstrzygnięte.

Flotylla ateńska wkrótce potem powróciła do Pireusu. Właściwie tylko Ateńczycy mogli uważać się za zwycięzców, bo osiągnęli swoje cele: nie dopuścili do klęski Korcyry i utrzymali równowagę sił na zachodzie. Jednakże zapłacili za to drogo, ściągając na siebie nieprzejednaną nienawiść Koryntyjczyków. Wiedząc o tym postanowili Ateńczycy już z góry zabezpieczyć pewne słabe ogniwo swego Związku przed zakusami ze strony Koryntu.

„POLEGLI KOŁO BRAM POTIDEI”

Jesienią i zimą roku 433/2 sytuacja w Helladzie stawała się z każdym dniem coraz bardziej napięta. Wszystkie państwa rozwijały żywą działalność dyplomatyczną, poselstwa krążyły od miasta do miasta. Krzyżowały się intrygi i przeciw intrygi, rozpalały się namiętności.

Chyba najwięcej posłów, i to nawet z krain odległych, przybywało do Sparty. Jako jedni z pierwszych stawili się wysłannicy miasta Potideja; towarzyszyli im posłowie Koryntyjczyków, Potideja bowiem była ich kolonią. Leżała u północnych wybrzeży Morza Egejskiego, na wąskim przesmyku łączącym Chalcydykę z półwyspem Pallene. Sprawa, którą Potidejczycy przedłożyli rządowi Sparty, była poważna:

– Jak wiadomo, należymy do Związku Ateńskiego. Wszystkie zalecenia jego przywódcy wypełniamy rzetelnie. Jednakże Ateńczycy wysunęli ostatnio żądania, które wyraźnie wskazują, że są ustosunkowani do nas wręcz wrogo. Czegóż się bowiem domagają? Zburzenia muru, który broni nas od południa, od strony półwyspu Pallene.

Wydania zakładników. Odprawienia honorowych urzędników, których od założenia naszego miasta tradycyjnie przysyłają nam Koryntyjczycy jako swej niegdyś kolonii. Wszystkie te żądania Ateńczyków wypływają z obawy, że wiedzeni przyjaźnią do naszej metropolii zechcemy wystąpić z ich Związku. Nie mieliśmy w ogóle takiego zamiaru. Najlepiej dowodzi tego fakt, że właśnie teraz wyjechało nasze poselstwo do Aten; ma ono przekonać tamtejszy rząd, aby cofnął niesprawiedliwe polecenia. Gdyby jednak nie udało się tego osiągnąć, byliśmy zmuszeni bronić się przed krzywdą. Chcemy więc wiedzieć, czy w takim wypadku można by liczyć na pomoc Związku Peloponeskiego.

Sprawę Potidei gorąco popierali, rzecz naturalna, wysłannicy Koryntu. Jednakże najlepszymi jej orędownikami stali się w Sparcie posłowie innej krainy – choć leżała ona jeszcze dalej niż Potideja i była, zdaniem wielu, na pół barbarzyńska. Oto przyjechali do Lacedemonu posłowie Perdykasa, króla Macedonii. Złożyli oni poufne oświadczenie:

– Ateńczycy zawarli przymierze z wrogami naszego króla, obawiają się bowiem Macedonii silnej i zjednoczonej. W tym stanie rzeczy nasz pan w razie wybuchu wojny chętnie poprze słuszną sprawę Potidejczyków.

Inne poselstwo Perdykasa równie wyraźnie mówiło to samo Koryntyjczykom. Jednocześnie zaś ludzie króla działali na półwyspie Chalcydyke i wśród plemion trackich. Nawoływali do występowania ze Związku i do zbrojnego oporu przeciw ateńskiej samowoli. Te poczynania były w pełni usprawiedliwione, Ateńczycy bowiem istotnie zawarli ostatnio dwa sojusze wymierzone wprost w Perdykasa: jedno z jego bratem, królem wschodniej Macedonii, drugie zaś z księciem Macedonii północnej. Uczynili to rozmyślnie, choć Perdykas dotąd wiernie dochowywał przyjaźni. Cele bowiem ateńskiej polityki wobec Macedonii były przejrzyste: wygrywać przeciw sobie jej skłóconych władców, aby nie dopuścić do wzmocnienia się tego kraju. Obecnie najniebezpieczniejszy wydawał się Ateńczykom właśnie Perdykas, władał bowiem południem Macedonii i w przyszłości mógłby się pokusić o miasta nadmorskie, należące do Związku; a był to król energiczny i ambitny.

O tajnych rokowaniach Perdykasa ze Spartą, Koryntem i Potideją Ateńczycy dowiedzieli się w porę. Aby odebrać mu ochotę do tak śmiałego politykowania, postanowili wysłać silny

korpus na macedońskie wybrzeża, do Zatoki Termajskiej: wrzynała się ona w głąb ładu pomiędzy masywem Olimpu a półwyspem Chalcydyki. 30 okrętów wojennych miało przewieźć 1000 hoplitów. Dowództwo powierzono Archestratowi. Polecono mu jednocześnie, aby pilnie czuwał nad wypełnieniem przez Potidejczyków wszystkiego, co nakazano im poprzednio; mieli więc zburzyć mur południowy, wydać zakładników, usunąć urzędników korynckich. Zabiegi bowiem potidejskich posłów nie zdały się na nic. Od swych żądań Ateny nie odstąpiły ani na jotę.

Wiosną roku 432 korpus ateński był już w Zatoce Termajskiej. Od razu jednak po przybyciu stanął on w obliczu groźnych wydarzeń. Oto przy czynnej pomocy Perdykasa wybuchł bunt zarówno w miastach nad Zatoką Termajską, jak i w samej Potidei. Archestrat połączył się z wrogami Perdykasa i przystąpił do oblegania najpierw miasta Termaj, potem zaś Pydny. Tymczasem do Potidei przybyły znaczne posiłki z Koryntu. Wódz Arysteus przyprowadził dwa tysiące ochotników. Wobec tego także Ateńczycy wysłali pod Pydnę drugi korpus: 2000 hoplitów i 40 okrętów. Zawarto rozejm z Perdykasem i wszystkie siły skupiono pod Potideją. Tam miało dojść do bitwy decydującej!

„Wróciłem z obozu pod Potideją wczoraj wieczorem. A że przyjechałem po długiej nieobecności, z przyjemnością pospieszyłem do miejsc, gdzie zwykłem się zabawiać. Zaszedłem i do szermiarni Taureosa. Zastałem tam wiele osób. Było trochę obcych, w większości jednak sami znajomi. Kiedy mnie ujrzeni wchodzącego niespodziewanie, natychmiast pozdrawiali już z daleka – ci z tej, ci z tamtej strony. Chajrefon zaś, jako że młody i bardzo zapalczywy, wyskoczył spośród towarzyszy i podbiegł do mnie. Pochwycił moją rękę i mówi:

– Sokratesie, całość wyszedł z tej bitwy? A właśnie na krótko przed moim wyjazdem doszło do bitwy pod Potideją. Tu w Atenach dowiedziano się o niej dopiero teraz. Odpowiedziałem:

– Jak widzisz! On zaś:

– Tutaj mówią, że bitwa była bardzo krwawa. I podobno zginęło w niej wielu znanych ludzi?

– Prawdę mówią.

– Brałeś udział w tej bitwie?

– Oczywiście.

– Usiądź więc tutaj i opowiadaj. Bo nie o wszystkim wiemy dokładnie.

I zaraz mnie usadowił koło Kritiasa, syna Kallajschrosa. Usiadłem więc, przywitałem się z nim i z innymi, a potem opowiadałem obozowe nowiny, o co mnie który pytał.”³⁸

Sokrates miał o czym opowiadać. Bitwa była ciężka. Stoczono ją latem roku 432 pod samymi murami Potidei. Zwycięstwo osiągnęli Ateńczycy z trudem, koryntyjscy bowiem ochotnicy odepchnęli jedno ich skrzydło daleko do tyłu. Jednakże sami Potidejczycy stawali gorzej i rychło wycofali się do miasta. Legło w tej bitwie około trzystu Potidejczyków i stu pięćdziesięciu Ateńczyków, wśród nich jeden ze strategów.

Nowy grobowiec zbiorowy stanął na państwowym cmentarzu zasłużonych za Bramą Diplońską. Zdołała go marmurowa tablica. Górna jej część przedstawiała scenę bitwy. Poniżej wyryte były nazwiska stu pięćdziesięciu poległych oraz poetycka ich pochwała, której część zachowała się do dziś:

„Eter przyjął ich dusze, ciała zaś ziemia. Polegli koło bram Potidei. Spośród ich przeciwników jednych grób kryje, innych zaś mur ocalił. Nasze miasto i cały lud Erechteusza oplakują tych mężów, dzieci Aten, którzy zginęli w pierwszym szeregu walczących. Na jednej szali położyli oni swe życie, na drugiej zaś chwałę dzielności – i tę wybrali, wślawiając ojczyznę!”³⁹

³⁸ Platon, *Charmides*, 153 a–c.

³⁹ Peek, GVI, nr 20.

MEGARYJCZYK SPRZEDAJE SWE CÓRKI

Dzielnicy przelewali krew na obcej ziemi i oddawali młode życie dla sławy swych państw, a tymczasem politycy obmyślali nowe posunięcia w grze, z której nie mogli się już wycofać. Jak dotychczas obie strony pilnie unikały starcia wprost. Korynt, choć do żywego dotknięty sprawą Korcyry, posłał do Potidei nie regularne oddziały wojskowe, lecz tylko ochotników, aby móc twierdzić z całym spokojem: my wojny nie prowadzimy, ale też nie możemy przeskodzić naszym obywatelom, którzy pragną pomóc ofierze ateńskiej zachłanności! Toteż i Perykles nie wymierzył obecnie ciosu wprost Koryntowi. Wyszukał inny przedmiot ataku – miasto słabe, a z Koryntem związane. Wystąpił przed zgromadzeniem ludowym z gwałtowną napaścią na Megaryjczyków. Przypomniawszy ludowi Aten wiele „występnych” poczynań tych „złych” sąsiadów Attyki:

– Przed piętnastu laty zdradziecko odstąpili od przymierza z nami, wymordowali nasze załogi, związali się z Koryntem i Spartą. Przed ośmiu laty, w czasie wojny samijskiej, ich kolonia Bizantion podniosła bunt i chciała wystąpić ze Związku. A przed rokiem udzielili zbrojnej pomocy Koryntowi w jego wyprawie na Korcyrę!

Wszystko to jednak mogliśmy wielkodusznie ścierpieć i darować. Ostatnio wszakże Megaryjczycy zachowują się wręcz prowokująco. Przyjmują naszych zbiegłych niewolników. Zagarnęli niektóre ziemie pograniczne. A wreszcie – i tego już nie wolno nam wybaczyć, jeśli nie chcemy ściągnąć na nasz kraj gniewu nieśmiertelnych bogów – dopuścili się zbrodni i bluźnierstwa: oto wzięli pod uprawę świętą ziemię, własność przybytku bogini Demeter w Eleuzis.

Na wniosek Peryklesa zgromadzenie ludowe podjęło uchwałę o konieczności ukarania świętokradców. Głosiła ona:

Nie wolno okrętom Megary korzystać z portów, nad którymi władzę sprawują Ateńczycy. Nie wolno na terenie Attyki sprzedawać żadnych towarów pochodzących z Megary; w razie wykrycia towary takie ulegają konfiskacie.

Takie posunięcia groziły Megarze głodem i śmiercią gospodarczą. Kraj to był mały i ubogi. Zboże sprowadzał za pośrednictwem swej kolonii Bizantion z krain nad Morzem Czarnym. Obecnie stało się to niemożliwe, wszystkie bowiem porty po drodze były w rękę Ateńczyków. Równie groźny był zakaz sprzedaży megaryjskich wyrobów w Attyce. Chodziło zwłaszcza o tkaniny wełniane i o warzywa, jedyne towary, które Megaryjczycy wywozili w większej ilości. Ludna Attyka stanowiła bardzo bliski i chłonny rynek zbytu. A wobec zamknięcia portów nie można było nawet myśleć o znalezieniu innych odbiorców.

W osiem lat później komediopisarz tak przedstawiał skutki Peryklesowej uchwały:

Scena przedstawia ateńską agorę. Wchodzi Megaryjczyk z dwiema córkami. Woła:

„Ryeczku mój ateński, Megarczykom luby! Jak się masz? Cnito mi się za tobą, jak dziecku za matką. Nuże, biedne ojca nieszczęsnego córczeta! Tu, na górę, lećcie szukać chleba. Słuchajcie, co wam powiem, nadstawiajcie... brzucha. Co wolicie: przedane być czy zdychać z głodu?

– Przedane, przedane!

– I mnie się tak wydaje. Ino czy się najdzie taki głupek, co kupi was – na swoją szkodę? Ale czekajcie, świta mi megarska sztuczka: przebiorę was i powiem, że sprzedaję świnki. Wdziewajcie te raciczki prosięce! A baczcie, byście się wydawały dziećmi tegiej świni. Bo jeśli was nie przedam i przyjdzie wam wrócić do chałupy, poznacie, co to zdychać z głodu.

No, dalej! I w te ryjki ustrójcie się pięknie. A teraz – o tak, tędy! – pchajcie się do wora. Pamiętajcie: po świńsku chrząkać mi i kwiczeć – niczym owe prosiątka ofiarne z Misteriów! A ja z domu wywołam Prawogrodźca. – Ejże! Prawogrodźcze, sprzedaję młode świnki: kupisz?

- A to co? Człowiek z Megary?
- Przyszli my z towarem.
- Cóż tam u was?
- Głodujęm sobie przy kominku...
- A jeszcze co nowego w Megarach? Po czemu zboże?
- U nas? W najwyższej cenie – niczym bogi.
- Co niesiesz? Sól?
- A kto ją – nie wy? – w garści trzyma?
- Ani czosnku – s nie przyniósł?
- Czosnku? Jak wy do nas wpadniecie, to wnet ziemię, niczym polne myszy, rozryjecie kołkami – i nic nie ostanie. – No to co masz?
- Prosięta młode, na Misteria.
- Prosięta? Dobrze! Pokaż.
- Piękne, wyborowe. Chcesz? Spróbuj: jaka ciężka, jaka tłusta, piękna!
- Oj, a to co takiego?!
- Co takiego? Świnka.
- Jak powiadasz?... A rodem skąd ta świnka?
- Z Megar. Co, może to nie świnka?
- Nie wydaje mi się.
- To dopiero! Patrzajcie, jaki niedowiarak! Mówi, że to nie świnka! Chcesz, to się o miarę tymiankowej soli założym, że właśnie to, co tu widzisz, świnką zowie się po grecku
- Ale to... ludzka świnka.
- Ludzka, na Diokla: moja! A tyś pomyślał, człowiecze, że czyja? Może byś chciał posłuchać, jak kwiczy?... Prosiątko lube, gadaj coś! No, prędzej! Co, nie chcesz? Milczeć będziesz, bydlę zatracone?! Oj, bo cię do chałupy odniosę z powrotem!”
- Spodobały się wreszcie Prawogrodźcowi świnki:
- „Dalibóg, arcymiłe, ucieszne bydlątka! Słuchaj, człecze, ile chcesz za tę parę świnek?
- Tę tu za jeden pęczek czosnku mogę sprzedać. A za tę drugą dasz mi kwartę soli: zgoda?
- Niechaj będzie, kupuję. Zaczekaj tu.
- Czekam. Hermesie, kupców panie! Jeszcze by tak samo kobitę swoją sprzedać i matkę rodzoną!”

Ale w tym właśnie momencie zjawił się donosiciel:

„Ogłaszam te prosięta – i ciebie samego – za towar zakazany!”⁴⁰

W oryginale cała ta scena, podana tu w skróceniu, brzmi dużo weselej i zgoła nieprzystojnie, wyraz bowiem „chojridion” oznacza nie tylko prosię.

Arystofanes mógł sobie kpić w swej komedii z handlowych kłopotów obywateli obu państw, ale dla Megary była to od początku sprawa życia i śmierci. W danej sytuacji państwo to miało dwa tylko wyjścia. A którekolwiek by z nich wybrało, Perykles byłby zadowolony! Jakież bowiem mogły być owe megaryjskie przeciwposunięcia? Megara oderwie się od Koryntu i ukorzy przed Atenami. Tak, oczywiście, byłoby z ateńskiego punktu widzenia najkorzystniej. Ale jeśli nie będzie chciała tego uczynić, musi nalegać na Korynt i Lacedemon, aby w jej obronie podjęto jakieś zdecydowane kroki.

⁴⁰ Arystofanes, *Acharniacy*, w. 737—828 (według przekładu S. Srebrnego: Arystofanes, *Komedie*, Warszawa 1962 – z pewnymi opuszczeniami).

W takim jednak wypadku sprawa stanie się przedmiotem przetargów politycznych: my cofniemy blokadę Megary – a co dacie wy w zamian? Gdyby zaś Związek Peloponeski postanowił wystąpić zbrojnie, to wówczas on właśnie stałby się stroną wszczynającą wojnę. Ateny zaś mogłyby głosić, że są niewinną ofiarą agresji.

Koryntyjczycy już prowadzili szeroką agitację wśród państw Peloponezu. Ich poselstwa zaczęły przybywać do Sparty, aby wspólnie z rządem lacedemońskim omówić sytuację. Oczywiście, przede wszystkim troszczył się Korynt o los swoich ludzi w Potidei.

Oblężenie tego miasta trwało nieprzerwanie, a ciągnąć się miało jeszcze długo.

MEDYTACJE POD POTIDEIĄ

Najpierw zamknięto Potideję murem od strony północnej, od kontynentu. Potem przyszły z Aten dalsze oddziały – tysiąc sześciuset hoplitów pod wodzą Formiona. Wówczas zbudowano też mur od południa, od półwyspu Pallene. Flota blokowała miasto po obu wybrzeżach.

A jednak Arysteus, wódz korynckich ochotników, zdołał się wyrwać z oblężenia. Krążył na czele garstki zbrojnych po Chalcydyce i przyległej Tracji, szarpiąc Ateńczyków oraz ich sprzymierzeńców niespodziewanymi, śmiałymi napadami. Formion prowadził z nim uciążliwe walki, reszta zaś ateńskich wojsk pilnowała wciąż miasta. Była już jesień, potem przyszła zima i wiosna, a oblegani wciąż się bronili!

Sokrates niedługo bawił w Atenach. Znowu wrócił pod Potideję, tym razem z korpusem Formiona. Miał tę przynajmniej pociechę, że u jego boku odbywał służbę wojskową młody, dwudziestoletni Alkibiades, krewny i podopieczny Peryklesa, syn owego Klejniasa, który zginął pod Koroneją. Jeszcze w 15 lat później Alkibiades na pewnym przyjęciu tak opowiadał o tej wojaczce i o Sokratesie – żołnierzu:

„Razem braliśmy udział w wyprawie przeciw Potidei i żyliśmy tam pod jednym namiotem. Otóż przede wszystkim odpornością na trudy bił on nie tylko mnie, ale też innych. A kiedy zdarzało się, że – jak to bywa na wojnie – odcięci musieliśmy głodować, nikt nie mógł dorównać jego wytrzymałości. W czasie znowu zabaw on jeden potrafił się raczyć każdą potrawą. Także i w piciu – przymuszony, bo tak w ogóle to tego nie lubił – wszystkich przetrzymywał. A co najdziwniejsze, nikt nigdy nie widział Sokratesa pijanego! Zresztą wydaje mi się, że o tym będziemy mogli przekonać się zaraz. Nieczułości na mróz – a mrozy tam straszne – dawał dowody zdumiewające. Pewnego razu, kiedy mróz był tak ostry, że nikt na dwór nie wychodził, a jeśli już wyjść musiał, to owinięty w co się dało, nogi zaś mając opatulone w szmaty pilśniowe i skóry, otóż on wtedy to właśnie wychodził na dwór ten sam mając himation, który i przedtem zwykł nosić. A przez lód boso łatwiej przechodził niż inni w butach! Toteż żołnierze niechętnie nań patrzyli, że niby gardzi nimi. Tak to wszystko było.

Warto jednak posłuchać »co takiego dokazał i zdzierzył mąż twardy« w czasie owej wyprawy. Otóż pewnego ranka zamyślił się nad czymś i przystanął. A ponieważ jakoś mu się w tym myśleniu nie wiodło, stał dalej rozważając. Było już południe, ludzie zaczęli zwracać na to uwagę. Jeden drugiemu mówił, że Sokrates od samego świtu stoi tak nad czymś dumając. Wreszcie zapadł zmrok. Niektórzy z Jonów powieczerali i wynieśli sienniki – bo było to latem – aby spać na chłodzie i zarazem dawać baczenie, czy i przez noc stać będzie w tym samym miejscu. On zaś stał aż do świtu, póki słońce nie wzeszło. Wtedy dopiero pomodlił się do słońca i odszedł.

Pytacie o bitwy? To sprawiedliwie trzeba mu oddać: kiedy była ta bitwa, po której strategowie mnie odznaczali za odwagę, to właśnie jemu zawdzięczam ocalenie. Byłem ranny. Nie opuścił mnie, lecz uratował i moje życie, i broń. Ja, Sokratesie, żądałem, żeby ciebie odznaczono za odwagę. Nie zganisz mnie chyba i nie powiesz, że kłamię. Strategowie jednak pa-

trzyli na moją godność, więc mnie tylko chcieli odznaczyć. Ty zaś obstawałeś wówczas jeszcze bardziej niż oni sami, żeby właśnie mnie wyróżnić, a nie ciebie!”⁴¹

Ale jakaż była przyczyna i tajemnica owego męstwa, które okazał Sokrates broniąc Alkibiadesa pod murami Potidei? Wiedzieli o tym wszyscy, rzecz była głośna: Sokrates należał do najgorętszych wielbicieli młodego człowieka. Jeśli nawet zyskał sobie przychyłność Alkibiadesa, to w każdym razie niełatwo; musiał na nią zasługiwać. Pociechy i rady szukał filozof ponoć nawet u Aspazji. I czynił roztropnie, bo przecież ona najlepiej znała wady i zalety złotowłosego chłopca, jako że przebywała stale w domu Peryklesa, który opiekował się Alkibiadesem od lat jego dziecinnych.

Krążył później po Atenach poemacik w formie dialogu pomiędzy Aspazją a Sokratesem. Niektórzy nawet jej przypisywali autorstwo tego utworu. Zaczynał się od słów:

„Sokratesie, nie ukryło się przede mną, że twoje serce goreje miłością do syna Dejnoma chy i Klejniasa! Więc posłuchaj mnie, jeśli chcesz, żeby chłopiec mile cię widział! Zaufaj memu posłannictwu, tak będzie naprawdę najlepiej dla ciebie!”

Opowiada potem Sokrates:

„A mnie, gdym usłyszał te słowa, z radości pot obfity zrosił, a z oczu chętna łza popłynęła...”

Radzi następnie Aspazja, aby Sokrates uwodził młodego człowieka wzbudzając w nim miłość do poezji. Wynika jednak z dalszego urywku, że sposób ów, tak wzniosły, nie okazał się skuteczny. Zapytuje więc Aspazja:

„Czemu to płaczesz, miły Sokratesie?”⁴²

Nie wiadomo, jaką inną metodę zalecała filozofowi.

⁴¹ Platon, *Sympozjon*, 219e—220.

⁴² Athenajos, *Deipnosophistae*, V 219 c—e.

Rozdział dziesiąty

PROCESY I DYPLMACJA

PROCES FIDIASZA

Wiadomość rozeszła się po mieście jak błyskawica, każdy bowiem rozumiał, że za tym faktem kryje się jakaś sensacja: przy ołtarzu dwunastu bogów na agorze siedzi błagalnik! Zgromadziły się tam tłumy. Ołtarz, zbudowany jeszcze za czasów tyranii, dawał nietykalność każdemu, kto usiadł na jego stopniach. Wielu natychmiast rozpoznało błagalnika:

– To Meton, pomocnik rzeźbiarza Fidiasza! Przecież to on pomagał mistrzowi przy posągu Ateny ze złota i kości słoniowej – tym, który stoi w Partenonie!

Meton zaś wołał raz po raz:

– Zapewnijcie mi bezkarność, a złożę świadectwo o czynie świętokradczym!

Znalazło się wielu, którzy poparli tę prośbę. Niektórzy czynili to z prostej ciekawości, inni jednak chyba już wiedząc, o co chodzi i ku czemu będzie zmierzać oskarżenie; orędownali bowiem za Metonem dziwnie gorliwie i w taki sposób, jakby ktoś z góry już podsunął im dobre argumenty.

Metonowi udzielono zapewnienia pełnej bezkarności, jeśli potrafi dowieść, że oskarża prawdziwie. Takiej gwarancji Meton potrzebował koniecznie; pokazało się to od razu, kiedy stwierdził przed zgromadzeniem ludowym:

– Fidiasz dopuścił się oszustwa i kradzieży na szkodę ateńskiego ludu i samej bogini. Podał fałszywe obliczenia zużycia kości słoniowej przy sporządzaniu okładziny posągu. Przywłaszczył sobie wiele drogiego materiału i sporo na tym zarobił.

Oczywiście, od razu nasuwało się pytanie:

– Czemuż to Meton, skoro pracował nad tym samym posągiem i wiedział o machinacjach swego mistrza, nie oskarżył go wcześniej?

Mając jednak zapewnienie bezkarności Meton mógł po prostu zbyć niczym takie pytanie. Tak samo mogło go nie obchodzić podejrzenie, że współdziałał w niecznych poczynaniach Fidiasza. Na zarzut zaś, że występuje z oskarżeniem dopiero w kilka lat po wykonaniu posągu, odpowiedź Metona byłaby łatwa:

– Gdy tylko posąg Ateny został umieszczony w Partenonie, Fidiasz wyjechał na Peloponez. Tam, w Olimpii, pracował nad wielkim posągiem Zeusa. Powrócił dopiero niedawno. Gdybym oskarżył go wcześniej, rzeźbiarz po prostu pozostałby na obczyźnie i bezbożny jego czyn uszedłby bezkarnie.

Wszystko zależało teraz od sprawdzenia wagi tych części posągu, które były z kości słoniowej. Trzeba było je zdjąć. Przy sposobności przeważono też części złote. Była to praca długa i żmudna. Tymczasem zaś krążyły po mieście coraz to nowe pogłoski.

Szeptano, że Perykles był w zмовie z Fidiaszem, przewodniczył bowiem komisji odbierającej posąg i rachunki. Tej jednak potwarzy mało kto dawał wiarę. W ciągu już ponad trzydziestu lat działalności politycznej Perykles miał wielu wrogów i spotkał się z niejednym zarzutem, nikt jednak nie odważył się otwarcie twierdzić kiedykolwiek, że wyzyskuje on swoje stanowisko dla bogacenia się. Perykles to człowiek czystych rąk – takie było powszechne przekonanie w państwie, którego obywatele miłowali pieniądź nade wszystko.

Odżyły natomiast i znajdowały wielu chętnych słuchaczy plotki sprzed lat kilkunastu. Mówiły one o zgoła odmiennych powiązaniach rzeźbiarza i polityka. Do pracowni mistrza, który modelował potężne postacie bogów, ciekawie zaglądały piękne panie. Były wśród nich również i mężatki z najlepszych domów. Tam w zbożnym skupieniu podziwiałały wspaniałość budowy ludzkiego ciała. Ale równie często odwiedzał Fidiaszowy warsztat sam Perykles. Wiadomo jednak było, że nad zimną harmonię idealnych proporcji przedkłada on ciepło i miękkość kobiecego uroku. Tak więc – zapewniało wielu – pracownia, w której powstawał posąg bogini – dziewicy, opiekunki miasta, stała się w istocie domem schadzek!

Oczywiście, większość Ateńczyków odrzucała z oburzeniem i te niegodne oszczerstwa, choć właśnie najstarszy syn Peryklesa, Ksantypus, czynił co mógł, aby urobić swemu ojcu opinię wręcz nienasyconego kobieciarza. Ta niechęć do ojca była u Ksantyposa częściowo zrozumiała. Perykles, człowiek zawsze oszczędny i mimo dużego majątku żyjący bardzo skromnie, pragnął te same cnoty zaszczerpić swemu potomstwu. Ksantypus, młodzieniec już dwudziestokilkuletni, ożenił się z kobietą młodą i ceniącą zbytek; zresztą i on sam miałby ochotę żyć wesoło i wystawnie jak cała złota młodzież ówczesnych Aten. A tymczasem oboje byli na utrzymaniu ojca, który wydzieliał im pieniądze skąpo i rzadko. Nie widząc innego sposobu zdobycia gotówki imał się Ksantypus nędznego podstępu: pożyczył od kogoś znaczną sumę w imieniu niby to samego Peryklesa. Po jakimś czasie rzecz się wydała; Perykles, naga-bywany o zwrot pieniędzy przez rzekomego wierzyciela, wytoczył mu sprawę sądową. Ośmieszony w opinii publicznej Ksantypus mścił się rozgłaszając, że ojciec zaleca się do jego żony, a więc do swej synowej! Nie było zgody i wzajemnego zrozumienia w Peryklesowym domu, o tym wiedziało całe miasto.

W związku jednak z Fidiaszem wielce oburzało Ateńczyków co innego, czemu trudno było zaprzeczyć nawet przyjaciółom Peryklesa. Oto na płaskorzeźbie, która zdobiła tarczę bogini Ateny, Fidiasz uwiecznił i siebie samego, i Peryklesa! Rzeźba przedstawiała legendarną bitwę Amazonek z Ateńczykami. Dwie postaci wybijały się wśród mężczyzn, którzy bronili ojczyzny przed wojowniczymi dziewczynami. Łysy starzec z wielkim wysiłkiem podnosił' oburącz ogromny głaz; starcem był właśnie Fidiasz. Natomiast wojownik z rozmachem ciskający włócznię bardzo przypominał Peryklesa, odmłodzonego oczywiście i lepiej zbudowanego.

Wreszcie mozolna praca dobiegła końca. Przeważono wszystkie części posągu i stwierdzono, że waga nie zgadza się z rachunkami: zużyto materiału mniej, niż zań zapłacono. Było to potwierdzeniem oskarżenia. Fidiasz został skazany na zapłacenie wysokiej grzywny. Uścić jej nie był w stanie. Stary, schorowany, złamany procesem człowiek wkrótce po wyroku zmarł w więzieniu. Rozeszły się pogłoski, że go otruto. Potomkowie Fidiasza przenieśli się do Olimpii, gdzie przyznano im zaszczytną, dziedziczną godność opiekunów posągu Zeusa.

Natomiast oskarżyciel wielkiego– rzeźbiarza, Meton, otrzymał piękną nagrodę. Ateńskie zgromadzenie ludowe zwolniło go na zawsze od wszelkich ciężarów na rzecz państwa. Był to przywilej rzadki, dla Metona zaś ważny, ponieważ nie posiadał on ateńskiego obywatelstwa i przebywał w Attyce jako metojkos; a mieszkańcy tej kategorii byli z reguły najbardziej obciążani.

Jednocześnie zgromadzenie ludowe poleciło strategom, aby dbali o bezpieczeństwo osoby Metona. Było to zrozumiałe, ściągnął on bowiem na siebie nienawiść wielu wpływowych ludzi, zwłaszcza zaś członków komisji budowy; było zarazem złośliwe, bo przecież przewodził strategom właśnie Perykles! A więc miał on czuwać nad bezpieczeństwem człowieka,

który zgubił jedną z bliskich mu osób, jego zaś samego naraził na wiele przykrych podejrzeń. Każdy mieszkaniec Aten rozumiał, że sprawa Fidiasza boleśnie dotknęła Peryklesa, choć w trakcie procesu zachowywał całkowitą neutralność. Zresztą – jak inaczej miał postąpić? Jakiegokolwiek śmielsze wystąpienie w obronie rzeźbiarza byłoby z pewnością uznane przez ogół za dowód współwiny.

Pewne okoliczności procesu Fidiasza musiały się wydać ludziom głębiej patrzącym nader znamienne. Oskarżenie wysunięto dopiero w kilka lat po wykonaniu posagu. Prośba Metona o zagwarantowanie mu bezpieczeństwa została natychmiast podchwyciona i przyjęta. Przyznano oskarżycielowi nagrodę. Fidiasz był może istotnie winny – ale owe fakty wskazywały, że za Metonem stali ludzie mocni i działający celowo. To oni skłonili Metona do wystąpienia! Było przecież trudno uwierzyć, aby ktoś nie posiadający nawet obywatelstwa ateńskiego, skromny pomocnik rzeźbiarza, poczynił sobie tak śmiało samowolnie i bez żadnego oparcia.

Kim byli owi poplecznicy Metona? Spór z Koryntem groził przeistoczeniem się w otwartą wojnę z całym Związkiem Peloponeskim. Mówiono o tym coraz głośniejsze. Zapytywano:

– Czy Perykles nie prowadzi polityki zbyt niebezpiecznej? Pragnie potęgi Aten i zniszczenia wszystkich rywali. Ale cena może okazać się zbyt wysoka. Czy nie należy powstrzymać tego człowieka nim będzie za późno?

Bezwzględni przeciwnicy wojny byli przede wszystkim oligarchowie. Wpływało to nie tylko z ich sympatii dla Sparty i jej ustroju, lecz i z obawy, że działania wojenne spowodują ruinę gospodarki rolnej w Attyce; ziemia zaś była nadal głównym źródłem dochodów tej warstwy. Nie były to obawy bezpodstawne. Plan strategiczny Peryklesa był jasny i dość znany: na wypadek wtargnięcia spartańskiej armii cała ludność Attyki opuści tereny otwarte i schroni się za murami miasta, gdzie – dzięki połączeniu z portem w Pireusie – można będzie przetrzymać bezpiecznie i nie cierpiąc głodu nawet najdłuższe oblężenie. A więc miano wydać na pastwę nieprzyjaciela zasiewy i sady, winnice i piękne domostwa wiejskie! To oburzało do głębi nie tylko oligarchów, lecz i wszystkich zamożniejszych chłopów, choć ci dotychczas szli zwykle za Peryklosem. Narzekali oni:

– Jakżeż to? Mamy rzucić wszystko, cały dobytek i wszystek owoc ciężkiej pracy nas samych i naszych ojców? Mamy gnieść się w murach miasta i żyć nie wiadomo z czego? Łatwo to mówić rzemieślnikom, wioślarzom i kramarzom! Ci niczego nie stracą, może nawet i zarobią coś dzięki wojnie!

Wiosną roku 432 powrócił do Aten przywódca oligarchów, Tukidydes, syn Melezjasza. Wygnano go ostracyzmem przed dziesięciu laty i właśnie jego nieobecność dawała Peryklesowi wielką swobodę działania. Pojawienie się na widowni tego wybitnego arystokraty ożywiło nadzieje zarówno wrogów demokracji, jak i tych wszystkich, którzy po prostu lękali się wojny i dlatego pragnęli zmiany u steru rządów. W tej sytuacji proces Fidiasza można było rozumieć jako zapowiedź walki stronnictw o władzę. Istotnie. Rychło nastąpił drugi atak przeciw Peryklesowi.

PROCES ANAKSAGORASA

Przed zgromadzeniem ludowym wystąpił kapłan Diopejtes. Był on, jak powszechnie wiadano, związany z oligarchami. Przedstawił obecnie projekt nowej ustawy: należy pociągnąć do odpowiedzialności sądowej tych wszystkich, którzy nie wierzą w bogów nieśmiertelnych i zuchwale rozprawiają o rzeczach na niebie!

Nikt spośród tysięcy obywateli zgromadzonych na Pnyksie nie ośmielił się podać w wątpliwość potrzeby takiej ustawy. Bezbożność bowiem, czyli asebeja, była w przekonaniu ogółu ciężkim przestępstwem wobec państwa i społeczności: może wywołać gniew bogów i stać się

przyczyną klęsk, a nawet zguby całego miasta. Ustawę więc przyjęto, choć wszyscy wiedzieli, że godzi ona w jednego przede wszystkim człowieka, który nauczał od lat:

Nasz świat stworzyli nie bogowie, lecz Rozum. To on Wprawił w ruch bezładną masę materii. Słońce, księżyc i gwiazdy to tylko rozżarzone gązdy, które niesie kolisty prąd eteru. Nie czujemy ciepła gwiazd, albowiem są one bardziej od nas oddalone niż słońce; to zaś jest większe od całego Peloponezu. Księżyc nie posiada własnego światła, odbija blask słońca; znajdują się na nim góry i równiny. Zaćmienia księżyca powoduje ziemia, przesłaniając padające nań światło słoneczne. Wichury, trzęsienia ziemi i pioruny to tylko skutki ruchów i zderzeń mas powietrza.

Tak nauczał Anaksagoras. Jego uczeń Perykles w czasie obrad nad wnioskiem Diopejtesa ani słowem nie dał poznać, że jest przeciwny ustawie. Postępował roztropnie, ściągnąłby bowiem na siebie zarzut obrońcy bezbożników. A tymczasem wnet po przyjęciu uchwały wpłynęło, jak było od razu do przewidzenia, imienne oskarżenie przeciw Anaksagorasowi. Nie sposób było nawet myśleć o jego obronie, oskarżyciel bowiem mógł się powołać na łatwo dostępną książkę, gdzie wszystkie bezbożne myśli wyłożone były jasno i bez obsłonek. Kara, w razie skazania, byłaby surowa: wysoka grzywna lub nawet śmierć. Spodziewając się już z góry najgorszego Anaksagoras powiedział do swych przyjaciół:

– Natura i tak wydała już dawno wyrok zarówno na mnie, jak i na moich sędziów!

Również i Perykles był przekonany, że sprawa przed sądem musi przybrać zły obrót. Wytrawny polityk nie miał złudzeń: sojusz oligarchów i kapłanów wyrzuci na trybunale przysięgłych ogromne wrażenie. Jedyny ratunek to usunąć mistrza z Aten jak najprędzej, nim jeszcze rozpocznie się przewód!

Anaksagoras przyjął tę życzliwą radę, choć wyjazd z Aten równał się dlań wygnaniu. Urodził się wprawdzie w Azji Mniejszej i nigdy nie uzyskał ateńskiego obywatelstwa, tu jednak spędził ponad trzydzieści najlepszych i najbardziej twórczych lat swego życia. Znalazł tu wielu przyjaciół, teraz zaś pozostawiał garstkę uczniów. Choć cios był bolesny, filozof zachował spokój i głębokie przekonanie, że chleba attyckiego darmo nie jadł. Zapoczątkował w grodzie Ateny wartości nowe i trwałe. Toteż kiedy ktoś zaczął opłakiwać urągliwie jego los obecny:

– I cóż poczniesz, skoro pozbawiono cię twych Ateńczyków? – przerwał te złośliwe żale stwierdzeniem krótkim i dumnym:

– Przeciwnie, to ich pozbawiono mnie! Historia przyznała mu słusność. To prawda, że jego imię nie jest dziś tak powszechnie znane jak nazwiska myślicieli, którzy działali w Atenach później. Jemu to jednak, Anaksagorasowi, przypada zaszczyt, że pierwszy nauczał tutaj wiecznie niesytej ciekawości i zdumiewania się nad zjawiskami pozornie najprostszymi, a także i przekory wobec prawd niby to oczywistych.

Wielu szczerze ubolewało, że przyjdzie Anaksagorasowi umrzeć z dala od przybranej, a tak ukochanej ojczyzny. Był już starcem, miał lat prawie 70. Odpowiadał na to przyjacielom ze spokojną rezygnacją:

– Droga do świata cieniów jest zewsząd ta sama! i dodawał jakby patrząc wstecz na swoje życie i pocieszając się, że nikt nie zdoła mu odebrać tego, co stanowi o jego wartości:

– Urodziłem się po to, aby badać słońce, księżyc i niebo!

Tym zaś badaniom – łatwo było się dorozumieć – można oddawać się wszędzie.

Po wyjeździe z Aten Anaksagoras osiedlił się w mieście Lampsakos na azjatyckim wybrzeżu Hellespontu. Dlaczego wybrał tę właśnie miejscowość? Czy nie z tego powodu, że leżała ona prawie naprzeciw Ajgos Potamoj? Przed trzydziestu pięciu laty spadł tam kamień z nieba – wydarzenie, które natchnęło młodego wówczas człowieka myślą, że gwiazdy, słońce i księżyc nie są ani bóstwami, ani też eterycznymi ogniami, lecz czymś z natury swej nie różnym od materii ziemi. Ten pogląd miał stać się później przyczyną wygnania z Aten. Tak zamknęło się koło.

Filozof żył w Lampsakos otoczony powszechną czcią jeszcze kilka lat. Kiedy czuł, że blisko mu już kresu, zwrócił się z prośbą do władz miasta:

– Niech dzień mojej śmierci będzie corocznie świętem dzieci, wolnym od nauki w szkole, poświęconym tylko zabawie!

Uszanowano wolę wielkiego myśliciela. Jeszcze w kilka wieków później dzieci w Lampsakos z wdzięcznością wspominały starożytnego mędrca, który tak świetnie przejrzał budowę nieba, ale rozumiał też jak niewielu, co sprawia prawdziwą radość istotom całkiem malutkim.

Tak więc filozof wyszedł zwycięsko z zasadzki, którą zastawili nań zawistni i małostkowi politycy ateńscy. Pragnęli oni jednakże ukarać nie tylko śmiałość myśli filozofa, lecz także okazać bezsilność jego ucznia i opiekuna. Ten drugi cel osiągnęli w pełni. Perykles przegrał. Swego mistrza uratował tylko za cenę usunięcia go z Aten. Wszyscy mogli się przekonać do wódnie, że wielki strateg i boski Olimpijczyk w istocie nie ma żadnego wpływu na lud ateński, którego rzekomo jest przywódcą! Kiedy toczyła się sprawa Fidiasza, można jeszcze było tłumaczyć pozorną obojętność Peryklesa różnymi względami.

– Cóż ma czynić, jak bronić rzeźbiarza? Waga wykaże bezspornie i ponad wszelką wątpliwość, czy Fidiasz jest winny, czy też nie! Zresztą – chodzi właśnie o rzeźbiarza, a więc o rzemieślnika. Nie wypada nawet, aby ktoś, kto odpowiada za losy państwa, zajmował się ludźmi stanu tak niskiego.

Ale w wypadku Anaksagorasa rzecz przedstawiała się całkiem inaczej. Był to człowiek sławny, wielkiej prawości, oddany tylko czystej teorii, nauczyciel Peryklesa. Toteż po pewnym czasie, gdy rzeczywisty bieg wydarzeń zatarł się w ludzkiej pamięci, starano się w jakiś sposób obronić cześć Peryklesa. Zaczęły krążyć opowiadania – zarówno w Atenach, jak i w innych miastach Hellady – które przedstawiały sprawę zgodnie z utartym poglądem o wszechmocy Peryklesa. Tak więc opowiadano, że Anaksagoras, już skazany na śmierć, przebywał w więzieniu.

Przechodząc koło tego budynku Perykles dowiedział się przypadkowo, co grozi starcowi. Natychmiast zwrócił się do strażników z władczym wezwaniem:

– I ja jestem jego uczniem! Nie dajcie się zwodzić oszczerczym oskarżeniami. To człowiek niewinny, wypuście go na wolność!

Dozorcy posłusznie spełnili ten rozkaz.

Inni znowu zapewniali, że w czasie procesu Perykles zjawił się przed trybunałem prowadząc swego schorowanego mistrza. Sędziowie wzruszeni widokiem tak synowskiego przywiązania wydali wyrok uniewinniający.

Opowiadania były budujące, lecz naiwne. W rzeczywistości sytuacja Peryklesa była taka, że nie mógł osłonić przed rozprawą sądową nawet najbliższej sobie osoby.

PROCES ASPAZJI

Wkrótce po sprawie Anaksagorasa komediopisarz Hermippos, jednoooki a bystry wróg Peryklesa, złożył w oparciu o ustawę Diopejtosa oskarżenie tej treści:

Aspazja, córka Aksjochosa. winna jest bezbożności i stręczycielstwa; w jej domu wolno urodzone i zamężne kobiety spotykają się z Peryklosem.

Przed sądem bronił Aspazji sam Perykles, kobiecie bowiem nie wolno było występować publicznie. Mówił długo i z wielkim, niekłamany wzruszeniem. A w pewnej chwili lud i sędziowie spostrzegli ze zdumieniem, że Perykles płacze.

W owych czasach nikt nie wstydził się objawiać swych uczuć. Widok mężczyzny płaczącego nie był rzadkością. Łzy i szloch nie przynosiły ujmy nawet bohaterom. Potwierdzał to sam Homer, którego pieśni wszyscy uczyli się w szkołach. Jakżeż bowiem zachowywał się

choćby Achilles? W obozie pod Troją król Agamemnon zabrał mi ulubioną brankę. Najwaleczniejszy z wojowników usiadł wówczas daleko od ludzi, nad brzegiem wiecznie szumiącego morza. Skarżył się głośno i przywoływał matkę. Usłyszała go Tetyda siedząc w mrocznej głębinie i wynurzyła się spośród fal niby mglisty opar. Pogłaskała syna i rzekła:

– Dziecko moje, czemu płaczesz? Cóż to za smutek w twoim sercu?

Jednakże Peryklesa nikt dotąd nie widział płaczącego. Olimpijczyk zawsze panował nad sobą. Jakżeż więc musiała go wzburzyć sprawa Aspazji! A przecież zarzutów jej stawianych nie można było traktować poważnie. Na czym bowiem miała polegać jej bezbożność? Czy na tym, że знаła Anaksagorasa? A może na tym, że kilku swoim dziewczętom dała imiona Muz? Zarzut zaś stręczycielstwa był obosieczny, obrażał bowiem nie tylko Aspazję, lecz i wszystkie niewiasty, które bywały w tym domu, a także ich mężów.

Aspazję uwolniono. W tym właśnie czasie zgromadzenie ludowe uchwalało na wniosek Peryklesa ostre posunięcia przeciw Megarze: zakaz sprzedaży jej towarów w Attyce oraz przyjmowania megaryjskich okrętów w portach Związku. Toteż wrogowie Peryklesa zaczęli rozgłaszać:

– Perykles traci wpływy, z trudem uratował swoją Aspazję. Widzi jedno tylko ocalenie dla siebie – wojnę! Powie wtedy, że wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa trzeba odłożyć ważne wewnętrzne!

A w kilkanaście lat później, już po śmierci Peryklesa, złośliwy Arystofanes tak połączył sprawę Aspazji oraz Megary w komedii *Acharnejczycy*:

„Ja sam, panowie, z całej duszy–nienawidzę Lakonów; niechaj by im wielki bóg z Tajnaru, Posejdon, roztrząsł domy i na głowy zwałił: toć i moje winnice dziś potratowane. Ale powiedzmy szczerze – do przyjaciół mówię – czemuż to za te biedy winimy Lakonów? To przecie nasi ludzie – nie o państwie mówię; proszę nie zapominać: nie o państwie mówię! – ale marni ludkowie, fałszywego stempla, bez czci, obywatele podrabiani, szpiegi, szachraje, donosili o płaszczykach z Megar. I jeśli gdzie postrzegli ogórek, zajączka, prosiaczka, czosnku główkę albo grudkę soli, wszystko było »megarskie« i zaraz sprzedane. To zresztą rzeczy mniejsze i nasze, miejscowe... Ale oto zgrana i pijana gromada młodzieniaszków do Megar idzie i Symaję, dziwkę, wykrada stamtąd; na to Megarczycy, podrażnieni, jak czosnkiem koguty, wykradli dwie dziwki od Aspazji. Tak przez trzy kurewki wybuchła wielka wojna wśród wszystkich Hellenów. Perykles Olimpijczyk srogim zawrzał gniewem; błyskał, grzmiał, całą do cna zmaćił Helladę! Prawa pisał na modłę biesiadnych piosenek:

»Megarczykom przebywać wszędzie zakazano; na ziemi i na rynku, na lądzie i na morzu«. Cóż dalej? Megarczycy, gdy im głód doskwierać zaczynał pomaleńku, prosili Lakonów, by może tę uchwałę – tę, wiecie, z powodu kurewek – w kąć odstawić; ale wyście słuchać nie chcieli... Tu już tarcz się zaczęło trzaskanie.”⁴³

ZBRODNIA SPRZED DWÓCH WIEKÓW I PERYKLES

Poselstwa ze Sparty rzeczywiście przybywały często zimą roku 431. Prawdą też było, że domagały się uchylecia antymegaryjskich ustaw. Ich pierwsze jednak żądanie dotyczyło innej sprawy. Było wymierzone wprost w Peryklesa:

– Przypominamy, że są wśród was ludzie napiętnowani zbrodnią i przeklęci przez bogów od pokoleń! Spełnicie swój święty obowiązek wyrzucając precz tę zakałę!

⁴³ Arystofanes, *Acharniacy*, w. 513—543 (przekład S. Srebrnego z drobnymi zmianami).

Przed siedemdziesięciu pięciu laty posłowie Sparty wystąpili z takim samym żądaniem. Wówczas wymierzone ono było przeciw Klejstenesowi Alkmeonidzie, ojcu ateńskiej demokracji, obecnie zaś przeciw jego krewnemu, który umocnił władztwo ludu. W obu wypadkach zbrodnia – z roku 630, zbrodnia Alkmeonidów, miała swym jadem zatruwać teraźniejszość. W roku 432 rząd Lacedemonu rozumował tak:

Trzy procesy skompromitowały Peryklesa. Sprawa Fidiasza pozostawiła wrażenie, że jeśli nawet nie czerpał on korzyści z kradzieży kości słoniowej, to jednak wiedział o tym świętokradczym czynie. Pozwanie Anaksagorasa o bezbożność przypomniało Ateńczykom, co to za człowiek jest nauczycielem Peryklesa. Aspazję, jego ukochaną, oskarżono o stręczycielstwo. Wielu nie daje wiary tym zarzutom, pozostaje jednak ziarno podejrzania. A na pewno niemało jest takich, którzy wierzą we wszystko – z niechęci do Peryklesa. Wielki wódz ludu okazał się bezsilny. Jednego z oskarżonych skazano. Drugi uciekł. Aspazję wybronił Perykles łzami, ośmieszając się przed całą Helladą. Pora więc, skoro od wewnątrz tak już zachwiano tronem Olimpijczyka, pchnąć go teraz z zewnątrz i obalić. Przypomnimy ateńskiemu ludowi, że Perykles jest nie tylko poplecznikiem świętokradcy, uczniem bezbożnika, kochankiem ladaczniczcy, lecz także człowiekiem przeklętym, bo płynie w nim krew rodu skalanego zbrodnią: przez matkę jest potomkiem Alkmeonidów. Zażądamy od Ateńczyków, aby oczyścili swe miasto ze zbrodniarzy wyklętych przez bogów. Zrozumie to każdy, nawet jeśli nie padnie imię Peryklesa. Jaki będzie skutek naszego żądania? Zdania w ateńskim zgromadzeniu na pewno będą podzielone. Ci, którzy dość mają Peryklesa i nie chcą wojny, wyzyskają sposobność. Perykles, być może, pójdzie na wygnanie. To zmieniłoby sytuację całkowicie, bo władzę objąłby Tukidydes; z nim można by prowadzić rozmowy. Gdyby jednak tak się nie stało, to jedno jest pewne: nowa plama przylgnie do imienia ateńskiego przywódcy. Będzie też wiadomo wszystkim Hellenom, że wojnę, do której się gotujemy, prowadzimy przeciw człowiekowi przeklętemu!

W istocie rzeczy wojna została już postanowiona. Było to wynikiem długotrwałych i burzliwych obrad prowadzonych w Sparcie od jesieni roku 432 z przedstawicielami państw sprzymierzonych. Najsilniej nalegali na wypowiedzenie wojny oczywiście posłowie Megary i Koryntu. Jednakże wśród samych Spartan początkowo zgoła nie było jednomyślności. Na zgromadzeniu wszystkich pełnoprawnych obywateli zastanawiano się:

Czy Ateńczycy istotnie zerwali pokój mieszając się w sprawy Korkyry i Potidei? Czy należy wypowiedzieć wojnę? Jakie są szanse jej wygrania?

Nawet jeden z dwóch królów, Archidamos, przemawiał w tym duchu, aby postępować rozważnie i najpierw przeprowadzić rokowania. Nawoływał:

– Jestem już człowiekiem starym i doświadczoneym. Sądzę, że ta wojna będzie bardzo niebezpieczna. Ateny władają na morzu, są bogate, ludności mają więcej niż którekolwiek z państw helleńskich – i to biorąc pod uwagę tylko Attykę. A przecież panują jeszcze nad sprzymierzeńcami! Tymczasem nasza flota jest znacznie słabsza. Potrzeba wiele czasu, aby ją rozbudować. Nie mamy również pieniędzy – ani w skarbie państwa, ani też u ludzi prywatnych. Owszem, nasze wojska lądowe będą w przewadze. Mogłyby więc najeżdżać Attykę i niszczyć ją. Jednakże jej mieszkańcy zamkną się za murami i sprowadzą wszystko, czego im potrzeba do życia, drogą morską. A jak oderwać od nich sprzymierzeńców, skoro nie posiadamy floty? Nie wierzę, aby tę wojnę można wygrać starym sposobem, to jest ograniczając się tylko do niszczenia kraju przeciwnika. Będą to więc zmagania długie i wieloletnie. Dlatego uważam, że należy najpierw wszcząć rokowania, twardo występując w obronie naszych sprzymierzeńców. Jednocześnie zaś powinniśmy się zbroić i pozyskiwać sobie przyjaciół pośród wszystkich państw, zarówno helleńskich, jak i barbarzyńskich. Najkonieczniejsze jest obecnie, moim zdaniem, zebranie odpowiednich funduszków. To jest nawet ważniejsze od uzbrojenia. Swoją wielkość państwo nasze zawdzięcza pewnej powolności w działaniu – powolności, która jest wynikiem rozwagi. I teraz więc nie dajmy się wciągnąć w pochopne

przedsięwzięcie. Pamiętajmy, że od tego, co teraz postanowimy, zależeć będzie los wielu ludzi i państw. Dlatego raz jeszcze stawiam wniosek: niech uda się do Aten nasze poselstwo, my zaś tymczasem winniśmy zająć się z całą gorliwością zbrojeniami i gromadzeniem zasobów finansowych!

Jednakże bezpośrednio po Archidamosie ostro wypowiedział się za wojną jeden z eforów. Zarządzono głosowanie jawne. Obywatele mieli przejść na jedną lub na drugą stronę placu, w zależności od tego, czy opowiadali się za wojną, czy też za pokojem. Większość powodowała się wstydem; nikt nie chciał uchodzić za tchórza, który lęka się zbrojnego starcia z wrogiem. Po przeliczeniu obu stron ogłoszono oficjalnie: obywatele Lacedemonu uznają, że Ateńczycy zerwali układ pokojowy.

Zwołano następnie zebranie delegatów z wszystkich państw należących do Związku Peloponeskiego. Jednocześnie wysłano posłów do Delf, do wyroczni Apollona. Ci przynieśli odpowiedź:

– Jeśli wyteżymy wszystkie siły, zwyciężymy. Bóg zapowiedział, że walczyć będzie po naszej stronie.

Ta wola boga Delf była zrozumiała i łatwa do przewidzenia. Kapłańska oligarchia rządząca wyrocznią zawsze sympatyzowała ze Spartą.

Obrady zgromadzenia delegatów były tylko formalnością. Rej wodzili wysłannicy Koryntu. W głosowaniu znowu przytłaczająca większość wypowiedziała się za wojną. Ta wojowniczość rady Związku była może spowodowana i tym, że z Aten dochodziły wieści o kłopotach Peryklesa. Uważano więc za słuszne postawić sprawę na ostrzu miecza, aby przez tę determinację doprowadzić do jeszcze większego rozłamu w ateńskim społeczeństwie. Wówczas to właśnie wystali Spartanie do Aten poselstwo, które zażądało „oczyszczenia miasta od zmyy przekleństwa”.

Spartanie przeliczyli się. Większość Ateńczyków zrozumiała żądanie, aby Peryklesa wygnać – bo o to przecież chodziło – jako bezczelne mieszanie się w sprawy wewnętrzne ich państwa. Jeśli nawet na rodzie Alkmeonidów istotnie ciąży przekleństwo, to cóż do tego Lacedemończykom? Dlaczegoż to mianują sami siebie wykonawcami woli bogów i stróżami ich sprawiedliwości? Natychmiast dały się słyszeć głosy:

– Jeśli teraz, kiedy wszystko już zmierza ku wojnie, Spartanie chcą wygnania Peryklesa, to widocznie dlatego, że się go boją. Pragną, aby państwo nasze pozostało bez sternika, kiedy rozpęta się burza!

Zresztą, mimo trzech procesów i wszelkich wysiłków opozycji, Perykles całkiem nie został tak osłabiony, jak życzyliby sobie jego wrogowie w kraju i zagranicą. To prawda, że wielu Ateńczyków z wyraźną uciechą patrzyło, jak to wzniosły Olimpijczyk nagle okazuje się niemal współnikiem nieuczciwego rzeźbiarza, uczniem bezbożnika, przyjacielem stręczycielki. Można było temu wszystkiemu nie wierzyć, jak miło jednak było dać upust swej zawiści wobec możnych i naturalnej u prostaczków skłonności do plotkowania! Sprawy wytoczone bliskim Peryklesa zdawały się pouczać: my wszyscy śmiertelni jesteśmy podobni w swych ułomnościach; wszyscy, wielcy i mali, mamy jakieś sprawy wstydlive, o których lepiej byłoby nie mówić!

Kiedy jednak w te domowe swary wtrącił się ktoś obcy – więcej niż obcy, bo wróg od dawna! – nastroje tłumu natychmiast uległy zmianie. Całe pokolenie Ateńczyków wychowało się i wzrosło pod rządami Peryklesa. Stał się on już symbolem wielkości ich państwa. Nawet nieprzychylni mu ludzie skłonni byli stwierdzać obecnie:

– Sprawiedliwość wymagała, aby procesy zostały wytoczone, winni zaś ukarani. To jednak nie oznacza, że Perykles jest człowiekiem złym i politykiem nieudolnym. Przeciwnie. W państwie, w którym naprawdę rządzi lud, nie ma nikogo tak wpływowego i na tak wysokim stanowisku, aby jego samego, a także i jego bliskich, nie osiągały prawa obowiązujące wszystkich obywateli. Sprawa Fidasza, Anaksagorasa i Aspazji była dowodem ateńskiej prawo-

rządności i rzeczywistej demokracji. Osobiście Perykles nie był atakowany, jego zaś zasług dla państwa i ludu nikt nie podaje w wątpliwość.

Odpowiedź, którą posłowie Lacedemonu zawieźli swemu rządowi, była najoczywistszym dowodem, że Perykles nic nie stracił ze swych wpływów:

Zamiast trapić się o rzekomą zbrodnię, której klątwa ponoć obciąża Ateńczyków, winni by Spartanie pamiętać o zmasie, która kała ich samych. Bo przecież przed niespełna czterdziestu laty dopuścili się czynu bezbożnego i okrutnego. Heloci nie mogąc znieść ucisku schronili się pod opiekę boga Posejdonu w jego świątyni na przylądku Tajnaron. Otrzymali zapewnienie, że mogą wyjść bezpiecznie – i natychmiast po opuszczeniu przybytku zostali zdradziecko wymordowani!

A nieco później jakież to los spotkał Pauzanasza? I on był pod opieką bogów. Podejrzany o spiskowanie z Persami miał zostać uwięziony. W ostatniej jednak chwili wyczytał z wyrazu twarzy efora, co mu grozi. Znajdował się na ulicy, w pobliżu świętego okręgu Ateny Chalkajos. Pobiegł tam i wszedł do budynekczku w pobliżu świątyni. Przebywał w nim niby to w spokoju, później jednak został zamurowany żywcem. Kiedy już całkowicie opadł z sił, wyniesiono go ze świątyni. Na szczęście dla siebie zaraz wyzionął ducha. Wszystko to było pogwałceniem praw bogini. Sam Apollon z Delf, choć tak przyjazny Lacedemończykom, oświadczył to wyraźnie. Rozkazał pogrzebać Pauzanasza w świętym okręgu, a także złożyć bogini dwa ciała w zamian za to jedno, które zostało zabrane siłą. I stoją do dziś ustawione przez Spartan dwa posągi Pauzanasza, niemi oskarżyciele świętokradczego postępowania tego państwa!

Po takiej odpowiedzi następne poselstwa lacedemońskie już nie poruszały sprawy zbrodni Alkmeonidów i nie domagały się wygnania Peryklesa. Wystąpiły natomiast z żądaniem, które dotyczyły samej istoty sporu. Głosiły więc: należy przerwać oblężenie Potidei oraz przywrócić wyspie Eginie dawne jej swobody. Przede wszystkim jednak powracali Lacedemończycy wciąż do tej samej sprawy: uchwały przeciw Megarze muszą zostać uchylone, i to jak najszybciej. Posłowie mówili bez ogródek:

– Od tego zależy wszystko, wojna i pokój! Istotnie, sprawa Megary miała szczególne znaczenie. Spartanom, mimo nacisku Koryntu, nie zależało aż tak bardzo na tym właśnie państewku, by z jego powodu mieli podejmować wojnę. Chodziło jednak o rzecz zasadniczą: co stanie się z wolnością morza i swobodą żeglugi, jeśli Ateńczycy zechcą – pod jakimkolwiek pozorem – zamykać swe porty również przed okrętami innych państw, te zaś z kolei odpowiedzą podobnym posunięciem? W ten sposób, pozornie unikając wojny, można by doprowadzić do bezwzględnej uległości każde miasto! Dla Sparty swoboda mórz była niezmiernie ważna – właśnie dlatego, że nie posiadała silnej floty.

Perykles natomiast był nieprzejednany. Uchyłał się w ogóle od wszelkiej dyskusji nad tą sprawą, a to ze względów, jak twierdził, formalnych i zasadniczych:

– Zgromadzenie ludowe powzięło uchwałę, która zakazuje pod surowymi karami usuwać tablicę dekretu przeciw Megarze!

Jeden z posłów odrzekł na to:

– Więc jej nie usuwajcie, lecz tylko odwróćcie – tekstem do ściany!

Co znaczyło: Lacedemończycy, choć ich przygotowania wojenne były już w toku, zadowoliliby się nawet nie odwołaniem, lecz tylko nieprzestrzeganiem przez Ateńczyków postanowień owego dekretu. Było to stanowisko roztropne, gest niewątpliwie pojednawczy. Perykles znalazł się w sytuacji kłopotliwej. Chciał odtrącić wyciągniętą rękę, jakież jednak znaleźć powód, który by wydał się przekonywający i Ateńczykom i Spartanom?

Właśnie wówczas zdarzył się ponury wypadek, który nigdy nie został wyjaśniony do końca. Do Megary i Sparty wyprawiony został ateński herold. Nazywał się Antemokritos. Zamordowano go skrytobójczo na terytorium Megary. Kto był sprawcą tej zbrodni? Megaryj

czycy przysięgali, że nikt z ich obywateli. Natomiast w Atenach natychmiast nowym płomieniem rozpałała się nienawiść do państwa, które tak zbrodniczo podeptało najświętsze prawa i obyczaje Hellenów.

W jakiś czas potem zgromadzenie ludowe powzięło uchwałę, która była jaskrawym przejawem owej nienawiści:

Wojna z Megarą rozpocznie się bez rokowań i bez wysyłania herolda. Każdy Megaryjczyk, który przekroczy granicę Attyki, ukarany zostanie śmiercią. Strategowie obejmując urząd będą składać przysięgę, że dwukrotnie za swej kadencji powiodą wojska przeciw Megarze.

Pochowano herolda Antemokritosa na cmentarzu państwowym za Bramą Dipylońską.

Nowe poselstwo lacedemońskie przedstawiło już tylko rzecz zasadniczą: Sparta jest krajem pokój miłującym i wojny nie rozpocznie, jeśli Ateńczycy zapewnią wolność wszystkim państwom Hellady. Perykles wygłosił wówczas przed zgromadzeniem ludowym jedno ze swych wielkich, programowych przemówień. Zobrazował siły i możliwości obu stron, stwierdził wyraźnie, że wojna jest nieunikniona, Lacedemończykom zaś radził dać taką odpowiedź:

Pozwolimy Megary językom korzystać z naszych portów i sprzedawać w Attyce, ale pod tym warunkiem, że również Lacedemończycy otworzą swój kraj dla nas i dla naszych sprzymierzeńców. Przywrócimy swobody wewnętrzne państwom naszego Związku, jeżeli Lacedemończycy pozwolą, aby ich sprzymierzeńcy rządili się tak, jak wygodnie im samym, a nie Sparcie. Obecny spór gotowi jesteśmy oddać do rozpatrzenia rozjemcom. My wojny nie rozpoczniemy, ale w razie napaści bronić się będziemy ze wszystkich sił.

Oba żądania były dla Spartan nie do przyjęcia, o tym wiedział zarówno Perykles, jak i słuchacze. Co do pierwszego: Lacedemon stanowił od wieków kraj szczelnie zamknięty; niechętnie wpuszczano cudzoziemców, własnych zaś obywateli wysyłano za granicę tylko w misjach państwowych. Jakżeż więc mieliby teraz zgodzić się Spartanie na przekreślenie zasady, która stała się już jednym z filarów ich państwowości? A co do drugiego: swoboda wyboru ustroju oznaczałaby, że państwa Związku Peloponeskiego mogą przyjąć formy demokratyczne. Dla konserwatywnego rządu lacedemońskiego sama myśl o tym była po prostu przerażająca.

Odpowiedź, którą posłowie zawieźli do swego kraju, kończyła się stwierdzeniem:

Byłoby poniżej godności Ateńczyków podporządkowywać się czyimkolwiek rozkazom. Trwamy jednak przy układzie pokojowym i zgodnie z jego postanowieniami gotowi jesteśmy załatwić wszelkie kwestie sporne w drodze rokowań.

Było to już ostatnie poselstwo z Lacedemonu.

Człowiek współczesny owym wypadkom tak ocenił później wpływ, jaki miała postawa Peryklesa na rozwój sytuacji:

„Będąc najpotężniejszym ze współczesnych i prowadząc politykę państwa we wszystkim sprzeciwiał się Lacedemończykom, nie zgadzał się na żadne ustępstwa i pchał Ateńczyków do wojny.”⁴⁴

Autor tej oceny, dobitnej i całkowicie jednoznacznej, nie był, jak można by sądzić, wrogiem Peryklesa i jego polityki. Wystarczy przytoczyć inne jego słowa o przywódcy ateńskich demokratów:

„Perykles wywierał wpływ dzięki swemu autorytetowi i mądrości; będąc bez wątpienia nieprzekupnym, z łatwością trzymał lud w ryzach i nie lud nim kierował, ale on ludem. Zdobywając sobie znaczenie jedynie uczciwymi środkami, nie schlebiał nikomu, lecz wykorzy-

⁴⁴ Tukidydes, *Wojna peloponeska*, 1127 (przekład K. Kumanieckiego, Warszawa 1957).

stując osobistą przewagę, czasem także gniewnie do ludu przemawiał Ilekroć czuł, że Ateńczyków ponosi niewczesna buta i zuchwałość, potrafił ich zastraszyć, a kiedy znowu bez uzasadnienia wpadali w panikę, dodawał im otuchy. Choć więc z imienia była demokracja, w rzeczywistości były to rządy pierwszego obywatela.”⁴⁵

Tukidydes, syn Olorosa, zaczął pisać dzieło historyczne, z którego pochodzą przytoczone zdania, już w trakcie działań wojennych. Jednakże sam zamiar uwiecznienia zmagania dwóch przodujących państw helleńskich dojrzał w nim nieco wcześniej. Kiedy sprawa Korkyry rozpętywała lawinę groźnych wydarzeń, Tukidydes nie miał jeszcze trzydziestu lat. Pochodził ze znakomitej, bardzo bogatej rodziny. Przez ojca spokrewniony był z rodem Filajdów, a więc z tak wielkimi osobistościami czasów minionych, jak Miltiades i Kimon. Łączyły go więzy krwi również z Tukidydesem, synem Melezjasza, ówczesnym przywódcą oligarchów. To wszystko – pochodzenie, majątek, związki rodzinne – kazałoby przypuszczać, że młody człowiek stanie po stronie przeciwników Peryklesa i jego polityki. Jego jednak cechowała całkowita niezależność poglądów. Przewidywał, że nadchodząca wojna będzie nie tylko krwawa, lecz i długa, na losy zaś Hellady wywrze wpływ decydujący – ktokolwiek zwycięży. Obserwował oznaki zbliżającej się burzy i szukał ukrytych jej przyczyn. Wzbił się ponad stronnictwo nie tylko w sprawach polityki wewnętrznej, lecz i zagranicznej. Choć był Ateńczykiem, nie wahał się mówić prawdy o nastrojach Hellady w przeddzień wybuchu wojny:

„Ogólna sympatia była wyraźnie po stronie Lacedemończyków, zwłaszcza dlatego, że uroczyście zapowiedzieli oswobodzenie Hellady. Na równi z prywatnymi ludźmi państwa starały się, jak tylko mogły, pomóc Lacedemończykom; każdemu zdawało się, że sprawa ucierpi na tym, jeśli on sam nie weźmie w tym udziału. Tak wrogo odnoszono się przeważnie do Ateńczyków; jedni pragnęli uwolnić się spod ich panowania, inni bali się im ulec.”⁴⁶

⁴⁵ Tamże, II 65 (przekład jw.).

⁴⁶ Tamże, II 8 (przekład jw.).

Rozdział jedenasty

WOJNA

PLATEJE I OJNOE

Zastęp trzystu Tebańczyków wszedł do miasta skrycie, z początkiem nocy, gdy tylko opustoszały ulice. Straży, jako że panował pokój, prawie nie było. A uwagę ludności podmiejskiej łatwo było zmylić, noc bowiem była ciemna i padał ulewny deszcz, jak często wczesną wiosną. Zdrajcy wewnątrz murów czuwali. O umówionej porze, na dany znak, cicho otworzyli zasuwę jednej z bram. Niewielu było tych tebańskich sojuszników w Platejach, a wszyscy oni należeli do rodzin najuboższych. Wprowadzali obcych do swego miasta powodowani żądzą władzy i nienawiścią do pospólstwa, które rządziło dzięki poparciu Ateńczyków. Chcieli więc platejscy panowie zdławić przy tebańskiej pomocy miejscową demokrację i odebrać się od Aten. Tebańczycy ochoczo pospieszyli na ich wezwanie, bo sprzymierzone z Atenami Plateje były bolesnym cierniem beockiej ziemi; przecież zaledwie kilka godzin drogi dzieliło je od samych Teb! A tutaj świeża jeszcze była pamięć ateńskiego panowania nad całą Beocją przed piętnastu laty; wciąż obawiano się nowych zakusów z tejże strony. Różnice zaś między obu krainami były zasadnicze: Beocja była rolnicza, konserwatywna, rządzona przez oligarchów. Attyka natomiast rozkwitała przede wszystkim jako kraj kupców, rzemieślników, ludzi morza, a władza ludu nie była tam tylko teorią.

Trzystu zbrojnych stanęło na platejskiej agorze, w samym sercu miasta. Zdrajcy nalegali, aby natychmiast, póki jeszcze miasto nie poruszone, zająć te domy, które oni wskażą, i usunąć przywódców ludu. Tebańczycy jednak nie chcieli zaczynać od krwawych egzekucji. Woliliby pozyskać sobie mieszkańców układami. Wysłali więc herolda, którego donośny głos wnet postawił całe miasto na nogi. Wołał on:

– Platejczycy! Nie lękajcie się, nie spotka was nic złego! Tebańczycy przyszli tu jako przyjaciele. Powróćcie, jak było za dawnych czasów, do bratniego związku miast Beocji. Kto jest za tym, niech przyłączy się do nas na agorze!

Ulice pozostały puste, miasto wydawało się całkowicie martwe. Lecz za murami domów – które, jak wszędzie wówczas, nie miały okien od ulicy – wrzało. Ludzie przechodzili chyłkiem z jednego budynku do drugiego, przez dachy i dziury naprędce wybite w ścianach. Naradzano się w podnieceniu. Początkowo obecność wroga w samym sercu miasta tak przeraziła przywódców, że gotowi byli poddać się, byle tylko życie ocalić. Wysłali kilku zaufanych ludzi na agorę. Tymczasem, w miarę jak upływał czas i mijała groza zaskoczenia, zmiarkowano – potwierdzili to wysłannicy wracający z rozmów – że Tebańczyków nie jest tak wielu, jak się początkowo zdawało.

Plateje były miastem małym, liczyły zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców. Wielu z nich pozostawało zresztą na noc na zewnątrz murów, w swych wiejskich domach, aby prowadzić wiosenne prace w polu. Ale i tak z oddziałem trzystu tylko żołnierzy łatwo byłoby się rozprawić. Natychmiast wysłano cichcem gońca do Aten, jednakże na szybką stamtąd pomoc nie było co liczyć. Aby zmylić czujność wroga, postanowiono prowadzić dalej rozmowy w sprawie kapitulacji. Tymczasem grupy zbrojnych gromadziły się po domach, na ulice zaś, aby zamknąć przejścia, wytaczano wozy.

Noc dobiegała już końca, kiedy niespodziewanie runął pierwszy atak na oddział trzystu, wciąż stojący na agorze. Tebańczycy dzielnie odparli zarówno to natarcie, jak i następne. Stali zwarcie, żołnierz przy żołnierzu, nie dając się wyciągnąć z otwartego placu w ciasne uliczki. Te mocno zespolone szeregi pękły wówczas dopiero, gdy z dachów sąsiednich domów posypały się kamienie i cegły. W tym wściekłym zrywie wzięła udział cała ludność, nawet kobiety i niewolnicy. Pierścień raz rozerwany od razu podzielił się na małe grupki, które rozprysły się po całym mieście, rozpaczliwie szukając ocalenia. Tebańczycy nie znali miasta i jego krętych, często ślepych uliczek. Byli w pułapce. Brama, którą weszli, była już zamknięta. Założył ją któryś z Platejczyków, używając do tego, zamiast wyłamanego rygla, drzewca swej włóczni. Jakaś grupa uciekających szczęśliwie natrafiła na bramę nie obsadzoną i wyrąbała jej zamek toporem. Niektórzy usiłowali ratować się skacząc na oślep z wysokiego muru. Wielu zginęło w czasie bezładnej, trwożnej bieganiny po zaułkach, wielu też dostało się do niewoli. Największy oddział wpadł do dużego domu przy bramie, sądząc, że to wyjście z miasta. Wszyscy, którzy znaleźli się w tym potrzasku, musieli się poddać.

O świcie miasto było całkowicie wolne. Do Aten pospieszył nowy gońiec, tym razem z wieścią o zwycięstwie.

Ci Tebańczycy, którzy zdolali się uratować, uciekali, wśród deszczu i błota, ku swemu miastu. Wkrótce spotkali główny korpus. Zdązał on, aby obsadzić miasto zajęte, jak się spodziewano, nocą. Korpus ten miał przybyć według planu do Platej kilka godzin wcześniej, zaraz po oddziale trzystu, jednakże powstrzymały go ulewne deszcze i wezbrana rzeka Azopos o stromych brzegach. Na wieść o wydarzeniach w mieście usiłowano marsz przyspieszyć, ale daremnie; wojsko grzęzło w błocie. Kiedy wreszcie dowlekło się pod mury, stanęło bezradnie. Wkrótce zjawił się platejski herold z wezwaniem:

– Postąpiłście zdradziecko, napadając na nasze miasto w czasie pełnego pokoju. Obecnie żądamy od was, abyście w niczym nie szkodzili naszym ludziom, którzy nie zdążyli schronić się za murami. Domagamy się również, abyście opuścili jak najszybciej granice naszego kraju. W przeciwnym wypadku wiedzcie, że ukarzymy śmiercią wszystkich bez wyjątku jeńców!

Nie widząc innego wyjścia Tebańczycy wycofali się posłusznie. Mimo to w Platejach zabito wszystkich stu osiemdziesięciu pojmanych owej nocy. Tylko ich zwłoki wspaniałomyślnie odesłano do ojczyzny. Wkrótce po dokonaniu tego mordu przyszło z Aten polecenie: zachować pojmanych przy życiu, o ich losie zadecyduje się później! Jednakże wobec tego, co się stało, nie było już żadnych możliwości prowadzenia z przeciwnikiem rozmów i układów. Do Platej natychmiast wysłano ateńską załogę, wywieziono zaś stamtąd do Attyki kobiety, dzieci i wszystkich niezdolnych do noszenia broni.

Tak zaczęła się wielka wojna Hellenów. Jej pierwszym wydarzeniem była zdradziecka, nocna napaść i zbrodnicze wymordowanie bezbronnych jeńców. I tak była odtąd prowadzona ta wojna przez długie lata: okrutnie, podstępnie, z zacieklą bezwzględnością – jak przystało na bratobójczą wojnę narodu poetów i myślicieli.

Mieszkańcy Attyki ujrzeli groźbę pożogi dopiero w 80 dni po tebańskiej próbie opanowania Platej. Była już pełnia lata i zboże rozkwitało. Ale nie gospodarze mieli je zbierać! Wielka armia peloponeska pod wodzą króla Archidamosa posuwała się w głąb attyckiego półwyspu i pustoszyła najżyźniejsze jego okolice. Zniszczeniu uległy ziemie Eleuzis, kolebka uprawy

pszenicy, a także i sąsiednia, bogata równina triazyjska. Potem Spartanie rozbili obóz na terytorium największej gminy attyckiej. Zwała się ona Acharny i leżała niemal w sercu półwyspu nad rzeczką Kefizos.

Najeźdźcy nigdzie nie spotkali się z oporem, ale nigdzie też nie ujrzeli ani człowieka, ani nawet zwierzęcia. Wszyscy mieszkańcy wsi zawczasu opuścili swe domy i zamknęli się za potężnymi murami Aten oraz Pireusu. Mieli dość czasu na tę przeprowadzkę. Kiedy bowiem doszły wieści o platejskich wypadkach, Spartanę zgromadzili wojska swoje i peloponeskich sprzymierzeńców na Istmie Korynckim. Archidamos wysłał stamtąd posła do Aten. Miał wciąż nadzieję, że do ostateczności nie dojdzie. Sądził, że Ateńczycy cofną się w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Jednakże poseł wrócił z niczym. Nie wpuszczono go w ogóle do miasta, powołując się na uchwałę zgromadzenia ludowego, której wnioskodawcą był sam Perykles. Mówiła ona: jeśli Lacedemończycy wyruszą w pole nie będzie się z nimi w ogóle pertraktować! W ten sposób przywódca ateńskiego ludu z góry zabezpieczył się przed opozycją, która przez rokowania mogłaby opóźnić wszczęcie działań wojennych i jeszcze w ostatniej chwili uratować pokój. Poseł lacedemoński otrzymał polecenie, by jeszcze tego samego dnia opuścił granice Attyki. Jego rozmówcy dodali uwagę:

– Jeśli Spartanie naprawdę pragną rokowań, muszą najpierw wycofać się do swego kraju!

Przydzielono posłowi eskortę wojskową, aby po drodze przypadkiem nie wdał się w rozmowę z kimś postronnym. Tak zapobiegliwie wznosił Perykles mur pomiędzy swym ludem a Spartanami. Przekraczając granicę poseł rzekł do towarzyszących mu jeźdźców ateńskich:

– Ten dzień to początek wielkich nieszczęść dla wszystkich Hellenów!

Tymczasem armię peloponeską na Istmie wzmocniły posiłki Beotów. Łącznie liczyła ona około 60 000 ludzi. Jej trzon stanowiły doskonale uzbrojone i wyćwiczone oddziały spartańskie. Po przekroczeniu granicy zastępy te podeszły najpierw pod twierdzę Ojnoe, leżącą u stóp góry Kitajron. Zmarnowano wiele czasu, usiłując z uporem zdobyć potężne mury fortecy. Stawiała ona czoło wszystkim szturmom. W miarę jak upływały dni, rosło wśród oblegających niezadowolenie z dowództwa. Mówiono o królu Archidamosie:

– On już od dawna skrycie sprzyja Ateńczykom! Dlatego to zawsze raczej odradzał wojnę, dlatego też wysławiał rzekomą potęgę nieprzyjaciół. Na Istmie staliśmy zbyt długo, potem zaś wlekliśmy się ku Attyce noga za nogą. A teraz tkwimy tutaj bez żadnej potrzeby! Należało uderzyć od razu i szybko w kierunku równin nadmorskich, najbogatszych i najgęściej zaludnionych. Na pewno zastalibyśmy tam cały dobytek na polach. Nie zdążyliby na czas uciec za mury Aten!

Było nieco słuszności w tych twierdzeniach. Ateńczycy istotnie świetnie wyzyskali cały ten okres lacedemońskiej opieszałości, aby ściągnąć do miasta wszystko, co tylko dało się ruszyć. Zabierali więc nie tylko sprzęty domowe i narzędzia gospodarskie, lecz nawet drewniane części budynków. Bydło przewieziono na Eubeję i na wyspy sąsiednie. Płacząc i narzekając rozstawała się ludność ze swoją ziemią, z domami i pamiątkami po przodkach. Bo miłośnikami życia w mieście Ateńczycy nie byli. Kto tylko mógł i kiedy tylko się dało, przebywał na wsi na swoim skrawku gruntu, pielęgnując winnice i oliwki, sadząc warzywa. Najazd perski przed pięćdziesięciu laty zniszczył Attykę jak długa i szeroka. Odbudowano potem zrujnowane domy; wiele z nich stało się z czasem okazałymi siedzibami, bo rosnąca zamożność Aten pozwalała nawet na pewien zbytek. I oto nagle ten owoc zapobiegliwego, skrętnego gospodarowania przez całe pół wieku miał znowu pójść z dymem! Gaje oliwek zostaną wycięte w pień, a krzewy winorośli będą wyrwane z korzeniami; zasiewy stratuje konnica nieprzyjaciela.

Boleść rozstania z urokami sielskiego życia wzmagało to jeszcze, że miasto nie było w stanie zapewnić nawet dachu nad głową masom ściągającym z całej Attyki. Zaledwie część znalazła przytułek u przyjaciół i krewnych, posiadających domy w Atenach. Inni urządzili się jak mogli, koczując po placach lub rozkładając swój skromny dobytek pod stropami świątyń.

Tylko najczcigodniejsze przybytki pozostały zamknięte przed ciżbą nieproszonych mieszkańców. Nawet wieże murów obronnych stały się domem dla wielu rodzin. Ci, którzy napłynęli później, musieli osiedlać się już w długim korytarzu murów wiodących ku Pireusowi i w samym Pireusie.

STRATEGIA WIELKIEJ WOJNY

Wielkie przesiedlenie ludności Attyki dokonało się zgodnie z planem Peryklesa. Stanowiło jedno z założeń ateńskiej strategii wojennej. Owe założenia przedstawiał Perykles wielokrotnie w mowach i przed radą, i przed zgromadzeniem ludowym. Argumentował następująco:

Z jakimiż siłami przystępują do wojny obie strony? Łatwo to określić. Mieszkańcy Peloponezu są ubodzy. Nie będą w stanie prowadzić długich wojen w dalekich krajach, to bowiem odrywałoby ich od gospodarstw, jedynej podstawy utrzymania. Nie mają też silnej floty. Oczywiście, ludy Peloponezu mogłyby w jednej bitwie lądowej pokonać wszystkich pozostałych Hellenów, jednakże nie zdołają przeciwstawić się zasobnemu państwu, które inaczej podejdzie do spraw wojny. Należy i to mieć na uwadze, że w Związku Peloponeskim obowiązuje zasada wspólnych narad przedstawicieli wszystkich państw oraz wspólne podejmowanie decyzji. Otóż równe prawo głosu przeszkadza w szybkim i energicznym prowadzeniu działań wojennych, i to tym bardziej, że interesy państw członkowskich nie zawsze są te same. My natomiast rozporządzamy siłami naszych sojuszników z całkowitą swobodą.

Peloponezyjczycy nie mają pieniędzy i nie zdołają ich zebrać w krótkim czasie. Nie tylko bowiem państwa są tam biedne, lecz także ich obywatele. Za co więc rozbudują flotę, skąd wezmą fundusze na opłacanie ich załóg? Co prawda, w ostateczności mogliby wziąć część skarbów świątynnych w Olimpii i w Delfach i za te pieniądze zwerbować doświadczonych żeglarzy; sami bowiem jako rolnicy nie znają się zupełnie na sposobach walki morskiej i tej umiejętności tak prędko nie nabędą. Jednakże najemne załogi nigdy nie sprostają takim, które są złożone z obywateli. Nie mówiąc już o tym, że nasza flota jest bez porównania potężniejsza i może stale przeszkadzać im w budowie okrętów oraz w ćwiczeniu ludzi.

Jak zaś przedstawiają się nasze siły i zasoby? Możemy być zupełnie spokojni, jeśli chodzi o pieniądze. Rokrocznie sprzymierzeńcy wpłacają nam tytułem zarówno danin, jak i podatków wszelkiego rodzaju 600 talentów. Prócz tego do skarbu wpływa rocznie 400 talentów z innych źródeł. Dzięki temu byliśmy w stanie pewną część pieniędzy odkładać. Przed niedawnym jeszcze czasem w skarbcu na Akropolu było 9700 talentów. Obecnie jest ich mniej, wydatkowaliśmy bowiem 2000 na koszty wojny z Potideją i nieco tylko mniej na budowę Propylei oraz innych gmachów. Pozostała mimo to suma ogromna, 6000 talentów w bitej monecie? Nie jest to wszystko. Posiadamy przecież w skarbcu cenne przedmioty kultowe, dary państwa i osób prywatnych, a także łupy zdobyte na Persach. To złoto i srebro waży około 500 talentów. Wreszcie moglibyśmy w ostateczności sięgnąć po skarbcę świątynne różnych bóstw; znajduje się tam sporo pieniędzy. Można by również ściągnąć złoto z posągu Ateny w Partenonie; jest go 40 talentów. Tak więc pieniędzy nam nie braknie, choćby wojna trwała długo.

Jesteśmy jednak nie tylko bogaci, lecz i silni wojskowo. Możemy wyprowadzić w pole 13000 hoplitów, w mieście zaś pozostanie dla obsadzenia murów i tak 16000 zbrojnych. Mammy, łącznie z łucznikami, 1200 jeźdźców, pieszych natomiast łuczników aż 1600. Flota nasza jest potężna: liczy 300 trójrzędowców, które mogą wypłynąć na morze każdej chwili.

Jakież wypływają stąd wnioski? Są oczywiste. Gdybyśmy zamieszkiwali wyspę, byłibyśmy – zgodzi się z tym każdy – po prostu nie do pokonania. Panujemy bowiem na morzu, nikt zaś nie mógłby nas zmusić do przyjęcia bitwy na lądzie. Możemy jednak w obecnej naszej sytuacji postępować dokładnie tak, jak byśmy byli wyspiarzami!

Opuścimy pola i wsie, zamkniemy się za murami miasta, które przecież jest połączone z portem; nigdy więc nie będziemy cierpieć braków w zaopatrzeniu. Najważniejsze jest jedno: nie dać się wciągnąć w walki na lądzie! Musimy mężnie ścierpieć, że wróg zniszczy i spustoszy nasz kraj. Ale jedna przegrana bitwa mogłaby nas kosztować drożej niż ruina wszystkich domów całej Attyki. Budynki można postawić nowe, i to wspanialsze. Poległych natomiast ludzi nikt i nic nam nie zastąpi. Zważmy i to: klęska na lądzie spowodowałaby zapewne, że i sprzymierzeńcy zachwiałoby się w swej ku nam wierności.

Czy ma to oznaczać, że pozostaniemy w tej wojnie bezczynni? Oczywiście – nie! Nasza flota będzie najeżdżać wybrzeża Peloponezu. Będzie to dla krain tego półwyspu cios znacznie boleśniejszy niż dla nas spustoszenie nawet całej Attyki, my bowiem posiadamy poza tym wiele jeszcze ziem nam podległych.

Takie były argumenty Peryklesa. Znalazły one powszechne uznanie, były bowiem rzeczowe, spokojne, dobrze przemyślane. Jednakże nastroje ludu ulegały zmianie w miarę rozwoju wypadków. Ze smutkiem opuszczano rodzinne domostwa. Narzekano na niewygody bytowania w miejskiej ciasnocie i na drożyznę żywności. Ale prawdziwa rozpacz opanowała serca Ateńczyków dopiero wtedy, kiedy wojska peloponeskie odstąpiły spod Ojnoe i ruszyły w głąb Attyki, pustosząc najżyźniejsze okolice półwyspu – ziemie Eleuzis, Triazos, Acharny.

Powiadano, że Spartanie umyślnie usadowili się w Acharnach, bo mieszkańcy tej gminy stanowili znaczną, i to bardzo wpływową część ateńskich obywateli. Spodziewał się więc Archidamos, że ruszą oni do walki w obronie swej własności i porwą za sobą resztę ludu. Do bitwy jednak, wbrew spartańskim nadziejom, nie doszło, choć wzburzenie w mieście było ogromne. Zwracało się ono przede wszystkim przeciw Peryklesowi. Szarpano go zewsząd – za nieudolność i bezczynność.

Po bezskutecznym wyczekiwaniu na wyjście do boju ateńskiej armii Spartanie zwinęli wreszcie swój obóz w Acharnach. Pustoszyli północne i wschodnie rejony Attyki. Potem opuścili granice półwyspu. Powrócili na Peloponez przez Beocję i Megarę. Tam rozwiązano wielką armię. Jej żołnierze rozeszli się do swych krain i domów. Cały najazd na Attykę nie trwał dłużej niż dni 40 – i nie mógł być dłuższy; brakowało bowiem Peloponezycykom żywności. Dla tylu tysięcy ludzi nie sposób jej było zmagazynować i przewieźć.

Wróg jeszcze stał na attyckiej ziemi, kiedy z portu w Pireusie wypłynęła silna flotylla ateńskiej floty wojennej: 100 trójrzędowców miało na pokładach 1000 hoplitów oraz czterystu łuczników. Ta eskadra opłynęła Peloponez; wzmocniona posiłkami Korkyrejczyków oraz innych sprzymierzeńców zaatakowała kilka miejscowości u południowych z zachodnich wybrzeży tego półwyspu, a także i w Akarnanii. Dokonała dużych zniszczeń. Nigdzie jednak nie myśleli Ateńczycy o umacnianiu się na dłużej. Były to tylko działania odwetowe.

Po spełnieniu swych zadań flotylla powróciła na Morze Egejskie jesienią tegoż roku 431. W drodze do Aten przybiła do wyspy Eginy i radośnie powitała nowe tam porządki. Oto w lecie wysiedlono z wyspy wszystkich jej dotychczasowych mieszkańców, ziemie zaś rozdzielono pomiędzy ateńskich osadników! Było to posunięcie bezwzględne i tylko częściowo usprawiedliwione względami strategicznymi: przyjaźnią, jaką Egineci zawsze darzyli Spartan, oraz położeniem wyspy w zatoce pomiędzy Attyką a Peloponezem. Najistotniejszym powodem nieludzkiego potraktowania wyspiarzy była wzajemna nienawiść Ateńczyków i Egineców, datująca się od wielu pokoleń. Perykles wreszcie dopiął swego: wyjął drzazgę z oka Pireusu! Spartanie osiedlili większość wygnańców na ziemiach Peloponezu, część jednak Egineców, niegdyś przodujących Helladzie w handlu i żegludze, rozproszyła się po całym świecie.

Stojąc jeszcze u wybrzeży Eginy dowiedzieli się żołnierze i żeglarze flotylli o innym bardzo pomyślnym wydarzeniu. Oto duża armia ateńska wtargnęła w granice Megary. Samych hoplitów liczyła ponad 13000! Na wieść o tym flotylla natychmiast przyłączyła się do opera-

cji wyprawy. Wspólnie, od strony morza i od lądu, spustoszone znaczne obszary Megarydy, mszcząc się za zniszczenia dokonane w lecie na ziemiach Attyki.

Tego właśnie lata, kiedy działania wojenne były w pełnym toku, zdarzyło się zaćmienie słońca. Słońce wyglądało jak sierp księżycy i stało się tak ciemno, że można było dostrzec gwiazdy na niebie. Zaćmienie to przypało, według naszej rachuby, na dzień trzeci sierpnia.

POCHWAŁA DEMOKRACJI NAD GROBEM POLEGŁYCH

Kiedy przyszła zima, ustały wszelkie walki na lądzie i na morzu. Wówczas to urządzili Ateńczycy uroczysty pogrzeb swych żołnierzy poległych we wszystkich bitwach pierwszego roku wojny. Pogrzeb odbył się na koszt państwa. Zbiorowy grobowiec stanął na państwowym cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylońską. Mowę wygłosił sam Perykles.

Wśród tłumu słuchaczy znalazł się również młody Tukidydes, syn Olorosa; chłonał wraz z innymi wzniosłe słowa mówcy i wzruszał się ich powagą, w której jednak nie było żalobnego smętku. Wyzyskał bowiem Perykles tę uroczystość, aby przedstawić wielkość państwa, któremu oddali swe życie młodzi mężczyźni na tyłu polach zmagają. Pragnął w ten sposób usprawiedliwić obecną wojnę oraz natchnąć słuchaczy dumą z ojczyzny i wiarą w zwycięstwo – ile by ono miało jeszcze kosztować krwi i ofiar.

Główne myśli tej mowy pogrzebowej Tukidydes dobrze zapamiętał i odtworzył później w swym dziele. Oto niektóre z nich:

„Zanim przejdę do pochwały poległych, pragnę wyjaśnić, dzięki jakim wysiłkom doszliśmy do tej potęgi oraz dzięki jakim formom ustrojowym i jakim cechom charakteru nasze państwo stało się wielkie. Uważam bowiem, że godzi się to poruszyć w czasie dzisiejszych uroczystości i że trzeba, by się o tym dowiedzieli licznie tutaj zebrani obywatele i cudzoziemcy.

Nasz ustrój polityczny nie jest naśladownictwem obcych praw, a my sami raczej jesteśmy wzorem dla innych niż inni dla nas. Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości. W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy w obliczu prawa; jeśli zaś chodzi o znaczenie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do pewnej grupy, lecz ze względu na talent osobisty, jakim się wyróżnia; nikomu też, kto jest zdolny służyć ojczyźnie, ubóstwo albo nieznanne pochodzenie nie przeszkadza w osiągnięciu zaszczytów. W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności. W życiu prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się naszych współobywateli, nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli się zajmuje tym, co mu sprawia przyjemność, i nie rzucamy w jego stronę owych pogardliwych spojrzeń, które wprawdzie nie wyrządzają szkody, ale ranią. Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym. Jesteśmy posłuszni każdoczesnej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanim, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę.

Stworzyliśmy też najwięcej sposobności do wypoczynku po pracy, urządzając przez cały rok igrzyska i uroczystości religijne oraz pięknie zdobiąc nasze prywatne mieszkania, których urok codzienny rozprasza troski. Z powodu zaś wielkości miasta zwozi się tutaj towary z całej ziemi; możemy tedy na równi rozkoszować się wytworami obcych narodów, co i naszymi własnymi.

I w sprawach wojennych różnimy się od nieprzyjaciół. Miasto nasze pozostawiamy otwarte dla wszystkich; nie zdarza się, żebyśmy wydalali cudzoziemców i nie pozwalali komuś uczyć się u nas albo patrzeć na coś, co mogłoby się przydać naszym wrogom; mamy bowiem zaufanie nie tyle do przygotowań i podstępów wojennych, ile do własnej odwagi w

działaniu. Inni przez twarde i pełne trudów wychowanie i ćwiczenia już we wczesnej młodości dochodzą do męskiej odwagi, my zaś żyjąc w sposób bardziej swobodny z nie mniejszą odwagą stawiamy czoło równym niebezpieczeństwom.

Państwo nasze jest godne podziwu i pod tymi względami, i pod wielu innymi. Kochamy bowiem piękno, ale z prostotą, kochamy wiedzę, ale bez zniewieściałości, bogactwem się nie chwylimy, lecz używamy go w potrzebie; przyznanie się do ubóstwa nie przynosi nikomu ujmy, jednakże jest ujmą, jeśli ktoś nie stara się z niego wydobyć. U nas ci sami ludzie, którzy zajmują się sprawami państwa, zajmują się także swymi osobistymi, a ci, którzy ograniczają się tylko do swego rzemiosła, znają się także na polityce. Jesteśmy jedynym narodem, który jednostkę nie interesującą się życiem państwa uważa nie za bierną, ale za nieużyteczną.

Krótko mówiąc, twierdzę, że państwo nasze jako całość jest szkołą wychowania Hellady, i wydaje mi się, że u nas każda jednostka może z największą swobodą przystosować się do najrozmaitszych form życia i stać się przez to samodzielnym człowiekiem. A że nie są to okolicznościowe przechwałki, ale rzeczywista prawda, na to wskazuje potęga naszego państwa, którą zdobyliśmy dzięki tym cechom charakteru.

Państwo nasze dlatego budzi podziw, że swoją odwagą zmusiliśmy wszystkie morza i lądy, aby stały się nam dostępne, i że wszędzie postawiliśmy wieczne pomniki klęsk przez nas zadanych i dobrodziejstw przez nas wyświadczonych. W obronie takiego miasta polegli odważnie ci oto, nie chcąc go stracić; w obronie tego miasta także wszyscy pozostali przy życiu muszą być gotowi do cierpień.⁴⁷

Pociech rodzinom zmarłych Perykles nie szczędził, choć nawet najpiękniejsze i najszczerze wyrazy współczucia brzmieć musiały, jak zawsze w takich chwilach, pusto i sztucznie. Dla wielu jednak najlepszą pociechą było uroczyste przyrzeczenie, które Perykles złożył nad mogiłą poległych: osierocone dzieci utrzymywać będzie państwo, póki nie dorosną.

Nikt jednak z zebranych wówczas za Bramą Dipylońską nie przewidywał, że ów pożar, który wszczął się nie bez udziału Peryklesa, trwał będzie jeszcze lat dwadzieścia i siedem. Nikt nie przeczuwał, że ta wojna pochłonie dziesiątki, a może i setki tysięcy istnień ludzkich – po to tylko, by przynieść ruinę wielkości ich państwa. Nikt nie był w stanie odgadnąć, jak często żałobne kondukty udawać się będą za Bramę Dipylońską i jak piękne, coraz to wznioślejsze mowy słyseć się będzie nad zbiorowymi mogiłami młodych mężczyzn na państwowym cmentarzu zasłużonych.

KRÓL EDYP

Następnego lata, to jest roku 430, Lacedemończycy powtórnie wtargnęli do Attyki. Dowodził, jak poprzednio, król Archidamos. Ludność znowu schroniła się za mury, wróg zaś niszczył pola i wsie. Wydawało się, że wszystko potoczy się jak w roku ubiegłym: po kilkudziesięciu dniach Spartanie odejdą i przez jakiś czas Attyka będzie wolna. Stało się jednak coś, co wstrząsnęło życiem miasta do głębi i wywarło potężny wpływ na dalsze losy zmagania. Oto zaledwie w kilka dni po zamknięciu bram wybuchła wewnątrz murów groźna epidemia.

Pierwsze zachorowania zauważono wśród ludności stłoczonej w Pireusie. Przypuszczano początkowo, że to nieprzyjaciel zatrzał studnie. Później jednak, gdy chorych przybywało z każdym dniem, i to również w samych Atenach, stało się jasne: to zaraza zawleczona do portu gdzieś z zamorskich krain. Rzeczywiście, poprzednio szalała ona, choć z mniejszym nasileniem, na wyspie Lemnos, a jeszcze wcześniej w Egipcie i w krainach sąsiednich. Jednakże nigdzie śmiertelność nie była tak wysoka, jak właśnie w Attyce. Lekarze byli bezsilni. Nie

⁴⁷ Tukidydes, *Wojna peloponeska*, II 35—46 (przekład jw.).

pomagały też modły do bogów i rady sławnych wyroczni. Pozostawało tylko poddać się nie-szczęściu i spokojnie oczekiwać nadejścia choroby, która zwykle kończyła się śmiercią.

Wśród niewielu, którzy wyszli z niej z życiem, był Tukidydes, syn Olorosa. Opisał on dokładnie jej objawy, aby – jak sam stwierdza – ułatwić w przyszłości rozpoznanie epidemii, gdyby znowu gdzieś wybuchła:

Najpierw – rozpalona głowa, oczy czerwone i piekące. Usta i język nabiegłe krwią, oddech nieregularny i przykrego zapachu. Następnie – katar i chrypka, a po zajęciu płuc silny kaszel. Kiedy choroba atakowała żołądek, występowały nudności i wszelkiego rodzaju wymioty żółcią. Wszystko to połączone było z silnymi bólami. Wielu chwyciła pusta czkawka z mocnymi skurczami, które u jednych przechodziły szybko, u innych natomiast trwały długo. Ciało przy dotknięciu nie wydawało się zbyt rozpalone; było zaczerwienione, sine, pokryte pęcherzykami i wrzodami. Wewnątrz zaś chory był tak rozgrzany, że nie znosił najdelikatniejszego nakrycia; chciał leżeć nago, a najchętniej rzuciłby się do zimnej wody. Dręczyło chorych pragnienie nie do ugaszenia, a także niepokój i bezsenność. Przeważnie umierali w dniu siódmym lub dziewiątym. Kto zaś ten dzień przetrzymał, zwykle umierał później z osłabienia, kiedy choroba atakowała podbrzusze powodując ropienie i nieustanną biegunkę. A nawet u tych, którzy wszystko znieśli, pozostawały trwałe ślady: utrata palców rąk i nóg, genitaliów, czasem wzroku. Wielu traciło pamięć.

Natłok ludzi w mieście sprawiał, że żniwo śmierci było obfite. Trupy leżały stosami, chory tarzali się po ulicach i wokół studni. Także świątynie pełne były trupów. Prawa przestały obowiązywać, poniechano zwyczajów pogrzebowych. Kto nie miał środków do palenia swych zmarłych, podrzucał ich na cudzy stos pogrzebowy. Szerzyła się też żądza użycia wszelkich rozkoszy, nad każdym bowiem wisiał wyrok śmierci. Nie lękano się więc sądów, nie zważano na świętości. Bezsilni byli bogowie, nic nie znaczył pieniądz.

Aż dziw bierze, że mimo tej klęski Ateńczyków stać było, duchowo i materialnie, na prowadzenie działań wojennych zgodnie z planem. Armia peloponeska pustoszyła półwysep attycki przez dni 40, aż po sam jego cypel; odeszła ponoć ze strachu przed zarazą, widząc gęsty dym stosów pogrzebowych nad miastem. Ale wróg jeszcze był w granicach Attyki, kiedy z Pireusu wypłynęło sto trójrzędowców i kilkadziesiąt okrętów transportowych. Flota ta, wzmocniona posiłkami z Chios i Lesbos, przewiozła na wybrzeża Peloponezu koło Epidaurus 4000 hoplitów i 300 jeźdźców. Dowodził sam Perykles. Usiłował zdobyć miasto Epidaurus, ale bez powodzenia; natomiast spustoszone pewne okręgi u wschodnich wybrzeży półwyspu. Zaraza jednak towarzyszyła wiernie żołnierzom wyprawy.

Zaraz po powrocie do Pireusu ta sama flota popłynęła w innym kierunku, pod innym też dowództwem: strategami byli Hagnon i Kleopomp, celem zaś Chalcydyka i Potideja, która wciąż się broniła. I tym razem nie udało się wtargnąć w mury miasta, choć zastosowano maszyny oblężnicze. Po czterdziestu dniach strategowie powrócili, ich bowiem oddziały poniosły dotkliwe straty skutkiem zarazy, którą przywlekły z sobą z Aten. Spośród czterech tysięcy hoplitów zmarło tysiąc pięciuset. Pod Potideją pozostał tylko dawny korpus oblężniczy.

W owych to ponurych dniach wojny i zarazy Sofokles pracował nad dramatem *Król Edyp*:

Na Teby spadła straszliwa zaraza. Nad miastem unosi się gęsty dym kadzideł, zewsząd słychać żałobne pieśni i bolesne jęki. Umierają ludzie, pokotem kładą się zwierzęta, usychają w polu zasiewy. Na opustoszałych ulicach leżą zwały trupów, których nikt nie oplakuje i nikt nie grzebie. Kobiety szlochając klęczą u stóp ołtarzy. Król Teb Edyp już przed laty uwolnił miasto od okrutnego potwora. Sfinksa. I teraz pragnie pomóc swemu ludowi. Wysyła poselstwo do wyroczni Apollona w Deltach, aby sam bóg wskazał, co czynić dla odwrócenia śmiertelnej choroby. Odpowiedź brzmi: trzeba odnaleźć i ukarać zbrodniarza, który zabił Lajosa, poprzedniego króla tego miasta; wówczas dopiero ustanie zaraza. Choć wiele już lat minęło od tego morderstwa, Edyp natychmiast przystępuje do usilnych dochodzeń, aby dojść prawdy i należycie rozprawić się z winnym. Stopniowo, w toku przesłuchań i sprawdzania

okoliczności, straszliwa prawda odsłania się przed nim i przed ludem: to on sam zabił Lajosa w czasie przypadkowej utarczki na drodze, nie wiedząc w ogóle, że ma do czynienia z królem Teb! Potem dopiero rozprawił się Edyp ze Sfinksem i w nagrodę otrzymał opróżniony tron miasta oraz rękę wdowy po Lajosie, Jokasty. Lecz nie dość na tym. Dowiaduje się Edyp, że choć wychowywał się w Koryncie, naprawdę jednak pochodzi z Teb, jego zaś ojcem był Łajos, a matką – Jokasta! Jest więc nie tylko mordercą, ale też ojcobójcą i mężem własnej matki. A wszystkie te nieszczęścia spadły nań, człowieka wielkiej prawości i odwagi, bez najmniejszej winy, z bezlitosnego wyroku losu i bogów. Toteż w ostatnich słowach dramatu chór białda: Iluż to ludzi zazdrościło Edypowi jego szczęścia i władzy! Teraz los zepchnął go w otchłań. Nie wolno nazywać nikogo szczęśliwym, póki nie wypełnią się wszystkie dni jego życia.

Bezsilny jest każdy człowiek i każdy władca, nawet najlepszą ożywioną wolą, wobec miażdżącej potęgi przeznaczenia. Zamierzenia, które miały przynieść ocalenie, często nie tylko w niwecz się obracają, lecz i zgubę przynoszą.

Sofokles więc nie oskarżał w swej tragedii Peryklesa. Przeciwnie, stawał w jego obronie. To nie Perykles ściągnął ogrom klęsk na miasto, choć dążył do wojny i nakazał zamknąć lud w murach miasta! Działal przeciż w najlepszej woli, pragnął zwycięstwa Aten i oszczędzenia ludności krwawych strat. Stał się jednak igraszką w rękę bogów i przyczyną wielkich nieszczęść – również dla siebie i swego domu.

Śmierć bowiem nie oszczędziła też rodziny Peryklesa. Zmarła jego siostra oraz obaj synowie z pierwszego małżeństwa. Ofiarą zarazy padł najpierw starszy z nich Ksantypus, który nie żył dobrze z ojcem, po ośmiu zaś dniach młodszy, Paralos. Kiedy Perykles stanął u jego zwłok, nie mógł powstrzymać łez i jęku. Od czasu obrony Aspazji po raz pierwszy widziano Peryklesa płaczącego.

Przy życiu pozostał tylko syn Peryklesa i Aspazji, noszący imię ojca. Był on jednak dzieckiem nieślubnym. Nie miał nawet obywatelstwa ateńskiego, bo przecież przed dwudziestu laty sam Perykles przeprowadził ustawę, że Ateńczykiem jest ten tylko, kto urodził się z obojga rodziców Ateńczyków. Trzeba było nowej ustawy, która w tym wypadku uchylila działanie poprzedniej, dając Peryklesowi, synowi Peryklesa, zarówno obywatelstwo ateńskie, jak i prawo do dziedziczenia po ojcu.

Jednakże nie tylko domowe nieszczęścia spadały na Peryklesa. Załamywało się jego znaczenie polityczne. Lud burzył się. Uważał strategię Peryklesa za błędną, winił go za wszystkie klęski. Mówiono:

– Gdyby nie stłoczenie ludności w murach, epidemia nie pochłonełaby tylu ofiar. Z lęku przed stratami unikamy bitwy w otwartym polu. Ale czy nawet w najkrwawszej bitwie padłoby tylu zabitych, ilu umiera każdego dnia na łożu boleści?

Wbrew zaleceniom, a nawet i prośbom Peryklesa uchwalono wysłać do Lacedemonu poselstwo pokojowe. Wróciło ono z niczym. Ale wkrótce potem złożono Peryklesa z urzędu. Wdrożono przeciw niemu dochodzenie o rzekome nadużycia pieniężne w czasie wieloletniego sprawowania godności stratega. Został skazany na zapłacenie dość znacznej sumy. W kilka miesięcy później, kiedy przeszła fala wzburzenia, wybrano Peryklesa ponownie członkiem kolegium strategów. Ale nie odzyskał już dawnych wpływów. Był raczej biernym świadkiem wydarzeń na teatrze działań wojennych.

Potideja poddała się w zimie roku 430/29. Bronić mogłaby się dłużej, gdyby nie głód; w mieście zdarzały się ponoć nawet wypadki ludożerstwa. Warunki kapitulacji były surowe. Wszyscy mieszkańcy musieli opuścić ojczyznę. Mężczyźni mogli wziąć tylko po jednej sztuce odzienia, kobiety zaś po dwie suknie. A wyznaczono również, jaką najwyższą ilość pieniędzy można mieć przy sobie. Wygnańcy rozproszyli się po okolicznych osadach, opustoszałe zaś miasto zajęli ateńscy koloniści. Oblężenie Potidei kosztowało Ateny drogo: wiele tysięcy

istnień ludzkich i 2000 talentów. Toteż lud uważał, że potraktowano Potidejczyków zbyt łagodnie: należało ich wszystkich sprzedać w niewolę!

Latem roku 429 nie było najazdu Spartan na Attykę. Nieprzyjaciel zapewne obawiał się wciąż odżywiającej tam epidemii. Król Archidamos poprowadził swe wojska tylko pod Plateje. Było tam wówczas zaledwie czterystu obywateli, osiemdziesięciu żołnierzy ateńskich oraz około stu kobiet, które gotowały jedzenie. Ale miasto było dobrze umocnione. Wielotysięczna armia peloponeska, wzmocniona jeszcze posiłkami Tebańczyków, na próżno usiłowała je zdobyć przez trzy prawie miesiące. Na nic nie zdał się ogromny wał ziemny, maszyny oblężnicze, a nawet i to, że udało się wzniecić wewnątrz murów groźny pożar. We wrześniu większa część Peloponezyjczyków odeszła; pozostały tylko załogi, które miały trzymać Plateje w zamknięciu.

OSTATNIE SŁOWA PERYKLESA

Tej właśnie jesieni Perykles zaniemógł. Był jedną z ostatnich ofiar wygasającej epidemii. Organizm starszego już człowieka nie mógł sprostać chorobie, choć miała ona przebieg stosunkowo łagodny, Aspazja nie zaniedbała żadnych środków ratunku; na szyi chorego zawiesiła nawet amulet. Perykles pokazał go odwiedzającym z bezradnym uśmiechem. Było wiadoczne, że to już ostatnie chwile jego życia; leżał wyczerpany i bezsilny, coraz to zapadając jakby w omdlenie. Toteż zebrani przy łożu rozmawiali cicho, lecz swobodnie – pewni, że nie słyszy niczego. Toczyły się słowa pełne dostojnego namaszczenia:

– Odchodzi wielki człowiek. Dokonał dzieł wiekopomnych. Uczynił Ateny pierwszą potęgą Hellady. Umocnił władztwo ludu. Przyozdobił miasto świetnymi budowlami. Odnosił wiele zwycięstw, na lądzie i na morzu.

Mówili tak długo, coraz wznioślej i żałobniej, wciąż przydając wieńców sławie umierającego. Był to pierwszy akt uroczystości, które za kilka dni miały się odbyć na cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylońską.

On jednak słyszał i ważył każde słowo, które powiedziane będzie nad jego grobem. Wyliczano zwycięstwa i budowle, on zaś, mówca znakomity, który wielu już zmarłych żegnał w imieniu państwa, widział coraz wyraźniej: te przemówienia źle wypadną i nie wzruszą nikogo; są podniosłe i puste; nie ma w nich ani jednego zdania, które by trafiło do serca.

Życie uciekało, rzeka wspomnień płynęła coraz leniwiej, już podnosiły się przejmujące chłodem mgły śmierci, wciąż przesłaniając gasnące światło rozeznania. Czy Perykles zdąży, nim noc zapadnie, znaleźć tę jedną myśl, której szuka tak uporczywie – myśl prostą i poetyczną zarazem – dla przydania blasku mowie pogrzebowej nad swym grobem?

W pewnej chwili chory podniósł powieki i zaczął poruszać wyschłymi wargami. Głowy zebranych pochyliły się nad łożem troskliwie, aby uchwycić ostatnie słowo odchodzącego. A on wyszeptał:

– Zapomnieliście o najważniejszym... Nikt z Ateńczyków nie przywdział szaty żałobnej z mojej winy...

Przywdziać szatę żałobną mógł nie tylko ten, kto stracił kogoś bliskiego, lecz i każdy człowiek uważający się za skrzywdzonego. A więc słowa Peryklesa mówiły:

– Choć byłem wiele lat u władzy, nie skrzywdziłem nikogo.

I było to prawdą. Bezpośrednio nie skrzywdził Perykles chyba nikogo. Nie nadużywał swych wpływów. Nie pomnażał majątku przez polityczne machinacje. Nie posługiwał się nigdy oszczerstwem, kłamstwem, wyzwiskami. Był człowiekiem uczciwym i czystych rąk – zjawisko wśród ówczesnych polityków bardzo rzadkie.

Ale prawdą też było, że na cmentarz zasłużonych za Bramą Dipylońską udawały się coraz liczniejsze rzesze ludzi w szatach żałobnych. Odprowadzały one na miejsce wiecznego spoczynku swoich bliskich, poległych w wojnie, za której rozpętanie Perykles ponosił wielką odpowiedzialność. On sam zapłacił za to śmiercią obu synów z pierwszego małżeństwa. Lecz i nad losem syna Aspazji wojna zaciążyła złowrogo.

Wnet po zgonie Peryklesa Aspazja związała się z człowiekiem, o którym sądzono, że będzie nowym przywódcą demokratów. Zwał się Lizykses. Nie trzeba dziwić się temu pośpiechowi. Aspazja została sama w mieście, w którym życie skutkiem wojny stawało się coraz trudniejsze. Była zaś w tym mieście cudzoziemką, i to znienawidzoną przez wielu. Zapewne jednak Aspazja szukała oparcia głównie ze względu na młodego Peryklesa. W chwili śmierci ojca nie miał on jeszcze lat osiemnastu, potrzebował więc męskiej opieki, a także i przewodnictwa, kiedy wkroczy w życie.

Jednakże Lizykses zginął już jesienią roku 428. Młody Perykles musiał sam sobie radzić. Nie odgrywał nigdy poważniejszej roli w polityce, ale w roku 406 wszedł do kolegium strategów. Objął więc tę godność, którą niegdyś przez wiele lat piastował jego ojciec. W tymże roku odniósł wraz z kilku innymi dowódcami świetne zwycięstwo nad flotą Lacedemonu. W Atenach jednak czekała zwycięzców nie nagroda, lecz rozprawa sądowa. Oskarżono ich o to, że nie zatroszczyli się o wyłowienie ciał poległych żołnierzy z fal wzburzonego morza. Był to oczywiście zarzut pozorny. W istocie strategowie padli ofiarą politycznych rozgrywek w walce o władzę. Peryklesa i jego towarzyszy lud skazał na śmierć; wyrok wykonano.

Tak więc żądło wojny dosięgło samego serca tego ustroju, w którego wyższość nad innymi formami rządów wielki Perykles wierzył głęboko. Dlatego to pragnął zapewnić swemu państwu i demokracji panowanie nad całą Helladą – nawet siłą. Lecz arogancja przemocy była mieczem obosiecznym. Zadała śmiertelną ranę właśnie tym zasadom ustroju, które miały usprawiedliwić narzucanie go innym. Pozostała piękna nazwa i wzniosłe frazesy o władzy ludu; władzy, która w rzeczywistości wyrodziła się w terror cyników nad ogłupiałym, naiwnym spólstwem.

SPIS TREŚCI

I. RÓD MATKI PERYKLESA; WYKLĘCI I DEMOKRACI

Zaloty w Sykionie
Stronnictwa
Pizystrat
Apollon i wygnańcy
Ustawy Klejstenesa
Spizowy rydwan na Akropolu

II. OJCIEC PERYKLESA; UKOCHANY POETY, WRÓG MILTIADESA, POGROMCA PERSÓW

Maraton
Miltiades
Sprawa tarczy
Wyspa Paros
Ostracyzm Temistokles
Wychowanie ateńskie
Czterej obrońcy Hellady

III. TEMISTOKLES I KIMON

Pierwsze zwycięstwo Peryklesa
Upadek Temistoklesa
Skarby Kalliasa
Arystydes
Wydarzenia pod Bizantion

IV. KIMON I PERYKLES

Pierwsze zwycięstwo Sofoklesa
Perykles oskarża Kimona
Siostra Kimona i nowe prądy w malarstwie
Kto zamordował Efiatesa?
Tajemniczy meteor i mistrz Peryklesa

V. DOBRE BOGINIE

Oresteja
Wyprawa do Egiptu

Sądy ludowe
Długie Mury
Tanagra
Ojnofyta i Egina

VI. KLĘSKI I POKÓJ

Prozopitis
Zatoka Koryncka
Sprawy demokracji
Pośmiertne zwycięstwo Kimona
Pokój Kalliasa
Sprawy małżeńskie
Kongres helleński
Atena Lemnia
Koronacja
Eubeja
Partenon

VII. MĘDRCY WOKÓŁ ASPAZJI

Filozof kształci heterę
Aspazja, nowa Onfale
Architekt projektuje ustrój doskonały
Prawa miasta Turioj
Rozmowa z Protagorasem
Czy ustrój wychowuje?

VIII. WYPRAWA NA SAMOS

Wojna i poeci
Wojna i Aspazja
Pierścień Polikratesa
Wojna i filozofowie
Wojna i finanse
Samotnia Eurypidesa

IX. WSZYSCY BRONIA POKOJU

Dwa poselstwa
Co to jest prawo?
Bitwa wyprzedza wojnę
„Polegli koło bram Potidei”
Megaryjczyk sprzedaje swe córki
Medytacje pod Potideją

X. PROCESY I DYPLOMACJA

Proces Fidasza
Proces Anaksagorasa

Proces Aspazji
Zbrodnia sprzed dwóch wieków i Perykles

XI. WOJNA
Plateje i Ojnoe
Strategia wielkiej wojny
Pochwała demokracji nad grabem poległych
Król Edyp
Ostatnie słowa Peryklesa

Uwaga: gdzie nie zaznaczono inaczej, przekłady tekstów greckich pochodzą od autora.

Spośród dzieł starożytnych nie wymienionych w przypisach przypomnieć tu należy przede wszystkim Plutarcha, *Żywoty Peryklesa, Kimona, Temistoklesa, Arystydesa, Alkibiadesa* oraz Arystotelesa, *Ustrój polityczny Aten*.